

Kolmo Karol

Książę Kowdlar

Kruki krążyły nad pobojowiskiem. Król Amargadeusz siedział na koniu, wokół niego w skupieniu krąg notabli. Wszędzie unosił się zapach krwi i rozerwanych trzewi.

– Popamiętają mnie. Wyplują tego zdrajcę. Nie mają wyjścia. – Amargadeusz powiedział to raczej do siebie. - Kowdlar, niech przyniosą mi tu proporzec przeciwnika.

Kanclerz Kowdlar skinął głową, skierował swego konia prosto na tę kupę trupów i jęczących rannych. Jeden z rycerzy, pomniejszego stanu, niósł jakiś proporzec.

Książę, już w pewnym oddaleniu od orszaku króla, krzyknął do niego.

– Co to masz?

– Panie, to proporzec Trautonów. Legionu mężnych Orłów.

– Daj mi go tu, albo nie. Idź z nim tam, widzisz? Gdzie król Amargadeusz stoi. Widzisz, rycerzu?

– Tak, Panie. Ale czy to się godzi?

– Idź, bo król specjalnie czeka. Gwardianie cię przepuszczą. Powiedz tylko, że to flaga Trautonów.

Dzisiaj wielu rycerzy przeniosło się na Pola Kerdolota. Dwie wielkie armie starły się tu. Trautoni byli zbyt pewni swego. Nie zrobili nawet żadnych ubezpieczeń na wypadek klęski, co w konsekwencji i tak się stało. A było ich wielu. Może zbyt wielu? Kowdlar osobiście już nie uczestniczył w walce. Nawet nie kierował walką królewskich legionów. Ale był, skąd król i jego świta obserwowali koleje bitwy. To baron Luruk kierował batalią. Gdyby przegrali? Co by się stało, gdyby Amargadeusz przegrał? Zostałby pewnie więźniem Uberyka. Trudno to było jednak sobie wyobrazić. Nawet Kowdlar nie był w stanie.

– Panie, łaski. Dobijcie! - Książę usłyszał słaby jęk. Zwrócił głowę w tym kierunku. Przed nim, o trzy łokcie, leżał w kałuży krwi jakiś wojak. To był swój, kolory Adlara nosił na sobie.

– Wytrzymaj, może znachorzy przywrócą ci siły. Wytrzymaj. – Kanclerz powtórzył. Lecz sam widział, że rycerz ma rozdarty prawy bok. Ktoś z wielką siłą raził biedaka. Kowdlar był na tyle doświadczony w wojence, iż wiedział, że rycerzowi zostało najwyżej pół godziny życia. Pół godziny życia, i wiele cierpienia. - Wytrzymaj. - Jednak bezradnie powtórzył wbrew sobie. A tamten chyba już nawet nie miał sił, by ponowić swą prośbę. I tylko charkot z jego ust się dobył.

Lecz Kowdlar odszedł. Zostawił tego biedaka własnemu losowi. Cóż to jednak za los, skoro jego godzina już wybiła? Zdażał powoli na swym koniu do stanowiska łuczników. To tam dowodził Elubed kohortą łuczników. Mógł śmiało zostać ze świtą królewską, ale nie, on uparł się, że weźmie czynny udział w walce. Dojechał w

końcu. Zsiadł z konia, zostawił lejce pachołkowi. Kilku tam stało. Łuczników lub innych? Krzyknął:

– Gdzie wasz dowódca Elubed?

– Rany przemywa, Panie. - usłyszał od jednego.

– Gdzie?

– Za namiotem, gdzie medycy rozbili swe miejsce. - Ten sam, chyba łucznik, odpowiedział Kanclerzowi.

Kowdlar przeszedł te kilkadziesiąt łokci. Za krzakami dwa wielkie namioty stały. Jęki i użalania mówiły mu, że to tu medycy zszywają poszarpane rany wojenne. Na drewnianym zydłu siedział Elubed. Kowdlar bez trudności rozpoznał sylwetkę druha. Odwrócony był w stronę małej rzeczki, strugi powolnej. Kowdlar rozpoznał, iż chyba druh rozmyśla nad czymś. Może strofy poezji układa? A może mu życie do cna obmierzło? Kowdlar pamiętał, iż zawsze po walce i jemu życie się zawsze waliło na głowę. Więc może przyjaciel ma teraz podobne myśli?

– Elubedzie?

– Tak. Ach to ty. - Elubed odwrócił oblicze. Nawet nie krył, twarz miał zalaną łzami.

– Oto twój czyn bojowy. - Kowdlar podszedł blisko, wyciągnął kolorową chustę i zaczął ocierać lico przyjaciele. - Twoi ludzie nie mogą tego widzieć. Opanuj się, druhu.

– On miał może szesnaście lat, szesnaście ... - lecz Elubed znów zaczął gorzko płakać. - Rozciąłem go mieczem na poły. Nie ... nie mogę z tym żyć.- Chwycił się za głowę.

– Gdyby nie ty jego, to on by ciebie nadział na swą pikę. - Kowdlar jeszcze raz otarł policzki swego kompana.

– Bodaj bym zginął. Cierpienia bym nie czuł.

– Nie mów tak. Jesteś potrzebny mi. Pamiętaj , ja i Teborna , i moje dziecię, to twoja rodzina. Potrzebujemy cię. A teraz opanuj się, niech ludzie widzą, że mają godnego wodza.

Elubed znów odwrócił się w stronę rzeczki. Wziął z rąk Kowdlara chustę i sam już się wytarł. Wytarł te łzy bóleści. Może czystości, niewinności. Sporo zapłacił za swój pierwszy raz na bitwie. Za swego pierwszego, co go to posłał na Pola Kerdolota. Gdzieś w oddali rozległy się dźwięki wojennego bębna. To monarcha przywoływał

wszystkich, by wrócili w swe szeregi. Wszystkich tych, co byli w stanie. Kowdlar uścisnął dłoń swego kompana.

– Muszę już iść. I ty idź do swego wojska. Dzisiaj będziemy świętować królewskie zwycięstwo nad liczniejszą armią dumnych Trautonów. Uberek znowu ze skulonym ogonem będzie od nowa szukał sojuszników. A wielu już takich na szerokim świecie nie zostało. - To mówiąc, Kowdlar znów dosiadł swego konia. Konia czarnego jak sadza w kominie.

– Jak dobrze pójdzie spotkamy się za tydzień. Tyle mi starczy by rozpuścić swe oddziały. Słyszałeś , druhu, ponoć Cygan Dziad mocno

zachorzał. - Elubed już był opanowany.

– Tak? Swoje już lata ma. Mocno on pomógł Olandowi pomnożyć snadnie jego majątek. Czasami żałuję, że cię posłuchałem. No, wiesz, wtedy gdyś radził, bym go odprawił.- Kowdlar już trzymał lejce pewnie w swej dłoni.

– Kto to mógł wiedzieć? Tym bardziej, że sam się przecież majątku nie dorobił.- Elubed wstał. - Ej tam. - Elubed krzyknął w stronę grupki łuczników, co to stała przy wejściu do pierwszego namiotu. - Przywołać tu do mnie setnika Koloh. - Do Kowdlara zaś rzekł. - Oland, to dziecko szczęścia.

– I my jesteśmy takimi. - Kowdlar jeszcze raz zrobił gest braterstwa i powoli ruszył w stronę świty królewskiej. Gdzieś tam w oddali majaczyła owa grupa.

Króla nie było widać. Bęben wojenny rozlegał się dostojnie po całym bitewnym polu.

Na szerokim łożu leżał on, Cygan Dziad. W gorączce i malignie. Był nieświadom tego, co wkoło się działo. Jakies takie ciepło i gorąc od niego były. Już trzeci dzień był w taki stanie. To wtedy Utena kładła na jego rozpalone czoło kompresy z ziół, które to medyk przepisał. Ale i to nic , po prawdzie, nie dało. Dziś oprócz Dyso i kilku służek było tu też kilku uczniów Cygana, w tym Erej, najmilszy uczeń Mistrza; stali tak przy łożu boleści.

– Czy Mistrz się jeszcze przebudzi? - Powiedział jeden z uczniów. Było to pytanie skierowane do Dyso.

– Młodzieńcze, sam nie wiem. Pamiętam , gdym żegnał swego ojca rodzzonego, nie zbudził on się ze śmiertelnej śpiączki. Lecz na te słowa szlachetnego Dyso, Cygan Dziad jakby się zachnął. Stęknął, poruszył prawą dłońią.

– Mistrzu! - Erej zakrzyknął.

Cygan otworzył prawe oko.

– Jesteście?! - wydobył się z jego krtani charkot. - Jesteście, to dobrze. Matko, jakże piękny strój masz ubrany. Te słowa wprawiły w osłupienie tę gromadkę uczniów, co przy łożu czuwała. I Dyso był zdezorientowany.

Jaka matka? - Dyso pomyślał.

– Ojczy, bracie – Cygan był cały rozpromieniony, niby ze szczęścia. - Zaraz tam pójde do was. Wiem. Przyszła pora. Erej, podaj mi wodę. Straszne pragnienie odczuwam.

Erej czym prędzej nalał z glinianego dzbanka źródlaną wodę do kubka, i podał, przynajmniej starał się podać, tę wodę Cyganowi. Ale widząc, że tamten nie umie nawet podnieść ręki, sam delikatnie przyłożył kubek z wodą do spierzchniętych warg swego nauczyciela. Cygan wychylił kilka łyków.

– Errre...j, pamięć... taj, uczyłem cię, ludzie nie są dobrzy. To prawda i tac... y zdarzają się. Ale nie po...pełniaj mojego błędu. Nie otwieraj się przed ni...kim. Nikim. Pamiętaj! Zawsze zach...owuj dystans. Dobrze mówię, ojczy? – Cygan ożywił się.

– Mistrzu, do kogo mówisz? - Erej znów przechylił kubek z wodą.

– Nie widzicie ich? Przecież oni tu są. - Cygan był zdumiony. Pił wodę pośpiesznie, jakby bał się, że zabraknie. - Dzień to czy noc? Tak słabo widzę. Ciemno tu okrutnie. - Cygan był wzburzony, ale w tym stanie jedynie grymas na jego licu świadczył, że cierpi.

– Środek dnia jest, jasność ze słońca bije. - Dyso powiedział niepewnie.

– Ależ co ty mówisz, Panie, przecież ciem...no, cie..mno. - Cygan znowu zapadł w sen.

Młodzieńcy skupili się w swoim kręgu, Erej coś tam szeptem między nimi prawił, ale starał się zachować ciszę. Dyso podszedł do Uteny.

– Chyba to już będzie koniec. On się już nie obudzi. Tak mi się coś zdaje.

– Biedak, tyle krain przemierzył, tylu ludzi poznał, i skończy tak normalnie, jak zwykły prostak, w swoim łożu. - Utena poprawiła czepek na głowie.

– No wiesz, wielu by za taką śmierć oddało pół majątku. - Dyso szeptem rzekł do żony.

– Mnie się wydaje, że dobra śmierć, to szybka śmierć. Nie męczyć się tak samemu, i innych ludzi tym nie męczyć.

– Ach! Wy kobiety. Wielką rzadkością jest w naszych czasach dożyć takiego wieku, co Cygan. Ale on, tak mi mówił Oland, znał, no i zna jeszcze teraz, póki żyje, różne środki i sposoby, by długo się życiem cieszyć. Ty wiesz, ile on ma lat?

– Nie wiem, mój mężu. Nigdy się z tego nie zwierzał, nie czcił też swych urodzin, przynajmniej oficjalnie.- Utena cały czas, może w pewnym nawyku, poprawiała czepek na swej głowie.

– Po siwej brodzie można sądzić, że siódmy dekambr przeżył. A może nawet ósmy.

– Nie, Dyso, takich ludzi nie ma. On ma najwyżej sześćdziesiąt pięć, no może sześć lat. Nie wiem, jak prawilał, ale ósmy dekambr? Ludzie tak długo nie żyją, nawet najmądrzejsi na świecie.

– No tak, ale stary jest, bardzo stary. - Dyso zgodził się ze swą połowicą.

Stali tak w dwie grupki. Dyso z Uteną i młodzieńcy z Erejem na czele. Wszyscy oni byli uczniami Cygana Dziada. Erej zaś, podług woli Cygana, miał być jego spadkobiercą. Miał wszystko dostać, co po Cyganie zostało. A nie było tego mało.

Bowiem wskutek ostatnich działań Cygana Dziada, nie tylko snadnie pomnożył on majątek Olanda, lecz także udało mu się samemu dojść do dużej fortuny.

Jak to gnomy mówią: pieniądz płodzi pieniądz. Z tej to racji, Cygan

obracając majątkiem swego włodarza, Olanda, sam też na tym zyskał. Nie było w tym żadnego oszustwa, bo i Presurt osobiście go do tego nakłaniał. Miał tedy pewność, iż Cygan Dziad zwiąże się z jego rodziną. I tak się też stało. Cygan Dziad ponad dziesięć lat gospodarzył majątkiem Presurta i jego rodziców. Mówią, tak utrzymywał Erej, Cygan Dziad ostatnimi laty spisał swą mądrość w jednej księdze. I to ma też dostać Erej, ulubieniec swego Mistrza, w spuściźnie. Co z tym Erej zrobi, to już inna sprawa. Jeśli Cygan nauczył go choć części swojej mądrości, to Erej nie zaprzepaści tego dziedzictwa po swym Mentorze.

– Książę Kanclerzu, czy poseł ze Spoka, królestwa Trautonów, jest gotów? - Spytał Amargadeusz.

Król siedział na swym oficjalnym tronie w sali audiencyjnej Pałacu Królewskiego w Wendzie.

Notable Ulandii, w tym Kanclerz, Presurt, elektan floty, Wódz Ludzi Małych oraz cała kamaryla dworska stali w pewnej odległości od tronu królewskiego. Kowdlar na to pytanie królewskie odpowiedział głęboki ukłonem, po czym zwrócił się szeptem do jednego z paziów. A tamten wyszedł pośpiesznie z sali audiencyjnej.

– Wasza Wysokość, poseł królestwa Trautonów czeka na twoją wolę.- powiedział Kowdlar.

– Dobrze więc, niech wejdzie. - Gdy król kończył zdanie otwarły się wielkie drzwi do sali.

Zabrzmiały trąby i fanfary.

Anonser zakrzyknął tubalnym basem:

– Poseł królestwa Trautonów do jego miłości, króla Ulandii, Amargadeusza, Syna boga Re, władcy Północnego Cienia.

Z godnością wszedł do środka już niemłody człowiek, barwnie ubrany, z turbanem na głowie. Jego wąsy zwisały mu po bokach niby dwa pędzle. Przeszedł te kilkanaście kroków, po czym skłoni się nisko do ziemi i rzekł.

– Mam zaszczyt, w imieniu mego władcy, króla Tepika, przemawiać do Waszej Wysokości. Me miano to hrabia Seker.

– Cóż cię sprowadza, hrabio? – Amargadeusz powiedział tak, choć doskonale wiedział, jaki jest cel tej wizyty posła krainy, z którą teraz Ulandia toczy wojnę. Ale było to pytanie retoryczne, takie wynikające z konwencji każdej audiencji u króla.

– Panie, Wasza Wysokość, król mój przekazuje przeze mnie wolę pojednania się, Panie, z twoim królestwem.

– Tak? To ciekawe – Amargadeusz zmienił pozycję na tronie. - Bardzo Ciekawe. Ale czyż , pośle, twój Pan nie wie, iż to właśnie ja wygrałem bitwę z wojskiem twego Pana na Polu Czarnego Tura.

– Wasza Wysokość, mój Pan, król Tepik, doskonale o tym wie. Dlatego, Panie, prosi Cię, byś ty, Panie, wyznaczył warunki ewentualnego rozejmu między naszymi krajami.

– Mówisz : rozejm? Hm ... Ciekawe to. Przecież jeszcze dwa tygodnie temu twój Pan chciał mnie zniszczyć. Ten rozejm będzie twego Pana kosztował wiele. Bardzo wiele. - Amargadeusz zamyślił się. - Powiedz swemu Panu, hrabio, że za trzy tysiące tysięcy talentów puszcze waszych krajan, a moich więźniów wojenny do domu. Niech tam. Nie jestem mściwy. Tym bardziej, iż za tą całą wojną stoi przecież zdrajca Uberyk. Albo... - Amargadeusz wziął głęboki oddech. - Jeśli twój Pan, król Tepik, odda Uberyka w me ręce, to wówczas zadowolę się tylko połową tej kwoty.

Hrabia Seker skłonił się nisko przed królem.

– Wasza Wysokość, przekażę memu władcy twoją wolę. - powiedział, poprawiając sobie turban, który przy skłonie nieco się przechylił.

– No Dobrze, dobrze, pośle. Będę czekał. Ale zważ, że nie mam zamiaru utrzymywać długo waszych rodaków, a moich więźniów. A wiesz co to znaczy dla nich. Nieprawdaż? To przecież kosztuje, a dużo ich jest. Wasza armia, która nawiedziła mój kraj, była doprawdy liczna.

– Wasza Wysokość, z upoważnienia mego Pana, mogę Cię, Panie,

zapewnić, iż król Tepik zapłaci za swoich rodaków.

– Czy to znaczy, iż oprócz kontrybucji wojennych zapłaci także osobno za ich wyżywienie? - Amargadeusz się ożywił.

– Tak, Wasza Wysokość.

– Aha... To dobrze. To bardzo dobrze. Kanclerzu – król zwrócił się do Kowdlara.

- Zadbaj o tę sprawę. Dopilnuj, by poseł królestwa Trautonów bezpiecznie opuścił nasz kraj i – tu podniósł nieco głos – i wywiązał się ze swoich zobowiązań.

Przy łożu paliły się świece, takie duże, wysokie. Ludzie stali nieco dalej. W izbie było ciemno. Erej wpatrywał się uważnie w lico swego Mistrza. Cygan Dziad oddychał z trudem, policzki miał rozpalone; unosił się zapach prze poczonej pościeli.

Choć było już koło północy, domownicy nie mieli na sobie szat nocnych. Zda się, iż wszyscy czekali na ten nieodwołalny koniec. Koniec naj mądrzejszego człowieka na świecie. Będzie to pewnie taki sam koniec jak koniec zwykłego kmiotka, co wypasa kozy. I ci naj mądrzejsi, i ci naj bogatsi, naj dostojniejsi, naj ważniejsi kończą jak zwykle ciury i pastuchy trzody. Śmierć wszystkich zrównuje.

– Kiedy Oland ma przyjechać? - Dyso szeptem zagadnął Ereja.

– Panie, dopiero za cały tydzień. Oczywiście z pewnym okładem.

– Za tydzień prawisz? Wydaje się, że Cygan Dziad już tego nie doczeka.

– Panie, w samej rzeczy. To kwestia najbliższych godzin lub nawet minut. Mój nauczyciel odda swego ducha prządkom Ewalom, co to tkają nasze przeznaczenie. Nie ma już dla niego żadnego lekarstwa. Jest już tak słaby.

Cudu nie będzie. - Erej sięgnął po puchar, w którym źródłana woda była. Upił łyk. Postawił naczynie na stole. Tymczasem Dyso zbliżył się do

swej żony, Uteny.

– Czy jest u nas Jerna? - spytał swej połowicy. A tamta szeptem mu odpowiedziała.

– Jest. W kuchni siedzi. Ona nie umie znieść widoku ludzi u kresu życia.

– A kto lubi? Czy ona wie, że Oland z Jutą przyjadą dopiero za tydzień?

– Nie pytałam, ale z rozmowy z nią wynika, iż nawet na to nie liczy. Sama wybiera się pojechać do Pustyni Róży. Córka ją w liście namawiała, by rzuciła te zimne, nasze strony, i by na starość przyjechała ogrzać kości suchym powietrzem lenna Olanda.

– Ja bym tam nie umiał żyć w takim gorącu. - po cichy przyznał Dyso.
– Już wolę tę świeżość i bryzę naszego powietrza. Może i u nas zimno, a to przecież kożuch można włożyć, przy kominku się ogrzać. Teraz nas na to stać, by w piecu palić dobrym drewnem.

– Ale ona tęskni do córy. Dumna jest z niej, jako i my z naszego syna. - Jakaś łza wzruszenia pojawiła się w jej oku.

– A tak, dziwny ten los, zawsze się bałem o żywot Olanda, a tu przychodzi na starość nam mu usługiwać. Taki to Pan.

– My też Pany teraz, mój mężu. Moglibyśmy się nawet przeprowadzić do stolicy, do Wendy i tam w dostatku dożyć swego życia. - Widać było, że ten jej własny pomysł, spodobał się Utenie.

– Przestań. Nie kuś losu. Źle ci tu?Wszystko masz teraz. Wszystko w brud.

Nawet ptasiego mlecza ci nie zbraknie.-Dyso się nieco zdenerwował tym pomysłem swej połowicy. Ale mówił cały czas po cichu.- Pamiętaj,żono, że my zwykli wieśniacy, wstydu tylko i sromoty byśmy w Wendzie przynieśli naszemu synowi i wnukom. A wrogowie Olanda mieliby tylko zysk w tym.

Dlatego żyjmy tu sobie powoli i cicho,w dostatku i w szacunku naszych

sąsiadów. Bo tego nam teraz nie brakuje.

– Masz rację, Dyso, tak się tylko rozmarzyłam, ale ty, jak zawsze, i teraz masz rację. Tylko byśmy byli tam pośmiewiskiem. Nasze maniery i obyczaje stałyby się tematem dworskich plotek. Dyso zobaczył, iż Erej coś pokazuje mu gestem. Młody mężczyzna najwidoczniej sygnalizował, iż coś się dzieje z Cyganem Dziadem, bo nagle ciszę w izbie przerwało:

– Bogowie! - To Cygan wykrzyknął, równocześnie podniosło go tak, iż wodził nieprzytomnie oczyma z pozycji pólśiedzącej. - Bogowie! Co ja uczyniłem?

Potem znów opadł bez sił na poduszki. I zamarł, tylko oczy miał otwarte. Lecz już się nie ruszał.

– To koniec. Umarł – powiedział Erej. - Umarł nasz Mistrz i Przyjaciel. W tej samej chwili kobiety zaczęły zawodzić i lamentować. To były Utena i służka Motencja. Dyso podszedł do łoża, nachylił się nad ciałem i zamknął oczy temu, co to, powiadają, wszystko wiedział.

W komnacie królowa Sylanda siedziała przed kryształowym lustrem. Sama rozcierała jakiś proszek na policzki. To była królewska toaleta. Amargadeusz siedział w głębi i obserwował poczynania swojej małżonki. Toaleta królowej to nie była duża komnata, ale to tu Sylanda zwykła, już bez pomocy dwórek, pielegnować swą urodę. To prawda królowa młoda była, bez żadnych felerów urody. Jednakowoż miała w zwyczaju jeszcze podkreślać swe walory sztucznymi praktykami. Więc różnorodnych maści, proszków, roztartych pereł, oliwek nie brakowało jej. Stały one rzędem, niczym legion królewski, przed kryształowym lusterkiem. A królowa tylko wybierała, kierowana impulsem lub wyuczoną praktyką.

– Nie oddadzą oni ci tego parszywca Uberyka? - powiedziała Sylanda do Amargadeusza.

– Nie. Chyba nie. Tepik woli zapłacić całą kwotę. To jest trzy tysiące

tysięcy talentów. Wyobrażasz sobie, moja droga, taką kwotę? Jak mi donieśli szpiedzy, podobno Uberyk opuścił królestwo Trautonów. Nie wiadomo, gdzie teraz przebywa. Znow pewnie knuje, podlec i renegat. - Amargadeusz kaszlnął aż ze złości.- Ale to jest kwestia czasu, kochanie, i moi ludzie ustalą, gdzie on się ukrył. Coraz mniej mu zostało miejsc na kryjówkę.

– On prędzej zdriczeje gdzieś na odludziu, niż podda się tobie, mój drogi mężu.

Teborna mi mówiła, iż jakoby Uberyk miał wizję, iż to on będzie władał Ulandią.

– Bzdura. Ja jestem namaszczone i mnie chronią błogosławieństwa i znaki, których nawet Uberyk, jako Mag, nie zdoła złamać. Mój ojciec, król Otelar, już o to zadbał, by nasz ród do dni ostatnich władał Ulandią. Przeżyłem już pięć zamachów, w tym dwa na Wyspach Gnomów. Nawet trucizna Uberyka mnie nie zmogła.

– Wiem, wiem, mój drogi. Nawet wojownicy Okute nie dali rady. Mówiłeś mi już.

– W samej rzeczy, a to przecież najsprawniejsi zabójcy jakich mieli gnomy. - Amargadeusz przyznał małżonce rację. - Więc widzisz, prędzej ja dorwę Uberyka, a wtedy powieszę go głową w dół, by jego własna krew go uśmierciła. Skórę z niego żywcem każę zdjąć, wykastruję go jak wałacha. - Amargadeusz aż cały zsiniał z emocji.

– Daj spokój, daj spokój, bo ci to zaszkodzi. - powiedziała królowa. - I tak go dostaniesz. Takie mam kobiece przeczucie.

Amargadeusz wstał z wolna z fotela, na którym siedział. Przeciągnął się; ziewnął.

Nalał sobie wina do pucharu. I pociągnął solidny łyk.

– Pijesz już przed śniadaniem? – Sylanda przytomnie zareagowała.

– A to takie słabe wino. Słabe, ale bardzo dobre. Czasami sobie pozwalam. Mam tego jeszcze ze dwa antały w zamkowych piwnicach. -

Amargadeusz znów wychylił spory łyk. - Kowdlar mi go sprowadził. Ze Średnich Lasów ci ono. Bardzo zachwalał jako dobry lek na silne nogi. Silne nogi i sprawność umysłu.

– Aha. To, mój drogi, nalej i mi, chcę spróbować.

Amargadeusz nalał do swego pucharu solidną porcję wina, podszedł i podał go Sylandzie. A ta zamoczyła swe powabne wargi w trunku.

– Dobrze! W rzeczy samej dobre – przyznała. - Słodkie, niczym dojrzałe pomarańcze. - stwierdziła.

– Tylko trzeba je pić na czczo. Właśnie na czczo. Dlatego teraz piję, jeszcze przed śniadaniem. I pije się tylko dwa puchary, najwyżej dwa puchary naraz, tak mi przynajmniej prawił Kowdlar. Podobno to receptura Cygana Dziada.

– Kogo? - Spytała nieświadoma królowa.

– A to taki typ. Wyobraź sobie, wyrocznia w Engorze orzekła lata temu, że to najmądrzejszy człowiek na świecie. Miałem go kiedyś przy sobie, to znaczy przy dworze, ale odprawiłem, bo zaczął mnie swą mądrością mierzyć.

Podobno, tak mi Kowdlar prawił, służy on teraz Olandowi swą mądrością. U mnie nie ma miejsca dla takich. Wolę się pytać doradców w konkretnej sprawie. Nie może to przecież być, by jeden człowiek mi doradzał. – Sylanda oddała puchar, już pusty, Amargadeuszowi. - Ale trunek dobry, Sylando. To trzeba przyznać. I wiesz, faktycznie, jakby lżej mi się stawało z łoża po spoczynku nocnym , odkąd go piję.

Usłyszeli stukanie do drzwi komnaty.

– Obik, wchodź – Amargadeusz krzyknął. I , w rzeczy samej, w rozchylonych drzwiach ukazała się głowa wiernego królewskiego sługi, Obika.

– Wasza Wysokość, przyjechał, to znaczy przyplłynął, goniec od barona Zuberta, z koloni Wyspy Gnomów.

– I cóż z tego. Jeszcze śniadania nie jadłem, sam wiesz. Niech goniec poczeka. Ty lepiej powiedz kucharzowi, jak jeszcze raz jajko będzie zalatywać, to go wrzucę żywcem do gnojówki. No, już, już. Zostaw nas samych, bo coś czuję, że spełnię jeszcze teraz swój małżeński, a po prawdzie królewski, obowiązek. Jeszcze teraz przed śniadaniem. Co ty na to, kochanie?

Sylanda tylko uśmiechnęła się wdzięcznie, a pewnie pomyślała sobie, iż to wino ma mieć dobroczynne działanie nie tylko na nogi.

Presurt Oland patrzył dziwnie, z pewnym niedowierzaniem, na ten kopic kamieni.

To tu spoczął Cygan Dziad. Oland był sam, wczoraj z Jutą dopiero co przyjechali do Kulanek. Dzisiaj samotnie wybrał się pożegnać przyjaciela. Juta początkowo chciała z nim iść, lecz on nie chciał i ona w końcu nie nalegała. Ten usypany kurhan emanował jakąś siłą. Choć w promieniu kilkuset kroków nie było żadnej ludzkiej siedziby, Oland czuł, że ktoś tu jest z nim. Jakaś aura tajemniczości biła z tej zalesionej polany, gdzie był kurhan Cygana Dziada. Wtem promień słońca zatańczył dziwnie pośród listowia. A może to był ptak, gdzieś tam w obłokach? Ptak, który przesłonił na moment światło. Cień padł prosto w środek kamienistej górki kurhanu. Oland zauważył wtedy, że jeden z kamieni tam, tam pośrodku, był nieco inny. Nie pasował do reszty. Błyszczał zielenią.

To przecież awenturyn. Co on tu robi? Taki duży? - Olandowi przemknęło w głowie. Schylił się; podniósł kamień; otarł go o szaty. Przepiękny okaz awenturynu.

Może to pamiątka po tym człowieku, pamiątka dla mnie? - pomyślał.-
Dziękuję Cyganie, zawsze będę o tobie pamiętał.

Schował kamień do kieszeni.

Gdzieś w oddali odezwała się sowa. Było co prawda trochę za wcześnie, ale Oland nie mógł się mylić. Jak pamiętał, kowal Bapago mówił mu onegdaj, iż sowa jest symbolem mądrości. Istniała duża szansa, iż to właśnie

sowa ma swe gniazdo niedaleko kurhanu najmądrzejszego z ludzi. Miało to niemal symboliczne znaczenie.

A może to nawet była ta sama sowa, ptak, który przed momentem leciał ponad grobem.

Zapanowała cisza, cisza na leśnej polanie. Cisza pośród bogactwa fauny i flory. I sowa zamilkła, i zamilkły nawet koniki polne, próżno by nawet szukać brzęczenia pszczoł czy bąków, które powinny teraz, właśnie teraz, pracowicie zbierać pyłki kwiatowe. Cisza nastąpiła. Żałobna cisza.

Jeszcze raz popatrzał z pewnym niedowierzaniem- bowiem cały czas nie umiał uwierzyć, iż Cygana Dziada już nie ma- na ten kamienisty kurhan. I zmówił modlitwę za duszę zmarłego. Po czym wolnym krokiem skierował się ku żywym.

Poszedł prosto do domostwa swych rodziców. Polana zaś zaiskrzyła się swym bogactwem życia.

Blask bił prosto z kryształowej kuli. Uberyk siedział na wprost. Starął się dojrzeć coś tam, pośród struktury kryształu. Kula emanowała lekko lazurowym odcieniem. W głębi palił się kominek. Zaraz miał tu przyjść Olert, wierny sługa Regenta. On i Kalderonte byli wierni do końca. Jemu wierni. Właściwie nie mieli innego wyjścia, bowiem kiedyś tam postawili na Uberyka, i muszą teraz grać do końca tymi kartami.

W Ulandii, bez Uberyka, czeka na nich tylko stryczek, albo jeszcze coś gorszego.

Inny rodzaj okrutnej śmierci za zdradę króla Amargadeusza.

Mag Uberyk śpieszył się. Pośpiech jednak nie jest cennym doradcą. Tym bardziej w magii, dywinacji. Chciał się przekonać ostatecznie, czy ma opuścić gościnne strony

Spoka, królestwa Trautonów? Chciał wiedzieć, czy król Tepik zmienił wobec niego zamiary? Może odda go w ręce siepaczy Amargadeusza? Nie był do końca tego pewnym. A niepewność w jego położeniu to był za duży luksus, „komfort” , na który nie było go stać. On musiał mieć pewność. Runy

mówiły, że czekają go zmiany. To było raczej oczywiste. Uberyk jednak do końca nie wiedział, czy będą to dobre lub złe okoliczności? Od kilku dni chciał inną drogą upewnić się co do swego losu. Lecz prawda jest taka okrutna, i wiedzą to wszyscy Wróże i Magowie – wiedział to też i sam Uberyk- iż najtrudniej jest wróżyć samemu sobie. Do północy zostało raptem kilka minut. A Olerta jak nie było, tak nie ma. Kalderonte już wcześniej, tuż pod przegranej bitwie na Polu Czarnego Tura, opuścił drużynę Uberyka. Ale nie, nie zdradził swego mocodawcy, lecz ruszył z tajną misją w strony Oforyki. Było tam kilka księstw i pomniejszych królestw, które niezbyt przyjaznym okiem patrzyły na poczynania Amargadeusza. Poza Ulandią Amargadeusz miał skrajnie różne notowania u innych władców. Właściwie przeważały jednak negatywne. I w tym tkwiła ostatnia nadzieja. Potężny Regent znowuż będzie musiał „błagać” o protekcję.

Być może nawet u pośledniego lokalnego władcy, gdzieś tam na obrzeżach Oforyki.

Drugą pozytywną okolicznością, przynajmniej dla Uberyka, było to, iż z olbrzymiej sumy wielu tysięcy tysięcy talentów, które Amargadeusz zyskał po wyprawie na Wyspy Gnomów, praktycznie nie zostało już wiele. Król Ulandii bowiem zainwestował olbrzymie kwoty na budowę nowego portu, Awefe. Stary, Ulende, okazało się po ostatniej zimie, nie nadawał się już do dalszej eksploatacji, przynajmniej na szeroką skalę. Nie opłacalna była ta także jego renowacja. A

Amargadeusz za pozostałe środki rozwinął bardzo handel z ościennymi krajami.

Potrzebny był też dobry port dla eksploracji, którą Amargadeusz konsekwentnie realizował, bogactw- to jest głównie minerałów, kamieni szlachetnych i złota- Kolonii Wyspy Gnomów. Nie miał już Amargadeusz takich środków finansowych, by ofiarować za Uberyka pokaźnych sum, by ewentualni skuszeni nimi przyszli protektorzy największego wroga władcy Ulandii skłonni mu byli go oddać. Oddać na talerzu głowę wstrętnego renegata Uberyka. I to nawet w tym dosłowny znaczeniu.

Nagle zdało się Uberykowi, że światło zaczęło tańcować gdzieś tak w głębinie kuli.

Bogowie! Powiedzcie swemu słudze, co mnie czeka? Bogini Matko, Boże Ojczy! Dajcie mi odpowiedź. Jaki los mnie czeka? Czy będę władał Ulandią? Czy zniszczę tyrana Amargadeusza?

Uberyk wpadł w rodzaj transu. Jego zmysły doznały wyostżenia. Trzask strzelającej szczapy w kominku wydał mu się, niczym wystrzał wojennej kolubryny. W jego umyśle zdało się, iż widzi obraz jakiejś walki. Tak. Bez wątpienia, on widział w kryształowej kuli bitwę. Obrzydłe orkhi i kolosy miały zewsząd swym jadem.

Mężni rycerze odpierali atak wrogiej nawały. Strzały i bełty godziły w walczące strony. Gdzieś w dali, tak, rozpoznawał to dobrze, zobaczył jakiś sztandar. Chwila skupienia, i Uberyk już widział królewski herb, potężny lew dzierzący miecz.

Amargadeusz znowu stanie przeciwko mnie. - pomyślał. - Lecz wówczas pewnie zetnę go z jego wojskiem. Zetnę w pył i kurz. Przecież to mi wyrocznia powiedziała, iż władać będę dumną Ulandią.

I oto wszystko się skończyło. Jego wizję i trans przerwał hałas stukania i drzwi komnaty. Nie był to łomot, lecz na tyle głośny to był sygnał, iż przerwał Uberykowi, można rzecz, w najciekawszym momencie. Uberyk się ze złości zachnął. Kilkanaście sekund minęło, nim wrócił do dobrej formy.

– Wejść – krzyknął.

Do izby wszedł Olert. Ubrany w skórzany, wojskowy uniform.

– Jakie wieści niesiesz, generale? - Uberyk już zupełnie do siebie doszedł.

– Panie. Jesteś bezpieczny w królestwie Trautonów. Król Tepik odrzucił bardzo korzystną dla siebie ofertę ze strony Amargadeusza, i w konsekwencji nie wyda Cię, Panie, temu okrutnikowi.

– Ile mu Amargadeusz dawał za mnie? - Uberyk był konkretny.

– Prawdopodobnie około tysiąca tysięcy talentów w złocie. - Olert usiadł na fotelu wskazanym mu przez Uberyka. - Panie, pozwól, że uraczę

się winem z twego stołu, bowiem jestem wielce spragniony.

– Proszę, generale. Nie kępuj się.

Olert nalał sobie do pucharu wino. Po czym z pewną łąpczywością wychylił spory łyk trunku. Nabrał przy tym kilka głębokich wdechów.

– Oto, mamy, Panie, dokładną relację jednego z zaufanych ludzi króla Tepika. Twierdzi on jednak, że król nie myśli dokonać wiarołomstwa, bowiem wprzód w świątyni Kerdolota przyrzekł on Ci, Panie, pełne bezpieczeństwo. Nie obawiaj się więc.

– Hm... Wiesz, każdą przysięgę można w konsekwencji zmienić lub anulować. Tym bardziej, i tym częściej dzieje się tak na królewskich dworach. Planuję jednak, generale, że podziękujemy za gościnę królowi Tepikowi. Ale zrobimy to na tyle sprytnie, iż być może, że sam Tepik się nie zorientuje, i będzie nadal myślał, iż jestem gdzieś na terytorium królestwa Trautonów. Czekam, generale, teraz na raport od Kalderonte. Jest bowiem jedno takie państewko, dość małe, przyznaję, w Oforyce. Na razie, dla bezpieczeństwa, nie podam ci jego nazwy, choć ufam Ci bezgranicznie. Państewko to, a ściśle jego król, chce, bym pomógł mu w odkryciu Kamienia Filozoficznego. Cha! Wyobrażasz sobie.

Mały kraj, ale ambitny. Ha, ha , ha – roześmiali się oboje. - Wiesz, dlatego że Ci ufam bezgranicznie, powiem ci. Gdybym ja znał i wiedział jak zrobić Kamień Filozoficzny?! Ha, ha – teraz śmiał się już tylko Uberyk. – Odwieczne marzenie Magów i Wróży. Kiedyś, gdy byłem znacznie młodszy, nawet myślałem, że jestem blisko odkrycia, ale dziś ... Ba.... Sam wiesz. Ale nie musi tego wiedzieć ów władca, gdzie przemyśluję że się przeniesiemy. Do czasu, oczywiście, tylko do czasu, aż znowu nie zmontujemy koalicji przeciw tyranowi Amargadeuszowi. Wtedy być może znowu uda mi się skłonić Tepika do naszej koalicji, bowiem bardzo ubodło to jego dumę, owa klęska na Polu Czarnego Tura. Mieliśmy tam trzech naszych na jednego ich. Ale ten podły Luruk zgotował naszym wojenny fortel. Zresztą wiesz dobrze, przecież walczyłeś. Tepik na samo słowo Pole Czarnego Tura dostaje szału. Bolesnie go to dotknęło. Sądzi, iż inni władcy drwią teraz z niego. Myślę więc, iż w konsekwencji Tepik będzie się chciał odegrać na Amargadeuszu. Przyłączy się więc znów do nas i wtedy zniszczymy tego uzurpatora

Amargadeusza.

– Panie, dobrze prawisz - przyznał Olert. - Ja z moich źródeł dobrze wiem, jak bardzo boli owa klęska króla Trautonów. I dodatkowo te nowe wojenne kontrybucje, które będzie musiał wypłacić Amargadeuszowi. Lecz, jak wiesz dobrze, Tepik jest bardzo honorowy, i nigdy się jeszcze nie zdarzyło, by wycofał się z jakiejś sprawy, której ręczył honorem. Więc i tę kontrybucję zapłaci co do obola.

– Właśnie, mówisz nigdy. Oto nie mów, mój drogi, nigdy nigdy. Oto może być ten pierwszy raz, gdy talenty przesłonią Tepikowi własny honor. Tego się boję. I mam pewne uzasadnienie, oto wróżba z run mówi mi, iż nie jestem już tu w królestwie Trautonów bezpieczny. A ja bardziej wolę ufać swoim umiejętnościom, niż nawet honorowi królewskiemu.

– Panie, my, twoi słudzy, ufamy Ci – Olert skłonił głowę w geście szacunku.

Uberyk pokrył się pąsowym rumieńcem. Ten rodzaj czołobitności mu odpowiadał.

Wiedział, że oni będą mu służyć. Służyć aż do końca. I dla nich i dla niego nie było odwrotu. Uberyk zakrył kryształową kulę aksamitną chustą. Podszedł do stołu, za którym Olert siedział. Siedział i pił wino z pucharu. Mag wziął dojrzałe grono winorośli i skosztował. Ciepły, słodki smak.

– Powiedz mi, generale, jaki jest stan naszych funduszy?

– Regencie, około pięćdziesiąt tysięcy talentów w złocie. - odpowiedział sługa.

– Hm... Dużo to i mało. Dużo, by się urządzić w życiu, lecz za mało na kolejną wojnę.- przyznał ze smutkiem w głosie Uberyk.

– Panie, Kalderonte mi powiedział, że w naszej drużynie jest człowiek, były pirat, który twierdzi, iż wie, gdzie jest ukryty skarb Molewera, największego pirata w naszych czasach. Sam Molewer ponoć zginął, lecz temu człekowi zostawił wskazówki, gdzie ukrył swój skarb. Temo, ów człowiek, upiera się, że takiego skarbu świat nie widział. Jak szacował Molewer, zgromadził on

skarby pięciu tysięcy talentów. To są skrzynie pełne brzęczących dinarów, szkatuły przepełnione szafirami i rubinami czerwonymi jak krew z ołtarza ofiarnego. Czarne perły, brylanty tak wielkie jak pięść dziecka. Kły mamucie, lśniące jasnym beżem. Kość słoniowa.

– Co? Powiadasz w naszej kompani? - Uberyk się szczerze zainteresował.

– Tak, Panie. Uważaliśmy dotąd, to jest ja z Kalderonte, iż są to czcze przechwałki pirata, który chciał się ratować tym sposobem od stryczka. Lecz niedawno, dwa, trzy dni temu, dostałem poufne informacje od naszego agenta, iż faktycznie coś może być na rzeczy.

– To dlaczego ja się dowiaduję o tym dopiero teraz? - Uberyk przybrał surowy ton głosu.

– Panie, właśnie dlatego, iż ta informacja była niepotwierdzona. Dopiero od dwóch dni ja sam zacząłem uważać przechwałki Temo za potwierdzone. Jak mi donosi mój agent, ten skarb jest ukryty gdzieś na wyspach bliskich zachodnich stron Oforyki. Szacuje się, iż Molewer gromadził swój skarb dwadzieścia lat.

– O! ... Do diaska. Sprowadź mi tu tego całego Temo. Jeśli łże, ja go zdemaskuję. A jeśli nie łże? O bogowie! Byłby on dla nas prawdziwym zrzędzeniem losu.

– Panie, będą z tym pewne problemy, bowiem nie wydobrzył on jeszcze z ran odniesionych w bitwie na Polu Czarnego Tura. Ale, jeśli chcesz, Regencie, uda mi się go tu sprowadzić w ciągu tygodnia.

– Nie wiem, czy będziemy tu jeszcze tydzień. - stwierdził Uberyk. Ale zaraz dodał. - Sprowadź go do mnie najszybciej jak to możliwe. Trzeba działać szybko. Bo jeśli tobie szpiegzy potwierdzili słowa Temo, podobnie może być w szeregach naszych wrogów, tam też mają szpiegów. Trzeba koniecznie ochronić tego pirata. Inaczej nici dla nas z takiej fortuny. Nasi wrogowie też z chęcią zagarnęliby takie skarby.

– Tak, Panie. Zrobię wszystko, co będzie można. Jedno jest pewne. Temo nie odniósł w bitwie śmiertelnych ran. Jedynie powierzchowne. Miał

też przeszyte strzałą ramię.

– Dobrze, generale. Ale zachowaj czujność i działaj w sekrecie. Jak najmniej ludzi niech wie o twoich poczynaniach. Właściwie nikt postronny nie powinien wiedzieć. - Uberyk sięgnął do patery po jeszcze jedno grono. - Dobrze służysz naszym sprawom. Jestem kontent z twych starań. Lecz teraz musisz wykazać się szczególnymi talentami. Nie spartacz tej sprawy. Od ciebie zależy, czy spadnie głowa wstrętnego Amargadeusza.

Uberyk podszedł do okna komnaty. Otworzył drewniane okiennice tego małego okienka. Na zewnątrz ciemna noc była. Po północy ledwie. Lecz powiew świeżego powietrza ocucił nieco lico Maga. Gdzieś w oddali jakiś pies czekał. Dochodziły też dźwięki z kuźni. Stary kowal Erew szykował podkowy dla jazdy rycerskiej. Noc była gwiazdzista. Bezchmurna. Duży róg Księżyca pilnował z wysoka porządku w grodzie. Uberyk rozkoszował się tym chłodnym powiewem; myślał. Głęboko się zastanawiał.

– Czy ten Temo jest w stanie doprowadzić nas do tego skarbu? - Rzucił, nie odwracając się nawet.

– Tak, Regencie. Cały czas twierdzi, że to jest skarb zbyt wielki jak dla jednego człowieka. Ponadto potrzeba do tego kilku dobrych statków. - Olert mówił, popijając winem.

– Tak. Myślę, że będziemy w stanie zorganizować wyprawę. Czy on wspominał nazwę tej wyspy, gdzie skarb jest ukryty?

– Nie, Panie. Twierdzi, że gdyby ujawnił, jego życie straciłoby wartość. Boi się.

Powie dopiero już na statku.

– Hm ... Ma w sumie rację. - Uberyk uśmiechnął się, lecz był dalej zwrócony plecami do Olerta, więc tamten nie mógł tego widzieć. - Dlaczego on z tym nie poszedł do obozu Amargadeusza? - Pytanie było konkretne.

– Właśnie ze strachu, mówi, że bał się Amargadeusza. Tamten nie patyczkowałby się z nim. Pewnie oddałby go w ręce kata.

– Bystry – przyznał Uberyk. - Powiedz mu, że jeśli mówi prawdę, jeśli wskaże nam miejsce ukrycia skarbu, będzie miał z tego dożywotnią rentę. Postępuj z nim tak, by nie wzbudzić u niego lęku i obaw o własne życie. To ważne, generale, bardzo ważne. I otocz go po cichu ochroną, tak, by nikt niepowołany do niego nie miał dostępu bez mojej zgody, oraz, żeby on nam nie zwał gdzieś. Jesteś za to odpowiedzialny. Pamiętaj! Pięć tysięcy tysięcy, tak, za to moglibyśmy zbudować całkiem solidną koalicję przeciw uzurpatorowi Amargadeuszowi. Ta ochrona ma być niewidoczna. On nie może się nawet domyślać.

– Kto? - spytał zdezorientowany Olert.

– No, ten Temo. - Generał odwrócił się na fotelu w stronę Maga. A tamten cały czas stał przy otwartym oknie. Trochę się w izbie przez to ochłodziło. Uberyk zaś prawił dalej. - Masz w tym przecież spore doświadczenie. Twoi ludzie umieją się niemal wtopić w otoczenie. Jestem pewien, że dacie radę. Czasami tak się zastanawiam, czy ja sam nie jestem otoczony twoimi ludźmi? Twoimi, albo Tepika.

– Ależ, Regencie, jak bym śmiał? - generał zaproponował gwałtownie.

– Dobrze, już dobrze. Żartowałem – ale widać było po Uberyku, że daleko mu do śmiechu. - Widzisz tę ciężką księgę, tam przy ołtarzyku bogini Isztare?

– Tak, Panie.

– To Księga Jutra. Jeden z sześciu egzemplarzy. Siódmy, także mój, został zniszczony przez Amargadeusza, zaraz po tym, jak wrócił do władzy, a ja musiałem szukać azylu w obcych stronach. Pewnie nie wiesz dlaczego spalił tę księgę?

– Chyba się domyślam, Panie. - odpowiedział Olert.

– Otóż dlatego spalił, ponieważ tam zawarte jest proroctwo, że to ja, Mag Dobroczyńca, mam zapanować w Ulandii. - Uberyk zamknął okiennice okna.

Powoli podszedł do swego fotelu. - Mówiłem ci o tym już dawniej.

Tobie i Kalderonte.

– Pamiętam, Panie.

– Jestem pewny, że nic nie jest w stanie uratować tego tyrana. Był moment, gdy zwątpiłem. Wtedy, gdy rozpięty byłem łańcuchami w celi Ufensa. Wtedy, faktycznie, zwątpiłem. Ale trwało to tylko raptem kilka godzin. Nic, mój drogi generale, nic, nawet to, co nam pisane, nie przychodzi do nas łatwo i bezwysiłku. Jestem od ciebie nieco starszy. Tak jak starszy brat. Uwierz mi, generale. Zniszczymy wspólnie podłego Amargadeusza. A potem stworzymy razem bogate i sprawiedliwe królestwo – Uberyk mówił niby natchniony. Usiadł aż z tych emocji na fotelu. Olert milczał, ale przyglądał się uważnie Magowi.

Z tych emocji Uberyk sięgnął po puchar wina. Przedni to był trunek. Umilkł na chwilę. Olert chciał wstać, lecz Uberyk gestem powstrzymał go. Podeszedł i wziął w drugą rękę Księgę Jutra. Tak prosto, wprost z ołtarzyka bogini Isztar. Z hukiem upuścił ją na blat stołu, za którym siedział generał.

– Masz tu. Masz tu dowód. - otworzył księgę. - O tu! Krzyknął prosto w twarz swemu generałowi. - władca z rodu smoka zginie haniebną śmiercią, a po nim zasiądzie w królestwie na jego tronie Pan, w którego żyłach krew Elukinów płynie ... - Mag czytał Olertowi. Tamten rzucił okiem na księgę, potem popatrzał głęboko w oczy swemu 'pryncypałowi’.

– Panie, czy ty pochodzisz z tego rodu? - dziwne to było, ale chyba generał był ciut zagoniony w kozi róg.

– Tak, to prawda. Choć nie znam ojca, ale ród Elukinów liczy się po kądzieli. To ród, który wywodzi się wprost od Bogini Matki. A moja rodzicielka na łożu śmierci przekazała mi tę tajemnicę. Teraz i ty wiesz, lecz trzymaj język za zębami. Bo możesz stracić i język i głowę. Najpewniej nie w smak to było Amargadeuszowi, gdy poznał teraz już naszą wspólną tajemnicę. Nie mów nawet Kalderonte. Sam mu kiedyś powiem, tak jak i tobie powiedziałem.

– Panie, czy ktoś zna jeszcze treść Księgi Jutra?

– Praszczury Elfy. Te z Czarnej Oazy. Kraina ta głęboko na północy

świata jest.

Nie wiadomo więc, czy oni przeżyli upadek Karocy Kerdolota. Tam cały świat zmarł. Pomarły nawet sępy, co zwykle padlinę żrą. Ale Elfy mają swoje sposoby, by oszukać sieć przeznaczenia. Mogły poukrywać w głębokich jaskiniach, w śniegach niezmiernych. No i może.... no i może jeszcze tylko dwie osoby.

– Kto, Panie?

– Cygan Dziad, i jego pan, Presurt Oland.

– Panie, nie mówiłem Ci, bo to świeża dość wiadomość. Cyganowi Dziadowi się pomarło. Zostaje już tylko Oland.

– Wiem, do czego zmierzasz.... Ale nie, Oland nie jest dla nas zagrożeniem. Wiem coś o nim. Kiedyś ci może i to wyjawię. Ale wierzaj mi, on nam nie zagraża.

Uberyk zatrzasnął z tym samym hukiem grube, drewniane oprawy Księgi Jutra.

Zrobiło to, a jakże, niemałe wrażenie na generale Olercie. I z powrotem zaniósł ją wprost na ołtarz bogini Isztar. W drugiej ręce cały czas trzymał puchar z przednim trunkiem. Olertowi się zdało, iż jego mocodawca pewnikiem dzisiaj za dużo wypił, i być może dlatego wyjawiał mu swą tajemnicę. Jak każdy Mag i on miał słabą głowę.

To przez wdychanie oparów wieszczych ziół się najpewniej działo. Każdy bowiem fach ma swoją cenę. I ci, co z mrocznym światem Planu Astralnego utrzymywali szczególne więzi, również płacili za to wysoką cenę. Czasami się zdało, nie tylko generałowi Olertowi, ale także innym ludziom związanym z Magiem, że ich wódz traci kontrolę nad rzeczywistością. Tak jakby Uberyk nie umiał przeprowadzić widocznej granicy między światem nadprzyrodzonym, a zwykłą codzienną realnością. Zresztą tak już będzie zawsze, tego mógł być pewien każdy, kto poznał Uberyka. Nawet na tronie, jeśli na takim zasiądzie potężny Uberyk, gdzieś zawsze w pobliżu będzie kryształowa kula, runy i wahadełko.

Stara rana zawsze dawała znak, właśnie wtedy, gdy emocje zalewały jego percepcję.

Stara rana, ta zadana sztyletem z zamiarem godzenia w samo serce. Kowdlar chwycił się nieświadomie za klatkę piersiową. Ale oprócz emocji była też duma. Oto jego dziecko, za rok będzie pasowany na rycerza. Atagr pójdzie w ślady swych przodków. A dzisiaj dumny ojciec obserwuje, jak młodzian, choć dopiero przecież dziewięcioletek, atakuje swym ogromnym drewnianym mieczem fechmistrza.

Fechmistrz setnik Zapara, stary sługa księcia Kanclerza, został specjalnie sprowadzony wprost z legionów Ludzi Małych po to, by wyćwiczyć w wojennym rzemiośle latorośl samego księcia Kowdlara.

– Naprzód mały – Kowdlar krzyknął z zapalem w kierunku swego syna. Ta udawana walka malca z prawie trzy łokciowym olbrzymem odbywała się na dziedzińcu Pałacu rodziny Kowdlara w samym centrum Średnich Lasów. – Nie bój się, bo strach zagnieździ się w twych stopach. Wyrzuć go stamtąd i atakuj jak prawdziwy rycerz – Kowdlar krzyczał, cały czas trzymając się za bolącą pierś. – Dobrze – krzyknął zachwycony ojciec, po tym jak Atagr z całej siły raził swym mieczem nogi Zapara. Było to po prawdzie bardzo chaotyczne, ale przecież przed małym książęciem jeszcze lata nauki. Dzisiaj liczyła się tylko u niego odwaga i hart ducha. A tego mu- i dlatego Kowdlar był tak dumny z syna- nie brakowało.

Atagr był aż cały spocony z przejęcia. Machał na prawo i lewo drewnianym mieczem. A setnik Zapara odskakiwał, ewentualnie bronił się małą tarczą. Taką symboliczną. Tylko dla pozorów. Młodziutki książę nie mógł bowiem razić w korpus takiego wielkiego olbrzyma. Dlatego to nogi stały się faktycznie celem ataków młodzieńca.

Tę chwilę beztroski Kowdlara przerwał nagle jakiś takich harmider dobiegający zza pleców. Kowdlar odwrócił głowę. Oto w jego stronę biegł jakiś młody człowiek. Kowdlar rozpoznał barwy królewskie. To był najpewniej posłaniec królewski.

– Wiadomość od króla Amargadeusza do szlachetnego Kanclerza Kowdlara! - krzyknął mężczyzna z pewnego oddalenia.

– Daj to pismo – odpowiedział Kowdlar.

Posłaniec podał list królewski, głęboko kłaniając się równocześnie w pół. Kowdlar spytał:

– Czy Jego Królewska Mość życzy sobie odpowiedzi? - rozłamał pieczęć królewską.

– Nie, Panie.

– Więc możesz odejść. Idź do pałacowej kuchni, tam napoją cię i dadzą posiłek. Jeśli masz na to dostateczny czas, możesz dziś przenocować w pokojach służby. - Kowdlar zrobił gest ręką, jak gdyby skończył już rozmowę. Posłaniec skłonił się powtórnie i poszedł prosto do wejścia do pokoi służby pałacowej. Chwilkę to trwało nim Kowdlar ostatecznie rozprawił się z pieczęcią królewską i rozłożył list. Król wzywał go, by natychmiast stawił się do Wendy. Podobne rozkazy dostali i elektan Ztor, i książę Adlar, także i Presurt Oland.

- Co to może oznaczać? - pytał sam siebie w duchu. To nagłe zebranie włodarzy kraju było dość dziwne. Tym bardziej teraz w okresie świąt boskich godów, boga Kerdolota i bogini Isztar. Czas ten, taka była reguła, był czasem pokoju i odpoczynku dla każdego, od pospolitego ciury po księcia Kanclerza.

– Setniku Zapara, jeszcze kilka minut i dość, daj odpocząć memu synkowi.

Potem do stajni. Ten mały kuc, wiesz który, będzie dobry dla Atagra. Ja muszę iść do swej kancelarii, gdyby coś się działo, Zapara, poślij po mnie jakiegoś sługę.

– Tak, Jaśnie Panie – Kowdlar usłyszał od fechmistrza.

Dwaj zapaśnicy, usmarowani masłem lubo oliwą z oliwek. Jeden drugiego starał się powalić na piaszczystą arenę. Byli nadzy i byli usmarowani po to, by przeciwnik nie miał ułatwionego zadania. Jeden był starszy, bardziej doświadczony. Drugi to młokos był, lecz nie ustępował siłą temu dojrzałszemu. Atutem tego pierwszego było doświadczenie, ten drugi

zaś chciał powalić mistrza. Król Amargadeusz ukradkiem ziewał. Wolał on takie walki, gdzie stawką było życie. Tu jedynie chodziło o to, kto zwinniejszy, kto ma większą krzepę w rękach. Ale czas boskich godów był. Nie można teraz było szafować ludzkim życiem. Jedynie więc prestiż był stawką tego pojedynku. No bodaj żeby jeden drugiemu przez przypadek ukrecił łba. Ziewając, Amargadeusz chyba miał taką nadzieję, iż stanie się to, i tylko dlatego po prawdzie nie przerwał jeszcze tego pojedynku.

– Oland, powiedz mi, mój drogi, czy w Engorze nie mają jednak lepszych rozrywek? Podróżowałeś przecie po świecie. Może znasz jakiś rodzaj rozrywki, który mógłby zagościć na moim dworze?

Oland siedział u nóg władcy. Wstał więc; poprawił szatę; skłonił się królowi i rzekł:

– Widziałem, Panie, wyścigi rydwanów. W Cyrku Koboka to było. Razem z księciem Adlarem, jako, Panie, twoja delegacja, zaproszeni byliśmy przez samego króla Atapu. Amargadeusz gwałtownie zareagował.

– No tak, ... tak, myślę właśnie o zbudowaniu porządnego stadionu w naszej stolicy. Wyścig rydwanów to jednak, masz rację, coś więcej niż przepychanki obślizgłych zapaśników.

– Wasza Wysokość, pozwól, iż przyznam rację Presurtowi – odezwał się nie proszony o to Adlar.

Król był tym nieco zdziwiony, lecz uśmiechnął się tylko z przekąsem. Ten rodzaj pogwałcenia ceremoniału królewskiego uszedł więc dzisiaj Adlarowi na sucho.

– Mów, mów książę. Słyszałem, że bardzo to jest wciągające. No ... te wyścigi. - Amargadeusz chwycił się z grymasem bólu o policzek. Widząc, że dworzanie to dostrzegli, dodał. - tak mnie boli ząb. Czy zna ktoś z was jakieś remedium na to, bo ani Mistrz Kapa, ani medyk nadworny nie pomogli mi dzisiaj? W odpowiedzi Amargadeusz ujrzał tylko zakłopotane miny swoich poddanych.

– Wiem, wiem, trzeba usunąć ząb. Nic tu już nie pomoże – mówił król trochę zasepiony. - Obik, kiedy przyjedzie Kowdlar? - król rzucił w kierunku

swego najwierniejszego sługi. Obik stał, jak to on zwykł, prawie przy swym panu.

– Wasza Wysokość, ma przyjechać jutro przed południem – odpowiedział Amargadeuszowi.

– Bez niego wszystko się wali w tym królestwie. Sam nie umiem już sobie z tym radzić. Nawet wy mi nie pomagacie; jednak Kowdlar jest najlepszy – przyznał smętnie monarcha. Dworzanie przełknęli ten przytyk dość gładko. Adlar się niemrawo uśmiechnął. Oland cicho kaszlnął. Ztor zamrugął gwałtownie. Luruk się z wrażenia nieco spocił. Lecz król nie widział tych reakcji swoich ludzi, patrzył tępo na walkę zapaśników. A tam niezmiennie trwała walka starego z nowym. Mistrza z młokosem.

– Kowdlar mi musi zdać relację, jakie są postępy w budowie nowego portu Awefe – mówił Amargadeusz. - To bardzo ważna sprawa. Teraz najważniejsza. Z Engory mam zamiar sprowadzać wanilię i cynamon. Z Wysp Gnomów będziemy sprowadzać, i to w dużych ilościach, bursztyn i kryształy. Już wszystko dopięte jest na ostatni guzik. Tylko, że nie ma odpowiedniego portu, a sprawa jest pilna. Ztor, czy to można jakoś rozwiązać na już?

– Panie – odpowiedział elektan – o ile ja wiem, w Ulende mogą teraz kotwiczyć tylko bardzo małe jednostki, takie większe łodzie. Dno się tak obniżyło, że praktycznie nie ma innego wyjścia. Musimy uruchomić tak szybko jak to jest możliwe ten nowy port. Lecz z moich informacji wynika, że księżę Kanclerz jest bliski rozwiązania tej kwestii. O ile ja wiem, ten port jest już prawie gotowy.

– Dobrze, bardzo dobrze. - stwierdził monarcha. - Handel nie lubi przestojów.

Dużo talentów, złotych talentów, zainwestowałem, aby ten nasz handel rozwinąć. Zwłoka w naszym przypadku będzie bardzo kosztowna. Hm ... Ten młody, chyba nie poradzi sobie z Jewem. - Amargadeusz wskazał na dwóch walczących zapaśników. - A już myślałem, że to wielki talent.

W rzeczy samej, gdy król mówił te słowa, starszy z zapaśników jakimś

nadludzkim sposobem uchwycił śliski bark przeciwnika i rzucił nim, niby workiem zboża, o piaszczystą arenę. Słychać było przy tym trzask jakby łamanych kości. Po tym rzucie, i tym trzasku, zaległa złowróźbna cisza. Powalony leżał nieruchomo, nie dawał znaku życia. Starszy, Jewem, był tym mocno zdziwiony, odwrócił się w stronę króla i widać było, że nie wie, co teraz.

Król rozejrzał się wokół, jakby badał reakcję wszystkich, po czym ogłosił na głos:

– Wygrał Jewem – i dodał szybko – niech ktoś pomoże temu biedakowi, może jeszcze dojdzie do siebie.

Na tę niewątpliwą zachętę ze strony króla na arenę wbiegł jakiś murzyn z niebieskim ręcznikiem, i zaczął z całej siły przywracać zmysły nieruchomemu ciału. Lecz widać było, że to nic nie daje. Lecz oto jakiś charkot ją się dobywać z ust pokonanego. Na arenę wbiegło jeszcze dwóch innych ciemno śniadych. I już po chwili dawny przeciwnik Jewemo zniknął, niesiony przez dwóch murzynów, gdzieś tam w miejscu, w którym urzędował medyk.

Do Wendy zostały najwyżej siedem staj. Kowdlar nudził się okropnie. Już chciał tam być, już chciał uścisnąć prawicę Elubedy, już chciał się pokłonić królowi Amargadeuszowi. Jechali wierzchem, akurat przez jakiś drobny gaik. Nagle księżę Kanclerz poczuł rodzaj swądu. Czyżby ktoś tu bez zezwolenia karczował ogniem teren zalesiony? Kowdlar gestem ręki zatrzymał tę swoistego rodzaju małą karawanę.

Odwrócił się do swoich ludzi z miną, która wyrażała : Co jest? Co tu się dzieje? Jego przyboczni również wielce zadziwieni zaczęli sobie wzajemnie posyłać spojrzenia pełne zdziwienia. Jakiś straszliwy jazgot ptaka gdzieś z głębi tego lasu przeszył Kowdlara dreszczem strachu. Konie spłoszyły się, lecz udało się im je opanować.

Znowu zaległa cisza. Martwa cisza. Dziwna cisza. I oto, gdy Kowdlar już chciał kontynuować pochód, nagle skądś świsnęła mu koło głowy strzała, wbijając się z impetem w najbliższe drzewo. I druga, i trzecia. Dwoje z jego ludzi osunęło się z siodeł. Inni byli przerażeni. Wtem usłyszeli: - – Nie

ruszać się, jeśli wam życie miłe. Zza zarośli wysunęły się sylwetki jakichś ludzi, konkretnie łuczników. Łuki mieli przygotowane do strzału. Na czele tej bandy szedł łysy grubas z ogromną, rudą brodą. Z Kowdlarem była tylko ósemka jego obstawy, lecz teraz ubyło dwóch zabitych strzałami. Banda zaś była znacznie liczniejsza. Ponadto mieli łuki zaciągnięte, gotowe do oddania strzału.

– Kto wy? Czemu napadacie na posłańców króla Amargadeusza? - Kowdlar na razie nie miał zamiaru zdradzać się, kim jest. - Czyż nie obawiacie się słusznego gniewu króla?

Ten łysy, chyba przywódca tej bandy, odezwał się do Kowdlara:

– Poseł czy nieposeł, nam to obojętne. Opróżniajcie swe sakwy, nasze dzieci głodne. I to szybko. Wasze trupy nie będą nam robiły trudności z opróżnieniem waszych troków i sakiewek.

– Czy puścicie nas po tym wolno? - spytał Kowdlar. W duchu żałował, że nie wziął ze sobą oddziału rycerzy. Dzisiaj czasy są jednak niebezpieczne. Musiał to teraz przyznać z goryczą.

– Zobaczmy – krzyknął hardo łysy grubas. - Che! Chłopaki, poseł zaczął bać się o swoje życie. Ha, ha, ha – zarechotali w grupie. Lecz równocześnie poluzowali cięciwy łuków.

Kowdlar rzucił w kierunku łysego dwie sakwy.

– Tamci nic nie mają, to są moi ludzie. Bierz pieniądze i ustąp się. – powiedział ksiązę.

Łysy grubas chwycił w locie obie sakwy. I zaraz poluzował rzemyk, wyrzucił sobie na dłoń zawartość jednej. Posypały się złote, ulandzkie dinary.

– O! Do diaska. Bogowie! Patrzcie – krzyknął do współbraci. - To jest fortuna. Panie. Kim ty jesteś?

– Posłem, człowieku – Kowdlar powiedział to jakoś tak bez przekonania. Łysy grubas podniósł wysoko prawą rękę. I zrobił gest,

najwidoczniej o konkretnym znaczeniu, bo oto łucznicy zaczęli się wycofywać. Lecz szli cały czas zwróceniem w stronę Kowdlara i jego ludzi, i gdyby coś, to zawsze mogliby razić przeciwnika strzałami. Lecz Kowdlar nie myślał teraz o jakimś ataku. Cały czas dobrze wiedział, że nie miałby żadnych szans z tymi łotrami. Już po chwili zostali sami. Panowała ta sama cisza, jak wprzód. Złowróźbna cisza. Śmiertelna cisza.

– Ten łysy długo nie pożyje, i ta banda łotrów też, już moja w tym głowa – książkę rzucił to w kierunku swych ludzi. - A teraz jazda, i to galopem.

Przejechaliśmy pół Ulandii, a śmierć mogła nas spotkać u wrót Wendy. Jakże to życie jest dziwne. Tych dwóch zostawcie. Trudno, nie mamy czasu. Niech duchy ziemi przygarną ich ciała.

– I mówisz, Temo, że służyłeś pod Molewerem, prawdaż to? - Uberyk sięgnął po słodkiego daktyla.

– Tak, Wasza Wysokość.- odpowiedział żołnierz. Poprawił sobie wełniany pasek u spodni.

– Ale, czyż nie wiesz, że piraci muszą w konsekwencji, zgodnie z prawem, zawisnąć na maszcie, jak wolny żagiel. Hmm ... Wiesz to? - Mag Uberyk uśmiechnął się kwaśno.

– Panie, łaski. Ja mówię prawdę.

– Tę prawdę o skarbie Molewera?

– Właśnie, Wasza Wysokość – Temo usłużnie przytaknął.

– Hm... Masz szczęście, żołnierzu, że służysz u mnie. Stryczek minie cię, jeśli okaże się, że mówisz prawdę. Ale, jeden warunek. Musisz mnie jeszcze doprowadzić do tego skarbu. Molewera dał ci odpowiednie wskazówki, nieprawdaż?

Mag Uberyk siedział rozparty w swoim fotelu. Temo stał prawie łokieć od niego, nieco chwiał się na nogach. Nic dziwnego, bo wczoraj snadnie przesadził z napitkiem. Wczoraj dowiedział się, że Regent Uberyk go wzywa

do siebie. Więc tak dla kurażu poszedł wieczorem do szynku.

– Tak, Wasza Wysokość.

– Więc powiedz mi teraz te wskazówki – Uberyk począł wpatrywać się uważnie w biedaka. Magowie znają metody, by po reakcjach ciała odgadnąć z pewnością, czy człowiek łże lub czy mówi prawdę.

– Panie, Molewer kazał mi przysiąc na boga Koboka, że nikomu nie wyjawię ...

– Czyli jednak wybierasz stryczek, hm.... to smutne.

– Panie, ale mogę cię doprowadzić sam do tego skarbu, tego mi przysięga nie zakazuje. - szybko dośpiewał falsetem Temo.

– Mnie i moich ludzi? - Uberyk widział, że Temo mówi prawdę. Sam przecież wiedział, jako Mag, jak bardzo są kosztowne i bolesne sprzeniewierzenia się dokonanym ślubom i przysięgom.

W komnacie czuć było jeszcze zapach kadzidła. Wszyscy wiedzieli, nie tylko Ulandczycy, że Regent Uberyk to potężny Mag. Jego ludzie więc nie dziwili się, że stale u jego boku można było znaleźć czy to kryształową kulę, czy to pentakle, runy, czy też inne narzędzia magiczne. Choć Uberyk starał się, jak mógł, by wywierać wyłącznie wrażenie wielkiego przywódcy i przyszłego władcy Ulandii, to jednak jego najbardziej ulubionym ubiorem była wciąż brązowa lub czarna sutanna.

Odkąd był na uchodźstwie, w szeregi jego koalicji dołączyło mnóstwo „obcokrajowców”. Tych ludzi kusiła zwykle perspektywa łatwego wzbogacenia się, a czasami wydumana lub nie nienawiść do obecnego władcy Ulandii, króla Amargadeusza. Ci ludzie mogli nie wiedzieć jakie są korzenie Uberyka, ale zwykle po jakimś czasie i to się zmieniało. Bowiem, tak naprawdę, Uberyk wcale nie chciał zmieniać swych przyzwyczajień i nawyków. To, że był o przede wszystkim magiem, wręcz biło od niego blaskiem.

– Powiedz mi, żołnierzu, przynajmniej to, w jakiej części świata jest owa wyspa z ukrytym na niej skarbem Molewera?

– Wasza Wysokość, to jest wyspa Oreta, na zachód od północnych wybrzeży Oforyki. - Temo nabrał trochę pewności. Jego głos już się tak nie łamał.

– No, Temo, teraz już prawisz z sensem. Nie obawiaj się, nie wyjawię tego teraz nikomu, nawet generałom Olertowi i Kardelonte. Wyspa Oreta?! Znam. To stamtąd wywodzi się misterium ognia, to tam, jak głosi rytuał, rodzą się salamandry i rusalki. Ogień i woda. Ale jest to na tyle duża wyspa, że bez konkretnych wskazówek nikt nie znajdzie tam ukrytego skarbu. No, ale, Temo, już przynajmniej teraz nie będę działał na ślepo. Doceniam to, żołnierzu. Pamiętaj, ruszamy ze Spoka za trzy dni. Ty masz słuchać tylko i wyłącznie mnie lub generała Olerta. Masz nie oddalać się. Bądź stale w obrębie najbliższych sług moich i generała.

– To znaczy, Panie, że nie mogę teraz wrócić do siebie nawet po moje rzeczy? – spytał Temo.

– Właśnie. Poślemy kogoś po twoje manatki. Dużo chyba tego nie masz, co? - Uberyk wziął do ręki z patery kolejnego daktyla.

– Z rzeczy osobistych nie. Ale mam pewne pamiątki po moim ojcu. Trudno by było mi się z nimi rozstawać.

– Dobrze, Temo. Więc idź tam. Ale za godzinę masz się ponownie u mnie zameldować. Daję ci godzinę, całą godzinę. Nie marnuj więc już ani sekundy.

Idź więc.

Gdy drzwi na dobre zamknęły się za Temo, Uberyk wstał z fotela i podszedł w róg komnaty. To tam miał swoje ulubione narzędzia magiczne. Choć był przekonany, że ten były pirat nic nie kręci, chciał jednak upewnić się jeszcze bardziej. Zawsze tak robił. Gdy korzystał z jednego narzędzia magicznego, upewniał się zawsze dodatkowo. Wyjął ze srebrnej szkatułki wahadełko. Był to cudownie wyrzeźbiony i wyprofilowany kamień ametystu z wywierconym otworem, przez który był przewleczony skórzany rzemyk. To wahadełko było jego ulubionym. Ametyst to był osobisty kamień Maga. Podstawowym kolorem aury Uberyka był równocześnie fiolet. Fiolet zwykle

to właśnie magowie, wróże i czarownicy mieli za kolor podstawowy. To kolor mistycyzmu i uduchowienia oraz zdolności magicznych.

Uberyk ujął wahadełko w palce prawej dłoni. Tak. Wszystko się zgadzało.

Wahadełko odpowiadało, iż Temo mówi prawdę. Jest związany przysięgą i nie może wyjawić wprost, gdzie ukryty jest skarb Molewera. Nie znaczy to jednak, iż skarb jest niedostępny, lecz należy tak czynić sprytnie i rozważnie, by pomimo ślubów na Koboka dostać się w miejsce ukrycia skarbu.

Elubed był pobudzony. Wręcz tryskał energią. Kowdlar, przeciwnie, był bardzo pasywny. Choć nigdy nie był jakimś nadzwyczajnym erudyta, to jednak teraz był tym bardziej mrukiem. Ledwie dukał coś, stale wpatrzony w jeden punkt komnaty. Był to wzorzysty arras, przedstawiający mapę świata. Coś urzekło Kowdlara w tym wzorzystym dywanie.

– Teborna mi mówiła, iż rodzina Geldery, to bardzo szanowny, starożytny ród.

– Kowdlarze, chyba jestem zakochany. Cały czas myślę tylko o niej.

Kowdlar uśmiechnął się do siebie. A wydawać by się mogło, że druh Elubed pozostanie już na zawsze kawalerem.

– A czy ona coś do ciebie czuje? Mnie się zdaje, nie obraź się, ona liczy na twoje dinary. - Kowdlar był do bólu szczery. Lecz on wiedział, że może wszystko powiedzieć swemu kamratowi. Nic nie może stanąć przeciw ich przyjaźni. Przyjaźnili się, gdy ledwo im starczało na miskę kaszy, przyjaźnią się teraz, gdy mogą dużo, będą się przyjaźnić, nawet gdyby fortuna znowu odwróciła się od nich.

Rozmawiali siedząc przy stole. Jutro skoro świt książę Kanclerz zamelduje się królowi. Miał spotkać się z królem już dziś, lecz nagła niedyspozycja monarchy uniemożliwiła temu. Nie było to nic groźnego, ot zwykła kolka jelitowa. Ale król już nie był młodzieńcem. Coraz częściej

różnorodne bóle ciała zaczynały go nękać. Był królem, lecz chorował jak zwykły kramarz, co sprzedaje w jatce koszerne mięso. Zresztą od wyprawy na Wyspy Gnomów Amargadeusz miał jakieś takie opory w słuchaniu medyków co i jak ma zażywać, gdy jakaś boleść ciała przytrafiła mu się. Nawet Mistrz Kapa miał bardzo ograniczony wpływ na monarchę. Amargadeusz powoli stawał się coraz bardziej nieufny wobec tych, którzy doradzali mu, choćby to tylko miało dotyczyć zdrowia.

– Krążą słuchy, że nasza królowa Pani jest brzemienna – cicho, prawie konspiracyjnie, powiedział Elebed

– Co ty prawisz? - Kowdlara zdumiała ta rewelacja druha. - Skąd to wiesz? Lepiej nie rozmawiaj na ten temat z nikim. To nie jest bezpieczny temat.

– Mówię tylko tobie. A ty zachowaj to głęboko w swej duszy. Zuberta mi to rzekła. Ponoć królowa od trzech pełni Księżyca nie miała kobiecej przypadłości.

– Aha! Rozumiem. A może jest chora?

– Nie, Zuberta jest blisko naszej Pani, i twierdzi, że ona zdrowa. Tylko apetytu nabrała, i dziwne potrawy sobie przyrządzać każe.

– A gdyby to było prawdą, gdyby królowi urodził się męski potomek? Wiesz co to znaczy?

– Domyślam się – stwierdził Elebed.

– Nie, nawet nie możesz sobie tego wyobrazić, i ja, przyznaję, nie mogę. To byłaby prawdziwa rewolta. Logoberda mogłaby poczuć się zagrożona. Nie wiadomo, czy nadal byłaby dziedziczką korony. Już tak bywało, że gdy rodził się męski potomek, królowie zmieniali porządki w państwie. - Teraz Kowdlar jakby się ożywił. Ta informacja o rzekomej ciąży Sylandy go rozbudziła.

– No wiesz, ale może się przecież urodzić córka. Druga córka.

– No tak. Zobaczymy. - Kowdlar głęboko odetchnął. - Lecz król

pewnie liczy na syna. Wiem coś o tym, bo jak Teborna była brzemienna modliłem się do Bogini Matki, by żona dała mi syna.

Była to późna pora dnia. Dobiegały do nich nawoływania strażników murów miasta. Tak było w zwyczaju, iż przechodzili oni uliczkami miasta, robili hałasy kołatkami i nawoływali się wzajemnie. Miało to chronić Wendynczyków od różnorodnych złych typków i zbirów. Gdyby nie to, strach by było ruszać się z domu. Choć i to mieszczenie robili niechętnie. Woleli o tej porze ogrzewać się raczej przy piecach. A dom Elebedy, choć dosyć porządny i okazały, znajdował się w mieszczańskiej części grodu. Kowdlar miał zamiar dziś przenocować u druha, bowiem mieli sobie dużo dziś do powiedzenia, a później w noc pełną wychodzić z domu Kowdlar nie miał zamiaru. Tym bardziej, iż pamiętał, jak dostał cios sztyletem, godzony w serce tego pamiętnego wieczoru, gdy rodził mu się syn pierworodny. Teraz miał więc Kowdlar konkretne lęki. On wiedział, że mało było takich, co mogliby się z nim zmierzyć w otwartej walce, choćby na polu bitwy, ale skrytobójców już teraz bał się. Wolał nie podejmować niepotrzebnego ryzyka.

– Więc kiedy to, Elubedu, złożysz w końcu konkretną wizytę u rodziców Geldery, hm ?

– Poczekam jeszcze kilka dni, może tygodni. Na pewno po świętach godów boskich. - powiedział poeta.

– Dlaczego? Kuj żelazo póki gorące. A nuż twojej wybrance przejdzie uczucie do ciebie, a może znajdzie sobie innego, bardziej obrotnego, bardziej zdecydowanego. Wiesz, druha, kobiety jednak wolą konkretnych mężczyzn.

Nie koniecznie urodziwych, nawet nie bogatych, ale takich, co umieją się mierzyć ze swym losem. Bo kobiety, Elubedo, wszystko, co pragną, to rodziny i poczucia bezpieczeństwa dla siebie i swojej dziatwy.

– Tyś teraz taki mądry, bo to już za tobą – powiedział kąśliwie Elebed.
– Nie byłeś takich znawcą, jak paliłeś dopiero cholewki do Teborny. Pamiętam przecież, iż jej ojczym, Pudo, kręcił nosem na twój widok.

– Ach ten Pudo. Nie mów źle o zmarłym. Robił to przecież dla dobra

swej pasierbicy. A gdy doszedłem do bogactwa i tytułu wręcz ślinił się z podniety tego, iż może zostać moim teściem. - Spokojnie powiedział Kowdlar.

– Powiedz przyjacielu, czyż wtedy nie byliśmy szczęśliwsi? Bez majątku, ale z wielkimi planami. I co? Osiągnęliśmy prawie wszystko, ale czyż jesteśmy przez to bardziej szczęśliwsi?- W Elubedzie odezwała się prawdziwa dusza poety, co to myśli o swym losie i nad nim płacze.

– Wiesz. Ja jestem szczęśliwy. - powiedział Kowdlar, ale lico jego mówiło, iż może jego właściciel okłamuje sam siebie.

– Tak! Na pewno! Przede mną nie musisz udawać. Owszem, oprócz tytułu zyskałeś, i ja także, majątek. Ale, przyznaj, obowiązków też ci przybyło. A z tym związanych trosk i problemów, o których wtedy, gdy byliśmy golcami, nawet sobie nie zdawałeś sprawy, nie myślałeś nawet, iż mogą takie istnieć. Oj, ja czuję to jarzmo – przyznał Elubed. - I sam nie wiem, czy te zmiany wyszły nam na dobrze. Teraz pomnażam majątek, żyję w dostatku, ale gdzieś w głębi czuję same zagrożenia.

Na te słowa zapadła znacząca cisza. Milczał Kowdlar, zamilkł i Elubed. Kowdlar jakoś tak ciężko westchnął. Grymas bólu przebiegł po jego twarzy. Chwycił się za głowę. Widząc to, Elubed posmutniał. Pożałował, iż przyparł tak do muru swego przyjaciela. Choć mogli sobie powiedzieć wszystko, jednak prawdziwa przyjaźń nie na tym polega, lecz na tym, by zawsze wspierać się. Zawsze. I w doli, i w niedoli.

Choć , o paradoksie, byli teraz niby na wozie, ale Elubed zrozumiał, iż im wyżej w życiu, tym ciężiej na duszy.

Kowdlar jeszcze raz ciężko westchnął. Spojrzał na Elubeda i powiedział.

– Wiesz, martwi mnie teraz sytuacja w naszym królestwie. Król zawziął się na tego zdrajcę Uberyka i tylko myśli, wciąż przemyśluje, jakby się tu mu do skóry dobrać. A, po prawdzie, i Uberyk myśli i czyni tylko wszystko, by zniszczyć naszego Pana. Ta cała bitwa na Polu Czarnego Tura. Tyle ofiar. A tu chodzi tylko o serdeczną nienawiść między nimi.

– No tak. Dziwne to, w rzeczy samej. Ci dwoje generuje w naszej

wspólnej rzeczywistości tyle nienawiści. Inni ludzie od tego cierpią. – przyznał skwapliwie murgrabia Elubed. - Ale nie może to być, Kowdlarze, że to ci tak zatruwa myśli?

– Wiesz, to jest wieczna niepewność. Cały kraj jest na moich barkach. Król właściwie powierzył mi całe królestwo. Powiem ci w tajemnicy, król dowiedział się przez szpiegów, iż Uberyk ma zamiar opuścić Spoka, królestwo Trautonów.

– Nie może być! – Elebed wręcz zakrzyknął.

– Właśnie. Uberyk jest bardzo ostrożny. Już raz był w lochu na łasce Ufensa, woli nie ryzykować. On będzie tak cyklicznie zmieniał swe miejsca bytności do momentu, aż skleci kolejną koalicję przeciw nam lub do momentu, gdy ludzie Amargadeusza dorwą go gdzieś. Wtedy to jego życie nie będzie nic warte.

– Ma na usługach całą Magię, Czarną Magię.

– No tak, Elubedo, ale wynika stąd, iż magia nie wszystko rozwiązuje, choć wiele może zmienić. Wychodzi na to, iż najważniejsze są nasze czyny i nasza wola. Ponadto Mistrz Kapa podobno umie neutralizować zły wpływ Uberyka.

Tak mi powiedział król Amargadeusz.

– Wiem, będąc poetą z zawodu, iż wyobraźnia wiele może. Naprawdę wiele. A magia to przecież realizacja naszych marzeń. Przynajmniej ta dobra magia. Przednie wino stało w flakonie przed nimi. Kowdlar z przyjemnością wychylił spory łyk ze srebrnej czary. A i Elubed nie pozostawał w tyle. Pili tak coraz więcej, i więcej. A języki ich pleść i bełtać w coraz frywolniejszej gadce zaczęły im się snadnie.

Oland otworzył drewniane pudełko. Na samym dnie leżał zwinięty rulon. To starożytny wolumin był, ten który dostał od hrabiego Kuzi. To było Świadectwo Woli Bogów. Oland wyciągnął z nabożną atencją zapisany papirus. Rozwinął go. Zaczął czytać.

... wszystko, co istnieje, co powstało i co jeszcze powstanie jest

emanacją i manifestacją Energii Świata. Twa myśl to część tej ogólnej Uniwersalnej Energii ...

Czytał, a lektura coraz bardziej zaczęła go wciągać. Czas leniwie biegł.

... życie na ziemi polega stałej ewolucji. A wszystko zaczyna się w materii nieożywionej. Od kamieni, piasku i wody. Potem rozwija się w świecie roślin, przechodzi do świata zwierząt ...

... duch się pomału rodzi, choć pamiętaj, że i myśl i Uniwersalna Energia to to samo ...

... człowiek jest koroną stworzenia, to on, jako jedyna żywa istota, może użyć w

świadomy sposób, w sposób zgodny z jego wolą, Uniwersalną Energię, by zrealizować każdy swój cel ...

... Bóg stworzył człowieka po to, by Uniwersalna Energia mogła w świadomy sposób zmieniać rzeczywistość. Bez człowieka ta Energia działałaby w ślepy, przypadkowy sposób, choć pełny mądrości natury, przyrody ...

W komnacie panował pewien półmrok. A choć paliły się świece, jednak już późno było, i noc, ciemności zaczęły wygrywać ze światłem, choćby nawet pochodzącym z palących się knotów. Lecz Oland był nadal zatopiony w lekturze. Już przecież nie pierwszy raz czytał to pismo, ale zawsze znajdował w nim takie treści, jakby zupełnie dla niego nowe. I teraz też tak było. Jakby nie czuł tego, iż jego oczy przesilone były. Już nawet zaczął łzawić.

Lecz wtem jego lekturę przerwał odgłos zza drzwi komnaty.

– Kto tam? - Oland krzyknął zdenerwowany.

– To ja, Panie. To ja, Puto. Pani pyta, czy nie zejdziesz, Panie, na dół? Pani się

– Puto, powiedz Pani, że przyjdę za chwilę. Niech na mnie poczeka, nie idzie jeszcze na spoczynek.

Oland nawet nie zauważył, jak minęły długie minuty, odkąd wtopił się w lekturę tego starożytnego pisma. Choć niechętnie, to jednak zwinął rulon i włożył do swego sekretnego pudełka. Następnie to pudełko schował do ciężkiej komody, a tę zamknął olbrzymią kłódką.

– Puto, jesteś tam jeszcze? - Oland krzyknął w stronę drzwi.

– Tak, Panie.

– Powiedz służbie, bym jutro z rana miał przygotowanego wierzchowca
– Oland cały czas mówił do zamkniętych drzwi.

– Słucham, Panie.

– Będziesz mi towarzyszył. Pojedziemy na grób Luke.

Odpowiedzią była wymowna cisza.

Przy wielkiej agawie był ten grób. Grób Luke, żony Puto. Zmarła nagle, właśnie wtedy, gdy była najbardziej szczęśliwa. I on był wtedy szczęśliwy. Lecz gorączka popołogowa była bezlitosna. Zostały tylko dwie bliźniaczki, dwie córki Puto i Luke.

Oland spojrzał ukradkiem na Puto. A tamten był bardzo wstrząśnięty. Pomimo tego, iż minęły już trzy lata, on to cały czas przeżywał. Stał przy tej górcie kamieni i trzął się. Nawet tego nie starał się ukrywać. Luke, najpiękniejsza kobieta, jaką Oland na oczy widział. Choć przecież przemierzył pół świata. Jasne jak len włosy tak pięknie oplatały jej szyję. Choć zdradziła kiedyś Puto z wędrownym myśliwym, to jednak ci dwoje powrócili do siebie. I ich miłość wtedy wybuchła ponownie. Dosłownie wybuchła i zakwitła szczęściem obojga tych śmiertelników. Lecz boginie przeznaczenia nie znają litości. Wszystko szczęście jakie ludzie mają do przeżycia musi być zrównoważone cierpieniem. Od trzech lat Puto więc cierpiał za dwoje. Swoim cierpieniem i cierpieniem Luke, bo jej już nie było na świecie, więc on przejął jej jarzmo. Gdyby nie to, iż był tak bardzo potrzebny Olandowi i Jucie, pewnie skończyłby z sobą lub popadł w

pijaństwo.

– Chcę, byś w końcu pożegnał się z nią na zawsze, dlatego tu dzisiaj jesteśmy. - powiedział Oland. - Pojedziesz do Wendy. Spotkasz tam pewnego młodziana. Nazywa się Erej. To spadkobierca spuścizny po Cyganie Dziadzie.

– Czy to konieczne, Panie? - Puto spytał bezradnie.

– Tak, może to w końcu uzdrowi twą duszę. To znaczy ta zmiana miejsca. Razem z Erejem zajmiecie się moim majątkiem w stolicy. A jest tego niemało.

– Dlaczego, Panie, ten Erej sam się tym nie zajmie?

– On jest jeszcze młody. Choć mądry, lecz niedoświadczony. Mądrość musi zawsze iść wespół z praktyką i doświadczeniem. Pomożesz mu. Lecz ...

– Słucham, Panie.

– Lecz nie jesteś już niewolnikiem, masz swoją wolę, na siłę cię nie zmuszę. Ale wiedz, że szczerze tego pragnę.

– Dobrze, Panie, pojedę. Spełnię swą powinność. - Puto oprócz wolności zawdzięczał też życie Presurtowi Olandowi. Zawsze o tym pamiętał. Grób Luke był w najdalszej części Oazy Róży. Rosły tu głównie kaktusy i agawy. Czasami salamandry i płazy ogrzewały się na tej stercie gładkich kamieni. Z lenna Pustyni Róży było kilka dni jazdy wierzchem do Wendy, stolicy Ulandii. Jednakowoż król Amargadeusz wymagał, by Presurt Oland był stale do dyspozycji. Najczęściej Oland jednak rozmawiał z księciem Kanclerzem, bo to on przejął praktycznie wszystkie obowiązki rządzenia królestwem. Sam Amargadeusz był już zmęczony życiem. Odezwały się już jego lata, przeżył bowiem już ponad czwarty dekambr, pomału dociągał do piątego. Ponadto małżeńskie obowiązki wobec ciągle przecież młodziutkiej królowej wyczerpywały monarchę. Ratował się jak mógł. Stale Mistrz Kapa dostarczał mu wciąż nowych i nowych specyfików. A także nadworny medyk miał zajęcie. Lecz lata, lata. Lata swoje jednak robią. Nie da się oszukać Chronory, bogini czasu. Już to, że ponoć Sylanda

była brzemienna, zakrawało niemal o cud. Każdy wróbel, każda wrona o tym krakała w Ulandii. Choć pewnie sam Amargadeusz wolałby to zataić dopóki dałoby się. Bo figura Sylandy była nadal nienaganna. Przychylni królowi bali się, że Sylanda poroni. Byłby to wówczas wielki cios dla króla, który cały czas marzy o męskim potomku.

Oland za dwa tygodnie i tak będzie musiał wrócić do Wendy. Wymagał tego jego urząd. Kilka spraw gardłowych było obecnie w jego, a ściślej jego urzędu, kompetencji. Jakiś pijany rycerz zgwałcił córkę snycerza. Gdzie indziej lokalny władarz zameczył swojego chłopca. Gdyby to był niewolnik, nie byłoby sprawy. Ale to jednak był wolny człowiek, choć niepisaty, prosty chłop. Kilka podobnych spraw jeszcze było. I wszystkie one wymagały, by Oland wrócił na swój urząd.

– Dwa dni miną i pojedziesz. Weź dwóch do towarzystwa. Drogi w naszym królestwie jednak nie są do końca bezpieczne. I poczekaś tam w Wendzie na mój przyjazd. Z Elusterkiem przejrzyście finansowe kwity.

– Słucham, Panie.

– Erej i Elusterek wprowadzą cię w twoje obowiązki. Nie bój się, podołasz. Razem podołacie. Erej to bardzo bystry młodzian. Nie bez przyczyny Cygan Dziad to jego właśnie wybrał na swego kontynuatora.

Żagiel był nadęty niczym wielki flakon. Pruli wodę, za rufą ciągnął się wodny ślad po statku. Ludzie Uberyka już byli na miejscu. W Mohawie. Mohawa to było maleńkie królestwo na zachodzie Oforyki. Uberyk się spieszył, szpiedzy Olerta donieśli, iż Tepik radykalnie zmienił zamiary wobec swego- jeszcze nie tak dawno serdecznego -przyjaciela, wobec Uberyka. Jednak tysiąc tysięcy talentów w złocie ma tajemniczą moc zmieniania zwyczajów, ba, nawet zmienienia parolu danego pod przysięgą. Uberyk więc z niepokojem śledził teraz z rufy Kaleny, statku, którym płynął, czy ktoś ich nie ściga. Na szczęście Kalena była szybka, nawet bardzo szybka. Lecz Uberyk miał w jeszcze w pamięci wróżbę z run, iż wrogowie będą nań czyhać, będą go ścigać. Tak to jest jednak stworzone na tym świecie, iż wróżby i dywinacja więcej widzą, niż ludzie z za czubka

swego nosa. Dlatego niepokój w dalszym ciągu nie opuszczał Regenta. Czuł zagrożenie. Lecz jak na razie na horyzoncie tafli wody nie było nikogo. Słońce wysoko na niebie, i sprzyjający wiatr z kursem. To była rzeczywistość.

Karon, król Mohawy, był wrogiem Amargadeusza. W tym sensie, iż mały zawsze nie znosi wielkiego. Małe to była Mohawa, wielkie to Ulandia. Odkąd Amargadeusz zniszczył państewko gnomów, odkąd Wyspy Gnomów stały się kolonią Ulandii, Mohawa straciła dobrego partnera w interesach. Bowiem gnomy zapewniały Mohawie stały dopływ pieniędzy. Głównie z handlu koralowcami, gąbkami morskimi i perłami. Tego na zachodzie Oforyki było w bród. A Karon znany był z umiłowania luksusu i hedonizmu, teraz zaś nawet jemu brakowało tego dawnego przepychu. A nie chciał, i to mu się pewnie chwali, żyć ponad stan, kiedy jego poddani cieszą się choćby tylko z miski ryżu jako codziennej strawy. Karon czekał więc teraz na przybycie Uberyka, i wiele po tym sobie obiecywał. Za Regentem Uberykiem cały czas podążała sława tego, co to odkrył Elixir Życia i Kamień Filozoficzny.

Zapobiegliwy Uberyk nie zwykł dementować tym mitów co do swojej osoby. I nawet teraz i sam Tepik, dawny sprzymierzeniec, był z pewnością przekonany nadal, że Uberyk umiał stworzyć te dwa cudowne specyfiki. Legenda wroga Amargadeusza i cudownego maga znacznie wyprzedzała Uberyka, gdziekolwiek by się nie udał. To był zresztą też jeden z powodów potęgowania nienawiści Amargadeusza wobec Maga. Uberyk nie tylko uwiódł królową Kodynę, ale także kilkakrotnie nastawał na życie swego dawnego władcy, a także dokonał zamachu stanu. Nic to jednak było wobec tego, iż w całym świecie miał sprzymierzeńców. To było dla Amargadeusza najbardziej przykre. Bo to godziło w dobre mniemanie wobec siebie u Amargadeusza. Amargadeusz chciał uchodzić za sprawiedliwego władcę i przyjaciela narodów. Jednakowoż był tak tym zaślepiony, iż pewnie nie zdawał sobie z tego sprawy, iż czyny jego nie świadczą o tym. Stale toczone wojny, czy to z Fluksją, czy to najazd i zdobycie Wysp Gnomów, nie stanowiło dobrego świadectwa o królu Amargadeuszu, jako o sprawiedliwym władcy miłującym pokój. Lecz to jest chyba choroba, to zaślepienie, wspólna dla wszystkich tyranów i dyktatorów.

Na Kalenie płynęli z Uberykiem tylko Olert i Temo. Reszta, w tym kilkuset wojowników, była już tam na miejscu. Kalderonte zawarł wstępny sojusz z Karonem. To on właśnie działał w imieniu Uberyka poza królestwem Trautonów. To on znalazł ten azyl w Mohawe. To on ma także zorganizować ekspedycję po skarb Molewera.

Jednak Uberyk, choć ufał swym generałom, wolał jednak, by Temo płynął razem z nim na Kalenie. Ten skarb piratów był na tyle cenny, iż Mag nie ryzykował powierzyć pirata Temo komukolwiek.

– Wasza Wysokość – Uberyk usłyszał głos dochodzący z pokładu. Odwrócił się.

– Co? - zdołał wydukać.

To był kapitan Kaleny, niejaki Uzys. Człek z pewną nadwagą, ogorzały i spalony na słońcu. Choć był już niemłody, jednak jego broda miała soczyście czarny odcień.

– Panie – mówił Uzys. - Czuję, że zbliża się sztorm. Lepiej byś, Panie, poszedł pod pokład.

– Jaki sztorm? Piękna pogoda jest przecież.

– Panie, uwierz, ja wiem swoje. Nie pierwszy rok służę na morzu. Ponadto boli mnie prawa noga. Kiedyś byłem weń raniony. I odtąd zawsze na zmianę pogody mnie boli.

– Czy statkowi coś grozi? - Uberyk poczuł wewnętrzny lęk.

– Nie, Panie. To nie będzie jakiś wielki sztorm, ale fala mogłaby cię, Panie, zmyć z pokładu. Więc, opuścimy żagle, i schronimy się pod pokład.

– Czy wszyscy się tam zmieścimy?

– Tak, Panie. To znaczy załoga zostanie na pokładzie, ale to są prawdziwe wilki morskie. Oni sobie poradzą. Przywiążą się linami do pokładu. Nie obawiaj się, Panie.

Uberyk jak gdyby zachnął się, chwilę się zastanawiał; uśmiechnął się do

Uzysa.

– Kapitanie, myślę jednak, że nie będzie żadnego sztormu.

– Panie, uwierz, sztorm będzie na pewno- upierał się stary marynarz.

Jednak Uberyk już coś zdecydował. Zostawił Uzysa na pokładzie i zszedł pod pokład. Lecz już po chwili wyszedł stamtąd. W ręce trzymał kunsztowny mieczyk ze złotą rękojeścią.

– Panie, co chcecie uczynić?

– Patrz, kapitanie. I niech ludzie patrzą. - W rzeczy samej cała załoga statku była wpatrzona w Maga, niby byli zahipnotyzowani.

Uberyk jednak, nie przejmując się tym wszystkim, stanął na środku pokładu. I zaczął zataczać ostrzem swego mieczyka koło wokół siebie od zachodu, poprzez północ, wschód, aż do południa, wypowiadając przy tym szeptem jakieś zaklęcia. Gdy skończył, stanął wyprostowany w środku tego okręgu; uniósł wysoko ręce w stronę północy i zaczął intonować jakąś pieśń w języku zupełnie niezrozumiałym.

Marynarze patrzeli jak urzeczeni. A i ludzie Uberyka byli też na pokładzie. Dla nich nie była to żadna pierwszozna. Olert już się napatrział na czary Regenta. Co się zaczęło dziać? Niby nic takiego. Właściwie nic się nie stało. Oprócz? Właśnie Uzys pierwszy zareagował.

– Panie, dziwne, ale przestała mnie boleć noga. Czy te twoje czary, Panie, miały mi pomóc?

– Poniekąd. Ale to nie twoja osoba jest tu najważniejsza – powiedział Uberyk. Ale nim to zrobił, zakreślił jeszcze raz okrąg swym kordem, lecz teraz w przeciwnym kierunku i podszedł do kapitana. - Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by sztormu nie było, musimy jak najszybciej płynąć, by przybić do portu Oforyki. To jest dla mnie najważniejsze.

– Panie. Przecież to jest niepodobna. Jak można cofnąć nadchodzący sztorm? Nie, tego jeszcze nie widziałem na oczy – przyznał wstrząśnięty kapitan Kaleny.

Od tego momentu przez długie, długie godziny Uberyk cały czas czuł natrętne spojrzenia załogi okrętu Kaleny. Nie kryli się z tym w ogóle. Więcej, rzeczywiście czy to z powodów naturalnych lub z powodu ingerencji Maga, tego dnia jak i następnego nie było żadnego sztormu. Kapitan głowił się nad tym, co to się stało. A jak tylko widział sylwetkę Uberyka z zapalem miętosił w ustach liście pewnej

rośliny, które wysuszone w Oforyce nazywano tobbaço. I pluł, i pluł tym zielskiem na pokład. Z jakiejś takiej złości i zdumienia. Zdumienia, że ktoś śmiał pokrzyżować plany boga oceanów Koboka. A że pokład był stosunkowo mały, a Uberyk nie umiał usiedzieć pod pokładem, z tego powodu pokład prawie cały był upstrzony wyplutą z pasją tobbaćcą. Można się było pośliznąć. W końcu na drugi dzień majtkowie szorowali równo pokład wodą morską. A Uzys wściekał się coraz bardziej. Jednak, i to było pewne, byli coraz bliżej końca i mety. Do portu królestwa Mohawy zostały jeśli nie godziny, to dni. Najwyżej dwa lub trzy rejsu okrętu z kursem. Wszystko odbywało się z jakąś taką przedziwną pomyślnością, z planem, który, tego był pewien kapitan, Regent Uberyk postanowił sobie w myślach. Ani ich nikt nie ścigał, nie dostali się także w sferę krążących wokół Oforyki piratów, pogoda także była doskonała, a i wiatr precyzyjnie nawiewał na zagle. Sielanka?! W końcu dopłynęli do brzegów Mohawy. W porcie Olety okręt Kalena przycumował.

Port to nie był zbyt okazały. I na Uberyka nit tu nie czekał. Nie było żadnego z jego ludzi. Ale to nie dziwne, skoro Uberyk w pośpiechu opuszczał Spoka. Ważne było to, iż Kardelonte wyraźnie opisał, gdzie mają się udać po przyplłynięciu. Uberyk doskonale wiedział, iż piętnaście staj na wschód jest posiadłość Ube, która to stanie się miejscem docelowym pielgrzymki Maga. To stamtąd będzie on mógł realizować dalsze kroki strategiczne w tej śmiertelnej walce, jaką toczyli z siłami króla Amargadeusza. Teraz jeszcze na obczyźnie. Ale wiara w zwycięstwo nie opuszczała dumnego Regenta.

Schodząc na ląd, Uberyk krzyknął:

- Temo ze mną, a ty, generale zorganizuj dla nas jakiś transport.
- Słucham, Panie – rzekł Olert. Machnął tylko jeszcze ręką w geście

pożegnania kapitanowi Uzysowi. I poszedł w kierunku drewnianych budowli, co to stały kilkaset łokci od cumowiska.

W tym samym czasie Uberyk wraz z Temo ruszyli w kierunku widocznego stąd targu rybnego. Za nimi szło, obładowanych rzeczami Maga, kilku niewolników. Mag, ubrany w prostą szatę, nie chciał się chyba tym sposobem zbyt odróżniać z tłumu.

Teraz zwykł ubierać prostą tunikę, ale najlepiej się jednak czuł w swej beżowej, „służbowej” sutannie maga. Było też jednak mało prawdopodobne, by kiedykolwiek w przyszłości już miał ubrać swą swobodną sutannę. Odkąd pretendował do rangi przywódcy Ulandii, musiał się dostosować do tej pozycji nawet w kwestii wyboru szat. Istniała alternatywa, albo szaty królewskie, albo całun pogrzebowy.

Gdy tak szli w stronę rybackich straganów, dobiegł do nich przepyszny zapach smażonych i wędzonych ryb oraz owoców morza. Wzbudziło to u nich, bez wątpienia, apetyt. Dziś przecież jeszcze nie jedli porządnego posiłku. A na pokładzie okrętu nawet sam Uberyk odżywił się skromnie. Więc teraz i on, i jego ludzie poczuli napływ śliny w ustach.

– Temo, idź tam, masz tu miedziaka, kup dla nas wędzonego węgorza, bo czuję zapach tego przysmaku. - powiedział Uberyk, podając Temo kilka monet. Były to monety królestwa Mohawy. Zapobiegliwy Regent zaopatrzył się bowiem już przed wypłynięciem w pieniądze tego małego państewka. Oczywiście, złote talenty lub złote dinary ulandzkie wszędzie by mu otwały wrota, i wszędzie by za nie mógł dokonać zakupów. Ale trudno płacić przecież za rybę, nawet tak pyszną jak wędzony węgorz, złotym talentem. Była to kwota, którą tutejszy rybak mógł zarobić za cały rok pracy.

Temo wziął pieniądze i poszedł w kierunku rybackich straganów.

W tej chwili Mag Uberyk został praktycznie sam. Jedyne zmęczeni niewolnicy towarzyszyli mu teraz. Gdyby jakimś cudem ludzie Amargadeusza dorwali go tu teraz, jedynie magia mogłaby go chyba uchronić od poważnych konsekwencji. Na szczęście, ani ludzi Amargadeusza tu nie było, w rzeczy samej i sam Uberyk nie należał do strachliwych. Ufnie rozejrzał się więc wkoło. A okolice to były urokliwe.

Na lewo targ rybacki, wprost kilka cumujących jednostek- łącznie z Kaleną- na prawo piaszczysta, czysta plaża. Nieco w górę jakiś gaik oliwny. I słonecznie, i ciepło. Prawdziwie rajski zakątek.

– Niech biją w Dzwony Triumfu, niech składają dary na ołtarzach Kerdolota – Amargadeusz był jak natchniony. - Oto ja, Syn boga Re, Władca Północnego Cienia i król wasz, wasz pan, dzielę się teraz w wami moją radosną nowiną.

Tak. Królowa Sylanda jest brzemienna. Z oblicza królewskiego w tej chwili biła duma i radość. A oni stali przy jego tronie i zaczęli bić brawo. Najgłośniej klaskał Adlar. Król nie krył zadowolenia. Choć była to już wspólna tajemnica królestwa. Ta, iż Sylanda spodziewa się dziecka. To jednak dopiero teraz oficjalnie w całym królestwie można było już tę radosną nowinę głosić i komentować.

– Królowa czuje się dobrze – mówił monarcha. - Mistrz Kapa zapewnił mnie, iż wszystko przebiegnie po naszej myśli. Cha! I najważniejsze! Urodzi się chłopak. Mistrz Kapa jest tego pewien. Poznał to po tym, sam mi mówił, iż czakramy w ciele płodu obracają się jak u chłopca. U dziewczynek te czakramy obracają się odwrotnie.

– Brawo! - wołał Adlar, a za nim elektan i baron Luruk.

Książę Kanclerz Kowdlar też bił gorliwie brawa.

– Dobrze już. Dość! Dość! Zachowajcie siły, ha ha ha. Zachowajcie siły na służbę u mnie, he he he. - Amargadeusz, tak mu się wydało, pozwolił sobie na mały żarcik. - Obik, zawołaj służbę, niech podadzą wino.

W tej to chwili Obik szybko wyszedł z komnaty. A, że było to już pewnie umówione, zaraz też wrócił w towarzystwie kilku niewolników, którzy nieśli flakony pełne przedniego trunku oraz srebrne puchary. Zaraz też rozlano wino notablom. Król Amargadeusz uniósł złotą czaszę pełną czerwonego, słodkiego wina, i krzyknął :

– Wypijmy zdrowie przyszłego Pana Ulandii, który jeszcze teraz

nienarodzony jest.

W tej to chwili książęta krzyknęli wspólnie : Hura! I Wypili wino.

– Jeśli pójdzie po naszej myśli, wybije z tej okazji nową monetę. Złotego dinara z wizerunkiem mego syna – mówił król. - Wy, moi najwierniejsi, każdy, dostaniecie po tysiącu z tej monety.

Byłby to bez wątpienia królewski gest, ale gdyby był adresowany do pomniejszych ludzi. Oni to byli jednak, każdy, bogacze. Dla nich po prawdzie tysiąc nawet złotych dinarów to był godny podarek, ale nie dużo znaczący. Każdy z nich miał majątki warte setki tysięcy złotych talentów i dinarów. Jednak, może z cynizmu lubo z wyrachowania, mocarze ci poczęli głośno akcentować swą wdzięczność dla króla Amargadeusza. Okrzykom i wiwatom nie było końca.

– Z tego też powodu – mówił Amargadeusz – mam zamiar ustanowić mego syna moim spadkobiercą i sukcesorem tronu.

– Czy, Wasza Wysokość, to znaczyć będzie, iż Logoberda nie będzie, Panie, twym następcą?- odezwał się Kowdlar. Było to dość nieostrożne, ale księciu Kanclerzowi się po prostu wymknęło.

– Tak. Jeśli urodzi mi się syn, to on będzie dziedzicem. Spośród was wyznaczę wkrótce tego, który będzie Regentem, gdybym ja odszedł na Pola Kerdolota, nim mój syn nie zmeźnieje.

Notable ucichli, pili wino w skupieniu. Lecz każdy się zastanawiał, czy to jego spotka ten zaszczyt. Przecież jeden Regent już był. Dziś to on jest głównym wrogiem królestwa. Każdy się też zastanawiał, czy księżniczka Logoberda już wie, czy jej ojciec powiedział. Wygląda na to, że stanie się ona już nie długo kulą zawady u nogi swego ojca.

– Lecz sił mam jeszcze wiele – mówił król – myślę, iż dożyję jeszcze tej chwili, gdy mój syn będzie miał gody. Mistrz Kapa mnie zapewniał, że mam niezwykajny zapas sił witalnych. Nie spotykany u zwykłych śmiertelników. Pamiętajcie przecież, iż przetrzymałem nawet truciznę, którą mi na Wyspach Gnomów podał do strawy Edipo z polecenia wstrętnego Uberyka. To nie był przypadek. To była moja siła. A trucizna ta była

niezwykle zjadliwa.

Król wielce zadowolony usiadł na ławie. Podał Obikowi puchar z winem i zrobił gest, który mówił, iż notable też mogą spocząć.

– Wiecie, Mistrz Kapa znalazł w dawnej grocie tego zatracenca Uberyka dowody, iż na długo przed naszą wyprawą na Wyspy Gnomów ten parszywiec czynił wszelkie starania, bym się rozchorował i pomarł.

Na te słowa monarchy włodarze, jak jeden mąż, znów zamilkli. Byli zdeorientowani. Pili tylko, niby chyłkiem, słodkie czerwone wino.

– Tylko o jednym zapomniał, psi syn – Amargadeusz z wzdargą ziewnął – Mnie chronią królewskie namaszczenie i błogosławieństwa, o które już mój ojciec się postarał. Nawet cała moc magiczna, którą bez wątpienia ten zatraceniec włada, na nic mu się zdadzą.

– Wasza Wysokość – Kowdlar odważył się odezwać. - Czy wiesz, Panie, co z tym Uberykiem? Podobno nie ma go już na ziemiach Spoka?

– Tak, książę. Nie mówiłem wam jeszcze o tym, ale Uberyk „podziękował za gościnę” Tepikowi i po prostu uciekł, podkulając ogon, ze Spoka. Gdzieś odpłynął. Ale ja ustalę, możecie być tego pewni, gdzie się schował. Podobno gdzieś w Oforyce. - Amargadeuszowi aż grdyka z emocji cała drżała. Jakże on żałował, że wtedy, gdy mógł, nie zatopił miecza w sercu swego wroga. - Patrzcie – Amargadeusz wyciągnął z za pazuchy jakiś kłębek materiału. Była to jakaś kukielka, lub mała laleczka z łachów. - Wiecie, co to jest? – Zapanowała cisza. - To ja wam powiem. To jest laleczka, która miała przedstawiać mnie, a znalazł ją w grocie maga Mistrz Kapa. Mistrz Kapa wyciągnął z jej wnętrza mój kosmyk włosów oraz, teraz uważajcie, kilkanaście igieł, jakimi była ta kukielka poprzekłuwana. Uberyk nie zawahał się użyć Czarnej Magii, by tylko mi zaszkodzić. Na szczęście na razie mu się nie udało. Mistrz Kapa dużo mi pomógł, odkąd piję jego mikstury czuję się jakoś tak silniejszy i spokojniejszy. Powiedział mi, że te zioła skutecznie ochronią mnie od złego wpływu Uberyka. Dlatego, książę Kanclerzu – król zwrócił się do Kowdlara. – Moim życzeniem jest, byś dołożył ze skarbca królewskiego dziesięć tysięcy złotych talentów na budowę w Wendzie świątyni poświęconej bogini Isztare. Wiecie dobrze, że

to jest projekt Mistrza Kapy. Ale ja osobiście popieram jego realizację.

– Wasza królewska Mość, stanie się według twojej woli – odpowiedział Kowdlar.

– Wiecie, odkąd Umarł Edemper, a tron objął Tepik, byłem pewien, iż Uberyk długo nie zagości w Spoka – mówił Amargadeusz. - Jednak okazuje się, iż Tepik, choć syn Edempera, już nie jest tej klasy, przyznaję, co jego ojciec. Jemu już bardziej można honor przysłonić złotymi talentami. I na to się nadziały, he, he, he, Uberyk. No cóż, niech tuła się od królestwa do królestwa, ja i tak go w końcu gdzieś dopadnę. Przez młodą małżonkę, król niejako odmłodził. W przeciwieństwie do członków Rady Kanclerskiej, którzy z każdym rokiem starsi byli. Najmłodszym w tym gronie był Presurt Oland. Nie przekroczył on jeszcze połowy trzeciego dekambru. Lecz zarówno Kowdlar jak i Adlar już nie byli tak młodzi. Elektan Ztor był z nich chyba najstarszym. Był na tyle już zniszczony życiem, iż musiał się podpierać drewnianą laską. Lecz król jakby nie przejmował się tym i nie zwolnił go jeszcze ze swej funkcji. Trzeba jednak przyznać, że i sam elektan nie zabiegał o to specjalnie. Teraz przynajmniej był wielkim włodarzem w Ulandii, gdyby król Amargadeusz go zwolnił, byłby tylko zwykłym lennikiem. Bogatym, ale jednym z wielu w kraju. Istotne dla Amargadeusza było to, że Ztor bardzo umiejętnie kierował tym obszarem działalności, które mu było powierzone. Flota Ulandii była jak nigdy przedtem w doskonałym stanie. I to nie tylko ta wojenna, ale nawet ta rybacka. Zorganizowanie dzisiaj jeszcze raz wyprawy wojennej, morskiej, byłoby o wiele łatwiejsze, niż wtedy, gdy Amargadeusz targnął się na to, by podbić Wyspy Gnomów. Ztor zrobił od tamtego czasu dobrą robotę dla kraju, a właściwie dla jego monarchy. W rzeczy samej to właśnie teraz, rzeczywiście, przydałaby się jeszcze raz podobna wojenka. Po złotych talentach ze skarbca Kopca Woli już praktycznie nic nie zostało Amargadeuszowi. Owszem, w kraju ludziom dzięki nim z pewnością lepiej się żyło. I to nie tylko notablom i włodarzom. Ludzie odczuwali wzrost handlu z ościennymi krajami. Każdy pospolity ciura mógł liczyć na dobry, codzienny posiłek, nawet mięsny. Ich szaty, podobnie, nie były to zwykłe łachmany. Ulandczykom żyło się lepiej, co spowodowało automatycznie większy autorytet władzy. Król Amargadeusz mógł tą drogą spokojnie rządzić, nie obawiał się żadnej zdrady. Jedyne zagrożeniem dla niego był Uberyk. Ale ludzie pamiętali dobrze, że to

właśnie Uberyk, a nie Amargadeusz, wprowadził dodatkowe podatki. Więc król nie obawiał się reakcji krajan co do swojej osoby. Owszem, był panem z namaszczenia bożego, dziedzicem boga Re. Ale bywało już i tak, że nawet potomkowie bogów, władcy, kończyli źle, gdy w kraju się źle działo. I o tym cały czas Amargadeusz pamiętał.

– Chciałbym was przestrzec – powiedział król. - Oto Mistrz Kapa rzekł mi, iż wkrótce możliwa jest jeszcze jedna katastrofa.

– Jaka katastrofa, Miłościwy Panie? – rzekł Kowdlar.

– Otóż Mistrz Kapa, jak dobrze wiecie jest bardzo biegły, nawet lepszy od zatraceńca Uberyka, w astrologii. I on odkrył, że dziesięć lat po tym, jak spadła karoca Kerdolota na północy świata, wydarzy się coś podobnego. Tylko nie wiadomo gdzie. Dziesięć lat, to już niedługo. Nie ogłoszę tego narodowi, ale wam mówię. Tylko uprzedzam, jeśli wyjdzie to poza nasz krąg, zdrajca zapłaci głową. Nieważne, kto by to był. Nie oszczędzę nawet Obika, jeśli zdradzi, choć bliski mi jest jak brat.

– Czy nam coś grozi, Miłościwy Panie ? – wtrącił się Adlar.

– Właśnie w tym szkopuł, że nikt, nawet Mistrz Kapa, nie wie. Według horoskopu, to bogowie toczą ze sobą spór. - mówił Amargadeusz. - I miotają się w Niebiosach. Te burzowe lata, które od jakiegoś czasu nękają ludzi, właśnie są tego wynikiem. Bogowie miotają piorunami, ale mogą też, tak twierdzi Mistrz Kapa, miotać olbrzymimi głazami. I to już będzie znacznie bardziej niebezpieczne. Zresztą na moje życzenie już wkrótce Mistrz Kapa postawi precyzyjny horoskop dla naszego kraju. Chcę, żeby to się stało tradycją doroczną. Dowiemy się więc, co będzie nam grozić. Być może Kerdolot nie dopuści do tego. W tym cała nadzieja.

– A czy Mistrz Kapa wie, Miłościwy Panie, dlaczego to bogowie walczą ze sobą? - Spytał księżę Kanclerz.

– Według niego, związane to jest z eonem smoka. Niektórzy bogowie dorośli w tym czasie, tak jak dziecko wyrasta na wojownika, i chcą zyskać więcej wpływów i znaczenia, a Kerdolot dotąd przymykał na to oczy. Jemu te zabawy po prostu nie zagrażają. To są szczeniackie igraszki. Z tym że

my, ludzie, możemy to boleśnie odczuć.

– Wasza Wysokość, może należałoby złożyć większe niż zwykle ofiary ze zwierząt? - spytał przytomnie Ztor.

– No tak, to ma sens, masz rację, elektanie. Zwrócę się z tą sugestią do Mistrza Kapy. - odrzekł Amargadeusz.

Było ciepło. Było dostatecznie ciepło, by sprawić, iż zarówno król, jak i cała Rada Kanclerska, zmęczeni byli okrutnie. Amargadeusz cały czerwony po licu. A Obik tylko dolewał i dolewał źródlanej wody do królewskiego flakonu. Oland był prawie bliski omdleniu. Dzisiaj założył bogate, acz straszliwie ciężkie, szaty Presurta Królewskiego. I teraz czuł, iż to go może wiele kosztować. Jeśliby teraz zemdłał, co już mu się kiedyś zdarzyło, mógłby wiele stracić na tym, skompromitowałby się, to rzecz pewna. Choć Oland nie był tego świadom, podobnie czuł się w swych bogatych szatach książę Kowdlar. Nie inaczej było z elektanem i Adlarem. Baron Luruk był tu chyba jedynym wyjątkiem. On świetnie czuł się tu i teraz. Lecz on nie nosił, bo nie musiał, soboli i atłasowych rajtuzów. Był wszak tylko wodzem. Ponadto u Luruka odezwała się natura i pochodzenie, wywodził się przecież z Pustyni Róży. To tam najwięcej słońce grzało cały rok, to tam rosły tylko kaktusy i agawy, to stamtąd pochodzili najbardziej odporni i mężni wojownicy. Lecz, po prawdzie, wszyscy pozostali marzyli teraz już tylko o tym, by schłodzić swe nagrzane członki w balsamicznie czystej chłodnej wodnej kąpieli.

– Książę Kanclerzu, czy Tepik wpłacił już do naszego skarbcza jakąś część z sumy wojennych kontrybucji? - spytał Amargadeusz.

– Nie, Wasza Wysokość, jeszcze nic nie wpłynęło. - odrzekł Kowdlar.
- Z tego co mi wiadome, królestwo Spoka ma dokonać pierwszej wpłaty od momentu końca zbiorów w tym kraju.

– To powiedz mi, Kowdlar, jak tam nasze finanse. Czy skarbiec pełen?

– Wasza Wysokość, nie grozi nam żadna zapaść, ale skarbiec, trzeba to przyznać, jest mocno nadwątlony. Na bieżące sprawy powinno wystarczyć, ale gdyby była jakaś klęska, pożoga lub powódź w naszym państwie,

mogłoby być nieciekawie. - Cały czas mówił Kowdlar.

– Hm.... To mnie martwi – było czuć nutę rozczarowania w królewskim głosie. - Nie chcę wprowadzać żadnych nowych podatków. Wyspy Gnomów również już nam nie przynoszą od dłuższego czasu żadnych większych dochodów, czyż nie tak, Kanclerzu?

– W samej rzeczy, Miłościwy Panie. - potwierdził Kowdlar.

– Przyjdzie Nam czekać na wpływy od Spoka. Jak sędzę zbiory w tym kraju powinny się skończyć w ciągu miesiąca. Poprawcie mnie, jeśli się mylę – zapanowała cisza. Król miał rację, zbiory w Spoka przebiegały w innym czasie niż zbiory w Ulandii czy też Fluksji. W Spoka kończyli zbiory w dwa miesiące prędzej niż tych państwach.

Oreta to była przedziwna wyspa. Właściwie nic zielonego tu nie rosło. Jedynie wulkaniczna lawa i piaski białej barwy to wszystko. No może jeszcze kolonie morskich ptaków. Tylko tyle życia na niewielkiej wysepce niedaleko zachodnich wybrzeży Oforyki. Gdy dobijali do piaszczystej plaży słońce było wysoko w zenicie. Jak mówił Temo, nie było na niej dobrego źródła czystej wody, więc kubłaki mieli napęczniałe, pełne wody. Choć, gdy w końcu Uberyk wysiadł z łodzi, gdy zaczął brodzić w białym, wulkanicznym piasku, zrozumiał, że wody może im zabraknąć. Skwar był przecież niemiłosierny.

Temo prowadził ich dość pewnie. Po jakimś czasie stanęli w końcu przed wejściem ni to do jakiej pieczary, ni jaskini. Lecz, jak przyznał Uberyk, nikt, kto nie znał dobrze tego terenu, nawet nie domyśliłby się z odległości kilkunastu łokci, że jest tam coś.

– Panie, to tu – powiedział Temo.

– Hm... dziwne miejsce – przyznał Uberyk.

Kalderonte się uśmiechał; Olert miał kwaśną minę. Pewnie upał im dokuczał. Jak każdemu. Nieco w oddaleniu stało kilkunastu niewolników. To oni, zgodnie z zamysłem Olerta, mieli przetransportować ewentualny

skarbu na łodzi, a później na statek.

– No to wchodzimy – stwierdził Uberyk.

– Panie! - krzyknął nagle Temo – niech pierwszy wejdzie niewolnik. Molewer mówił mi, że skarb jest chroniony. Nie wiem, co miał na myśli, lecz ty, Panie, nie wchodź pierwszy.

– Słusznie prawi – odezwał się Kalderonte. - Piraci zwykli zabezpieczać swe skarby. Robili jakieś pułapki lub zapadnie. Słusznie prawi, niech prowadzi nas jakiś niewolnik.

– Dobrze – zgodził się Mag Uberyk. - Niech i tak będzie.

– Ty – Kalderonte krzyknął do niewolnika. - Ty, idź pierwszy.

Weszli do środka tej pieczary, niewolnik szedł na przodzie. Oni szli za nim, tak w odległości pięciu łokci. Nic się jednak nie działo. Chyba Temo był przeczulony.

Uberyk nie czuł żadnego zagrożenia. A gdyby takowe było, on na pewno wyczułby to pierwszy swoją intuicją. Przeszli wąski korytarz. Ale nagle poczuli powiew świeżej bryzy. Początkowe ciemności rozjaśnił promień światła. Poszli w tym kierunku.

Niewolnik, cały strwożony, szedł na przodzie. Ale wyglądało na to, że nie było żadnych zabezpieczeń. Widocznie sama lokalizacja wyspy Orety, a także niegościnne tereny były wystarczającą ochroną dla skarbu Molewera. Nagle korytarz skończył się i wyszli na wprost oświetlonej komory. Była oświetlona, bowiem z lewej strony było skaliste ujście wprost w otwarte morze. To wyjście było zupełnie niedostępne zewnątrz. Ewentualny intruz musiałby pokonać z morza stromy klif, by wejść tą drogą. Praktycznie było to niemożliwe. Ich oczom ukazały się ciężkie kufry, które leżały w bezwładzie na środku komory. Kalderonte podszedł ostrożnie do jednego kufra. Otworzył niezabezpieczoną pokrywę. A w środku! Kufer wypełniony był po brzeg złotymi monetami. Bez wątpliwości były z najczystszej próby złota.

– Panie, złote talenty – Kalderonte krzyknął do Maga.

Równocześnie Olert zaczął otwierać pozostałe kufry. W kolejnej były już nie złote talenty, ale szlachetne kamienie, po sam brzeg. Diamenty, rubiny, szmaragdy zielone jak trawa wiosennej łąki, były też szafiry błękitne jak oczy bogdanki. Olert śmiejąc się, niby szalenciec, zaczął przesypywać drogocenne kamienie z ręki do ręki.

– Regencie, to prawdziwe bogactwo – krzyczał, śmiejąc się niczym niespełna rozumu.

I Uberykowi udzielił się ten duch szczęścia i wariactwa. I on szybko, nie patrząc się na powagę i swój majestat, podbiegł do kolejnego, jeszcze nie otwartego, kufra i otworzył go z hukiem.

A tam były białe jak mleko tura perły, kolie. I były też te czarne, niby smalona żagiew. Ciosy mamucie i kość słoniowa, rogi jednorożców podobne do ostrych muszli morskich. Korale czerwone jak krew ofiarna z ołtarzy Kerdolota i Koboka.

Mag Uberyk chyba cały czas dotąd myślał, że to jakiś żart, jakaś igraszka losu. I jego ludzie tak myśleli. Ale rzeczywistość okazała się o wiele bardziej bogatsza i wspaniała. Oto mieli u swych stóp prawdziwy skarb. Prawdziwe bogactwo. Jego wartość z nawiązką pewnie starczy na opracowanie i realizację kolejnej, bardzo znacznej, akcji przeciwko, jak mawiał Uberyk, tyranowi Amargadeuszowi.

To były tysiące tysięcy złotych talentów. Uberyk, Olert a także Kalderonte byli niczym wniebowzięci. Tak chyba wygląda szczęście. Temo patrzył na nich w szerokim uśmiechu. Niewolnicy stali cali oniemiałi. Pierwszy doszedł w końcu do siebie Mag Uberyk. Nagle spoważniał. Chwycił i potrząsnął Olertem i krzyknął mu prosto w twarz.

– Niech niewolnicy ładują te skarby na łodzie.

To właśnie dzisiaj Kowdlar postanowił, iż osobiście pójdzie do magicznej groty, gdzie najczęściej przebywał Mistrz Kapa. Była to ta sama grota, którą wybudował dla siebie Uberyk. Po zdradzie Uberyka wprowadził król Amargadeusz kazał zniszczyć wszelkie ślady po tym wstrętnym

renegacie Uberyku, w tym także i tę grootę, ale w końcu Mistrzowi Kapie udało się przekonać króla, by zachował ten przybytek Mocy i Magii Wszelakiej. Było to doskonałe miejsce. Nieco oddalone od Zamku Królewskiego, ale równocześnie na tyle blisko, iż Mistrz Kapa mógł z powodzeniem uczestniczyć w dworskim życiu i być przede wszystkim na każde życzenie króla.

To tu zresztą Mistrz Kapa odkrył szereg dowodów na to, iż Mag Uberyk na długo przed oficjalną zdradą prowadził działania, by zaszkodzić prawowitemu władcy, królowi Amargadeuszowi. To tu Mistrz Kapa znalazł szmaciany gałganek, wizerunek króla, poprzekłuwany licznymi igłami i gwoździami. Były też inne dowody świadczące, iż Mag Uberyk używał Magii, byleby tylko zaszkodzić monarsze.

– Jak zdrowie Atagra? - usłyszał od Mistrza Kapy Kowdlar, gdy wchodził do groty. Zdumiało go to zresztą, bowiem Kapa przecież nie mógł wiedzieć, iż to on go odwiedził. Chyba że... No tak, to była po prostu czysta magia.

– A dziękuję, Ekscelencjo. Zupełnie dobrze – Kowdlar już stał naprzeciw Kapy. - Teraz codziennie trenuje fechtunek. Zapalił się do tego. Myślę, że będzie w tym dobry.

– Tak, książę, będzie niepokonanym. - wtrącił Mistrz Kapa. - To wprost wynika z jego horoskopu.

– Tak, Ekscelencjo, ale ja chyba nie zamawiałem u ciebie horoskopu dla niego. - Kowdlar się wzburzył.

– Ty, Panie, nie, lecz Jego Wysokość, król Amargadeusz, tak. Król pragnął poznać horoskop, Panie, twego syna.

– Aha. No to zmienia postać rzeczy – przyznał pokornie Kowdlar. - Więc, jeśli król poznał horoskop mego syna, to czy i ja nie mógłby go poznać także, Mistrzu? Może masz dla mnie kopię?

– Książę, postaram się dla ciebie o ten papirus. Wybacz, ale teraz nie pamiętam już w detalach treści tego pisma. Bo to było kilka lat temu, gdy król sobie tego zażyczył. Tyle, co pamiętam, to to, iż będzie z niego

niepokonany wojownik i wódz godny swego ojca i tytułów, które również odziedziczy po tobie, Panie.

Kowdlar aż cały pokraśniał na licu z zadowolenia. Nie krył tego zresztą.

– Mistrzu Kapo, nie przychodzę jednak tu do ciebie w sprawie mego syna, lecz ...

– Tak, książę.

– Otóż przychodzę w sprawie świątyni, a właściwie budowy świątyni Isztar w Wendzie.

– O! - ucieszył się Kapa.

– Nasz Pan, król Amargadeusz – kontynuował Kowdlar – jak ci dobrze wiadomo, chce nadal wesprzeć finansowo tę budowlę. Król postanowił nawet przeznaczyć dodatkowo ze skarbu państwa kolejną określoną kwotę na ten cel.

– O jakże się cieszę, książę Kanclerzu – Kapa był szczerze rad tym, co słyszał.

– Ekscelencjo, przyszedłem tu w celu określeniu tej sumy. Ile złotych talentów potrzebujesz jeszcze, Mistrzu, by dokończyć to dzieło?

Mistrz Kapa zamyślił się. Zamknął nawet oczy, i jakby liczył w pamięci. Przez tę krótką chwilę Kowdlar mógł się przekonać, że od czasów Uberyka niewiele się w tej grocie zmieniło. Kowdlar był tu już kiedyś. Ba, nie raz czy dwa. Ale było to jeszcze w czasach Maga Uberyka. Teraz jednak mógł stwierdzić, że w kącie stał chyba ten sam szkielet ludzki. Mumia elfa może była tylko przesunięta, ale była to ta sama, tak mu się zdało, którą miał już tu Uberyk.

– Książę, brakuje około ośmiu tysięcy złotych talentów. Ta suma wystarczyłaby w pełni, by projekt zrealizować do końca.

– Dobrze, Ekscelencjo. Dostaniesz tę sumę. Król jednak ma nadzieję, że będzie mógł jeszcze do końca roku uczestniczyć w misterium Isztar w tej świątyni.

– O tak, Kanclerzu. Jak dobrze wiesz, świątynia już stoi. Jednak miałem określone trudności, przyznam, że głównie o naturze finansowej, by ukończyć realizację tego projektu. Ale w pół roku świątynia, jeśli oczywiście dostanę te osiem tysięcy, będzie już uroczyście otwarta.

– No, to dobrze – przyznał Kowdlar. - przekażę więc Naszemu Panu, królowi Amargadeuszowi, tę dobrą wiadomość. Na pewno się ucieszy.

– Generale, czy pozbyłeś się ciała Temo i tych niewolników, którzy byli z nami na wyspie Orecie?

– Panie, są niejake trudności. Temo bowiem, zorientował się, iż moi ludzie chcą go zabić.

– Co, generale? Co ty pleciesz? – Uberyk z wściekłością rzucił jadowite spojrzenie w kierunku Olerta. Było to to spojrzenie, które wieśniacy intuicyjnie nazywają złym okiem. Na co Olert zachnął się, lecz nie stracił wątku.

– Panie, Temo chyba liczył się z tym i to już prawie od samego początku. Na początku wprawdzie naiwnie wierzył, że wkupi się w nasze łaski tym skarbem, ale potem chyba się zorientował, że ty, Panie, chcesz się pozbyć zbędnych świadków.

– I co, uciekł wam?

– Tak, Regencie. Nie wiemy, gdzie się ukrywa.

– Hm ... To źle. Czuję, że będzie się mścił. Jeśli go nie znajdziecie, powie o wszystkim Amargadeuszowi. Byłoby to jednak bardzo złe dla nas. Po co nasz wróg, Amargadeusz, ma wiedzieć? To tylko może go w konsekwencji wzmocnić.

Mohawe to nie było jakieś bardzo ucywilizowane miejsce. Tym bardziej warownia Kote. A to tam władca Mohawe ulokował w końcu Uberyka z jego świtą. Siedzieli w okrągłej izbie. Zimne, nieociosane kamienie stanowiły

główny składnik murów, które tu służyły jako ściany. Uberyk nie czuł się tu dobrze. Twierdził, iż jakoby krzyżują się w tej izbie złe promieniowania. Wprawdzie jako mag umiał zneutralizować te energie. Ale jego organizm był tak czuły, iż nadal nie czuł się tu komfortowo.

– Panie, Temo jednak będzie trudno niepostrzeżenie oddalić się z Mohawe. - powiedział generał Olert. - Właściwie jeśli nie przebierze się w szaty niewiasty, lub inaczej nie zabezpieczy się, to wątpię by w najbliższym czasie udałoby mu się uciec z Mohawe. Panie, moi ludzie są czujni. Myślę, że w końcu dostaniemy go w nasze ręce. Wyznaczyłem nagrodę za informację.

– Gdzie ukrywa się Temo? - wtrącił Uberyk.

– Właśnie, Panie.

– Dobry pomysł, generale – Uberyk jakby odetchnął z ulgą. - Ludzie za pieniądze sprzedadzą nawet swoją matkę. - Olert, słysząc to, kwaśno się uśmiechnął. Lecz nie rzekł słowa.

Zamilkli na chwilę. W tym czasie Uberyk przybliżył się do drewnianego stołu, który stał na środku tej celi. Tam to na paterze leżały owoce. Pomarańcze, winogrona i te ciemne i jasne, ale wszystkie duże, dojrzałe i pełne słodkiego soku. Obok były pokrojone w plastry arbuzy. Uberyk nieśpiesznie wziął kawałek arbuza. Już po chwili czerwony miąższ wprost z ust kapał na kamienną podłogę.

– Proszę, generale, proszę się częstować – Uberyk jakby przypomniał sobie, że w kącie stoi Olert.

– Dziękuję, Regencie, ale ja o tej porze już nic nie jadam. Zwykłem owoce jeść na śniadanie.

– Słusznie. Brawo, generale. Ale wiesz, czasami warto zgrzeszyć. Cóż by było warte nasze życie bez mały grzeszków i folgowania sobie od czasu do czasu, ale, masz rację, nie za często. Może jednak się skusisz? - Uberyk był wręcz przymilny.

– Dziękuję za tę łaskę, ale , Regencie, od jakiegoś czasu mam pewne

sensacje żołądkowe. Muszę bardzo rygorystycznie pilnować swych posiłków.

– Aha. No to trudno. Powiedz mi tylko, generale, co Ci dolega, przecież wiesz, że ja mogę w wielu takich sprawach pomóc. Może Ci polecę jakieś zioła? - Uberyk naprawdę zainteresował się boleścią swego sługi.

– Nie śmiałem, Panie, Ci zawracać głowy.

– No, mów, mów, co Ci dolega?

Jakiś barak, albo szopa. Drewniana konstrukcja. Temo był osłabiony, czuł, że musi gdzieś spocząć.

Oczy odmawiały już posłuszeństwa. Ostatkiem świadomości doczołgał się do tej szopy. Na szczęście wrota nie były zamknięte. Wszedł. W środku były krowy i świnie, i było też tam mnóstwo siana. Zwierzęta nie zaniepokoiły się, zignorowały go totalnie. Nawet jeden ton protestu. A on był bardzo zmęczony. Nie namyślając się ułożył się na tej kupie siana. Upił tylko jeszcze solidny łyk wody z kubłaka. I zapadł w sen. Byłby tak spał do rana, ale wtem, w środku nocy, było może po drugiej, coś go wytrąciło ze snu. Nagle poczuł, że ktoś go obserwuje. Poczuł to dobrze, tak dobrze, iż nawet od tego dostał gęsiej skórki. Walcząc z sennością, zmusił oczy do posłuszeństwa. Zobaczył, iż ktoś stoi nad nim. Ktoś dziwnie mały.

Co to jest ? - pomyślał. Lecz wnet rozwiązał tę zagadkę. Już nieco bardziej rozbudzony zobaczył, iż jakiś stary gnom przygląda mu się. Ten gnom trzymał w ręku lampkę oliwną. Jasny, spokojny płomyk rozświetlał ten skrawek stajni, gdzie wprzód ułożył się na sianie Temo.

– Kim jesteś, nieznajomy ?– powiedział gnom, gdy zorientował się, iż intruz w jego stajni już był przytomny.

– A ty? - Temo odparował.

– No, ja tu jestem u siebie. A ty leżysz w mojej oborze.

– Jestem Temo. Potrzebuję schronienia, szukają mnie źli ludzie.

Widzisz – Temo wyciągnął zza pazuchy piękny okaz oszlifowanego, krwistego rubinu. - Zapłacę Ci, jeśli mnie nie wydasz, jeśli mi pomożesz.

– Jeśli to są ludzie króla, to przykro mi, nie pomogę Ci.

– Nie, to nie są ludzie od was. To przyjezdni, tacy jak ja. To ludzie Maga Uberyka.

– Aha – gnom się zamyślił. - Zwą mnie Jeryl. Od kilku lat mieszkam tu. A pochodzę z Wysp Gnomów. Lecz moją ojczyznę zniszczyli ludzie, źli ludzie. Może tak źli, jak ci co Ciebie szukają.

– Pomóż mi, mam takich rubinów cały mieszek. Mogę się z tobą nim podzielić.

Ale nikt nie może wiedzieć, iż ukrywam się u Ciebie.

– Skąd u Ciebie takie bogactwo? – Jeryl był zadziwiony. - Przecież masz ledwie pocerowane portki na sobie.

– A to dłuższa historia. Ale powiem Ci tylko jedno, to właśnie ten skarb jest pośrednio powodem, iż ci ludzie mnie szukają.

– Jeśli jesteś złodziejem, to nie mogę przyjąć od Ciebie nic cennego. Idź lepiej stąd i nie narażaj mnie i mojej rodziny.

– Nie, Jeryl, ja nic nie ukradłem. To właśnie ci ludzie chcą mnie na zawsze uciszyć, by nikt nigdy nie dowiedział się, skąd między innymi ten skarb pochodzi.

– Więc skąd to masz? - gnom był zaciekawiony.

– Lepiej nie pytaj. Właśnie wtedy, gdybym Ci rzekł, byłbyś, podobnie jak ja teraz, w niebezpieczeństwie.

– Aha – gnom zafrasował się. Spojrzał na te gatki intruza i rzekł. - Mam tu gdzieś spodnie na człowieka. Miałem niewolnika, pomarło mu się na dusznicę, ale był mniej więcej twojej postury. Będą pasować. - Gnom sięgnął po coś z boku, pewnie po te spodnie. Była to może stara lub zniszczona komoda.

Wtem, zza wrót, dobiegł jakiś hałas. Ktoś tam najwidoczniej był. Temo poczuł się zagrożonym. Ktoś się tam skradał lub był tam ukryty.

– Tato, gdzie jesteś? Matka dostała dreszczy.

Jeryl, słysząc to, rzekł do Temo.

– To moja córka, Partywa. Żona ma choruje. Córka ją dogląda. Zaraz wracam. - Głośno zaś Jeryl krzyknął: - Już idę córciu. Idź do matki, zaraz tam będę.

Jeryl zrobił w kierunku Temo ten charakterystyczny gest, który zawsze oznaczał i będzie pewnie do końca świata znaczył to samo. A gest ten przekazują sobie zawsze przedstawiciele płci męskiej i oznaczał sztamę pomiędzy samcami: ach te baby.

Jeryl wyszedł więc czym prędzej, zostawił jednak zapaloną lampkę oliwną. Temo zobaczył, iż spodnie, które mu ten gnom ofiarował były całkiem do rzeczy. Pewnie warte były miedziaka albo dwa.

Niespiesznie zdjął swe stare, potargane portki, dość nieświeże, i założył ciepłe, wełniane spodnie od Jeryla. Pasowały jak ulał. Choć lato było w tej części świata, to jednak Temo zdążył już się przekonać, że nocki tu były cokolwiek zimne. Ciepły odziewek był więc tu praktycznie konieczny. Światło z lampki pozwoliło mu się nieco rozejrzeć po tej stajni lub oborze, która była własnością gnoma Jeryla. W boksie stały dwie krowy, a dalej w solidnym narożniku stał, a właściwie spał, biały tur. Zwierzęta dalej nie robiły sobie nic z obecności intruza. Były też trzy wieprzki i maciora z małymi. Mógł je teraz w poświacie lampki zliczyć. Zwierzęta ułożone na słomie spały. Jedyne wierzganie racicami świadczyło, że chyba miały barwne sny. I te małe z miotu i ta stara maciora. W ogóle, co przyznał w duchu Temo, obora ta była dość zadbana. Świeża słoma jako ściółka, siano pachnące na solidnym kopcu. Pewnie dla tura. Wszystko wokół czyste i nawet klepisko porządne. Bez zbędnych gratów.

Minęło pięć może siedem minut. Przez ten cały czas Temo zastanawiał, co też zrobi ten gnom Jeryl. Jednak miał nadzieję, iż gnom w końcu skusi się

na te piękne, krwistoczerwone rubiny, które miał w swym mieszk. Gdy był na wyspie Orecie wraz z Magiem Uberykiem i jego ludźmi, Temo w czasie pewnego zamieszania wziął sobie niepostrzeżenie kilka cennych rzeczy, w tym ów mieszek z rubinami. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia, w końcu to jemu ów skarb powierzył Molewer.

Temo miał nadzieję, że Jeryl, jak większość gnomów, był łakomy na wszelkiego rodzaju dobra. Dlatego, choć był mocno zdenerwowany, Temo wierzył w swą szczęśliwą gwiazdę. W samej rzeczy, po owych siedmiu minutach, Temo usłyszał, iż znowu ktoś wchodzi do obory. To był Jeryl. I był tylko sam, bez siepaczy Maga.

– Szanowny Temo – dobiegło go od progu obory. - Mam dla Ciebie propozycję. - Do środka wszedł gnom. - Otóż, możesz liczyć na naszą pomoc.

– Na jaką naszą? Chodzi mi o twoją pomoc. Tylko twoją.

– Nie denerwuj się. Możesz liczyć na dyskrecję moją i mojej córki Partywy. Już jej powiedziałem. Zresztą ona usłyszała, że z kimś rozmawiam w oborze. - Gnom uśmiechnął się dość sztucznie.

– Aha. Jesteś za nią pewny? - Temo był w sytuacji takiej, iż musiał godzić się na wszystkie warunki gнома.

– Tak, Temo. Powiedziałem jej, że szczerze zapłacisz.

– No tak, wszystko się zgadza. - Temo znowu wyciągnął zza pazuchy czerwony rubin.- Dostaniesz takich dziesięć kamieni, jeśli pomożesz mi w ucieczce z Kote i z Mohawy. One wszystkie są warte około dziesięciu tysięcy złotych talentów. Wiem coś o tym, bo terminowałem onegdaj u złotnika. Będiesz mógł za to dostatnio żyć, a także na posag córki starczy. Zorientowałem się, że jest ona jeszcze niezamężna, czyż nie? Czy u gnomów również to córki muszą być uposażone w posag? Popraw mnie , jeśli się mylę.

– W samej rzeczy to dużo – przyznał Jeryl. - Ale ja i moja rodzina dużo ryzykujemy. Uberyk jest przecież bezwzględny. Choć to Amargadeusz zrujnował moją ojczyznę, a formalnie Uberyk z nim walczy. Jednak my

gnomy wiemy już dobrze, że nic, co pochodzi z Ulandii, nie może być dla nas dobre. Ponadto Karon, władca Mohawy, sprzyja Uberykowi, i na pewno nie zrobi nic przeciw niemu, cokolwiek by tamten złego nie zrobił. - Gnom zrobił gest zapraszający. - Proszę Cię, Temo, chodź za mną. Będziesz gościem w mym domu. Będiesz tam zupełnie bezpieczny do czasu, aż zorganizuję dla ciebie ucieczkę z Kote.

– Azali czy mogę Ci w pełni zaufać? - Głos Temo zabrzmiał dość niepewnie.

– Możesz. Choć my, gnomy, jak powiadają ludzie, jesteśmy pełni wad, to jednak dotrzymujemy zawsze swoich zobowiązań. Tak jak wymaga tego choćby handel. My jesteśmy wręcz stworzeni do handlu. Wiesz o tym dobrze.

Budowa świątyni Isztar postępowała sprawnie. Właściwie do ukończenia zostały już tylko prace wewnątrz budowli. Mistrz Kapa praktycznie czuwał dniami i nocami, by wszystko szło właściwym tokiem i bez zbędnej zwłoki. Ta świątynia była oczkiem w głowie Mistrza, chciał się zapisać w historii Wendy, jako ten który wybudował świątynię Isztar, tej bardzo popularnej bogini na ziemiach południa. Oprócz samej budowli Mistrz Kapa musiał także zadbać o to, by utworzyć swoisty krąg, lub zakon, który będzie doglądał wszelkich spraw związanych z kultem Isztar. Będą to młode dziewice, które zamieszkają wokół budowli. One będą uczestniczyć i prowadzić misteria, modły i w ogóle cały kult tej bogini. Oczywiście głównym kapłanem będzie mężczyzna, ktoś kogo z rekomendacji Mistrza Kapy wyznaczy sam król Amargadeusz. To nie będzie Kapa, choćby nawet on chciał. Nie pozwalają jednak na to jego obowiązki. Służba dla króla zajmuje go bowiem niemal w całości.

Już teraz, Gdy Kapa wchodził do budowli dech mu zapierał w piersiach. Gigantyczna kopuła oparta na arkadach, które niczym nogi słonia były potężne i masywne. Choć wewnątrz ma być docelowo dość skromne i surowe, jednak Kapa miał w planie ozdobić ściany arrasami Helawitów, a także stół ofiarny miał być w całości wykonany z bursztynu i złota. Będą to dodatkowe koszty. Lecz Kapa cały czas liczył na szczodroliwość króla, i trzeba

przyznać nie zawiódł się na tym dotąd. Liczyć mógł także na hojność możnowładców z całej Ulandii. Sam książę Kanclerz Kowdlar wysupłał ze swej kabzy kilka tysięcy ulandzkich złotych dinarów. Elektan Ztor wyłożył również niemałą sumkę. Kapa zaręczył im, iż każdy hojny dawca będzie miał w środku świątyni upamiętniającą ten czyn tablicę honorową. Więc przynajmniej do końca funkcjonowania świątyni Isztar, pamięć o nich nie zaginie.

Oczywiście, ludzie pokroju Kowdlara lub Ztora i tak będą już zapisani w historii Ulandii, ale taka zachęta w postaci upamiętniającej tablicy będzie motywowała innych, równie bogatych, ale już nie tak utytułowanych krajan.

Ostatni przyływ pieniędzy, dzięki łaskawości monarchy, na nowo podkreślił tempo prac w świątyni. Te kilka tysięcy złotych talentów pozwoliło postawić niemal w całości szkielet i ramy przyszłego ogromnego ołtarza ofiarnego. Złote elementy były już w nim niemal w całości wykonane, teraz jeszcze brakowało tylko , by bursztynowe ozdobniki wypełnimy do końca tę złotą konstrukcję. Czerwone arras były już sukcesywnie wieszane na ścianach. Cykl tych arrasów przedstawiał historie bujnych związków uczuciowych bogini Isztar z bogiem Kerdolotem. Kerdolot uwiódł Isztar przyjmując postać skromnego pastuszka, który pasał tury. Isztar urzekła prostota i piękno i szlachetność duszy młodego pasterza. Zakochała się w nim, i chciała nawet opuścić swych boskich towarzyszy. A wtedy Kerdolot ujawnił się.

Wówczas to doszło do pierwszej kłótni między tymi bogami, bowiem Isztar poczuła się do głębi zraniona tą mistyfikacją. Pierwsza burza z gromami, jaka nawiedziła ludzi, była wyrazem swary między bogami. Jednak w końcu pierwotne uczucie Isztar do postaci pastuszka zwyciężyło i Isztar uległa Kerodolotowi. Odtąd jednak od czasu do czasu wybuchała kłótnia między kochankami i gromy godzą w ziemię, działo się tak wówczas, gdy Isztar przypominała sobie paskudny fortel Kerdolota.

Król Amargadeusz był kontent z przebiegu prac nad budową nowego, dużego portu Awefe.

Tę realizację kontrolował z ramienia Kanclerza murgrabia Elubed. Przy okazji Elubed realizował także swoje plany finansowe. Wywiązywał się

jednak bardzo dobrze ze swych powinności. Amargadeusz był zadowolony. Port Awefe już praktycznie przyjmował okręty z całego znanego świata. Elubed musiał jeszcze tylko zadbać, by dokończono w całości projekt, który zatwierdził książę Kanclerz. Na początku pory żniw Ulandię obiegła lotem błyskawicy wiadomość, iż dawna królowa, Kodyna, umarła w końcu na obczyźnie, złamana hańbą i wstydem, w które życie nie oszczędzało jej nawet na wygnaniu. Umarła na kobiecą słabość, ale medycy, gnomy z Wysp Gnomów, orzekli, iż to niesława przyczyniła się głównie do jej dość nagłej śmierci.

Król Amargadeusz przyjął tę wiadomość ze spokojem. Nie czuł już od dłuższego czasu żadnych złych emocji do Kodyny, choć przecież ona zdradziła go i pośrednio godziła w jego życie. Król teraz jednak był szczęśliwy. Na dniach miał przyjść na świat jego potomek. Król słał dary na ołtarze świątyn Koboka, bo jak głosi tradycja ten bóg wody, morza i rzek mógł ingerować w to, jakiej płci dziecko porodzi brzemenna kobieta. Król modlił się do Koboka, by ten pozwolił, by Ulandia doczekała się swego delfina, męskiego prawowitego następcę króla. Jediną chyba osobą w całym królestwie, której było to nie w smak była tylko Logoberda, córka Kodyny. Amargadeusz cały czas, a jej młodość już się praktycznie kończyła, nie dopuścił do zamążpójścia swej córki. A było już ku temu kilka poważnych propozycji z całego świata. Wszyscy jednak szlachetni kandydaci liczyli na to, iż ożenek z Logoberdą sprawi, że w konsekwencji, po śmierci Amargadeusza, będą panować w Ulandii. Ta koncepcja jednak nie za bardzo podobała się samemu Amargadeuszowi.

Dlatego zwlekał i zwlekał z decyzją, a Logoberdzie w tym czasie przybywało lat. Ponadto rozleniwiona księżniczka utyla sporo, i choć nigdy nie należała do piękności, teraz jednak tym bardziej nie prezentowała się powabnie.

Sylanda w zaawansowanej ciąży wręcz promieniała. Przyjmowała z królewską dumą wszelkie oznaki szczodrobliwości swego męża, którymi raczył on ją. Król podarował królowej kopalnie soli i glejt na wydobycie soli. Kopalnie te były założone w Kytre, na północy kraju. Od złotych koli i sznurów pereł, które podarował także w tym czasie Amargadeusz Sylandzie, pewnie już królową szyja bolała. A król w miłosnym zapamiętaniu nie umiał

przestać obdarowywać swą połowicę w kolejne precjoza.

Król oczekiwał na potomka, a w kraju faktycznie rządził książę Kanclerz. Wszystkie bieżące sprawy trafiały na jego kanclerskie biurko. Kowdlar wprowadził jednak pewne novum w kraju. Bowiem dotąd wszelkie sprawy załatwiano indywidualnie.

Lecz oto teraz Kowdlar, na wzór modelu, który już od pewnego czasu stosował Oland, wprowadził podobne procedury w swej pracy. Powstał pewien twór biurokratyczny. Twór, który zwał się kancelarią Kanclerza, a który to faktycznie przejął rządy w kraju. Więc teraz to nie król rządził, to nie Kanclerz sprawował władzę, lecz krajem rządziła grupa ludzi z obsady kancelarii. W ten to oto sposób, Ulandia przeszła kolejną fazę rozwoju swej państwowości, stając się poniekąd państwem kolesiostwa. Owszem, ostatecznie to książę Kanclerz parafował wszelkie ważne decyzje, a król je podpisywał, ale pomału, pomału centrum władzy zaczęła przejmować grupa ludzi, znajomych, krewnych, spowinowaconych z tymi, którzy organizowali pracę kancelarii księcia Kanclerza. Kamaryla dworska szybko odkryła nowe porządki, dandysi i damy dworu wlot pojęli do kogo kierować teraz swe umizgi. Punkt podparcia władzy przesunął się. A co najdziwniejsze, ani król, ani sam Kanclerz Kowdlar jakby w ogóle nie zorientowali się, że dokonała się swoista ewolucja władzy w kraju. I król był zbyt zajęty swymi sprawami rodzinnymi, a Kowdlar miał jak dawniej tak samo zavalony pracą praktycznie cały dzionek. Byćmoże sprytni biurokraci z kancelarii Kanclerza specjalnie organizowali tak czas pracy swemu mocodawcy, że tamten nawet nie zorientował się, w co tu się gra. Dziwnym tylko było to, że przykładowo nowe koncesje na produkcję piwa lub glejty na handel morski dostawali z reguły ludzie związani przeróżnymi więzami dalekiego pokrewieństwa czy to z Dertem, zarządzającym pracą kancelarii Kanclerza, czy z Plorem, sekretarzem tejże. I Dert i Plort pochodzili ze szlachty, ale do kancelarii, którą stworzył Kowdlar, trafili tylko i wyłącznie z powodu swej niezwyklej pracowitości i posłuszeństwa, w ramach ówczesnych struktur. Było to pięć może sześć lat wstecz. Przez te kilka lat, gdyby Kowdlar wykonał mały wysiłek i sprawdził ich dzisiejszy status majątkowy, ze zdziwieniem odkryłby snadnie, iż pomnożyli oni swe majątki w tak wielkim stopniu, iż porównywalne one stały się już nawet do majątku samego Kanclerza lub innych dygnitarzy Ulandii.

A to przecież oficjalnie służba była. Pracowali oni niczym niewolnicy, byli na każde zawołanie. Tak się przynajmniej zdawało Kowdlarowi. I ludzie ci równocześnie poczęli zmieniać swe rytuały. Dert w końcu wymógł na Kanclerzu, by sklasyfikował on oficjalnie hierarchię panującą w kancelarii. Oczywiście na czele tej grupy stanęli oni sami. Dert uzyskał tytuł konsula administracji, Plort został mianowany inspektorem służb. Do nich to trafiły faktyczne obowiązki zarządzania krajem. Choć formalnie król Amargadeusz mógłby jednym gestem ręki i woli zburzyć tę starannie opracowaną i konsekwentnie wykonaną strukturę w państwie. Jednak jak to dobrze wszyscy wiedzą, oto prowizorki wytrzymują z reguły najdłużej. A Dert, Plort i ich poplecznicy korzystali jak mogli ze swego dobrego czasu; bez żadnej zwłoki pomnażali swe wpływy i majątki.

Uberyk nie umiał się powstrzymać. Z lubością przyglądał się temu dziwnemu kamieniowi. Jak powiedział złotnik, który dobrze znał się na swym fachu, to był największy diament, jaki widział na oczy. Kamień był większy niż pięść dorosłego człowieka. Owszem, nie był oszlifowany, ale nie miał też żadnych skaz. Uberyk czuł jakąś dziwną energię promieniującą z tego kamienia. W izbie było jakieś napięcie, jakieś uwięzione emocje. Mag nie umiał odeń oderwać wzroku. Ten kamień bez wątpienia hipnotyzował go. Może urzekał lub tumaniał. Gdy katalogowali pobieżnie, jeszcze tam na wyspie Oreta, razem z Olertem i Kalderonte skarb, gdy dzielili między sobą łupy, nagle Uberyk dojrzał go pośród szafirów i rubinów. Początkowo wszyscy myśleli, że to kryształ górski, lecz cóż by robił pospolity kamień między szmaragdami czystej wody i szafirami. Już wtedy Uberyk poczuł dziwną moc tego kryształu. Ten kamień miał bez wątpienia swoją duszę. Choć Mag Uberyk doskonale wiedział, iż wszystka materia ma swą emanację energii, wszystko cokolwiek istnieje odznacza się wibracją tej Pierwszej Przyczyna, która stworzyła świat, ten kamień miał swą duszę przedziwną. Taką mocną, taką silną. Taką skondensowaną. Niepodobną do niczego. Gdyby tylko udało się wyzwolić moc tego kamienia, można by panować jeszcze co najmniej na drugim planie świata, na planie astralnym. Ten kamień z pewnością ma moc, tak silną, by formy astralne podporządkować sobie. To przeczcucie graniczące z pewnością atakowało cały czas- ten czas, gdy przyglądał się mu- umysł Uberyka. To

dopiero byłaby potęga. Panować nad planem astralnym?! To coś więcej nawet niż stworzenie Kamienia Filozoficznego. W tym to momencie, gdy myśli Uberyka krążyły wokół tych możliwości, tej siły, którą zyskałby, gdyby udało mu się zapanować nad duszą diamentu, usłyszał kroki. Tak chodził tylko jeden człek.

To musiał być Olert. I w rzeczy samej, Uberyk pewnie zawołał : -

– Wejdz, generale.

Do izby wszedł Olert.

– Regencie, nie mam dobrych nowin. - powiedział na powitanie.

– Cóż się stało?

– Oto, Panie, straciliśmy trop Temo. Nie wiemy, gdzie się zaszły. Lecz istnieje duża szansa, że jeszcze nie opuścił Kote. On tu gdzieś jest, czuję to. Wewnętrzny głos mi to mówi – prawil Olert.

Uberyka to zdumiało, bo w tej grupie to jedynie on miał glejt na przeczucia. A tu Olert oto chwali się przed nim swą intuicją. Niezwykłe.

– Masz rację, generale. I mnie się tak też zadaje. Byłoby dla nas bardzo złe, gdyby Temo udało się uciec i przedostać się do obozu naszego wroga.

– Regencie, moi ludzie cały czas węszą. I nie ustaną w swej pracy. Jeśli tylko odkryją jakiś ślad po Temo, dowiem się i przekażę Ci tę wieść niezwłocznie.

– Generale, powiedz mi jakie są wstępne ustalenia ze złotnikiem Imidesem, ile on jest w stanie dać za ten korzec szafirów, który mu przygotowaliśmy? - Uberyk zmienił temat rozmowy. Równocześnie włożył diament do dużej szkatuły. Olert temu się przyglądał.

– Panie, jest gotów dać trzysta tysięcy złotych talentów. - Olert odrzekł.

– O! To sporo, nawet więcej niż myślałem. - Ucieszył się Mag.

– Tylko jest jeden problem, Imides utrzymuje, iż może zapłacić w kilku

ratach. Naraz nie jest w stanie zebrać takiej kwoty.

Imides to był główny złotnik w Oforyce. Powiadają, że jego bogactwo było bajecznie. Więc ta uwaga Olerta na temat tego, iż nie może zapłacić w jednej sumie za szafiry była co najmniej dziwna. Zaniepokoiło to Uberyka, lecz nie dał po sobie poznać, że go to zdumiało. Czyżby Olert chciał go oszukać? Dotąd Uberyk nie mógł nic zarzucić wierności swego sługi. Lecz całe życie Maga na tym upłynęło, iż zawsze w końcu ktoś, nawet bardzo zaufany, zdradzał go. No takie miał to życie, nic na to nie poradzi. Główną lekcją jakie mu życie nie szczędziło to było to, by w konsekwencji liczyć tylko na siebie samego. Ten skarb Molewera to był prawdziwy próbiez dla wierności jego najbardziej zaufanych ludzi.

– Niech i tak będzie. To jest jednak dobra cena, a te środki skierujemy od razu, by pracowały na rzecz naszej sprawy – mówił Uberyk. - Oto dowiedziałem się z pewnego źródła, że we Fluksji tamtejsze Tukmaki przy odpowiednich warunkach mogliby się dołączyć do naszej koalicji.

– To fakt, Tukmaki, Regencie, mają stare porachunki z Amargadeuszem – przyznał Olert.

– Jest ich tam kilka tysięcy. Te pieniądze pozwoliłyby im się dozbroić oraz zaopatrzyć w konie i bieżące sprawy związane z wyprawą wojenną. Obiecałem im wstępnie, iż jeśli pokonamy Amargadeusza, to ja im pozwolę się osiedlić na północy Ulandii, będą jedynie musieli mi złożyć hołd poddańczy, a potem w spokoju będą mogli żyć i się rozmnażać w naszym kraju.

– Regencie, czy to nie za wiele? Mogą urosnąć w siłę i będą dla nas zagrożeniem.

– Generale, czy ty nie znasz się na polityce? Czy jesteś jak małe dziecko? Przecież ja im to tylko teraz obiecuję, by do nas przystali. A co będzie potem? Przecież nie dopuszczę, by mieć tego typu zagrożenie w swoim kraju.

– Aha, rozumiem ...

– No właśnie. Tukmaki to prymitywy, ale teraz ich potrzebujemy –

ciągnął Uberyk dalej. - I tutaj, w Oforyce, są skupiska Tukmaków. Tych bardzo spowinowaconych z tymi, co zginęli, wyrżnięci przez armię Amargadeusza, na Wyspach Gnomów. Oni też z chęcią przyłączą się do nas. Jednak chęć zemsty to straszliwa siła.

– Tukmaki to jednak dobrzy wojownicy – przyznał Olert. - Choć to barbarzyńcy, ale dobrze władają mieczem. Jeden waleczny Tukmak to więcej niż trzech wyćwiczonych wojów.

– Sam się zastanawiam, jak to się stało, iż Amargadeusz pokonał ich na Wyspach Gnomów? - powiedział Uberyk.

– Panie, podobno wpadli po prostu w panikę, gdy Kowdlar zabił ich gubertuna, i pierzchli z pola bitwy. A wojownicy królewscy zaczęli ich potem dobijać.

– Tak ... tak ... Taka karma, mieli zginąć, wielu ich wówczas poległo – przyznał Uberyk.- Zrobiłem im nawet horoskop naówczas, nieciekawo był. Tylko śmierć i zatracenie. Ale teraz bogowie będą z nami. I Tukmaki będą miały zemstę. Generale, powiedz Kalderonte , by dokonał tej transakcji z Imidesem, a potem pojechał do Flukcji z misją do Tukmaków. Niech wprzód jednak zamelduje się jeszcze u mnie. To rozkaz.

– Słucham, Panie

Dom Jeryła zbudowany był z kamienia, dach jednak był drewniany. Temo dość szybko poczuł się w nim jak we własnym domu. Partywa była raczej szpetna niż ładna. Ale miała typową urodę gnomów. Miała ośle uszy, z charakteru jednakowoż była raczej przyjacielska. Bardzo prędko nawiązali swoisty rodzaj sztamy między sobą. Matka Partywy, Uka, leżała cały czas w łóżnicy na piętrze. Temo jej nie widział, ale obserwował jak Partywa kursowała co jakiś czas do matki, przynosząc jej cokolwiek ta chciała. A i Jeryl często zachodził do swej małżonki. Dom Jeryła był na niejakiem uboczu. Bo był to jedyny dom gnomów w tej części Kote. Może dlatego był na niejkiej samotni, choć w ważnej części grodu. Jak szybko zorientował się Temo, jeszcze niedawno Jeryl miał do pomocy dwóch niewolników. Lecz

jeden umarł, a drugi wykupił się z niewoli. Dlatego teraz wszystko było na barkach samego Jeryla i jego córki. A do oporządzenia oprócz zwierząt w oborze mieli także niemały ogród i sad jabłkowy. Właściwie Temo ze swoimi rubinami był dla nich zrządzeniem losu. Te kilka tysięcy talentów, jakie w konsekwencji miał dostać Jeryl, bardzo pomogłoby całej rodzinie. Ustawiłoby ich na długie, długie lata. Być może Jeryl mógłby znowu kupić niewolnika lub nawet dwóch. Ponieważ miejsce po niewolnikach zwolniło się, Temo dostał łożę po jednym z nich. Tuż przy kuchni, blisko sieni. Było to o tyle ważne, iż w razie salwowania się ucieczką przed siepaczami Uberyka, Temo mógł bez problemów i łatwo wydostać się z domu.

Następnego ranka, Jeryl pozwolił gościowi odespać tę noc spędzoną w oborze, lecz już tak o ósmej rano Temo sam się obudził, a właściwie to obudził go zapach smażonej jajecznicy na boczku.

Takiej jajecznicy to Temo nie jadł już lata, być może jedynie jajecznicą, którą robiła dla niego matka, była tym, do czego Temo mógł porównać smak jajecznicy u Jerna.

Gnomy jedzą mało, więc cała reszta trafiła na miskę Temo. A było tego dość sporo.

Złociście przysmażony boczek, dodawał barwy smaku potrawie. Po śniadaniu mogli

w końcu w spokoju rozmówić. Partywa poszła przezornie do matki. Siedzieli przy kuchennym stole.

– Jeryl, oto masz dwa kamienie – Temo wyciągnął dwa rubiny, krwiście czerwone niczym zwierzęca jucha. – To masz zadatek, dostaniesz więcej, lecz już wtedy, gdy żegnać będę twe gościnne progi.

– Dobrze. Mam znajomego, który handluje trefnym towarem, wiesz, tak by ludzie króla się nie zorientowali. – stwierdził Jeryl. – Za te dwa kamienie da mi półtora tysiąca.

– No tak, u takiego mniej dostaniesz, niż uczciwa cena, ale chyba masz rację. Gdybyś poszedł z tym do miejskiego złotnika, szybko byś trafił do lochu.

– Znajdę dla Partywy męża. Już jutro napiszę list do mych znajomych, też gnomów, tych z Wysp Gnomów. Oni tam zostali, mimo prześladowań. To rodzina Mutra, dawnego kancelisty w Kopcu Woli. To był ulubieniec Kujku, Przewodniczącego Kopca Woli. Ja wołałem emigrować, niż być poniżanym przez byłych niewolników, tych których uwolnił Amargadeusz. Mutro ma syna w wieku mej córki. Teraz, jak będzie miała godziwy posag, sprowadzę go tu do niej, może się doczekam jeszcze wnuków.

– Pamiętaj, Jeryl, jak ty albo twoja córka zobaczycie rosnących mężczyzn z czarną różą na ramieniu, to strzeżcie się. To są ludzie Uberyka. Jeżeli się pomylicie, to zginę ja, ale i was ta sama dola czeka. Przekonałem się, iż Mag Uberyk nie lubi po sobie zostawiać śladów.

– A co ty, Temo, takiego zrobił, iż na twoje życie nastają?

– Lepiej nie wiedzieć. Będziesz miał spokojniejsze sny. - Temo powiedział to tak z przekonaniem.

– No dobrze, dobrze. Ale dziwne to wszystko. Mam dostać majątek, za rzeczy, wydawałoby się dość zwykłe.

– Nie, to nie są rzeczy zwykłe; masz mi pomóc, ale tak, by nikt tego nie wiedział. Uświadom sobie, Jeryl, to jest najważniejsze. Powiedz mi jeszcze, czy tu ktoś do ciebie zachodzi?

– A, nie. W Kote owszem jest jeszcze kilka rodzin gnomów, ale mieszkają w drugiej części warowni. Rzadko mnie ktoś odwiedza. Jeśli już to od wielkiego dzwonu przychodzi kowal Kul, człowiek, ale się lubimy. Czasem piwo razem wypijemy. Z moją córką pogawędzi. Ciekawią go nasze, gnomowskie, obyczaje. A! Przypomniałem sobie, jak jeszcze miałem niewolników, to do nich przychodziły tanie dziewczki i razem się bawili, ale nam to nie przeszkadzało. Tacy to już są ludzie. Głośni i hałaśliwi.

W gabinecie Kanclerza było dość ciemno. To stare, już nieco zakurzone kotary okienne czyniły ten półmrok. Za drewnianym biurkiem siedział

Kowdlar, przed biurkiem w pozie, będącej wyrazem pewnego posłuszeństwa i uniżenia, stał młody mężczyzna, Erej.

– Młodzieńcze, chciałbyś wstąpić do mnie na służbę, czyż nie tak? – powiedział Kowdlar, równocześnie przekładał papirusowe dokumenty z kupki na kupkę. Tym samym książę Kanclerz jakby chciał dać mu do zrozumienia, jak tamten mało się liczy.

– Właśnie, Ekscelencjo – przytaknął Erej.

– No, dobrze, dobrze. Słyszałem, że jesteś uczniem samego Cygana Dziada, czyż nie?

– Tak, Panie, mam ten zaszczyt – Erej potwierdził.

– No, ale wiesz, że Jego Wysokość, król Amargadeusz, nie miał wysokiego mniemania o Cyganie?

– Nie wiedziałem, Ekscelencjo.

– Wiesz, nie mam dla ciebie miejsca w mej kancelarii....

Erej, słysząc to, poblekł. Chwycił się ręką za głowę.

– Ale... Ale jednak miałbym dla ciebie pewną ofertę. - Kanclerz był zagadkowy.

– Tak? Ekscelencjo. - Erej poczuł drugą szansę.

– Otóż, me dziecko, mój syn Atagr jest w takim wieku, kiedy potrzebuje dobrego nauczyciela. Jeśli jesteś pupilkiem Cygana Dziada, to z pewnością nauczył on cię sporo. Więc, wydaje mi się, że to ty mógłbyś uczyć teraz mego syna. Odpowiada ci taka praca? Zaznaczam, że dostaniesz godziwą zapłatę.

Erej był tą ofertą nieco zdziwiony. Nawet nie krył się z tym.

– Może teraz nie odpowiadaj. Przemyśl to sobie. Zaznaczam, że dałbym ci dwieście złotych talentów rocznie, to niemało. Byłbyś też niezależny, podlegałbyś tylko mnie osobiście. Przemyśl to – Kowdlar popatrzył na Ereja

uważnie, a tamten miotał się ze swymi myślami.

– Do kiedy, Ekscelencjo, oczekujesz mej odpowiedzi?

– Do jutra. Będziesz miał całą noc na namysł. Powiedz mi, Erej, słyszałem, że Cygan Dziad zostawił po sobie księgę, czy to prawda?

– Tak, Ekscelencjo.

– Ty ją masz? - Kowdlar był wyraźnie ciekaw.

– Mam ją, Panie.

– Czy mógłbyś mi ją pokazać lub nawet pożyczyć na jakiś czas. Wiesz, że jestem z zawodu wojownikiem, rycerzem, ale zawsze interesowały mnie, już niemal od młodości, mądrości tego świata. Czy ta książka jest taka?

– Jaka, Ekscelencjo?

– No taka mądra, jak, powiadają, był sam Cygan Dziad.

– Panie, ta księga jest tak napisana, niby pewnym szyfrem, iż tylko nielicznie mogą ją w pełni docenić, jej mądrość. Ludzie zaś, co niewiele wiedzą, nic z niej nie zyskają.

– Czy ty chcesz młodzieńcze na samym wstępie mnie obrazić. Mnie księcia Kanclerza Ulandii – Kowdlar się nieco zdenerwował.

– Panie, gdybym Cię uważał za tego co niewiele wie, to bym Ci to przecież tak jawnie nie powiedział.

– Aha. Aha. Dobrze – Kowdlar się uspokoił.

– Panie, jutro przyniosę Ci tę księgę, i moją odpowiedź w sprawie twego potomka.

Stało się to dwunastego dnia miesiąca węża, roku bawoła. Oto królowa Sylanda porodziła syna. Młody królewicz przyszedł na świat przed południem. Donośnym krzykiem przywitał tych wszystkich, co to w alkowie

byli świadkami porodu. Potężne to było dziecko. Mistrz Kapa stwierdził, iż przyczyną tego jest młody wiek matki i dojrzałość ojca. Amargadeusz, gdy dowiedział się, że ma syna, rozplakał się jak młody chłopak. Wiadomo, że mały książę będzie miał na imię Orotog, co w języku elfów północy znaczyło ten, który niesie nadzieję.

Bo to w samej rzeczy była teraz ostatnia nadzieja dla króla Amargadeusza, by mu się narodził męski potomek.

Bogowie jednak sprzyjali już niemłodemu monarsze. Król wierzył święcie, iż to dzięki Mistrzowi Kapie, a ściśle jego recepturom i nalewkom, doczekał się w końcu swego syna. Dzięki temu znacznie wzrosła pozycja Kapy na dworze królewskim.

Mistrz Kapa ponadto nie miał tej natury, jaką widać było u Maga Uberyka. Nie był on żadnym liderem lub kreatorem rzeczywistości. Jemu, wychowankowi Elfów, w pełni wystarczała ta pozycja, którą teraz miał u boku króla Amargadeusza. Czyli doradcy, czasami medyka i przede wszystkim maga królewskiego. W politykę zaś raczej się nie bawił. Sama Sylanda przeżyła poród bez zbędnego cierpienia. Już w godzinę po urodzeniu w świat poszła ta wiadomość. Do Fluksji, Engory, Patery a nawet do Spoka ruszyli na swych rączych koniach posłańcy i gońcy. Na północ i południe, na wschód i na zachód. Wszędzie tam, gdzie bytowali ludzie.

Gdy tylko dziecko ułożono w kołysce, król Amargadeusz znowu pojawił się w alkowie żony. Za nim to też podążał cały czas Mistrz Kapa. Król długo sycił wzrokiem widok swego dziedzica. Lecz pojawienie się tu i teraz Kapy również nie było przypadkowym. Oto bowiem, aby uchronić królewicza od złego, od złych emocji i myśli wrogów króla, a przede wszystkim od Maga Uberyka, Mistrz Kapa od razu przystąpił do ceremonii pobłogosławienia Orotoga i namaszczenia go na dziedzica Ulandii. Dokonał także kilku innych czynności, które w efekcie miały powodować dobre dzieciństwo i dobry los syna Amargadeusza. A także dobre zdrowie i pomyślność. Kapa musiał dokonać to właśnie teraz, teraz, gdy dziecko było najbardziej bezbronne i narażone na złe emocje i złe formy Planu Astralnego.

Już po chwili dziecko było całe posmarowane smoczym sadłem. Jego

jeszcze nie owłosiona główka, obtoczona została oliwą z żeń-szenia. Mistrz Kapa cały ten czas intonował jakieś zaklęcia, pieśni Elfów i mantry. Nie minęło jednak kilkanaście minut i w końcu Kapa dokonał w całości ceremoniału. Uśmiechnął się do króla i pozwolił, by służki owinęły nowo narodzonego w wełniany koc.

– Wasza Wysokość, teraz twój pierworodny syn jest już całkowicie bezpieczny. - powiedział Kapa.

– Masz pewność? - król domagał się potwierdzenia.

– Jedyne, gdyby słońce w samo południe zgasło, wówczas to twój syn, Panie, znów byłby w niebezpieczeństwie. A tak teraz jest całkowicie bezpieczny. Silny chłopak. - Kapa dodał.

– Słońce zgasło? W samo południe? To przecież niemożliwe. - powiedział król.

– W samej rzeczy, Miłościwy Panie. - potwierdził Kapa.

W tej to chwili królowa Sylanda otworzyła oczy po krótkiej drzemce. Widząc króla, słabym głosem rzekła :-

– Czy jesteś kontent, Miłościwy Panie?

Na te słowa Amargadeusz odwrócił się do swej małżonki. Królowa leżała w łóżu może trzy albo cztery łokcie od kołyski.

– Tak, Pani. Uszczęśliwiłaś mnie. Jeśli jest jakaś rzecz, którą pragniesz, a ja będę w stanie ją spełnić, to powiedz. Powiedz tylko życzenie.

Sylanda na to uśmiechnęła się tylko. I znowu zapadła w drzemkę.

– Mistrzu Kapo, widzisz Waść, iż Miłościwa Pani potrzebuje ciszy i odpoczynku. Dlatego chodźmy teraz do mojego gabinetu, nie przeszkadzajmy jej. Powiesz mi jeszcze, co nam potrzeba czynić w dalszej kolejności, by mały chował się w zdrowiu.

Król chwycił maga za ramię. I pospołu wyszli nieśpiesznie z królewskiej alkowy. W izbie została królowa, dwie jej ostatnie służki oraz Zuberta,

Mistrzynie Dworu, przełożona wszystkich służek królowej. W kołysce spał snem spokojnym, już bezpieczny od zewnętrznego zła, młody królewicz Orotog.

Obik też czekał pod drzwiami gabinetu Jego Królewskiej Mości. Amargadeusz, gdy go ujrzał, zrobił tylko nieznaczny gest ręką. A tamten wiedział, co ma już robić. Otworzył naprędce drzwi i nisko się przed królem skłonił.

– Obik, mój drogi, powiedz kucharzowi, by przyrządził jaką małą przekąskę dla mnie i dla Mistrza Kapy. I przynieś mi to. Najchętniej widziałbym tu krewetki, albo pasztet zajęczy, ale zdaję się na twój wybór.

– Słucham, Panie – Obik wyleciał, jak z procy, a król wszedł z Kapą do środka.

– No, Mistrzu Kapo, co powiesz, ale mów prawdę? Może widzisz jakieś ukryte wady u mego syna? Wiem, że masz dużą wiedzę. Mów śmiało. Bo jeśli okaże się, że mój syn ma jakieś utajnione felery, a ty wiesz o tym, i nic mi nie mówisz... Rozumiesz. Mów. - Król, to mówiąc, rozsiadł się na swym miejscu, za olbrzymim mahoniowym biurkiem. Wskazał gestem Kapie, że może usiąść.

– Wszystkich felerów ciała ludzkiego nie widać od razu po urodzeniu – zaczął mówić Kapa. - Ale, rzeczywiście, Miłościwy Panie, masz rację wiele rzeczy widać. Lecz uspokoję Cię od razu, Panie. Twój syn, wydaje się, jest okazem zdrowia. Ma harmonijną budowę ciała, prawidłowe oblicze, rytmiczny oddech, regularny puls. Przewiduję, Miłościwy Panie, że wyrośnie z niego dorodny młodzian.

– Och! To dobrze, to bardzo dobrze – król westchnął z ulgą. - A czy to, że ja, jako ojciec, już nie młody jestem, czy to może szkodzić?

– W tej kwestii medycy mają różne poglądy. Ale, Miłościwy Panie, tych chorób i wad, które by mogły z tego wyniknąć, ja u dziecka nie znajduję. Ponadto matka jest młoda, a to się najbardziej liczy. Bo dziecko przecież przez dziewięć miesięcy to w ciele matki, a nie ojca się rozwija.

– Aha, w rzeczy samej, masz rację, Mistrzu. Uspokajasz mnie. Ja wiem,

Mistrzu Kapo, że nie dożyję tej chwili, gdy syn mój będzie miał gody – ciągnął Amargadeusz. Król wyciągnął jakiś papirus. - Wiesz pewnie dobrze, że praktycznie obowiązki zawiadywaniem krajem przejął Kanclerz Kowdlar i jego kancelaria. To jest nawet wygodne dla mnie – Kapa nie rozumiał, dlaczego król teraz jest z nim tak do bólu szczery. Zląkł się nawet, czy to przystoi, by tego słuchał. Ale w skupieniu słuchał króla. - Otóż wiedz, że jestem zadowolony z twojej pracy. Pośrednio to dzięki tobie urodził mi się syn, to dzięki tobie jest on bezpieczny od poczynań tego zatraceńca Uberyka, to dzięki tobie i ja jestem bezpieczny. To wiele, to bardzo wiele. - Kapa poczuł zagrożenie – Nie wiesz, do czego zmierzam, czyż nie? Może się nawet boisz? - Teraz to król był chyba magiem, a co najmniej wróżem.- . Nie bój się, Mistrzu Kapo. Chodzi mi o to, być otoczył magiczną opieką mego syna i mą żonę Sylandę, nawet wtedy, gdy mnie już nie będzie. Nie, nie zrobię Cię Regentem, opiekunem prawnym nieletniego. Ale chciałbym, byś miał pieczę nad moim delfinem. Oto masz – Król podał Kapie papirus, który trzymał w dłoni. – Oto masz glejt, który upoważnia Cię do pokierowania losem mego syna, nawet wbrew Regentowi, którym będzie pewnie ksiązę Kowdlar, nawet wbrew niemu, na wyraźne moje, już pozagrobowe żądanie. Pamiętaj, jeśli zdarzy się, iż syn mój będzie potrzebował pomocy, użyj tego glejtu, pomóż mu, nawet wbrew oficjalnie rządzącym. Schowaj ten podpisany przeze mnie list. Ja czuję, że mój syn kiedyś podziękuje mi w duszy za to.

Mistrz Kapa był bardzo zmieszany. Trzymał oto w ręce dokument niezwykle, który jednak wymagał od niego sporo.

– Wasza Wysokość, wiedz, Panie, że jeśli Ciebie już nie stanie, a twój syn będzie potrzebował pomocy, to ode mnie ją na pewno otrzyma. W ostateczności powołam się na twoją wolę i ten list. - Kapa schował list do kieszeni.

– Otóż to, Mistrzu Kapo. Możesz go w odpowiedniej chwili okazać przed Radą Kanclerską.

– Miłościwy Panie, pozwól, iż spytam, na jakiej podstawie przewidujesz, iż ewentualny przyszły Regent, bo tak to chyba mam rozumieć, zwróci się przeciw Orotogowi ?

– No, pewności nie mam, ale moja troska wynika jedynie z przeczności. Powiem Ci teraz też, iż jeszcze jedna osoba w kraju, dość młoda jeszcze, otrzymała podobne pełnomocnictwa. Nie powiem ci, kto to, ale jest to ważna persona. Nie jest to księżę Kowdlar, od razu Ci rzeknę. Widzisz więc, jak duża jest moja determinacja. Jak wielka jest troska moja o swego syna. Ta osoba też wie, iż ktoś go dubluje. Lecz nie wie, kto to będzie. Podobnie jak i ty nie wiesz. Tę wiedzę ja zabiorę ze sobą do grobu. Nawet królowa nie wie, i nie będzie wiedziała. Jeśli naówczas rządzący powstaną przeciw Orotogowi, a wy dwaj wystąpicie w jego obronie, tym większa będzie wasza siła i skuteczność. Lecz będzie też dobrze, jeśli choć jeden z was dwóch zachowa się godnie, gdy będzie na to potrzeba. Wszak, i zdaję sobie z tego doskonale sprawę, będzie to szalenie niebezpieczne. Ale ja chyba dobrze was dwóch oceniam, dobrze oceniam wasz hart ducha, waleczność i nieustępliwość.

Jeryl właśnie plewił w ogródku, jego córka kilka łokci dalej w wiklinowym koszyku miała już rzepę i kilka buraków. Nagle usłyszeli oni głośne szczekanie Tivy, ich przydomowej suki, która zwykła w budzie wylegiwać się na słońcu. Lecz teraz Tiva szalała na łańcuchu.

– Córko, zostań tu, a ja sprawdzę, co się dzieje. - Jeryl powiedział do Partywy.

Gnom powstał z kolan, i dość trwożnie poszedł ku frontowi domu. Cały czas rzucał czujne spojrzenia to ku swej córce, a to ku wejściowym drzwiom do domu. Gdy był już blisko, pies nagle uspokoił się. I Jeryl już myślał, że jest po wszystkim, miał nawet zamiar wrócić się do ogródka. Lecz oto, jak zza ściany wyrosło przed nim dwóch rosnących mężczyzn.

– Gnomie, czy to ty tu zamieszkujesz? - Jeden z nich spytał metalicznym, ostrym jak stal głosem.

– Ja, Panie. Czego chcecie, panowie ? – gnom był dość grzeczny dla intruzów.

– Gnomie, czy ostatnimi czasy nie kręcił się tu jakiś człek ubrany prawie że w łachmany?

Teraz to Jeryl dostrzegł, że jeden z mężczyzn miał wytatuowaną na prawym ramieniu czarną różę. Przypomniało mu się od razu, co mu rzekł Temo. To byli niebezpieczni ludzie, i to nie tylko dla samego Temo.

– Nie, nikt tu obcy nie kręcił się, jak sobie przypominam – gnom powiedział to jednak dość niepewnym głosem, dlatego ten sam mężczyzna rzekł.

– Jesteśmy tu z pozwolenia króla Karona.

– Czy jesteście ludźmi króla? - Jeryl zląkł się nieco, lecz usłyszał.

– Nie jesteśmy ludźmi Jego Miłości, ale ludźmi sojusznika jego, Maga Uberyka. - cały czas mówił ten sam mężczyzna, a drugi, jakby w odwrocie, pilnował, co to się dzieje. - Czy wpuścisz nas do swego domu? - Jeryl się zawahał, lecz nagle rzekł zupełnie pewnie.

– Chodźcie, chodźcie... Ale ...

– Co za ale?

– Ale w domu mam żonę chorą ...

– Na co chorą?

– Jakieś jej krosty wyskoczyły na ciele – powiedział gnom.

– Krosty? A ma gorączkę? - mężczyźni jakby się zawahali.

– Ma. Tu do mnie przyjdzie medyk, już czekam na niego. Czarne plamy pokazały się jej pod pachami.

– Krosty ma, mówisz. A to, wiesz co, nie będziemy twej małżonce przeszkadzać w chorobie. - Widać było, że mężczyźni zmienili zdanie, co do wejścia do środka domu. Od razu też odsunęli się nieco od Jeryla. - Żyćcie sobie tu gnomy w spokoju – powiedział mężczyzna. - Lecz, gnomie, gdybyś zauważył takiego człeka, jak ci rzekłem, to daj znać. Powiedz karczmarzowi Joke. Dobrze?

– Tak, Panie. Zrobię, co mówicie.

I oto, mężczyźni zniknęli tak szybko, jak pojawili się wprzódy. Wystarczyło tylko, że Jeryl spojrział w kierunku ogrodu, a gdy znów wrócił wzrokiem ku domowi, mężczyzn już nie było. Tiva była już całkiem spokojna. Przyjaźnie machała ogonem na widok swego pana. Łasa to ona była na pieszczoty. To córka, Partywa, tak rozpieściła psinę. I w rzeczy samej Jeryl przybliżył się do budy, i rzekł czule do psa.

– Dobry pies, dobry. Psino, nawet nie wiesz, jak wiele ci zawdzięczamy. – Jeryl pogłaskał psa.

Było pewne to, że gdyby nie pies i jego głośne szczekanie, ta wizyta ludzi Uberyka mogłaby się inaczej zakończyć.

W Ulandii tego roku jesień przyszła bardzo szybko. W miesiąc po urodzinach Orotoga praktycznie skończyło się lato. Jeszcze nigdy w miesiącu żaby nie było tak chłodno i słoto. Mistrz Kapa powiedział królowi Amargadeuszowi, iż pewnie jest tak z powodu tego, iż w tym roku lato było tak urodzajne na wielu płaszczynach. Nawet to, iż w lecie urodził się delfin, było znamienne i wielce obciążające przyrodę. Teraz więc nastał okres hibernacji i powolnego przejścia w sferę cienia. Jak przewidywał Kapa za to zima miała być łagodna. To, o paradoksie, wynikać miało stąd, iż przyroda będzie miała teraz więcej czasu na odpoczynek. Lecz już teraz zdało się, że wielu Ulandczyków tego roku, tego lata przeniosło się na Pola Kerdolota. Wśród nich najznakomitszym, bez wątpienia, był elektan Ztor. Było tak, iż wieczorem, jak zwykle, ułożył się do łóżnicy, a rano był już zimny i bez dechu. Próbowano go jeszcze ocucić, Kapa zalecił żeby go położyć między dwiema ognistymi dziewicami. Ale i to na nic się zdało. Tydzień później na jego pogrzebie w Wendzie był sam książę Kanclerz i osobisty delegat króla, która to funkcja przypadła baronowi Lurukowi. Ale był to pogrzeb iście królewski. Powiadają jaskółki, iż sam król mocno się przejął śmiercią elektana, bo nie był on wiele starszy od Amargadeusza. Choć w samej rzeczy elektan Ztor już od dłuższego czasu był schorowany, podbierał się nawet laską, bo na swych nogach chodzić już nie umiał. Król, jakby na odtrutkę, starał się teraz przestawać tylko ze swą małżonką i swym małym synkiem. To, i specyfiki Mistrza Kapy, go z pewnością odmładzało. Rządzeniem nadal parał się Kanclerz, albo ściśle jego główni kanceliści, Dert i Plort.

Książę Kanclerz Kowdlar miał oprócz zwykłych trosk rządzącego także niemały kłopot rodzinny. Chodzi tu murgrabiego Elubedę. Otóż już na dniach odbędzie się ślub Elubedy z Gelderą. Na tę okazję Kowdlar razem z Teborną uradzili, że podarują ich rodzinnemu przyjacielowi dwie wsie z trzystu duszami, i dwustu niewolnikami.

Bo to Elubed zawsze marzył, żeby mieszkać na wsi, otoczony sadami i ogrodami, polami urodzajnymi w zboża. Ten poeta z zawodu, a finansista hobbysta, był jak na barda przystało szczególnie rozmiłowany w urokach dziewiczej natury, przyrody tętniącej życiem. W Wendzie Elubed, w swym domu, dusił się, i w ogóle już nic wartościowego nie napisał, żadnej pieśni lub trenu, odkąd stał się Wendyjczykiem. Bolał nad tym i modlił się do Bogini Matki, by zezwoliła swej córce, bogini Ukale, bogini poetów i skrybów, by mógł jeszcze napisać coś, czym by przed królem i jego dworem, jak to dawniej bywało, popisać się zdołał. Już dawno nie trzymał on ci w rękach wysmukłej kitary. Ba! Nawet zwykłego bębenka lub tamburyna nie miał. A , gdy przechodził obok karczmy, a tam grajcy na kitarach grali, to aż mu dusza płakała.

Uciekał więc wtedy, uciekał, byle nie słyszeć, byle się schować i nie pamiętać, do czego go los stworzył. A potem w domu swym pił wino, słodkie jak miód, to lekarstwo dla bolącej duszy.

Król Amargadeusz dotąd zwykł popijać mikstury, które przygotował mu Mistrz Kapa lub sam sobie robił. Król chyba jednak przesadzał. Tego już pewna była królowa Sylanda. Zawsze pił coś z rana na czczo, a potem do obiadu i kolacji. Królowa zauważyła także, że od jakiegoś czasu król kaszlał i miał gorączkę. Czyżby to było następstwem nadwyreżania swego organizmu obowiązkami małżeńskimi. Ale przecież, odkąd Sylanda była w zaawansowanej ciąży i zaraz po urodzeniu Orotoga, król powstrzymywał się od kontaktów fizycznych ze swą młodą żoną. A jego kaszel był coraz bardziej uciążliwy. Nawet Obik przyznał, że król musi na coś chorować.

Lecz ani Mistrz Kapa, ani nadworny medyk nie wiedzieli, co mu tak naprawdę jest. Gdy już jednak doszło do tego, iż to sama królowa interweniowała u Kapy, tamten przyznał, iż król powinien się bardziej oszczędzać i najlepiej, gdyby przy łożu, w królewskiej alkowie, stała

specjalna waza z kamionki, którą zrobił sam Kapa, a która miała być specjalnym odpromiennikiem złych mocy i energii, które, tak myślał Kapa, mogły być jedną z przyczyn bóleści króla. Czy to były czary Uberyka, czy to on spowodował chorobę króla? Mistrz Kapa stanowczo temu zaprzeczał. Twierdził, że skutecznie odseparował króla i jego rodzinę od wpływu Maga Uberyka.

Tako też i się stało, w końcu po długich namowach żony, król zgodził się, by w alkowie stała owa waza, przyrzekł także, iż będzie się powstrzymywał od przyjmowania mikstur, przynajmniej tych niepewnego pochodzenia.

Oto więc król zaczął się w końcu znowu porządnie odżywiać, jak to określił Obik.

Amargadeusz zaczął na nowo jadać pieczone prosięta, kuraki z różną duszoną sarniną. Owoce ograniczył tylko na deser. A ciasta z dyni i pigwy na specjalne okazje.

Po pewnym czasie takiego odżywiania, król jakby się lepiej poczuł. Ustał już suchy, uciążliwy dla otoczenia kaszel, ale jednak, co mogła stwierdzić już tylko Sylanda, męskość i witalność królewskiego małżonka uległa takowoż widoczniejszemu zmniejszeniu. Król przestał już myśleć tylko o seksie, za to coraz bardziej zaczęły go nurtować sprawy królestwa.

I w końcu doszła do obozu Amargadeusza ta ponura wiadomość, iż wstrętny Uberyk, Regent, jak śmiał się nazywać, uzyskał azyl w państewku Oforyki, władanym przez Karona. Było to może królestwo niewiele większe od najmniejszej prowincji Ulandii, ale jednakowoż wiadomym było, iż król Karon był wielkim przeciwnikiem Amargadeusza. Podobno to właśnie Kujku, gnom, Przewodniczący Kopca Woli na Wyspach Gnomów, tak bestialsko zamęczony przez najeźdźcę Amargadeusza, był osobistym przyjacielem Karona. Bywał w jego królestwie, to jest w Mohawie, wiele razy, a sam Karon i Mohawa, przed podbiciem Wysp, prowadził z krajem gnomów bardzo bogatą wymianę handlową. Oczywiście Karon nie miał takich środków, by pomóc gnomom odzyskać swoje państwo, lecz tym bardziej wręcz emanował pogardą dla podłego, jego zdaniem, tyrana Amargadeusza. Z tego punktu widzenia Karon był wręcz wymarzoną dla

Uberyka sprzymierzeńcem. I inne państwa ościenne nagle zaczęły przejawiać wielką niechęć do władcy i rządzących Ulandią. I Fluksja i Spoka, i Patera, jak podawać zaczęli szpiedzy Ulandii, poczęły ze sobą prowadzić bardzo ożywioną korespondencję. I szybko to nawet ustalono przez owych szpiegów, iż państwa te były bardzo niezadowolone z pozycji Ulandii. Jeszcze trochę i groziło Ulandii powstanie obcej i wrogiej koalicji państw z nią graniczących lub nawet nie graniczących. Byłoby to bez wątpienia na rękę Uberykowi. Nastaly złe dni dla księcia Kanclerza, dla Rady Kanclerskiej i przede wszystkim dla samego Amargadeusza. Ciemne chmury zaczęły napływać nad kraj. Najwyższy czas, by przebudził się w końcu lew Amargadeusz. Najwyższy był to czas, by wiązać koalicje z innymi państwami, bo przymierze jedynie z Engorą, to było zdecydowanie za mało.

Lubeta i Erty patrzeli na tę dwójkę i mieli chyba mieszane uczucia, bowiem oto ich dwudziestoletnia córka miała się związać ze znacznie starszym, bo z trzydziestoparolatkiem. Lecz ów mocno po trzydziestce mężczyzna, był jedną z najważniejszych person w kraju, przyjaciół Kanclerza, murgrabia Elubed. Geldera chyba nie kochała tak bardzo swego lubego, jak jemu się to samemu zdawało. Lubeta wiedział coś o tym, bo sama wyszła z wyrachowania za Ertege, był to bowiem potomek Protekta Kurgii, dzielnicy Wendy, lecz szybko przyszła i miłość, i przywiązanie. Tak to było z rodzicami Geldery. Dzisiaj to Geldera decydował o swym losie. Czyż bowiem kobieta może w jakiś inny sposób zapewnić sobie i swym dzieciom dobrą przyszłość, jeśli nie tylko i wyłącznie poprzez dobre małżeństwo?

Data ślubu już była ustalona. Przysięgę małżeńską miał odebrać sam Mistrz Kapa, a jednym ze świadków będzie książę Kanclerz. Drugim świadkiem, ćwierkały wróbelki, miał być Presurt Oland. Elubed ostatnimi czasy mocno zaangażował się w sprawy aprowizacji wojsk królewskich. Z tego to tytułu król Amargadeusz postanowił, niewątpliwie dzięki protekcji Kanclerza, iż nada mu na stałe tytuł Wodza Ludzi Małych.

Funkcja ta wiązała się z uczestnictwem w Radzie Kanclerskiej. W

związku ze śmiercią Ztora, elektanem floty został mianowany książę Adlar.

Młodzi siedzieli na miękkiej sofie. Trzymali się za ręce. Kilka łokci od nich na drewnianych krzesłach siedzieli rodzice Geldery.

– Waszmość, dzisiaj masz wizytę u księcia Kanclerza, czyż nie? – spytała Lubeta.

– Pani – rzekł Elubed – Te sprawy mogą poczekać. Ważna jest dla mnie dziś tylko Pani córka, Geldera. - Na te słowa Geldera spłonęła żywym rakiem, lecz nic nie rzekła. Zrobiła minę niewinnej dziewczynki.

– A co to za ważne sprawy państwowe, jeśli mogę spytać? – powiedział Erty.

– Panie, to kwestia naszego bezpieczeństwa. Za dużo nie mogę o tym mówić, ale nasi wrogowie dziwnie aktywni stali się ostatnio. - Z powagą odpowiedział murgrabia.

– Aha ... - zgodził się na to jego przyszły teść. - No tak – mówił dalej. - Takie to, moja żono – teraz jakby mówił do swej połowicy – są ważne sprawy. Ja wiem co mówię, bo jako major fortu wiem coś o tym.

– Właśnie, Panie, widzę, że pod tym względem będziemy się dobrze rozumieli i zawsze będę miał w Panu sprzymierzeńca. - powiedział Elubed.

– Nie inaczej, Panie – powiedział żywo ojciec Geldery.

– Zostawcie, Panowie, te sprawy państwowe. Powiedz nam, Panie, czy to prawda, iż młody delfin to przecudne dziecko, widziałeś go przecież, Waść – rzekła Lubeta.

– O tak, Pani. Wesołe dziecię, cały czas dokazuje, a jak się coś dzieje, co nie po jego myśli, to gwałtownie protestuje płaczem.

– Ale ono jest przecież jeszcze za małe, by rozumieć świadomie, co wokół niego się dzieje. - stwierdziła Lubeta.

– Tak, lecz mimo to, to ono rządzi teraz Państwem, ha, ha, ha – Elubed się zaśmiał, - przynajmniej w sercach Jego Królewskiej Mości i jego

małżonki, matki Orotoga. - dodał szybko. - Już dowodzi. A jeśli on, nasz delfin, taki teraz bystry, to nie musimy się martwić, co będzie z Ulandią. - ostatnie zdanie powiedział już jednak całkiem serio.

– Tak, tak ...– dodali wszyscy szybko chórem. I ojciec, i matka, i córka. Bo jak tu nie zgodzić się z takim stanowiskiem.

– I tylko Logoberda chodzi jak struta – powiedział cicho Elubed. - Na bóle brzucha się stale uskarża. Jednak medyk królewski rzecze, iż to przyczyna choroby w głowie księżniczki jest. Ostatnio Logoberda miała stawiane bańki, ale to nic nie dało.

– Dziwisz się, Panie? - rzekła Lubeta. - Przecież to teraz Orotog będzie następcą tronu.

– Ale, Pani, przyczyna jest też drugą chorobą Logoberdy. Oto bowiem król, podobno, nie mówcie tego nikomu, bo mogę mieć kłopoty, gdyby to wyszło od was, zasugerował księżniczce, by została kapłanką boga Kerdolota w jednej ze stołecznych świątyń. Kapłanką dziewicą. Tym samym król pozbyłby się jej raz i na zawsze, i to dość skutecznie.

– I nie musiałby dla niej szukać odpowiedniego kandydata na męża ... - szybko dodała Lubeta, ale też ugryzła się zaraz w język, bo chyba za dużo powiedziała. Jednak Elubed puścił to mimo uszu, a właściwie to nawet przytaknął jej, bo w rzeczy samej tak samo myślał.

– Księżniczka już od dawna, bardzo dawna, nie jest dzieckiem. Jako kandydatka na żonę nie jest też młoda. - odezwał się Erty.

– Podobno był czas, iż król planował jej ślub z dziedzicem Engory, Eentem. - powiedział Elubed. - Jednak Sylanda nie była temu pomysłowi przychylna, i w konsekwencji Amargadeusz zrezygnował z tej opcji.

– No, o ile ja wiem, Eent jest jeszcze nastolatkiem – stwierdziła Lubeta.

– W samej rzeczy, Pani. Osiemnaście ma wiosen. A Logoberda przed trzydziestką. Ale na kapłankę dziewicę może złożyć śluby.

– Nie dziwi mnie więc to, że królową boli brzuch – powiedziała niespodziewanie Geldera, i było to dopiero jej pierwsze zdanie, wypowiedziane dzisiaj w tym gronie. - Kobieta, tak mi się zdaje, każda, nawet królowa, pragnie mieć prawdziwą rodzinę i dzieci. - Wszyscy popatrzyli dziwnie na Geldere. I nawet sam Elubed krzywą zrobił minę, po tym, co usłyszał od swej przyszłej wybranki.

– No, dziecko, kapłanki dziewice mają wielkie poważanie wśród ludu prostego. Ich pozycja rekompensuje im tę stratę, iż nie mają dzieci i męża.

– Tak, mamó. Ale ja na przykład wolałabym udać się już na Pola Kerdolota, niż wieść życie kapłanki.

– Córuś, na szczęście Ci to nie jest pisane. Będziesz miała w murgrabim Elubedzie godnego małżonka – powiedział Erty. I tu znów Elubed zrobił kwaśną minę, lecz nic już nie rzekł.- A my, tak myślę, ja z twoją mamą, doczekamy się jeszcze od was wnuków. - Erty się rozmarzył.

– Pamiętaj, Geldero, o tym, iż kapłanki dziewice są nietykalne, i w czasie wojny nic im nie grozi. Także barbarzyńcy, przypuśćmy Tukmaki, nie tknęliby je, gdyby nawet na nasz kraj najechali jakimś cudem, byłyby one wówczas całkowicie bezpieczne. Ofiary z ołtarzy to one spożywają, taki mają przywilej, żyją więc w dobrobycie i uznaniu. - mówiła Lubeta.

– Jednak, Pani, nie o takim życiu myślała Logoberda, nie o takim – stwierdził Elubed.- Królowa mir, poważanie i dostatek miała zapewniony z racji swego urodzenia, więc nie jest to dla niej żadna podnieta.

Mistrz Kapa poczuł strach, tak mocno iż przez kręgosłup przeszedł go chłód, jaki ma śnieg porą zimową i sople, co zwisają z dachów. W środku brzucha zaś ból, jak by go ktoś tam nożem godził. Człowiek w czarnej masce mówił:-

– Pamiętaj, dla nas twoje życie nic nie znaczy. To sam Kobok przysłał nas tu. Masz czynić, co my Ci każemy.

– Nie wiem, kim jesteś, człowieku.

Kapa próbował się obronić. Lecz drugi, też w masce, chwycił go za szyję i zaczął dusić. Kapa z trudem łapał oddech. W końcu zamachał ręką w geście poddania. Tamten ucisk zwolnił.

– Masz powiedzieć swemu Panu, Amargadeuszowi, że ma czekać na znak od boga Koboka. - mówił pierwszy. - Kobok żąda pełnego poddaństwa.

– Panie, przecież to jest władca Ulandii, jak ja mu to powiem? Zetnie mnie, albo powiesi na żelaznym haku.

– Pokaż mu to – pierwszy wyjął jakąś dziwną rzecz. Była to karta, a na niej dziwny wizerunek istoty. Jakiś taki błyszczący niby odbicie w wodzie. Ta istota była niepodobna do ludzi. Owszem, miała oczy, miała głowę. Lecz głowa ta była taka wielka, niewspółmiernie wielka do cienkiej szyi, na której była przytwierdzona. Oczy ogromne, dziwnie ciemne, wręcz czarne, nos prawie w zaniku, tak mały, iż jedynie nozdrza widać było.

– Kto to, Panie?

– To sam Kobok, bóg, sam się nazywa, gdy mówi do siebie, Reptylianem Ulara. Lecz nam każe do siebie mówić Kobok.

– No i co? Ma ten Reptylianin jakąś armię? Tylko wtedy bowiem Amargadeusz mu pewnie mógłby złożyć hołd. A że ma większą od naszych głowę. Może to jakiś dziw natury?

– Utnij temu psu palec na żywca, to wtedy nabierze on do nas większego szacunku.

– Nie, Panie, nie rób tego. Wierzę ci – szybko zareagował Mistrz Kapa.

– Ty psie, Kobok może jedną ręką zamienić całą armię twego króla w miałki popiół. Może unieść się na swym zamkniętym rydwanie wprost do Księżycy, i w dwie minuty przywieść tu kamienie, co na Księżycu leżą. - cały czas mówił ten sam człowiek w masce. Drugi to był chyba jego sługa. - I pamiętaj, dobra rada, nie mów nigdy Reptylianin Ulara, tylko bóg Kobok. Bo inaczej zamieni on cię w słup soli. I żadna magia ci nic nie pomoże.

Było ciemno w grocie. Ci dziwni ludzie w maskach przyszedli tak nagle i zaskoczyli Kapę. To fakt był ogólnie znany, że ludzie tu, do niego, nie przychodzili z byle powodu i raczej unikało się tego miejsca, znanego w Wendzie jako Pieczara Magii.

Dlatego Kapa był zaskoczony wizytą tych ludzi.

– Masz tu jeszcze coś – mężczyzna wyjął z kieszeni.

– Co to, Panie? - Mistrz Kapa był zdziwiony.

– To pierścień rycerski dziada Amargadeusza, króla Abudusa III. To go powinno do końca przekonać, iż przemawiał przez nas bóg Kobok. A król ma słuchać to właśnie przez ciebie, co chce od niego Kobok. Amargadeusz widział już ten pierścień, będąc dzieckiem. Więc dobrze skojarzy co i jak.

– Mam ten pierścień dać królowi? - Kapa wziął złoty pierścień do ręki.

– Tak. I powiedz królowi, że jego dziad zawarł pakt z bogiem Kobokiem, i teraz to Amargadeusz ma czekać, co mu Kobok każe. Pamiętaj, czekaj na naszą kolejną wizytę. Tylko bez numerków. Jak ci mówiłem, twoje życie jest nic niewarte, dlatego, jak nawalisz, długo nie pożyjesz. I choćbyś się nawet w mysiej norze zaszył, my Cię znajdziemy. A gdy Cię znajdziemy - Mężczyzna już nie dopowiedział. Zamilkł na chwilę. Rozejrzał się po grocie.

W końcu powtórzył. - Pamiętaj, twoje życie jest nic niewarte. A dla boga Koboka życie twego Pana, króla Amargadeusza, jest równie mało warte, jak twoje życie dla nas. Amargadeusz będzie służył Kobokowi. Będzie służył, albo zgaśnie jego gwiazda, a jego syn, Orotog, podzieli los swego ojca. I po dumnym królu śladu nie pozostanie w ludzkiej pamięci. Po nim i jego rodzie.

– Panie, łaski – wykrztusił z siebie Kapa. - Jak ja mam tak przemawiać do władcy Ulandii. Panowie – zaczął wodzić oczyma, tak jakby chciał, by ten drugi człowiek w masce przyszedł mu w sukurs. - Ja jestem tylko magiem. Ja się nie znam na władaniu, na rządzeniu ludźmi, na dyktowaniu innym, potężniejszym, co mają robić.

– Dlatego, radzę Ci, pokaż ten pierścień swemu Panu, i powiedz mu, by czekał na dalsze instrukcje.

To było królestwo kotów. Dom Puto. Miał ich chyba cztery lub nawet pięć. Kręciły się po drewnianej posadzce. Wszyscy mu mówili, że przesadza, że dałby sobie spokój. Ale Puto jakby spokojniejszy był, gdy widział swojego koty pijące mleko z misek, lub gdy bawiły się włóczkiem wełny. Jeden z tych kotów był przecudny. Duży, oswojony, bardzo szybki. Gepard. Pozostałe to były zwykłe mieszańce. Lecz, gdy Puto chciał się pochwalić przed kimś, to brał tego geparda ze sobą. A tamten chodził za nim jak psie szczenię. Ludzie się tylko dziwili i kręcili z niedowierzaniem głową. Już po miesiącu dom Puto nazywano w okolicy kocią norą.

Erej początkowo nie reagował na poczynania swego współlokatora. Lecz i u niego wkrótce miarka się przebrała. Dziwnie kaszleć zaczął, i twierdził, że ma to z sierści kotów. Ich zadaniem w Wendzie było pilnowanie interesów Presurta Olanda. Lecz, po prawdzie, na to wystarczyłoby jednej osoby. I w rzeczy samej już po sześciu miesiącach Oland zwolnił Ereja z jego obowiązków. Zostali więc w Wendzie z ramienia Olanda tylko Puto i Elusterek. Puto i jego koty. Erej zaś dostał sowitą odprawę trzystu talentów w złocie. Po niedługim czasie przyjął on w końcu posadę nauczyciela dorastającego syna Kanclerza, Atagra. Wprawdzie Erejowi marzyła się praca w kancelarii Kanclerza, ale Plort nie był do tej koncepcji tak przywiązany, jak sam Erej był. Wylądował więc Erej w Średnich Lasach, w posiadłości i pałacu Poleda, od kilku lat nowej rezydencji księcia Kanclerza z małżonką. A w Wendzie? A w Wendzie wszystko szło starym wyżłobionym korytem. Bogaci się bogacili, a biedni w końcu żyli coraz nędzniej. I choć chełpili się swą wolnością, niejednen niewolnik miał lepszą dolę na prowincji niż proletariat Wendy. Wolni i honorni, ale bez grosza przy duszy. W tamtych latach ludzie się dzielili na kasty, warstwy.

Najniżej w ludzkiej hierarchii stali niewolnicy. Niewolnicy pochodzili z wojennych branek. Ulandczycy nie szanowali ich choćby już za to, iż niewolnicy to byli barbarzyńcy. Jedynych, których nie brano w niewolę, to

byli Tukmaki. Z reguły jeńcy Tukmaki byli zabijani na miejscu. Robiły tak nie tylko wojska Amargadeusza, ale ogólnie wszystkie zorganizowane w państwa narody. Przyczyna tego tkwiła w tym, iż Tukmaki byli tak dumni, iż, będąc nawet w niewoli, nieskorzy byli po dobroci wykonywać polecenia swego pana. Ponadto, i sami Tukmaki nie brali prawie nigdy jeńców. Zazwyczaj pokonanych wrogów skalpowali żywcem, a potem dobijali nożami. Działała więc ta zasada jak gdyby w dwie strony. Tukmaki za jeńców brali tylko i wyłącznie bardzo majątnych i znacznych wrogów. Tak było swego czasu, gdy to sam król Amargadeusz trafił do tukmackiej niewoli, gdy to wracał z wyprawy na Wyspy Gnomów. Najczęściej więc niewolnikami stawali się przedstawiciele narodów z północy świata. I byli to dobrzy niewolnicy. Sumienni, posłuszni, zdyscyplinowani, ale jednak cały czas czujący pogardę swych panów i właścicieli. Bywało jednak tak, iż niewolnicy wykupywali swą wolność. Nie było to aż tak sporadyczne i rzadkie.

Wszystko to zależało od tego, jakim panem był właściciel niewolnika. Z reguły równoważność dwudziestoletniej pracy niewolnika, pozwalała mu zbierać uczciwie tyle dinarów, by się wykupić. A była to suma, za którą pan mógł kupić dwóch innych niewolników na targach niewolników, które były organizowane w Wendzie i w portach morskich. Następni w hierarchii to byli wieśniacy. Byli wolni, lecz ciężko pracowali w swych malutkich gospodarstwach.

To właśnie z takich wywodził się Presurt Oland. Kolejno zaś to był proletariat grodów, kaszteli i portów. Jednak oni to zawsze charakteryzowali się wysokim stopniem poczucia własnej wartości. Później byli rzemieślnicy, kupcy i bankierzy. A wśród nich wielu kupców, finansistów i bankierów zostawało nawet wyróżnionych przez króla szlachectwem. Murgrabia Elubed, Wódz Ludzi Małych, wywodził z nich swoje pochodzenie. Kolejną grupą w tej gradacji to byli wojownicy i rycerze. I o ile rycerze wywodzili się ze szlachty, o tyle wojownicy to byli praktycznie zawodowi żołnierze na żołdzie króla lub jednego z jego lenników. To właśnie książę Kanclerz Kowdlar wywodził się z rycerstwa. Najwyżej w hierarchii ludzi stała arystokracja. Aby się do nich dostać, trzeba było wykazać się albo starożytnym wręcz rodowodem, albo szczególnie cennymi działaniami na rzecz królestwa. Takowoż stało się na przykład z baronem Lurukiem, który

na Wyspach Gnomów uratował życie króla przed atakiem wojowników Okute. I z tego powodu został baronem i jednym z najważniejszych ludzi w królestwie.

Arystokraci najczęściej zostawali lennikami królewskimi. I to oni cieszyli się największym prestiżem w królestwie. Na samym szczycie królestwa stał władca, monarcha i jego rodzina. W Ulandii Amargadeusz władał z dynastii Arenów, która rządziła już krajem kilkaset lat. Dlatego tak cenne było dla Amargdeusza to, iż oto udało mu się w końcu, już u schyłku życia, spłodzić delfina. Wygląda na to, iż dynastia się utrzyma. I to pomimo zakusów Uberyka, by pozbawić Amargadeusza władzy w kraju. Niewątpliwie i sam Orotog był teraz, obok swego ojca, głównym wrogiem Maga. Były to czasy głębokiego patriarchatu. Kobiety nie miały praktycznie żadnych politycznych praw, chyba że były wysoko urodzone. Wówczas kobiety były albo żonami, matkami, albo kapłankami, albo zwykłymi dziewczkami sprzedajnymi.

Ceniono tylko te kobiety, które wydawały na świat męskich potomków swym mężom. Inną opcją było zawierzenie swego żywota, jako kapłanki w licznych świątyniach. Kapłanki dziewice cieszyły się sporym mirem u ludzi prostych. Umiały one bowiem przepowiadać przyszłość, co mogli jedynie jeszcze czynić magowie i wróże. Oprócz ludzi świat, który rozciągał się od Kyli do Oforyki, zamieszkiwali także gnomy i elfy. Były to istoty wolne, ale pogardzane przez ludzi wolnych i niewolników. Elfy zamieszkiwały północne ziemie. Były to istoty, które odbierały zarówno Plan Realny jak i Astralny. To one opiekowały się przyrodą, to one miały kontakt bezpośredni z formami astralnymi, to one w końcu przechowywały wiedzę.

Gnomy zaś, to byli potomkowie zaginionej rasy lemurskiej. Były mniejsze, i to znacznie, od ludzi. Małe, niskie, korpulentne i straszliwie szpetne, jak na standardy ludzkie. Oprócz niemal kwadratowej twarzy, miały duże i mięsiste nosy, zarówno samce jak i samice, a także duże, wystające, pokryte krótką szczecina, uszy. Były to jednak istoty całkiem zaradne, niezależne, które, i to większości ludzi się nie podobało, miały często niewolników spośród ludzi, którzy pracowali za nie fizycznie.

Gnomy były zaradne, bowiem opanowały w stopniu wręcz

perfekcyjnym dyplomację, w tym szerszym znaczeniu, i pragmatyzm. Najczęściej zajmowały się handlem i finansami, i odnosiły na tym polu duże sukcesy. Lecz charakter miały mało świetlany, często ich interesy były mocno podejrzane, i kantowały wszystkich, jak tylko się dało. Co, przynajmniej według zwolenników króla Amargadeusza, było głównym powodem i przyczyną wyprawy przeciw gnomom na Wyspach Gnomów.

Zwolennicy króla Ulandii rozsiewali na cały ówczesny świat wieści, że podbój Wysp Gnomów był tylko ostatecznym rozprawieniem się z podłymi lichwiarzami, gnomami, którzy na Wyspach zgromadzili niebotyczny skarb, wynikający z ich szemranych interesów. I trzeba przyznać opinie te podzielano w wielu krajach ówczesnego świata. Bowiem gnomy z tej złej strony dały się poznać praktycznie wszędzie. Niechęć wielu władców do Amargadeusza nie wynikała z sympatii do gnomów, tylko raczej z tego, że on to, władca Ulandii, zagarnął większość z tego skarbu, nie dzieląc się przy tym z innymi narodami. Była to więc tylko i wyłącznie czysta zazdrość, a nie empatia i współczucie dla gnomów.

Naówczas właściwie ludy i to zarówno północy, południa, wschodu i zachodu mówiły jednym językiem. Zaś elfy i gnomy miały swój własny język. Dlatego, i to chodzi głównie o gnomy, osiedlając się wśród ludzi znały dwa języki, swój Głomski i język ludzki. Elfy również znały mowę ludzi, lecz żyły one głęboko na północy i bardzo rzadko osiedlały się w ludzkich siołach i miastach. Elfy, praszczury, to były istoty dwóch planów, realnego i astralnego, i pełniły one rolę pośredników między tymi planami. Nieporównywalnie większą nawet niż czynili to ludzcy magowie i kapłani. Bo była to ich przyrodzona cecha. Taki mieli talent, który kultywowali i się nim chlubili. Ludzie zresztą nie zakłócali elfom ich żywota. Raz, że żyły one daleko, w niegościnnych północnych lasach. Dwa, iż ludzie wiedzieli, iż plan astralny jest bardzo niebezpieczny i lepiej bez odpowiedniego przygotowania go nie zakłócać.

Dlatego elfy były bezpieczne. Ba! Pomagały one nawet niektórym przedstawicielom gatunku ludzkiego zaznajomić się w głębokim stopniu z cudami świata astralnego.

Przykładem na to niech będzie postać samego Mistrza Kapy, który

długie lata podejmował nauki w zakonie elfów, nim w końcu nie podjął służby u samego Amargadeusza.

O elfach wśród ludzi krążyło mnóstwo legend. Prawdą jest, iż mało spośród ludzi widziało ciało elfa po śmierci. Jedna z legend głosi, iż elfy żyją ponad trzysta lat, a po śmierci duchy zabierają ich ciała prosto na najwyższą górę północy, Kerekaro. I tam to jest cmentarzysko elfów. Dlatego bardzo dziwne dla Kapy było to, iż odkrył on w grocie magi Maga Uberyka dobrze zachowaną jakoby mumię elfa. Prawdopodobnie jednak nie jest to oryginalna mumia elfa, tylko spreparowana kopia.

Ponieważ raczej pewne jest to, iż elementale nie pozwoliłyby na to, by ciało elfa uległo tak wielkiej profanacji.

– Synu mój. Podejdz – powiedział Kowdlar. - Przywitaj się z tym panem. To jest twój nauczyciel. Mów do niego Mistrzu Ereju.

Malec był jeszcze zaspany. Choć był ufny do swego ojca. Jednak ten wysoki, szczupły mężczyzna przy ojcu budził w nim niejaki lęk. Mistrz Erej stał dumnie wyprostowany obok księcia Kanclerza. Miał takie ostre, przenikliwe spojrzenie.

Atagr był już przyzwyczajony, iż dla jego ojca pracuje wielu ludzi. W tym żołnierze i różnych innych profesji. Do setnika Zapary już tak się przyzwyczał, iż traktował go jak członka rodziny. Ale ten Mistrz Erej był jakiś taki inny. Zapara był silny, ale taki nieporadny w rozmowie. Ten malec już dobrze orientował się po zewnętrznym obejściu ludzi, czy są mądrzy, a może ciamajdy, a może zwykle ofiary. Jego ojciec, książę Kanclerz, był zawsze pewny siebie, głośny i żądający od wszystkich posłuszeństwa.

– Chłopcze, no podejdz tu do nas, nie bój się, nic ci nie zrobię – powiedział dźwięcznie i dość pewnie Erej. - Musimy się zaprzyjaźnić, bo odtąd będziemy razem spędzać większość czasu. No, Atagrze, nie bój się. Przecież tatuś cię obroni, ha, ha ha, -zaśmiali się razem, i Kowdlar i Erej.

Chłopak podszedł do nich, powłócząc jednak lewą nogą.

– Co ci się stało w nogę? – spytał nieco zdezorientowany Kowdlar.

– Spadłem z kuca, tato.

– Nic ci nie jest? - Kowldar pytał niepewnie.

– Nie, tylko poobijałem się trochę.

– A gdzie był wtedy setnik Zapara?

– Tato, w stajni mi się to stało. Ale nic mi nie jest, naprawdę. Wczoraj było gorzej.

– No dobrze. Przywitaj się z Mistrzem Erejem.

– Dzień dobry Panu.

– Dzień dobry, chłopcze. - odpowiedział Erej. - Chłopcze, mam do ciebie pytanie. Czy mogę , Panie? - Erej zwrócił się do Kowldara.

– Tak, tak, Mistrzu. Czuj się w mym domu i w mych włościach jak u siebie. Bądź współgospodarzem. Przynajmniej w stosunku do mego syna. Możesz go pytać, uczyć i karcić. Możesz go nawet karcić fizycznie, jeśli na to zasłuży. Ja wymagam od Ciebie tylko tyle, byś go dobrze przygotował do roli i rangi, jaką będzie odgrywał w życiu.

– Chłopcze, powiedz mi kto jest najważniejszą osobą w Ulandii? - To było pierwsze pytanie dla syna Kanclerza.

– Hm ... - chłopak zaczął bić się z myślami. - Hm... A Wiem! - Atagr krzyknął – mój tatuś.

Kowldara aż zamurowało, tak jakby go ktoś kopnął prosto w brzuch. Skrzywi się tylko i już chciał zrugać własnego syna, lecz pierwszy odezwał się Erej.

– No, chłopcze, niezupełnie jest tak. Choć chwali ci się, iż wiesz, jak ważny dla naszego kraju jest twój tatuś. Ale zapamiętaj, i to jest pierwsza lekcja, najważniejszą osobą w Ulandii jest Nasz Miłościwy Pan, król Amargadeusz.

– Mistrzu, wolałbym, abyś nie rozpowiadał nikomu, iż mój syn nie

wiedział, kto jest naszym Panem i dobroczyńcą. Czy mogę liczyć na to, iż błędy i pomyłki mego syna nie staną się wspólną tajemnicą innych ludzi?

– Ależ oczywiście, Ekscelencjo. Sam, Panie, powiedziałeś, iż mam się czuć jak w domu. Więc jako domownik zatrzymam dla siebie tajemnice domu.

– O! Bardzo dobrze, Mistrzu. Z takiej odpowiedzi jestem kontent. Czuj się jak w domu, i zachowaj dla siebie tajemnice domu. Obcy przecież nie muszą nam zaglądać w talerze. Swobodnie możesz, Mistrzu, rozmawiać tylko ze mną, mą żoną, Teborną, i z moim przyjacielem, Elubedą. Od teraz jesteśmy jedną rodziną. Mistrzu, wracając do twojej roli nauczyciela, oto przygotowałem specjalny gabinet z bogatą biblioteką, gdzie widziałbym, abyś ty nauczał i wychowywał mego syna. Czy zgadzasz się na taką formę? Możecie, oczywiście, przechadzać się także po naszym ogrodzie i parku, bo słyszałem, że niektórzy nauczycie uczą wykorzystując ten sposób.

– Tak, Panie, nie mylisz się. Jest to dobry sposób, gdy nauczyciel i uczeń, spacerując w plenerze, zadają sobie pytania i udzielają odpowiedzi. Między innymi w ten sposób nauczał mój Mistrz, Cygan Dziad. Na pewno i w ten sposób po części ja będę nauczał. Masz rację, Panie. A co do owego specjalnego pomieszczenia na naukę, to marzę, Panie, jak najszybciej poznać te woluminy, które zebrałeś w swej bibliotece.

– Gazo! - Kowdlar krzyknął i głośno zaklaskał w dłonie. Na tę zachętę ukazała się w drzwiach głowa lokaja.

– Tak, Panie – Gazo uklonił się.

– Zaprowadź Mistrza Ereja i me dziecko do Gabinetu Nauki. Do Ciebie, Mistrzu, mam jeszcze słowo. - Teraz Kowdlar odwrócił się wprost do Ereja. – Oto bowiem Atagr będzie cały czas, cały dzień pod twoją kuratelą, ale przez trzy godziny przed obiadem, dziennie, będzie się uczył fechtunku i jazdy konnej u setnika Zapary. Dostosuj więc, Mistrzu, swe nauki do takiej okoliczności. Jest wielce możliwe także, iż księżna Teborna, matka Atagra, będzie do was zaglądać od czasu do czasu, jak to jej matczyne serce każe. Nie zniechęcaj jej, Mistrzu. Atagr jest jeszcze na tyle młody, iż potrzebuje matki i jej miłości.

Temo odetchnął z ulgą. Choć może w jego sytuacji to nie była właściwa analogia. Bowiem siedział ukryty na furze pod stertą siana i jakichś lnianych łąchów, i ledwo oddychał. Od samego początku nikt ich nie nagabywał, czujki grodu przepuściły ich na rogatkach Kote bez żadnej kontroli. Wszystko szło dobrze. Może zbyt dobrze.

Jechali sami, tylko on i Jeryl, który prowadził furę. Stara szkapa, już nieznacznie ochwacona, ciągnęła niestrudzenie wóz z całym ładunkiem. Temo odetchnął z ulgą, bo przez dziurkę, którą sam zrobił, widział, iż dojeżdżali do celu. Celem była niewielka przystań, właściwie malutki port rzeczny. A stamtąd miała go wziąć łódź prosto do Ukale, ksiąstewka, które graniczyło z Mohawe. Jeryl coś tam cały czas mówił do szkapy. Z taką troską i czułością, jakby bał się, że koń nie wytrzyma i rozpląszczy mu się na drodze. Ale nic! Jechali cały czas konsekwentnie, coraz bliżej celu. W końcu Jeryl zatrzymał furę. Rozejrzał się wokół. Ni żywego ducha. Byli sami.

– Możesz wyjść – głośno rzekł gnom. Równocześnie odgarnął tę kupę starych łąchów, którymi przykryta była kryjówka. I Temo już po chwili stanął zupełnie wolny u boku gnoma. Strzepał tylko siano, które dostało mu się między szaty.

– Popłynę sam. Znam się na tym, w końcu jestem byłym piratem. – powiedział Temo. - Masz tu resztę, zgodnie z umową. - Temo wyciągnął z kieszeni kilka soczyście czerwonych rubinów.

Gnom, bez słowa, wziął kamienie do ręki, jakby im się przypatrywał. Powiedział smutnym głosem.

– I pomyśleć, iż dla takich kilku kamieni, ludzie zabijają się.

– No, nie tylko ludzie – powiedział przytomnie Temo. - Żądza bogactwa dotyka wszystkich. Nawet u was, u gnomów, jest podobnie.

– Ano tak. Co prawda, to prawda – przyznał mu Jeryl.

Łódź cumowała przy tym niewielkim porcie, właściwie to były dwa niewielkie mola, pewnie zbudowana dla jakiegoś promu rzeczno . Raczej także flisacy, lub inni handlujący, którzy korzystają z łodzi, cumowali tu, gdy pogoda na to pozwalała.

Teraz przy pierwszym molu była przymocowana niewielka łódka. Pozostałe stanowiska były puste.

– W łódce znajdziesz prowiant i nowe szaty – powiedział Jeryl. W końcu stanęli obaj na kładce obok łódki.

– Nie wiem, jak ci dziękować. Te kilka rubinów nie oddają pełnej wdzięczności, jaką dla Ciebie żywię. Wiem, że ryzykowałeś wiele. Ludzie Uberyka zabiliby Ciebie i twoją rodzinę, gdyby mnie dorwali w twoim domu. Wiem, co mówię.

– No dobrze, dobrze, płyn już. Masz do przepłynięcia wiele staj – gnom najwyraźniej się wzruszył. Wzruszył się też Temo.

– Pozdrów ode mnie Partywę i twą żonę, może bogowie wam pobłogosławią, pomodlę się za to. Dam ofiarę całopalną na ołtarzu Kerdolota za to, by twa żona doszła do zdrowia.

Temo ulokował się już w łodzi. Jeryl pomógł mu, odepchnął łódź na głębszą wodę.

Już po chwili Temo, wiosłując, ruszył z nurtem rzeki, byle dalej od Kote, byle wydostać się ze strefy wpływów Maga Uberyka. Gnom został sam na brzegu. Temo, jak sam mówi: stary pirat, bardzo sprawnie sobie radził z łódką. A że nurt tej rzeczki był dość bystry, szybko zaczął oddalać się. Po kilku minutach zupełnie zniknął Jerylowi z oczu, gdzieś tam za zakolem rzeki.

Jeryl ociągając się, poszedł do swej fury. Koń zupełnie znudzony skubał jakieś zielska, co tam przy drodze rosły. Gdy wsiadał na kozła chmury zakryły słońce.

Nagle zimno się zrobiło. Jeryl naciągnął na plecy wełniany koc. Jeszcze raz wyjął swój swój cenny skarb, siedem wielkich jak orzechy rubinów, i uśmiechnął się sam do siebie. W rzeczy samej dużo zaryzykował, ale teraz poczuł, że chyba złe fatum się od niego odwróciło. Może i jemu w końcu los nie poskąpi fortuny.

– Jutro jedziemy do Ube, nasz pobyt w Kote kończy się na tym – powiedział Uberyk

– Panie, ale po Temo wszelki ślad się zatarł. Przypuszczamy jednak, że ktoś mu pomógł w ucieczce – mówił Olert.

Byli sami w komnacie Uberyka. Było dość wcześnie rano, więc Uberyk paradował w atłasowej pidżamie. To już była rutyna, iż zawsze skoro świt Uberyk zwykł omawiać najważniejsze sprawy z Olertem.

– No nic, już nam się wymknął. No trudno. - mówił Uberyk. - Teraz należy liczyć się z tym, iż Amargadeusz jednak dowie się, skąd mamy środki na walkę z nim. A może to nawet dobrze. Niech sobie myśli, że mamy bogowie wiedzą ile pieniędzy. Może go to przerazi, może sparaliżuje jego poczynania.

– Regencie, w myśl tej maksymy, co by było źle, to i tak wyjdzie na dobre.

– Właśnie – potwierdził Uberyk.

– Mnie, z rodu Elukinów, i tak pisane jest władanie Ulandią. Ród Amargadeusza musi szczeznąć. To jest nawet dość smutne, ale nawet jego syn, Orotog, musi się zatracić. - powiedział Mag. - To ja z Logoberdą rządzić będę dumnym ludem Ulandii. I ona da mi dziedzica, tak jest zapisane w Księdze Jutra.

– Panie, czy Księga Jutra określa, kiedy tak się stanie ?- spytał dość naiwnie Olert. Rozdrażniło to mimowolnie Uberyka, lecz przełknął tę gorycz i rzekł.

– Księga tego nie określa. Mówi jedynie, iż spełni się to do końca eona smoka.

– Aha – Lecz może tego Uberyk nie przewidział, ale Olert wiedział to dokładnie, iż eon smoka kończy się dopiero za piętnaście lat. Jednak nie miał zamiaru uświadamiać w tym względzie swego pryncypała. Wolał udawać, że nic nie wie, i że w pełni ufa swemu Panu.

Uberyk podszedł do komody, co w rogu komnaty stała. Otworzył ją i wyciągnął coś. Coś, co było zawinięte w lniany worek. Podszedł z tym zawiniątkiem do Olerta.

– Widzisz to ?– wyciągnął rzecz z worka.

– Co? Czaszka? - Olert z niemałym zadziwieniem wydukał.

– Otóż to. Tym zniszczę barierę astralną Amargadeusza. Spytasz jak? - Uberyk dość łatwo przewidział reakcję generała. - To jest czaszka Abudusa III, dziada Amargadeusza.

– Nie może być!

– A jednak. Nasze złote talenty ze skarbu Molewera już zaczęły działać i pracować. - Uberyk popatrzał triumfalnie na swego sługę. - Już mu żaden Mistrz Kapa, a nawet potężniejszy mag, nie pomoże. Dzięki tej czaszce złamię barierę ochronną tyrana, jego wszystkie błogosławieństwa i zaklęcia ochronne. Jego samego, i jego syna. Potrzebuję jeszcze tylko jednej rzeczy, co też dostanę za nasze złote talenty.

– Czego , Panie, potrzebujesz?

– Kryształowej czaszki praszczura.

– Co to takiego, Regencie?

– Dużo by opowiadać. Na nic Ci się zda ta wiedza, a nawet więcej, gdybyś ją teraz poznał, musiałbym Cię zabić, bo stałbyś się dla mnie niebezpieczny. Powiem Ci tylko, że już uruchomiłem odpowiednie tryby smarowane złotymi talentami. Ponoć widzianą taką na ziemiach Helawitów. Już wkrótce zatraci się ród Amargadeusza. Ja Ci to mówię. Bez osłony astralnej, Amargadeusz stanie się bezbronny niczym małe dziecko. Wypisz , wymaluj, jak Orotog. Gdy zdobędę tę kryształową czaszkę, wówczas za pomocą Czarnej Magii złamię tego satrapę i jego ród. Nic mnie nie powstrzyma.

– Panie, racz wybaczyć mnie, laikowi, ale pono Czarnej Magia jest niebezpieczna, i główne niebezpieczeństwo grozi temu, co ją stosuje.

– Ha, ha, ha – Uberyk zaczął się śmiać niczym szaleniec. Tak głośno, i tak bezceremonialnie, że aż psy, co to leżały na dywanie, podniosły się i mocno się strwożyły. -Co ty bredzisz, Oler? Mnie ma zaszkodzić? Ha, ha, ha. Dobrze żarty.

Plort szedł korytarzem nieco chwiejnym krokiem. Wypił może dwa lub trzy puchary dobrego wina. Nie powinien pić, bo był na służbie. Ale kiedy on nie był na służbie?! Zawsze był. Kancelaria Kanclerska bez niego napuchła by pewnie, a potem pękła, robiąc wiele hałasu, a przede wszystkim ogrom zamieszania w państwie. Przed drzwiami komnaty Kanclerza stanął, poprawił włosy, wziął do ust kilka wysuszonych goździków. W końcu zastukał. Wszedł.

– Pozdrawiam Cię, Ekscelencjo – rzekł na powitanie.

Za stołem, rodzajem biurka, siedział Kowdlar. Na jego piersi wisiał ogromny, cały ze złota, kanclerski wisior. Symbol jego władzy i pozycji.

– Co tam? Masz coś ważnego? - spytał przezornie Kowdlar, bowiem było to niemal rutyną, że do niego trafiały tylko i wyłącznie trudne sprawy.

– Panie, jest pewna delikatna sprawa. Być może powinien dowiedzieć się o tym Miłościwy Pan, król Amargadeusz.

– Co to za sprawa?

– Otóż trafił do mnie pewien człowiek. Zwie się Temo, mówi, że jest byłym piratem.

–

No to powieść. W czym problem ? - Kowdlar nie zrozumiał.

– Ale jest pewien niuans. On ma bardzo ważne informacje, które nam już po części przekazał.

– Aha ... No to mów.

– Twierdzi on, iż do rąk Uberyka trafił ogromny skarb. Skarb pirata, kapitana Molewera. Są to tysiące tysięcy złotych talentów.

– A skąd on o tym może wiedzieć? Może to jest prowokacja? - Kowdlar odłożył wszystko, czym się zajmował. Zaczął bacznie przyglądać się Plortowi. Sprawa go zaciekała.

– On, ten Temo, twierdzi, iż sam zaprowadził ludzi Uberyka do skarbu i był świadkiem tego, jak Uberyk przejął ten skarb. Z tego też powodu, bo prawdopodobnie Uberyk zlikwidował wszystkich mało znaczących świadków tego, twierdzi, iż siepacze Uberyka chcieli go zabić, a on im umknął. I. I trafił do nas.

– Ciekawe, naprawdę ciekawe. Masz tego pirata?

– Może się u Ekscelencji stawić w ciągu godziny. - stwierdził Plort.

– Dzisiaj, zaraz, jadę do murgrabiego Elubedy, więc dzisiaj nie, lecz niech ten pirat przyjdzie do mnie jutro z rana. Nim on ewentualnie trafi przed oblicze króla, wprzód ja muszę z nim porozmawiać. Przyjdiesz razem z nim. I odpowiadasz za jego bezpieczeństwo. Doszły mnie bowiem słuchy, że mamy szpiega w naszym gronie. Więc uważaj. Pilnuj go, żeby mu ktoś życzliwy nie podał trucizny do strawy lub nie podciął mu gardła, gdy będzie spał. Najlepiej nie spuszczać go z oczu.

– Słucham, Ekscelencjo.

– Czy ten pirat mówił Ci, gdzie ów skarb był ukryty?

– Nie, Panie. On boi się mówić. Twierdzi, że powie samemu królowi, albo tobie, Panie.

– Ciekawi mnie to coraz bardziej, lecz dzisiaj na mnie czeka mój druh. Nie mogę go zawieść. Mój druh bierze niedługo ślub. Rozumiesz, Plort. To dla niego bardzo ważny okres. Więc ta rozmowa z byłym piratem może poczekać do jutra. Lecz powiedz mu... Jak mu tam na imię, bo zapomniałem?

– Temo.

– Więc, powiedz temu Temo, że jeśli łże, to sam go osobiście powieszę na maszcie.

– Panie, mówi prawdę. Zbytńio on się boi o własne życie, by jeszcze przy tym ryzykować kłamstwem. Mam duże doświadczenie w tym względzie, niejednego już petenta nakryłem na kłamstwie. On na pewno mówi prawdę. Na mój osąd.

Kraina Średnich lasów, to był jeden wielki las, gdzie co jakiś czas wyrastała wieś lub tylko sioło. Lecz była to ojczyzna głównie żubrów i turów. Gdy orzeł szybuje nad tą krainą, to widzi bezmiar zieleni, serpentyny bystrych rzek i potoków. Ludzi tam jak na lekarstwo. Przyroda żyje własnym dość okrutnym trybem. Większy zjada mniejszego. Ale tak to już bogowie sprawili, że takie są koleje losu. Najwyżej w tej hierarchii stoi niedźwiedź, obok niego tygrys szablo-zębny. Ci dwaj nie wchodzą sobie w drogę. Prawdziwą panikę sieją watahy wilków. Lecz one polują na mniejszą zwierzynę. Byki turów i żubrów umieją się jednak tak zorganizować, iż chronią skutecznie wszystkie zdrowe egzemplarze w swoim stadzie. Jedynie chory żubr lub tur może stać się ofiarą drapieżników. Gdy ludzie tam się pojawili, przewrócili do cna cały ten sprawny ekosystem. Tury zostały zaprzęgnięte do wozów, ich krowy dają mleko. Żubry zaś dają futra i dość dobre mięso. Na szczęście, po prawdzie, ludzie nadal są tu jeszcze jedynie gośćmi. I choć ziemie te należą do królestwa Ulandii, to właściwie stały one cały czas odłogiem. I dopiero ksiązę Kowdlar stał się właściwie pierwszym lennikiem tych ziem. Kowdlar miał i ma wielkie plany, co do swego lenna. Oprócz drewna ziemie te mogą przynieść wiele dobrych futer i cenną dziczyznę. Ale także odkryto tam niedawno żyły złota i srebra. Bogate złoża minerałów i rudy cennych metali. Ksiązę Kanclerz wraz ze swym przyjacielem, murgrabią Elubedą, planują założenie jednego dość dużego w projekcie grodu, kaszteli. Na to przedsięwzięcie Kowdlar już dostał glejt od Armagadeusza. Cały projekt jest na razie w fazie zamiarów. Lecz Kowdlar złożył przysięgę na ołtarzu Kerdolota, iż założy gród, jeszcze nim syn jego, Atagr, stanie się rycerzem. W tych ziemiach to, blisko głównego szlaku, Kowdlar wybudował swoją pierwszą siedzibę Poledę. Jednak w przyszłości, gdy zostanie już założony nowy gród, to właśnie tam stanie druga,

ważniejsza siedziba lennika. I tam też planował Elubed, iż osiadzie ze swą nową rodziną. Docelowo kasztel ta miała łączyć szlaki solny i bursztynowy, i strzec bezpieczeństwa na tych traktach. Jednak na te cele potrzebna była gotówka.

Król nie był skory, by ze skarbcza centralnego łożyć na to, i to pomimo tego, że Kowdlar jako Kanclerz miał bezpośredni wgląd w finanse państwa. Jednak w tak ważnych sprawach ostateczne zdanie należało zawsze do monarchy. Po złotych talentach zrabowanych gnomom, po tych z góra dziesięciu latach, nie zostało prawie nic. Może król miał gdzieś ukryte, w sobie tylko wiadomym skarbcu, jakieś środki na szczególną okazję. Bo, jak Plort to kiedyś wyliczył Kanclerzowi, może gdzieś jest ukryte góra pięćset tysięcy złotych talentów. I taką też, oceniał Kowdlar, król może mieć żelazną rezerwę. To dużo jak dla człowieka, lecz dla państwa to zgoła nie tak wiele. Gdyby król miał za tę kwotę zorganizować obronę przed wrogą napaścią, pewnie poniósłby sromotną klęskę. Na szczęście, i to pomimo sprzysiężenia ościennych krajów, i to pomimo knowań Uberyka, jak na razie nie zanosilo się, by ktoś chciał najechać Ulandię. Przynajmniej tak zdało się księciu Kanclerzowi, i tak zdawało się samemu Amargadeuszowi. Jeszcze Tepik lizał rany po ostatniej klęsce na Polu Czarnego Tura, jeszcze sława zwycięstwa Amargadeusza pobrzmiwała na ościennych dworach. Jednak, jak to się będzie mógł przekonać dumny władca Ulandii już w niedalekiej przyszłości, Mag Uberyk szykował dla niego prawdziwą niespodziankę. Oto Uberyk miał zamiar wkrótce zaprząć do swych celów całą złą moc Planu Astralnego, wszystko to przeciw Amargadeuszowi. Ciemne chmury zawisły nad krajem, ciemne chmury nad rodem Arenów, który władał tą krainą od wieków. Jaka będzie przyszłość Ulandii? Bogowie z zaciekawieniem obserwują te walki, te właśnie rodu ludzkiego. Jest to niemal taka sama rozrywka dla nich, jak dla ludzi potyczki gladiatorów.

– Nie jest dobrze, druhu – Kowdlar upił łyk wina. - Czuję, że wszystko wymyka mi się z rąk. Nie panuję już nad własną kancelarią.

– Nie może być – zdziwił się Elubed.

– Tak. Ci dwaj, Plort i Dert. Myślę, że oni coś knują. Ale nie mogę ich przegnać, zbyt obrośli w siłę. Ponadto zorientowałem się, że mają na mnie

pewne haki, o których ty nawet, mój druż, nie wiesz, a które kompromitują mnie jako rycerza.

– A coś ty takiego zmagstrował?

– A wiesz, za życia Cygana Dziada przejąłem niezbyt formalnie i uczciwie pewne pisma, lata temu, które dawny lennik Pustyni Róży adresował do Presurta Olanda. Gdyby się o tym dowiedział Miłościwy Pan, król Amargadeusz, jako człowiek honoru, rycerz, książę Kanclerz, musiałbym chyba ze sobą skończyć.

– Nie przejmuj się. Któż z nas nie ma coś do ukrycia. Każdy, nawet rycerz, w życiu coś przeskrobał – powiedział Elubed i uchylił czarę z winem.

– No tak, ale ode mnie się więcej wymaga. Pst... - pokazał ręką, by druż nachylił ucha i szeptem rzekł. - Przecież nasz Miłościwy Pan nie takie zbrodnie w świetle dziennym dokonał, że przypomnę zamęczenie Kujku. - Głośno zaś rzekł. - Ale On może wszystko, a my nic.

– No tak, no tak, przyjacielu, już jest. Kto tworzy prawo, może też je naginać podług swojej woli.

Izba domu Elubedy, który, choć zbudowany z kamienia, był w dzielnicy mieszczan i rzemieślników, była skromna i jedynie cenne dywany porozwieszane na ścianach mówiły, że właściciel tegoż domu może wiele, bardzo wiele. Już to sam Kowdlar mówił drużowi, by znalazł sobie godniejszą siedzibę w stolicy, ale Elubed mu na to odpowiadał, że owszem, ale dopiero po ślubie. Szkoda mu było pieniędzy. Poeta z zawodu, finansista z zamiłowania, i Wódz Ludzi Małych z nadania, nie lubił niepotrzebnych wydatków. Stale to księcia Kanclerza denerwowało, iż jego najlepszy przyjaciel notorycznie zapisywał na pergaminie atramentem z ośmiornicy swe nawet drobne wydatki. Toż on, jako Kanclerz, część rzeczy zawierał ludziom na słowo, a Elubed notował nawet to, że kupił na targu dwie kwarty miodu pitnego lub podobne zakupy. Jak się więc okazuje natura człowieka zawsze go zwycięży. I to, że był potomkiem kupca, snadnie dzisiaj wychodziło w jego obyczajach.

– Wiesz, drużu, coś się złego stało z Mistrzem Kapą – powiedział

Kowdlar. - Tak jakby chciał uciec z Wendy. Tylko śmieje się i na przemian płacze. Rzekł naszemu Miłościwemu Panu, iż chciałby wrócić skąd przyszedł. Chciałby wrócić do Zakonu Czarnego Elfa.

– To już nie interesuje go budowa świątyni Isztar w Wendzie? - spytał Elubed.

– On się czegoś straszliwie boi, tak na mój ogląd. Ktoś go tak przestraszył, iż zaburzył mu tym duszę. Pomieszał mu duszę i zmysły. Może to efekt walki dwóch magów?! Uberyka i Kapy. I wydaje się, że z dych dwóch, to Uberyk jest jednak silniejszy.

– A co na to nasz Miłościwy Pan? - Elubed spytał przytomnie.

– No cóż, jest mocno tym wszystkim zadziwiony. Na razie dał Kapie miesięczną wakację, aby tamten doszedł jakoś do siebie. A co będzie dalej? Bogowie wiedzą. Dotąd nasz Miłościwy Pan był bardzo kontent z pracy Mistrza Kapy. Król uważa, że to głównie dzięki niemu doczekał się męskiego potomka.

Czego nawet Uberykowi się nie udało, choć używał on do swych praktyk w tej kwestii krwi z osesków tukmackich. Co jest słodką tajemnicą Uberyka. I popatrz, król już niemłody, ale jednak płodny i silny jak tur. Dla tego też powodu Kapa może dużo uzyskać od króla.

– Mój drogi, ja słyszałem, że to właśnie magia jest bardzo niebezpieczna i zdradliwa dla duszy, i może ją pomieszać temu, kto popełni błąd przy jej stosowaniu. Może to jest właśnie taki przypadek. Widocznie Kapa popełnił ważny błąd w sztuce. I choć szkolili go elfy, to pobłądził. Widzisz jednak, jak magia jest niebezpieczna.

– Hm ... Tak myślisz? Może jest dużo racji w tym, co mówisz. Szczególnie Czarna Magia może pomieszać zmysły. Tak słyszałem. - Kowdlar upił solidny łyk słodkiego wina.

Atagr w pełni zafrapowany sklejał, siedząc na wzorzystym kobiercu, układankę obrazkową, którą mu zadał Erej. Sam Erej miał tymczasem chwilę

wolnego.

Podszedł więc do ściany, na której w półkach były rozmieszczone przeróżne woluminy, spisane na pergaminie lub na papirusie. Dużo tego było, Erej musiał przyznać, nawet jak na dom księcia Kanclerza, ważnej osoby w kraju. Podobnym zbiorem mógł tylko poszczycić się pewnie sam król Amargadeusz. Jak od razu się zorientował, nie były to pisma związane z kodeksami prawa lub innymi państwowymi zależnościami. To były mądrości tego świata. Księgi, spisane z natchnienia lub boskiej inspiracji, autorów ze wszystkich stron zaludnionego świata. Erej sięgnął po pierwszą lepszą z tego zbioru księgę. Na drewnianym trzonie nawinięta była zapisana wstęga pergaminu.

Ogień, powietrze, ziemia, woda – cztery substancje bytów, tak była zatytułowana. Autorem był Lurycjan, mistrz prawa naturalnego. - Sławny Lurycjan! - przemknęło mu w myślach. - Tak, Cygan Dziad wspominał o nim. - Sam sobie przytaknął.

Wziął inną do ręki.

Domy w układach astrologicznych, autorem tej zaś był Wyman z Alakadii.

Była to pozycja, którą chciałoby mieć z pewnością wielu Wróży. Bardzo cenna księga. Warta była co najmniej cztery wsie z dwustu niewolnikami. Jak ocenił Erej, samo jej przepisanie wymagałoby roku intensywnej pracy bardzo dobrego kopisty. A przecież i treść księgi nadaje jej dodatkową ceną wartość.

– Mistrzu, gotowe – Erej usłyszał. To mały Atagr uporał się ze swym zadaniem.

Niechętnie odłożył oba woluminy na swoje miejsce.

– Brawo, chłopcze. Bardzo szybko kojarzysz – powiedział. - Twój ojciec byłby z ciebie dumny. A powiedz mi, co to jest? Co przedstawia ten rysunek, który ułożyłeś?

– To, Mistrzu, jest struś.

– A widziałeś strusia żywego?

– Mieliliśmy kiedyś takiego, bo tatuś lubił jajecznice z jaja strusia.

– Aha... Chłopcze, a kiedy to było? - spytał trochę zdezorientowany Erej.

– Dawno, dawno.

– Jak dawno?

– Dawno.

– Chłopcze, rok, dwa , trzy lata temu?

– Dawno – chłopak był uparty. - Jeszcze wtedy nie znałem setnika Zapary. Nie uczyłem się fechtunku i często płakałem, a tatuś mówił, żebym nie był mazgajem.

Erej w końcu uświadomił sobie, że raczej nie wycisnie od chłopaka konkretnie, kiedy to było. Może Atagr jeszcze nie orientował się, co znaczy rok, lub dwa, trzy lata. Dla niego to było dawno temu.

– Proszę Pana, a potem kucharz upiekł tego strusia na rożnie, bo tatusiowi zbrzydły te jajecznice. Ale był taki twardy, żylasty, nic prawie nie zjadłem. Za to mamusia była zachwycona, bo dostała wszystkie pióra z tego strusia.

– Chłopcze, powiedz mi, czy ktokolwiek z twoich bliskich mówił Ci, co to jest, czym jest, nasz świat, w którym żyjemy?

– Eee... eee. Niiieee...Chyba nie – powiedział Atagr po chwili namysłu.

– Wiesz, my uczymy się teraz prostych rzeczy, właściwie to ja ciebie uczę takich rzeczy. Jednak wiesz dobrze, że z każdym dniem, miesiącem dorastasz, stajesz się większy, i twoja dusza rośnie także, podobnie jak twe ciało. Czy to rozumiesz?

– Eee... No tak. Tatuś mówi, że zostanę rycerzem, jak dorosnę. – powiedział Atagr.

– Właśnie. Setnik Zapara jest tu po to, byś mógł zostać kiedyś dzielnym rycerzem, byś umiał się bić dla króla. Ale ja tu jestem, by twa dusza również sprawnie dorosła, byś dowiedział się i sobie przyswoił wiele ciekawych rzeczy, które ludzie już dawno odkryli, ale, żeby je znać, trzeba się o nich nauczyć. Oto moja rola. Rozumiesz? - Erej mówił to w sposób bardzo dźwięczny, przyjemny, tak iż w konsekwencji rozbudziło to ciekawość małego książątka. - Więc ja będę Cię stopniowo wprowadzał w te rzeczy, które sam znam, i które uznam, byś ty je poznał.

– Tak , proszę Pana, też tak mi tatuś mówił. Tatuś mówił, bym pilnie Pana słuchał, Mistrzu.

– Mnie uczył najmądrzejszy człowiek za świecie, nazywał się Cygan Dziad. To oczywiście nie znaczy, że ja jako jego uczeń teraz jestem najmądrzejszy, zważywszy, że Cygan Dziad już nie żyje. Ale znaczy to tyle, że przekazał on mi, jako swemu uczniowi, wiele ciekawych i zaskakujących rzeczy. I część z nich, nim osiągniesz dojrzałość, a ja Cię będę nadal uczył, poznasz.

Temo szedł tymi korytarzami i czuł, że skóra coraz bardziej mu cierpła. Kancelaria Kanclerza mieściła się w samym centrum królestwa, w Zamku Królewskim, w tej części, w której król raczej nie bywał, chyba że wymagały tego obowiązki monarchy.

Razem z nim szedł Plort, lecz dlatego drugiego to nie była pierwszozna. Te rzeźby, wazy , amfory, które wszystkie stały w korytarzach zamkowych, to było jeszcze pokłosie łupów zdobytych na gnomach z Wysp Gnomów lub zdobyczne w innych wojnach, które prowadził zadziorny Amargadeusz. W końcu dotarli pod same drzwi księcia Kanclerza. Plort dość energicznie zapukał. Weszli.

– Ekscelencjo, oto przyszedł rzeczony Temo, który ma dla Was, Panie, informacje dotyczące skarbu Molewera.

– Plort, zostaw nas samych – odezwał się Kowdlar.

Plort uklonił się i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi komnaty.

– Hmm... Powiedziano mi, że jesteś, Temo, piratem, wiesz, co to

znaczy?

– Panie, ale ja już odpokutowałem swe dawne przewiny – powiedział żywo Temo.

– Dobrze, zostawmy to. Wezwałem Cię w konkretnej sprawie. Podobno utrzymujesz, że renegat Uberyk zagarnął dla siebie ogromny skarb piracki, zwany skarbem Molewera, prawdaż to ? - Kowldar popatrzał uważnie na Temo, tak jakby chciał go prześwidrować wzrokiem.

– Pełna prawda, Panie, sam go doprowadziłem do owego skarbu, bo to mi kapitan Molewer przekazał mapę z ukrytym skarbem.

– Hm ... Ciekawe. A czy masz jakieś dowody na to?

– Tak, Ekscelencjo – Temo wyciągnął z kieszeni mieszek. Podszedł bliżej biurka i całą zawartość mieszka opróżnił na blat.

– Oh! ... Do diaska – Kowldar nie umiał ukryć zdziwienia. Oto bowiem rozsypały po biurku szkiełka i kamyki różnej barwy. A to zielone jak trawa, czerwone jak maki, niebieskie jak woda morska.

– Panie, to są autentyczne szmaragdy, szafiry i rubiny wszystkie wielkiej wartości i cenne. - powiedział były pirat.

– A może to jakieś podróbki ? – Kowldar, mocno zdumiony, próbował jeszcze wykrzesać z siebie szczyptę sceptycyzmu, lecz na tyle mocno już obcował z drogimi kamieniami i klejnotami, iż i jemu wartość tych kamieni zdała się wręcz oczywista.

– Nie , Ekscelencjo, to nie podróbki. To jest część tego skarbu, choć bardzo mała. Ale to z tego skarbu pochodzą te cenne kamienie.

Kowldar wziął jeden kolorowy kamień do ręki. Przybliżył go sobie do oczów . Poczuł, jak ten kamień wiruje swą niebieską barwą, i niczym kolorowe kokardy zaczął mu tańczyć przed oczyma.

– Piękny. Masz tego więcej? - Kowldar spytał niespodziewanie.

– Trochę tego mam.

– Ale, powracając do meritum – Kowdlar przypomniał sobie, po co tu wezwał tego ex-pirata. - Twierdzisz, że w ręce Uberyka trafił ogromny skarb, czyż nie tak?

– Tak, Ekscelencjo. Sam go doprowadziłem do rzeczonoego skarbu Molewera. To są tysiące tysięcy złotych talentów.

– To niedobrze, to bardzo niedobrze. Hm ... Jeśli nie kręcisz, co jeszcze zbadamy, to staniesz osobiście przed królem, i to mu powiesz. Rozumiesz? A gdzie ten skarb był ukryty?

– Na wyspie Orecie, niedaleko zachodniego wybrzeża Oforyki. – Temo wystrzelił niczym błyskawica. -Panie, te kamienie przed tobą są częścią tego skarbu.

– Zważywszy, że przed sobą mam kamienie warte tysiące talentów, skłonny byłbym ci uwierzyć. Ale nim to się stanie, pozwól, iż królewski złotnik, Kerel, zbada te świecidełka. Jeśli on to potwierdzi, przygotuj się na nieformalną audiencję u króla, naszego Miłościwego Pana, Amargadeusza. Tymczasem dam Ci do ochrony dwóch gwardian. Gdzie teraz mieszkasz?

– U mego krewnego, u Diaga, rymarza, blisko brzegu Letugi.

– To zbyt niebezpieczne. Dam Ci lokum w karczmie „Ząb smoka”, blisko zamku. Będiesz tam przebywał i czekał na moje instrukcje. W ciągu tygodnia zorganizuję Ci nadzwyczajne posłuchanie u króla.

Kapa cały drżał. Nie umiał opanować drgawek. Oczy mu łzawiły, ostatni raz płakał, gdy miał piętnaście wiosen. Skrępowane dłonie sprawiały mu moc bólu.

– Dlaczego nie powiedziałeś królowi? - Kapa słyszał nad sobą głos tego dziwnego człeka.

– Paaa...anie, jak ja to miałee...em zrobić? Król od razu oddałby mnie katu. - Kapa z trudem odrzekł.

– Kobok jest bardzo rozczarowany tobą – cały czas mówił ten pierwszy.

Ten drugi, jego pomocnik, stał i patrzył, pilnował, by Kapa się nie uwolnił z więzów. - Kobok daje Ci ostatnią szansę. Jak w ciągu tego tygodnia nie powiesz Amargadeuszowi to, co już ustaliliśmy, to szykuj się już w podróż na Pola Kerdolota.

Ci dwaj w czerni, jak ich można było określić po ubiorze, mieli na sobie dość dziwaczne szaty. I choć Mistrz Kapa poznał trochę tego świata, to nigdzie, gdzie był, nie ubierano się podobnie. Nie był to rodzaj sutanny, ni długiej szaty, lecz raczej zmyślnie utkane żakiety. I to zarówno górna jak i dolna połowa. Oczywiście, całe w czerni. Nawet maski na oczy mieli czarne.

– Amargadeusz ma się stać prawdziwym sługą Koboka, nie tylko tytularnym, lecz w sposób realny. - mówił człowiek w czarnej masce.

– Czemu wyście mnie wybrali do tej misji? Czy mało jest godniejszych ode mnie Ulandczyków? - Kapa jakby się nieco wzmocnił.

– Milcz, Psi synu. - człowiek w masce wpadł niemal w furję. - Zrobisz to, zrobisz, nawet przeciw sobie, gdybyś miał to zrobić, to wykonasz rozkaz Koboka. Dam Ci jeszcze jeden dowód mocy Koboka. Powiedz Amargadeuszowi, że zbezczeszczono grobowiec królewski, i choć zewnętrznych oznak nie ma, jednak dokonano tego. Uspokoję Cię, to nie my zbezczeszciliśmy przodków Amargadeusza. A kto? Domyśl się sam. Wasze przyziemne sprawy nas nie interesują.

– To zaaa...bijcie mnie raczej teraz, bo ja nie rzeknę królowi tego, co ode mnie żądacie. - Kapa znowu zalał się łzami, nie wzruszyło to jednak tych ludzi w czerni. - I tak czeka mnie niechybna śmierć. Lecz król ma o wiele więcej możliwości w zadawaniu bólu i śmierci. - Kapa mówił łkając.

– No ręce opadają, Trzy, i co tu z takim opornym zrobić? Chyba go faktycznie trzeba dobić – mężczyzna w czerni rzekł do tego, co wykonywał, tak się zdało, jego rozkazy.

– Ale zważ, że mamy jasny rozkaz od Koboka – po raz pierwszy odezwał się Trzy.

– Ty jednak dość długo myślisz – usłyszał Kapa - zupełnie to nie podobna do twego fachu maga. Magowie to z reguły bystrzy goście. - mówił

ten aktywniejszy. - Czekaj na nas jutro i przemyśl tę sprawę raz jeszcze. Jak się postarasz i powiesz to królowi w takiej formie, iż łatwo to przełknie, to nic, uwierz mi, Ci nie grozi. Ba! Możesz nawet na tym zyskać, jako pośrednik między królem a Kobokiem. No myśl, durna pało.

Lecz nagle jakiś hałas i raban zrobił się przed grota. Ci dwaj, co męczyli Kapę, jakby się sprężyli, zdenerwowali, aż ich wyprostowało. Było już późno wieczór, więc któż to mógł być o tej porze?

– Trzy, zobacz, co tam się dzieje?

Trzy wyszedł dość energicznie. Początkowo nic się nie działo. Lecz wtem! Kapa usłyszał dziwny huk. Bum! Niby odgłos gromu, lecz nie tak dostojny, nie tak potężny, taki w złagodzonej formie.

I oto, już po chwili, do groty maga wrócił ten, którego nazywano Trzy. Wrócił spokojny, niby się nic nie stało.

– W porządku, szefie – powiedział Trzy. - To jakieś pijaczki chyba były. Jednego trafiłem, a drugi ze strachu uciekł.

– Trzy, musimy ciało wrzucić do Letugi. Ale to dopiero za moment. Teraz ty – mężczyzna zwrócił się ponownie do Mistrza Kapy – pamiętaj, jutro tu wrócimy. Nie uciekniesz nam.

Orotog smacznie spał w swej kołysce. Sylanda i Amargadeusz, królewska para, przyglądali się mu wspólnie. Król emanował jakimś takim dostojeństwem, może szczęściem. Królowa była szczerze zadowolona. Był tam też Obik, nieco z boku, i on obserwował tę sielankę. I choć kołyska nie była umieszczona w alkowie królewskiej, tylko w izbie przylegającej doń, to jednak królowa niemal stale była przy swym dziecku. Nie inaczej było z samym królem. Widok własnego syna, delfina królestwa, bardzo poprawiał samopoczucie podstarzałego już monarchy. A teraz to był już ten czas, iż rysy twarzy dziecka pozwalały stwierdzić, iż jest on niewątpliwie z dynastii Arenów. Orotog miał ten sam podbródek co i Amargadeusz; czoło wypisz, wymaluj, takie samo jakie miał na portrecie Abudus III .

– Królowo, otrzymałem wczoraj wiadomość, iż twój koronowany kuzyn, Eent, wybrał sobie małżonkę. Niejaką Demaje, arystokratkę z

Engory, spokrewnioną z twoją linią królewską, moja droga. Ślub już za miesiąc. I choć jestem oficjalnie zaproszony, i ty również, nie pojedziemy jednak.

– Zbyt małe nasze małżeństwo, masz rację, mężu.

– Tak, dobro naszego syna mam głównie na względzie, ale, przyznam ci się, także i to, iż ciemne chmury napłynęły nad nasze królestwo.

– Cóż się takiego stało, mężu?

– No ... Nie jest dobrze. Wrogie nam państwa się organizują przeciwko. I nawet, wyobraź sobie, neutralna dotąd Patera, jak gdyby jest nam nieprzychylna.

– Patera, Patera ... - królowa zaczęła szukać w myślach. - Ach to państwo, gdzie tak dobre wina robią, i miód pitny, i okowitę.

– To właśnie – przyznał jej król.

– Ale przecież zdawało mi się, iż na Polu Czarnego Tura rozprawiliś się, Panie mężu, z wrogami?

– No tak, ale znów rosną oni ci w siłę. Może na dziś nie ma konkretnego dla nas zagrożenia, ale ja muszę myśleć perspektywicznie. Nie jest dobrze, mówię ci, nie dobrze. Oto mało możemy pozyskać przyjaznych nam państw. Więcej mamy wrogów niż przyjaciół. Naszym sąsiadom nie podoba się, iż to ja, właśnie ja, podbiłem Wyspy Gnomów, i dużo na tym zyskałem, nie dzieląc się z innymi. Renegat, parszywiec Uberyk, tylko mąci i mąci. I choć nastają na niego moi skrytobójcy, to jednak ma tak dobrą ochronę, że jest to na razie nieskuteczne. A póki on będzie żył, to nie będzie dla nas spokoju. O bogowie, przecież było już tak, iż stał on przede mną w okowach na wyciągnięcie dłoni, i mogłem go wtedy razić sztyletem. Mogłem. I nie zrobiłem tego, a dziś są tego takie konsekwencje. Dzisiaj już bym się nie zastanawiał, zatopiłbym nóż w jego sercu z największą rozkoszą.

Zapadła znacząca cisza. To Amargadeusz bił się w myślach. Który to już raz tak strasznie żałował, że nie zabił Uberyka, jak tylko miał go w rękach. Tymczasem Sylanda wzięła swego syna na ręce. Dziecko cały czas

spać. Poglaskała go po głowce. Amargadeusz na ten widok zapomniał o całym świecie i uśmiechnął się do królowej. Potem zerknął na Obika. Tamten udawał, że nic nie widzi. Król zrobił gest, wiadomy im dwóm, i Obik, kłaniając się w pas wyszedł z komnaty.

– Moja droga – powiedział Amargadeusz. - Kiedy karmienie?

– Niech dziecko śpi, wczoraj dokazywał, niech to sobie odeśpi. A karmienie może poczekać pół godziny – powiedziała Sylanda.

– Może weźmiemy matkę mleczną?- powiedział król.

– Nie trzeba, mam pokarmu aż za wiele jak na jedno dziecko. Może bogowie chcieli bym porodziła bliźniaki. Lecz wyszło, jak wyszło.

– Ja oddałbym dwie córki, nawet bliźniaczki, za jednego Orotoga– król się uśmiechnął znowu.

Królowa przytuliła śpiące dziecko do piersi. Potem oddała synka w ręce męża. A tamten poczuł się bezradny wobec niewinności i ufności własnego syna.

Amargadeusz pocałował Orotoga w czoło, następnie ułożył go w kołysce. Dziecko cały czas spało, nie zbudziło się nawet, gdy było na rękach topornego i surowego w swych ruchach taty.

– Chłopak szybko dorośnie, ani się spojrzysz, a już mu się posypie wąs pod nosem. Dlatego w najbliższym czasie wyznaczę Regenta, bo ja już swoje lata mam.

– Kochany, nie martw się tym. - powiedziała Sylanda.

– To nie kwestia bania, tylko kwestia naszej dynastii Arenów. Cały czas myślałem, iż to z mojej winy z Kodyną nie mogłem się doczekać syna. Dziś już wiadomo, że wina leżała po stronie Kodyny. Muszę Orotogowi zapewnić bezpieczeństwo. Dlatego to najpewniej Kowdlar zostanie Regentem. On albo Adlar, jeszcze się waham, lecz decyzję podejmę już niedługo. Kowdlar jest chyba najlepszym kandydatem. Ma już swoje lata, można rzec, że jest dojrzały słusznie, ale jest w tym wieku, że jego własna ambicja ustąpi pola

obowiązkowi wobec swego suwerena. Nawet, gdyby miał on ambicje władania krajem, jego przejrzała dojrzałość ograniczy skutecznie te ciagoty. Jego aspiracje zaspokoi zupełnie to, iż będzie Regentem. Będzie władał, ale tylko do czasu, gdy Orotog w pełni dorośnie, potem odda berło prawowitemu dziedzicowi, dziedzicowi z rodu Arenów.

– Tak myślisz , mężu?

– Jako władca absolutny, moja droga, poznałem dostatecznie charaktery ludzkie. I wiem, do czego kto jest zdolny. Najlepszym merytorycznie kandydatem na Regenta byłby bez wątpienia Presurt Oland, ale Oland ma jedną wadę.

– Jaką? - spytała królowa.

– On jest jeszcze bardzo młody, za młody. Zyskując władzę Regenta, zakosztowałby we władaniu, a potem nie oddałby już władzy. Miałby na tyle w sobie młodości, sił życiowych, iż, jestem pewny, władza osłabiłaby jego wierność wobec naszej dynastii. Najpewniej stworzyłby własną. A wiesz, co by to oznaczało w konsekwencji dla naszej latorośli.

– No tak, masz najzupełniej rację. Pieniądze, władza i zaszczyty zmieniają charaktery ludzkie. To i ja sama wiem.

– I choć Oland wszystko mi zawdzięcza, ale ... Hm ... Szkoda gadać. – Król skrzywił się niby w bólu. Tak jakby emocje z tym związane raniły go wielce.

Lecz nagle w komnacie znalazł się znowu Obik. Był on jedyną osobą w kraju, oprócz oczywiście Sylandy, która mogła swobodnie poruszać się po pokojach królewskich. Mógł on nawet o dowolnej porze wchodzić do alkowy pary królewskiej.

– Co tam, Obik? - król się nieco zachnął.

– Wasza Wysokość, Mistrz Kapa pragnie na gwałt zyskać posłuchanie.

– Dzisiaj? Teraz? Cóż on chce takiego, nie wiesz?

– Mówi, że to gardłowa sprawa. Ktoś mu coś groził, wywnioskowałem

z tego, co tak bredził.

– Co, on nadal bredzi? - król się zaniepokoił.

– Tak, Panie, mówi o jakichś Reptylianach, bogach. No nonsensy kadzi. Ale rzekł mi, że jak nie zyska, Panie, twe posłuchanie, to się obwiesi – mówił żywo Obik.

– O bogowie, że też to u mnie musiał zwariować mój własny mag – westchnął król z pewną słabością w głosie. - A tak mi dobrze służył. No nic, będzie go trzeba odprawić z dworu. Niech już tam idzie z powrotem do swych elfów. Dobrze, Obik, powiedz mu, że go przyjmę, niech się tylko trochę ogarnę. Niech poczeka.

Kapa chodził nerwowo po komnacie. Minęła już godzina od czasu, gdy Obik powiedział mu, że król go przyjmie. Ta godzina ciągnęła się w nieskończoność. Przez ten cały czas bił się z myślami. Jak też król zareaguje? Jak zareaguje? Jak zareaguje na to, iż ktoś mu będzie śmiało stawiać warunki? Kapa zdawał sobie doskonale z tego sprawę, iż czegoś takiego jeszcze nie było. Amargadeusz wszak był władcą absolutny, jego wola była prawem ostatecznym. Może go od razu odda w ręce kata?

Jak by tu króla przekonać? Co robić? Kapa miał doprawdy trudny dylemat. A to chodziło przecież o życie. O własne życie. Z drugiej strony, ci dwaj ludzie od Koboka, jak ich zwał, pokazali mu takie rzeczy, takie dziwy, że może, przynajmniej teoretycznie, może król da się przekonać. Kapa wyjął w tej chwili ów dziwny, ni to drewniany, ni papirosowy, kawałek obrazu, na którym był, niby z życia wzięty, tak dokładny, wizerunek jakiejś przedziwnej istoty. Niby tego boga Koboka, jak mu powiedzieli ci dwaj. Zdało się, że Kobok jest tu na miejscu. Choć mocno pomniejszony, ale jednak z oblicza.

W tej to chwili na korytarzu Kapa usłyszał odgłos kroków. Pierwszy w komnacie znalazł się Obik, który głośno rzekł:

– Jego Wysokość, król Amargadeusz

W tej to samej chwili do komnaty wszedł król. Z miejsca wypalił:

– No i co ta, magu? Z czym przychodzisz, mów szybko, mało mam czasu.

Mistrzowi Kapa cała krew odeszła w pięty. Nie wiedział, jak zacząć. Lecz w nagłym przeblysku geniusza, rzekł:

– Wasza Królewska Mość, oto mam dla Miłości ważny przekaz od samego boga Koboka. Oto przesyła on przeze mnie dla Was, Wasza Łaskawość, ten własny portret. - to mówiąc szybko podał królowi wizerunek Koboka.

– To jest Kobok? - Król był mocno zdziwiony. - Jesteś pewny?

– Tak Wasza Wysokość, oto mam tu na dowód jeszcze pierścień rycerski króla Abudusa III, Waszego, Panie, dziada. Ten pierścień ma oznaczać, iż sam Kobok pragnie w sposób bezpośredni zawiązać z Waszą Miłością kontakty bezpośrednie, a ściślej przeze mnie. - Kapa aż cały pobladł na licu. Co teraz się będzie działo? Myślał pośpiesznie.

– I cóż to ma oznaczać? Tak poznaję ten pierścień. Rzeczywiście to pierścień mego przodka.

– Panie, bóg Kobok pragnie zawiązać kontakty z Waszą Miłością. Nie takie jak poprzez świątynię, czy ołtarz ofiarny, czy przez kapłanów, przez rytuały i misteria, lecz właśnie w sposób bezpośredni. Bez zbędnych pośredników.

Jedynie ja, jako twój mag, będę pośrednikiem między Wami.

Król zaczął zastanawiać się intensywnie. Popatrzał jeszcze raz na portret Koboka.

– Tak wygląda bóg Kobok? - zapytał wtóry raz. - Dziwny – dodał. - Ale jakaś taka siła bije od niego – król przyznał.

– Wasza Królewska Mość, to Kobok w samej rzeczy. - Mistrz Kapa potwierdził szybko. I nie namyślając się długo wręcz głośno wyśpiewał. – Bóg Kobok pragnie, byś ty, Panie, stał się jego najbardziej umiłowanym sługą, w dosłownym tego słowa znaczeniu. - Kapa zamknął powieki, nie

chciał wiedzieć, co teraz się stanie.

– Czy bóg Kobok chce się przeze mnie kontaktować z mym narodem? – Kapa usłyszał jedynie konkretne pytanie.

– To także, Wasza Łaskawość, to także. Żeby Cię, Panie, do końca przekonać o mej służebnej roli posłańca, pragnę Ci, Panie, przekazać, to co mi rzekł Kobok, iż groby Twych królewskich przodków zostały zbezczeszczone, i choć nie ma zewnętrznych tego oznak, jednak jest tak niezbitie.

– Co? - zdumiało to wielce króla. - Prochy mych przodków zbezczeszczono? Kto tego dokonał? Mów.

– Panie, za tym kryje się bez wątpienia ręka samego renegata Uberyka.

Król umilkł na chwilę. Popatrzał na swego maga. I powiedział :

– I co, Mistrzu Kapo, lepiej się już czujesz? Może rzeczywiście chcesz wrócić do Zakonu Czarnego Elfa?

– Wasza Wysokość, jeśli mam pełnić pośrednika między tobą, Panie, a bogiem Kobokiem, to i tak nie mogę. - powiedział przytomnie Kapa.

– No, w rzeczy samej nie możesz. Wyjedź jednak przynajmniej na tydzień ze stolicy, daleko od dworu, na łono natury. Mam taką posiadłość, w której już lata nie byłem. Jest to zamek Kelo w prowincji Jihe. Półtora dnia jazdy w siodle, na południe. Możesz tam nawet spędzić dwa tygodnie. Myślę, że nawet bóg Kobok nie przeszkodzi temu. - król podrapał się w brodę. - Tam naprawdę dobre ryby można łowić, lasy są pełne łani i dzików, także przeróżnych kuraków. Weź se sobą dobrego łowcę, bo wątpię czy ty dobrze władasz bronią. A dobry kusznik będzie miał tam zajęcie. I zamelduj się u mnie dopiero w połowie miesiąca pumy.

W Karczmie „Ząb smoka” było dość gwarno. To tu bowiem było najlepsze piwo w północnej części Wendy. Temo czuł się jednak tu bezpiecznie, pomimo takiego tłoku. Jak sam mu powiedział książę Kanclerz,

w tym tłoku będzie bezpieczniejszy, bowiem jego osoba zgubi się w tym tłumie. Pewnie dlatego, iż nikt nań nie zwracał uwagi. To było już trzecie piwo, głowa zaczynała mu lekko wirować. Ale cóż innego mógł tu robić? W kącie jakiś grajek grał rzewnie na lutni. Nad nim kilku już na gazie spijało te dodatkowe soki poezji. Lecz on trzymał się z daleka, patrzył tylko i udawał starego Ulandczyka. Gdyby jednak był bardziej czujnym, to zauważyłby bez wątpienia, iż pewne oczy stale wodzą za nim wzrok. To jakiś starzec pilnie śledził, co też czyni Temo. W pewnym momencie Temo poczuł, iż musi iść za potrzebą. Te piwa, które już wypił, odezwały się teraz. Machinalnie zostawił na blacie swoje piwo, co jeszcze w kuflu było. I wyszedł. I na to chyba czekał ów dziwny starzec. Podszedł niepokojony do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą grał miejsce Temo. Nikt nawet nie zauważył, iż dosypał coś z drewnianej ampułki do napitku. Po czym niepostrzeżenie wyszedł z izby. Gdy wychodził, zobaczył jeszcze, że Temo wraca na salę. A Temo jak gdyby nic poszedł po swój kufel piwa. I gdy już miał go w ręce.

Nagle usłyszał.

– Ty, chudy, to moje piwo – powiedział to jakiś łachmaniarz, z wyraźnym akcentem gwary ludzi z gór.

– Jak to, to moje, byłem za potrzebą – Temo chciał pokojowo wyjaśnić sprawę.

Lecz dobrze wiedział, że z ludźmi z gór jeszcze nikt nie zyskał nic po dobroci.

– Jak ci strzełę w gębę, to popamiętasz, kmiotku jeden – mówił ten góral w łachach.

– Dobra, dobra, piwo jest twoje – Temo zrezygnował z konfrontacji z góralem.

Oni są znani ze swej waleczności.

– No – góral głośnym westchnieniem oznajmił swe zwycięstwo, po czym wziął kufel i zanurzył w nim swe usta. Pił, i co rusz przecierał oczy.

Lecz nagle stała się rzecz niezwykła. Góral cały posiniał po licu. Wyszły mu także gały z oczodołu. I. O zgrozo! Jakaś piana mu wyszła z ust. Zacharczał tylko jeszcze. I ze wzrokiem pełnym zdumienia runął twarzą w dół. Ludzie obok rozstąpili się. Góral upadł na podłogę.

– O bogowie – powiedział cicho Temo do siebie.

– Pewnie spił się jak bydlę – Temo usłyszał kogoś. - Niech ktoś go wyrzuci na zewnątrz – mówił ten sam głos.

Lecz Temo zbyt wielu już widział truposzczaków, by teraz mieć jakieś wątpliwość.

Ten góral był już na Polach Kerdolota.

92

– Hm ... Ktoś chciał Cię otłuć?! A może to przypadek? - Kowdlar popatrzał uważnie na Temo.

– Ekscelencjo, wybacz, nie podzielam twego zdania, Panie. To nie może być przypadek. - powiedział Temo dość zadziornie.

Książę Kanclerz siedział za swym biurkiem. Plort i Temo stali na wprost przed nim.

Stary kundel, rozłożony na środku komnaty, zupełnie już wyłysiały, przypatrywał im się. Jugo, tak zwał go Kowdlar. Był to ulubieniec Kanclerza; przygarnął on go kiedyś prosto z ulicy. Często go brał z Poledy na dwór królewski.

– Plort, czy Temo miał wówczas obstawę?

– Panie, to było w środku karczmy. Moc ludzi tam było – szybko odpowiedział mu kancelista.

– Czyli nie miał – podsumował Kowdlar. - Wiadomo chociaż, co to była za trucizna? - Kowdlar skierował to pytanie do Plorta.

– Ekscelencjo, medyk stwierdził po zapachu tego piwa, co w kuflu jeszcze się ostało, że to najpewniej żółć smoka była.

– Żółć smoka, mówisz. O ile wiem, smoków jest teraz jak na lekarstwo, ha, ha, ha – zaśmiał się trochę sztucznie Kowdlar- w rzeczy samej jak na lekarstwo, i to, widzimy, dosłownie. Więc żółć smoka musi mieć teraz sporą wartość. Z tego wynika, że zgładzić cię chciał ktoś majątny. Mówisz, iż Uberyk zagarnął wielki skarb. Wszystko się nam zaczyna tu pięknie wiązać i splatać. Z drugiej strony musi być w naszym gronie jakiś zdrajca. Skąd bowiem ludzie Uberyka dowiedzieli się, iż tam, w tej karczmie, cię ukrywamy? Tylko przez zdrajcę. Czyż nie, Plort? Nie uważasz, że mam rację?

Plort poczerwieniał cały na twarzy, tak jakby ta uwaga wyprowadziła go, choć na chwilę, z równowagi.

– W samej rzeczy, księżę Kanclerzu – powiedział jednak pewnie.

– Plort, zostawiam to już tobie, znajdź jakąś kryjówkę dla niego, przynajmniej do momentu, aż król nie przesłucha go osobiście.

Na tę uwagę Temo pobladł, aż kichnął; przetarł oczy i rzekł:

– Ekscelencjo, a co będzie później, czy moje życie jest tak mało warte?

– Hm... - Kowdlar zmieszał się, najwidoczniej człowiek chciał się wyratować z tych opresji, w jakie go los okrutny wciągnął. - A co ty umiesz, oprócz piractwa?

– Panie, walczyłem jako najemnik, ale umiem także kucharzyć. Kapitan Molewer bardzo lubił moją kuchnię. Umieję z niczego coś przyrządzić, a także poznałem kuchnie czterech stron świata.

– Kucharz? Kucharz? ... Hm ... Przekonaj mnie. Zmieniłem zdanie, Plort. Temo zostanie u mnie, tu mu nic nie grozi, a przy okazji niech idzie do kuchni i przyrządzi jakiś przysmak. Jeśli się sprawdzisz – Kanclerz znów zwrócił się bezpośrednio do Temu – to może znajdę ci zajęcie. I uratujesz swoje życie.

Rzeczywiście, mam już bardzo leciwego kucharza w swej posiadłości w Średnich Lasach. Ale musisz się wykazać; jajecznicę to ja sobie umiem sam przyrządzić. Jako rycerz, żołnierz, co to był na niejednej wojnie, i ja musiałem to poznać i przyswoić sobie. Umieję jednakowoż docenić prawdziwego kuchmistrza. Jeśli jesteś takim, to wykaż się.

Byli wszyscy jego wodzowie. Generałowie Olert i Kardelonde. Szczególnie Kalderonde zrobił dobrą robotę dla ich wspólnej sprawy. To on namówił główne szczepy Tukmaków w Oforyce, by przystąpili do sojuszu.

Teraz to Uberyk mógł liczyć na Tepika, króla Spoka, na Ufera, władcy Patery, na Fluksję. To już był poważny sojusz. Teraz tylko trzeba skonsolidować wojska pod jedną komendę i je przegrupować, dołączają się Tukmaki, i Amargadeusz nie ma żadnych szans. Stali przed mapą świata, rozłożoną na wysokiej ławie. Dużą, na tyle dużą, iż można było ze swobodą analizować strategiczne i taktyczne niuanse przyszłej wojny. Bo to będzie, i Uberyk już nie miał żadnych złudzeń, prawdziwa wojna.

– Ile trzeba czasu, by nasze wojska stanęły na granicy Ulandii? - spytał Olerta Uberyk.

– Panie, myślę, iż najwyżej trzy miesiące. No, jeśli będziemy czekać jeszcze na Tukmaków, to może cztery. Ale w sumie warto chyba na nich poczekać, to nam się opłaci. - Olert wskazał palcem na północne obrzeża Oforyki.

– Czekałem dziesięć lat, poczekam i cztery miesiące. Niech tak będzie. Tym bardziej, że Tukmaki będą żądne krwi. Będą się bić za trzech. – powiedział Uberyk.

– Regencie, chodzą słuchy, że Amargadeusz cierpi na jakąś poważną boleść. Może lepiej zaczekać jeszcze i zorientować się, co z tego będzie. A nuż Amargadeusz sam zemrze, wtedy będziesz miał, Panie, ułatwione zadanie przejęcia władzy w Ulandii – powiedział Jore, jeden z pomniejszych ludzi Uberyka.

– To i tak nam nie ułatwi zadania, bo najpewniej ewentualnym

Regentem dla Orotoga zostanie Kowdlar. I on też będzie dla nas godnym wrogiem. - odpowiedział mu Uberyk. - I tak, i siak trzeba będzie siłą wydrzeć im władzę w Ulandii. Runy mi wyraźnie mówią, że zyskam władzę w Ulandii, ale tylko po ciężkiej i ofiarnej wojnie z przeciwnikami. Wiele ofiar będzie, ale niech to będzie ofiara na ołtarzu boga wojny. No cóż, widocznie tak musi być.

Uberyk wskazał na mapie północne tereny Ulandii.

– Uderzymy z tego kierunku. Tam Amargadeusz jest najslabszy.

– Tylko, że tam, Regencie, są największe bagna, więc Amargadeusz naturalnie uważa, że stamtąd mu nic nie grozi – rzekł Olert.

– Wiem o tym, generale, doskonale. Lecz naszą siłą nie będą ciężcy rycerze, lecz stosunkowo lżejsi Tukmaki i najemnicy. Dla nas te bagna to żadna przeszkoda. - mówił Uberyk, dodatkowo wodząc palcem po mapie. - Równocześnie wojska Tepika uderzą z zachodu. Amargadeusz nie ma żadnych szans. Jeśli wyjdzie z tego żywym, będzie miał górę szczęścia. Za jego głowę ja osobiście dam pięćset tysięcy talentów złotych temu, kto tego dokona. Za głowę Kowdlara dam sto tysięcy.

– Panie, ta kampania będzie nas dużo talentów kosztować – rzekł Kalderonde – ograniczmy się więc tylko do głowy Amargadeusza. Śmierć pozostałych wrogów będzie już tylko konsekwencją porażki tyrana Amargadeusza.

– Dobrze, słusznie prawisz, generale. Gdy zniszczymy rdzeń Hydry cała reszta się posypie – przyznał Uberyk. -Ta ekspedycja zbrojna będzie nas kosztować kilka tysięcy tysięcy talentów, ściśle około trzech tysięcy tysięcy. Nie jest to mało, ale nasi alianci są dziwnie łasi na nasze pieniądze. Tylko Tepikowi musiałem przysięgnąć tysiąc tysięcy, innym zaś daniny wojenne. Lecz ta cena warta jest tego. Będąc już władcą Ulandii, spłacę wszystkie zobowiązania w krótkim czasie. Przyznaję, że dzięki skarbowi tego pirata Molewera. On to łupił, grabił i zabijał. Ja wykorzystam jego zdobycze dla właściwego celu.

Posiadłość Ube, w której teraz debatował sztab Uberyka, była

słonecznym ciepłym folwarkiem, w której było mnóstwo zwierzyny hodowanej; pawie chodziły dumnie po podwórzu, szlachetne konie harcowały na wybiegu. Dzięki uprzejmości króla Karona, Uberyk mógł łądować się tu, i to nawet w sensie dosłownym, czystą i zdrową energią ziemi. Obfitość jada i zwierzyny, owoców słodszych niż miód, powodowało, iż był to jakiś przedsiónek boskiego grodu. Może to tak żyją nasi przodkowie, w dostatku i w błogostanie, gdy przenoszą się już na Pola Kerdolota.

Tymczasem sztab Uberyka debatował nad wielką mapą świata. Uberyk to raz, to dwa szerokim gestem, niby palcem po mapie, przenosił swoje i alianckie siły to tu, to tam.

Bez wątpienia już za kilka miesięcy biedny Amargadeusz będzie precyzyjnie otoczony przez wrogie mu siły.

Uberyk był głęboko przekonany, że to będzie sromotny koniec tyrana. Skłócony ze swymi sąsiadami, pyszny i pewny w swą szczęśliwą gwiazdę, jak sam powiadał w błogosławieństwa, które miały go chronić. Jego samego oraz dynastię, którą reprezentował, i która, prawdę powiedziawszy, im gremio nie do końca był szczęśliwa dla Ulandii. Wydawać by się więc teram mogło, iż nic już obecnego monarchę Ulandii nie uratuje. Ile istnień czekała jednak pewna śmierć? I najemników, żołnierzy zaciężnych, i rycerzy z herbami na swych tarczach, i zwykłych ciurów obozowych zapłaci jednak życiem za to, iż jeden władca ustąpi miejsca drugiemu? Gdy drwa rąbią, tam wióry lecą. Będzie tak niechybnie, będzie tak najpewniej.

– Panie, a jeśli do tego czasu, Amargadeusz zyska jakiegoś sojusznika? - powiedział Olert. - Przecież nie ukryjemy przed nim i jego szpiegami ruchu naszych wojsk na granicy. Szybko to do niego dojdzie, że czeka go ciężka przeprawa z nami.

– Tym gorzej dla jego ewentualnych sojuszników. My zgromadzimy takie siły, że nic mu nie pomoże. Chyba?! - Uberyk się zastanowił; zawiesił na chwilę głos. - Chyba żeby mu bogowie pomogli. Ale we wróżbach nie widzę takiej opcji. Bogowie są po naszej stronie. - Lecz mówiąc te słowa, Uberyk poczuł jakąś dziwną irytację w okolicach serca. Nie, to nie było jakieś złe przeczucie, lecz raczej trwoga, lecz jakiś atawistyczny lęk. I tylko

tyle.

W tej to chwili do komnaty wszedł młody posłaniec. Przyniósł on coś prosto do rąk generała Kalderonde. To była jakaś zalakowana koperta. Generał na oczach wszystkich złamał pieczęci i zaczął czytać. Zaraz to pojawił się na jego licu rumieniec zadowolenia. Rzekł:

– Dobre wieści, Regencie.

– Tak, mów, co tam – odrzekł Uberyk.

– Oto, Panie, wypłynęły pierwsze statki z Tukmackimi wojownikami z północnych wybrzeży Oforyki. Jak mi donosi mój człowiek, będzie tego z pięć tysięcy chłopa. To dużo, to dużo jak na Tukmaki. Docelowo mają się stawić na ziemiach Patery. To tam dołączą do nich wojska królestwa Spoka. I my tam ruszymy za miesiąc, dwa. Nasze siły, to wolni najemnicy, wyzwoleni niewolnicy i dumni rycerze. Mamy tego ze dwa tysiące. Jeszcze uzbieramy do czterech, i ruszymy, Panie. I choć z Oforyki do Ulandii kawałek, spory kawałek, drogi. To, tak jak te Tukmaki, i my statkami ruszymy ich śladem.

– Jakie to są stawki, Olert, za najemników?

– Panie, każdy rycerz na twojej służbie dostaje talenta za jeden dzień. Najemnik zwykły pół talenta, a wyzwolenicy cztery miedziaki. Oczywiście obok wikt, który też mają od nas. Ale i tu, najczęściej zyskują rycerze, bo mają zagwarantowaną sztukę mięsa, co każde dwa dni. Najemnicy zwykli sztukę mięsa raz na tydzień.

– Ile nas to wszystko będzie kosztowało? - spytał rzeczowo Uberyk.

– Regencie – mówił Olert. - Całość, licząc pół roku zaciągu, około tysiąc tysięcy złotych talentów. Najwięcej wydamy na aprowizację i przetransportowanie z Oforyki wojska. Gdyby nie to, zapłacilibyśmy znacznie mniej, istotnie mniej.

– Nie liczcie się z kosztami – Uberyk chwycił za ramię Kalderonte i potrząsnął nim, niby na potwierdzenie swych słów. - Najważniejszymi dla nas niech będą Ulandczycy, którzy wreszcie odetchnął od tej tyrani

Amargadeusza. Ale to my, i nasi rycerze, musimy przynieść im upragnioną wolność.

Było widać, jak bardzo Uberyk był pobudzony. Gdyby oni wiedzieli. Gdyby tylko wiedzieli, jaka była prawdziwa motywacja swego przywódcy. On chciał się zemścić.

Po prostu chciał się zemścić. Wtedy, gdy był tam w lochach Zamku Królewskiego rozpięty na łańcuchach przez kata Ufensa, zainicjował w swym życiu przysięgę Lodoreba. Taką przysięgę, rodzaj zawierzenia, człowiek w swym życiu może wykonać tylko jeden raz, ale tylko ważny człowiek, i to ten jedyny raz, gdy nie ma wyjścia z sytuacji. Wtedy to, zawierając w całości bogu zemsty, Lodorebowi, swą duszę, można prosić o zemstę, ratunek i o śmierć tego, kto jest sprawcą własnego cierpienia. I on wtedy, tam na łasce Ufensa, za swoją duszę zażądał, by ród Amargadeusza, ród Arena, zatracił się w całości. Duszę więc już stracił, zyskał kilka lub kilkanaście lat życia. Teraz czekał jedynie, by dokonana się w całości zemsta.

Mag Uberyk już dobrze wiedział, że po śmierci na Planie Astralnym zniszczą go elementale, ale żył jeszcze tylko pragnieniem zemsty. Choć wtedy jeszcze nikt nie mógł przypuszczać, że Amargadeusz doczeka się męskiego potomka, to przysięga Lodoreba i tak musi się dokonać. Och! Gdyby można było cofnąć czas. Tak sobie wyobrażał, wolałby już, by skonać zakatowanym, niż by zatracić się w morzu emocji.

Złych emocji. Elementale już szykują dla niego takie emocje, a Lodorebka złe myślokształty, tak, by Mag Uberyk zapłacił za boski przywilej zemsty. Bo jak głosi ludowa mądrość: zemsta jest przywilejem bogów, nie ludzi.

Atagr zrywał na łące żółte kwiaty. Obok stał spokojnie kuc Mube, ten sam na którym syn Kowdlara uczył się na razie jazdy konnej. Było ciepło przedpołudnie. Oto Erej wybrał się ze swym wychowankiem na krótki spacer. Nie byli daleko od pałacu.

Właściwie ta łąka przylegała ściśle do pałacowego ogrodu. Erej trzymał

w rękę księgę. Tę księgę. Był to duchowy testament samego Cygana Dziada. To w niej zawarta była prawie cała mądrość. I choć Erej przeczytał tę książkę już kilka razy, zawsze, gdy do niej wracał, dostrzegał w niej nową, całkiem nową treść. Chłopak z zapałem zbierał kwiatki, może zadowolony, iż nauczyciel dał mu chwilę na wytchnienie. Zaraz pewnie znowu wrócił do omawiania liter alfabetu, lub tabliczki mnożenia. Lecz teraz Atagr mógł robić co chciał. A Erej? A Erej także przypatrywał się cudowi rozkwitłej o tej porze roku natury. Nie mógł tego czynić tak spontanicznie jak jego wychowanek. Musiał przybrać pozory, właśnie pozory, lekkiego znużenia, może znużenia. A i jemu przecież, jak temu młodemu, w duszy grało szczęściem i obfitością przyrody. Lecz oto Erej zaczął:

– Powiedz mi, chłopcze, czy człowiek jest wolnym, a jeśli nie, to kto nim steruje? - zwrócił się do Atagra, który stał przed nim kilka łokci dalej.

– Mistrzu, sam mi mówiłeś, iż to jest zagadka, której nikt nie rozwikła – chłopak powiedział poważnie. Erej stosował dziwną taktykę wychowawczą, bowiem, nauczając dziecię księcia Kanclerza, mieszał stale rzeczy poważne z błażymi, i rzeczy trudne z bardzo łatwymi.

– Dobrze. Brawo! Chłopcze. Zapamiętałeś jednak. Teraz ci tylko powiem, że nawet gdy miną wieki, tysiąclecia człek nigdy nie będzie znał odpowiedzi na to pytanie. Dlaczego tak jest? Eferet z Kule odpowiada na to, iż przyczyną tego może być to, iż człek ma zmysły zawodne i nigdy nie odbiera rzeczywistości w pełni jej istnienia, tylko częściowo, właśnie przez pięć naszych zawodnych zmysłów. A jako że nie odbiera tejże rzeczywistości w całości, nie może być nigdy pewnym do końca, czy nie jest sterowanym przez kogoś, może przez bogów. Więc powiedz mi teraz, jak w takim razie ma człowiek żyć?

– To proste, Mistrzu, tak jakby był w całości wolny. - zaśpiewał wdzięcznie malec.

– Właśnie. - przytaknął z ochotą Erej. - Ma żyć tak, jakby był w pełni wolny, szanując jedynie wolność mu ludzi równych, oraz prawa i obyczaje panujące w jego społeczności. I powiedz mi, Atagr, czy ty tak żyjesz, czy tak żyje twój ojciec i matka?

– Mistrz... rzu – chłopak zaczął się jękać – eee...eee – nie wiedział, co rzec. – A co, żyją? - na koniec krzyknął niemal.

– No, widzisz, nie wiesz. Taka to i prawda, i tego nie możemy być pewny. Tego, czy inni, nawet nam bardzo bliscy, są marionetkami w rękach bogów lub czy żyją w pełni wolni, nawet nie wiemy, czy starają się tak żyć. Dotąd się nad tym nie zastanawiałeś, i nie wiesz nawet, czy ty, chłopcze, sam żyjesz wolny. Jesteś jeszcze za młody, więc twoje starania są rangi tej, jaka jest twoja młodość. Moja rada jest taka, przynajmniej staraj się tak żyć, jakbyś był wolnym. Czy od teraz tak będziesz się starał? - Erej zadał to dziwne pytanie malcowi.

– Hm... To dziwne, Mistrzu. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.- chłopak powiedział poważnie.

– Wiem, wiem, żyłeś w sposób naturalny – ubiegł go Erej. - I powiem ci, to jest dobra metoda i postawa wobec życia. Ale jest to metoda dobra wyłącznie dla ludzi młodych, bardzo młodych, lub ewentualnie ludzi nieświadomych, powiem więcej : nieświadomych, i dla barbarzyńców. Ludzie światli, ludzie mądrzy muszą jednak wykonać świadomy wybór. Albo się będą starać żyć w sposób wolny, albo nie mogą narzekać, gdy los im nie sprzyja. Gdy będą się starać żyć w sposób wolny, mogą stwierdzić, i to pomimo wszelkich okoliczności , że są kowalami własnego losu.

Kuc Mube zaczął nagle podskakiwać, niby go gież ugryzł. Spojrzeli obaj na to biedne zwierzę. A kucyk, tak jakby czując, że jest teraz ważny, zaczął wierzgać i podskakiwać. Wydawał przy tym odgłosy podobne do tych, co to osły wydają.

– Co to, Mistrzu? Co mu się stało? - zakrzyczał wręcz Atagr.

– Nie wiem, może go wąż ukąsił, albo pracowita pszczoła użądliła.

Kuc coraz mocniej zaczął dokazywać. Aż w końcu zaczął wierzgać i biegać po całej łące. To już zaniepokoiło Ereja. Zaczął bać się, by kucyk małego nie potrafił. Wziął więc go za ręce i odprowadził nieco z boku. Chłopak patrzył z ciekawością na swego kuca, i raczej się nie smucił, lecz, przeciwnie, wzbudzało to u niego uśmiech.

Pierwszy raz tak Mube się zachowywał.

– Idź tam, pod to drzewo – Erej wskazał Atagrowi samotną brzozę. - A ja zobaczę, co jest twojemu kucowi.

– Dobrze, proszę Pana – chłopak poszedł posłusznie tam, gdzie mu wskazano.

Może czuł podskórnice, że Mube w takim stanie jest niebezpieczny. Nie był to duży koń, tylko mały kucyk, lecz swoją siłę miało to zwierzę.

A Erej powoli ruszył w stronę Mube. Kucyk jeszcze rżał, jeszcze podskakiwał. Ale jakby apogeum tego dzikiego stanu miał już za sobą. Powoli, powoli, widać było, że mu to mija. W końcu Erej doszedł do zwierzęcia. Pierwsze, co zauważył, to to, że kucyk miał spuchniętą, znacznie, prawą przednią nogę. Erej krzyknął do Atagra.

– Tak, jak mi się zdawało, Mube chyba wąż ukąsił. Trzeba będzie mu jakoś pomóc, bo choć to nie jest drobne zwierzę, ale jad może być dla niego groźny..

Mube się uspokoił, tak iż Erej mugł go już prowadzić na wodzach. Erej więc ruszył w kierunku pałacu, za nim kroczył już spokojny kucyk.

– Chodź, chłopcze, zobaczymy, co kucharz przygotował na obiad, a Mubem zajmą się ludzie w stajni.

Temo jednak nie był przygotowany na to, co go czekało. Już wejście w te królewskie rewiry spowodowały u niego gęsią skórkę. Poczł nawet, gdy tak szedł tymi korytarzami, że żołądek ścisnął mu jakiś tytan. Do króla prowadził go sam książę Kanclerz. W końcu stanęli przed okazałymi drzwiami. Przed nimi stało dwoje gwardian, zupełnie sztywni byli, a wzrok mieli skupiony na przeciwległej ścianie. I nic na nich nie zrobiło wrażenia, że to książę Kanclerz przybył.

Lecz oto drzwi się uchylily. W nich to pojawiła się głowa jakiegoś mężczyzny. Temo nie mógł wiedzieć, ale był to sam Obik, ten słynny Obik,

o którym już w królestwie krążyły legendy, jako o najbardziej zaufanemu króla na dworze.

– Obiku – rzekł Kowdlar – czy Jego Królewska Mość raczy nas przyjąć?

– Jesteś, Ekscelencjo, z owym Temo, na którego król czeka?

– Właśnie, w samej rzeczy to on.

– Proszę, Ekscelencjo, proszę, wchodźcie – Obik zaśpiewał prawie falsetem.

Kowdlar popchnął nieco zaskoczonego Temo, drzwi się bardziej uchyliły i razem wkroczyli do królewskiej komnaty.

W środku komnaty od razu było widać, iż gospodarz to godna persona. Król siedział na wysokiej ławie, przed nim stały dwa krzesła. Król miał w ręku jakiś papirus i wyglądało na to, że z uwagą go studiuje. Amargadeusz jakby nie zwrócił uwagi na to, iż ktoś wszedł do środka. Ale było tak tylko pozornie. Oto nagle rzekł:

– To jest ten słynny pirat, Kowdlarze?

– Tak, Miłościwy Panie. To Temo, człowiek, który wiele przeżył.

Król odłożył papirus; spojrzał uważnie na nich. Jego wzrok był niczym wirujące wiertło. Temo się poczuł, jakby był u kata na badaniach. Jeszcze bardziej poczuł, jak żołądek mu się ściska.

– Usiądźcie – powiedział król łagodnie.

Posłuszni jego sugestii, usiedli na krzesłach. Temo poczuł w tej chwili, że gorąca fala energii go zalewa. Z trudem złapał oddech.

– Powiadasz, że jesteś piratem, co służył pod Molewerem. - Król raczej stwierdził, niż zadał pytanie.

– Tak, Wasza Królewska Mość – wydukał z trudem Temo.

– Powiedzieli mi, że ten renegat Uberyk zagarnął dzięki tobie bajeczny

skarb piracki, prawdaż to?

– Tak, Wasza Wysokość – dukał Temo.

– I jakże się to stało? Opowiadaj – król wydawało się teraz, że oczekuje jego spowiedzi..

– Oto, Panie – Temo jakby złapał oddech – przed swą tragiczną śmiercią Molewer zostawił mi mapę i wskazówki, gdzie ukrył swój bajecznie obfity skarb, pochodzący z pirackich rabunków statków nie tylko, Wasza Królewska Mość, twojej bandery, lecz prawie wszystkich krain naszego świata. Molewer wyczuł, że zbliża się na niego czas, był już bardzo chory, i postanowił to właśnie mi wyjawić, gdzie ukrył swe dobra. Skarb był ukryty na wyspie Orecie, która leży przy zachodnim wybrzeżu Oforyki. Lecz bez mapy, znając nawet to, że skarb tam jest ukryty, nikt nie mógł się doń dostać, konieczna była jeszcze mapa. I ja taką miałem, a nawet mam ją i przyniosłem ją tu – na tę wypowiedź Kowdlar obrócił się ze zdziwieniem w stronę Temo, była to bowiem dla niego nowina. A Temo, tymczasem, wyciągnął jakiś kawałek skóry zza pazuchy. - Oto ona, Wasza Wysokość – podał ją zaciekawionemu Amargadeuszowi.

– Ciekawe, bardzo ciekawe – powiedział Amargadeusz. - Doprowadziłeś więc, z tego wnoszę, Uberyka do skarbu? Czyż nie tak?

– Tak, Panie. Gdzieś, przy kuflu piwa wygadałem się o tym, i ta wiadomość trafiła do Uberyka. Sam Uberyk zaprosił mnie do siebie i zaczął mnie łudzić wizją, iż jeśli go doprowadzę do skarbu, to zyskam u niego patronat i godziwą rentę. Ten skarb, Miłościwy Panie, był nie na moją miarę, nie na miarę ludzi mojego pokroju, więc zgodziłem się na ten układ, sądząc, o ja naiwny, że zyskam życie spokojne i dostatnie do końca mych dni.

– Rozumiem – przyznał król.

– Więc doprowadziłem Uberyka osobiście, i jego ludzi, do skarbu, lecz wnet wyczułem, bo mam taki wrodzony instynkt, że siepacze Uberyka chcą mnie zgładzić. Możesz mi, Panie, wierzyć, bowiem wszystkich niewolników, którzy byli przy eksploracji skarbu wymordowano skrycie, tak by nie ostał się żaden tego świadek.

– Czego świadek ? – król jakby nie rozumiał.

– Świadek wydobywania skarbu – Temo szybko dodał.

– Aha, rozumiem – król zrobił przy tym gest ręką, że wszystko pojął. I zaczął przypatrywać się temu kawałkowi wyprawionej skóry i różnorodnym szlaczkom, które tam były narysowane. - Ciekawe – król powiedział do siebie. - To by się nawet zgadzało. Oto taką ma naturę ten podlec Uberyk. Nie ma u niego czegoś takiego jak wdzięczność. Wszystko mi zawdzięcza, a synem prostej dziewczuchy jest – mówił Amaragdeusz. - Teraz zaś mu się roi władza. No nic. Powiedz mi, Temo, jak duży jest ten skarb? Owszem, już mi o tym mówili, ale powiedz mi ty sam, ty osobiście.

– Wasza Królewska Mość, skarb ten jest ogromny. Kilkadziesiąt skrzyń wyładowanych kosztownościami. Molewer gromadził go przez cały swój czas piraczenia na morzach całego świata. Dorobek kapitana pirackiego z dwudziestu lub nawet trzydziestu lat rabowania i łupienia każdego i wszystkich tych, którzy dostali się w jego rewir.

– Hm ... To ciekawe. Ale ciekawi mnie także, czy wy, piraci, czy on, Molewer, mieliście lub macie jakieś wyrzuty sumienia? Złupiliście i zabiliście tylu ludzi, którzy mieli to nieszczęście, iż dostali się w wasz piracki rewir.

– Wasza Królewska Wysokość, to właśnie wyrzuty sumienia były główną przyczyną śmierci Molewera. Ja spłaciłem częściowo swe winy, bo zrezygnowałem z tego podłego fachu. Zostałem najemnikiem, żołnierzem. I choć, jako żołnierz też zabiłem kilku, to jednak robiłem to w służbie.

– A na co umarł Molewer? - spytał król.

– Zadławił się własnym kałem.

– Jak to? - król się niezmiernie zdziwił.

– Wasza Królewska Mość, po prostu jego jelita straciły drożność.

– Aha, aha... Już pojąłem.

– Wasza Królewska Mość, mówią ci, co go znali, że to dusze zabitych

przez niego zamęczyły go w końcu. Stąd jego straszliwa w skutkach boleść. A wszystko to przez wyrzuty sumienia.

Mówił mi czasami, że przychodzą do niego we śnie. Dlatego tak bał się wieczoru, i spoczynku nocnego. To ja sam pamiętam. Może dlatego, że mu okazywałem współczucie i pocieszałem go, przekazał mi przed śmiercią mapę skarbu. Choć trzeba to powiedzieć uczciwie, nigdy nie zrezygnował z piractwa, lecz to było normalne, gdyby zrezygnował z piractwa, jego współbracia w fachu roznieśli go w emocjach. Był przecież kapitanem-piratem. Był wzorem dla innych piratów.

– Więc wolał w sumie umrzeć z wyrzutów sumienia ...hm ...niż zhańbić się pośród braci piratów. Dziwne to zaprawdę. - Amargadeusz powiedział cicho. - Dziwny to zaprawdę kodeks honorowy macie.

Kowdlar obserwował monarchę. Król był dziwnie nerwowy. Może to ta rozmowa z Temo? Przed chwilą Temo wyszedł z królewskiej komnaty.

A może ...? Oni już wiedzieli, że w Parcie zebrało się na granicy z Ulandią sporo wojska. Szpiedzy ze Spoka donosili, że król Tepik organizuje swoich najemników.

Nie wróżyło to Ulandii nic dobrego.

Z tego wszystkiego było widać, iż król Amargadeusz sporo stracił na wadze. Miał też taki dziwny tik nerwowy, czasami mu się trzęsła głowa. Jak Kowdlar sięgał pamięcią i dawniej król miał ten tik, lecz nie tak widoczny i nie tak częsty. Dla majestatu władcy nie było to dobre. Przypominało bowiem poddanym, iż król też jest z krwi i kości. Jeśli jednak jest się władcą absolutnym, to ta familiarność i swojskość nie jest na miejscu, ba!, nawet przeszkadza.

– Kowdlarze, ile mamy najemników pod bronią? - spytał niespodziewanie król.

– Wasza Królewska Mość, na teraz mamy dwadzieścia tysięcy najemników i pięć tysięcy rycerzy.

– Hm ... To mało. Pono już sześć tysięcy Tukmackich wojowników

przyplęnęło z Oforyki na ziemie Patery. Przeciw nam zebrało się już prawie pięćdziesiąt tysięcy wojów. Ze Spoka na dniach dołączy dalszych dziesięć tysięcy.

– Wasza Wysokość, możemy jeszcze zebrać dodatkowych piętnaście tysięcy, lecz to już jest maksimum naszych możliwości. - Kowdlar poprawił swój kanclerski, złoty wisior.

– Rzeczywiście, Uberyk sprawnie korzysta z owego skarbu pirackiego, który zagarnął – król uśmiechnął się kwaśno. - Lecz jest jedna dla nas szansa.

– Jaka, Wasza Wysokość?

– Później, później o tym – Amargadeusz się dziwnie rozdrażnił.

– Wasza Królewska Mość, jeśli to dobrze rozplanujemy, to może uda nam się to, co udało pod Polem Czarnego Tura.

– Nie, dwa razy pod rząd ta sama sztuczka się nie powiedzie, ja myślę o czymś innym, ale na razie cicho sza. Nie powiem ci jeszcze. Tylko ja i Mistrz Kapa o tym wie.

Amargadeusz na chwilę zamilkł; zamyślił się. Odwrócił nawet głowę od Kowdlara.

Zatrzymał wzrok na cennym arrasie. Chwilę tak dumał, jakby się zastanawiał, co powiedzieć.

– Jest jednak pewna szansa. Jeśli uda się nam przetrzymać ten atak Uberyka, to pieniądze mu się skończą i jego plany runą z hukiem. Jest szansa – król się zaczął powtarzać i mówił raczej do siebie, niż do Kowdlara – Kapa wie i ja wiem. Na razie jednak sza, cicho sza.

– Sugeruję, byś, Panie, powierzył dowództwo baronowi Lurukowi – powiedział Kanclerz.

– Tak, tak, masz rację. Ale może to nawet nie będzie potrzebne.

– Co, Panie? - Kowdlar był szczerze zdumiony.

– Może nawet nie będzie batalii. - odrzekł Amargadeusz.

– Wasza Wysokość, zdaje się, iż na dziś żadne rokowania pokojowe z tamtą stroną nie wchodzą w rachubę.

– Wiem, wiem – najwidoczniej król wiedział coś, z czym jeszcze teraz nie chciał się dzielić, nawet ze swym Kanclerzem. - Jest jeszcze jedna sprawa, książę. Czy sprawdziliście grobowiec? - Król nagle zmienił temat rozmowy.

– Tak, Wasza Wysokość. Rzeczywiście ktoś się włamał i zbezczeszczył prochy, Panie, twych przodków.

– To niewiarygodne. Ustaliliście, kto?

– Ktoś to zrobił tak przemyślnie – mówił Kowdlar – iż nie zostawił żadnych zewnętrznych śladów. Jednak szczątki twych, Panie, przodków są niekompletne.

– Co zostało zrobione? - pytał król.

– Brakuje czaszki twego dziada, Abudusa III, ponadto kości ramienia Elara, twego wuja, Panie.

– To niesłychane – oburzył się Amargadeusz. - Powieszę winnych jak psa, za przyrodzenie.

– Wasza Wysokość, wydaje się, że profanacji dokonano całkiem niedawno, kilka tygodni temu. Przynajmniej tak mówi odpowiedzialny za groby królewskie. Lecz, Panie, ustalić, kto to zrobił, będzie szczególnie ciężko. Na pewno nie byli to amatorzy, ani zwykłe hieny cmentarne, bowiem oprócz rzeczonyj czaszki i kości nic więcej nie zginęło. A były i są tam spore klejnoty, pochowane razem ze zmarłymi. Zwykli amatorzy nie zdołali by się powstrzymać od kradzieży tak cennych rzeczy.

– No tak, no tak, pewnie masz rację. Ja czuję, że za tym stoi ten parszywiec. Intuicja mi to podpowiada. Tylko po co mu szczątki mych przodków? Pojąć tego nie umiem. - Amargadeusz zrobił minę, niby połknął ziarnko gorczycy.

– Nie dało się go uratować, Paniczu – powiedział stajenny do Atagra. Atagr i Erej stali w rogu stajni. Doskonale widzieli stamtąd ciało kuca Mube. Teraz było takie sztywne, takie marne. Nic życia nie było w tym ciele, dawniej tak ruchliwym i psotnym z natury.

Jeszcze tam krzątało się dwóch niewolników; zaraz pewnie wezmą ciało kuca i je zakopią za stajnią. Atagr był smutny, chyba nawet nie zdawał sobie sprawy, co się z jego kucem stało.

Jad węża był jednak silniejszy niż hart i moc duszy małego kucyka. Jeśli to kobra ukąsiła kuca, to jej jad byłby niebezpieczny nawet dla dużego konia. I choć próbowali na siłę, wszak był to ukochany kuc Panicza, i stajenny i nawet medyk ratować kuca. Choć wyssali mu z rany resztki jadu, to było to jednak wszystko daremnym. Nawet specjalne maści nic nie pomogły. Mube po wielu godzinach męczarni w końcu skonał.

– Nie martw się, chłopcze, twój kuc już jest teraz w krainie wiecznej szczęśliwości. - powiedział Erej do Atagra i przytulił go ręką do siebie.

– Jak to, Nauczycielu? Jak to w krainie szczęśliwości?

– Tak powiadają mądrzy ludzie. Mój Mistrz, Cygan Dziad, zawsze mawiał, że wiara w życie pośmiertne nie szkodzi, może tylko pomóc. Jeśli nawet jest ona próżna, to i tak się o tym nie dowiemy. A jeśli jest w tym coś na rzeczy, to nasza wiara wzmocni nas tylko i powiedzie do miejsc, które dadzą nam szczęśliwość i wieczną rozkosz.

Erej wziął chłopca za rękę i popchnął go w stronę dziedzińca. Chłopak poszedł za nim zupełnie bierny. A może on już wiedział, co to znaczy śmierć i strata czegoś ważnego, czegoś co się lubiło lub nawet kochało. Jednak oprócz apatii, bierności i smutku, mały Atagr nie sygnalizował, iż jakoś mocno cierpi po stracie kucyka. Nie rozpaczał, nie płakał. A być może nauczył się już, że ludzie, o pozycji jaką miał ze względu na tytuły swego ojca, muszą udawać, nawet gdy cierpią, iż wszystko jest w porządku, dobrze się dzieje bez względu na okoliczności. Może chłopak dojrzał, iż tak się zachowuje jego własny ojciec. Wszak dzieci bardzo szybko się uczą. I uczą

się przede wszystkim naśladować własnych bliskich.

Gdy tak szli przez dziedziniec, Erej zobaczył, iż przed pałacem stoi samotnie matka Atagra, księżna Teborna. Skinęła ona ręką, by podeszli do niej. Z odległości kilku łokci usłyszeli.

– Dziecko, nie martw się. Stajenny powiedział mi, co się stało. Biedny Mube. Był zawsze tak rozbrykany. Synuś, jak się czujesz? - rzekła księżna.

– Dobrze, mamu. Mistrz Erej zapewnił mnie, że Mube jest teraz szczęśliwy.

Na te słowa syna księżna tak dziwnie spojrzała na Ereja. A sam Erej spłonął niby rakiem.

– No tak, tak, skoro tak ci powiedział Mistrz Erej – rzekła jednak.

– Pani, wszak możemy ufać, iż tak jest stworzony świat – rzekł w jej stronę Erej.

– Synku, nie martw się. Dostaniesz od taty innego kucyka.

– A ja nie chcę innego – szybko odpowiedział jej Atagr.

– No, zobaczymy, zobaczymy. Na dużego konia jesteś jeszcze za mały, a wszak cały czas musisz ćwiczyć się. Zobaczymy, bo ojciec przyjedzie dopiero za tydzień, co powie nam setnik Zapara. A gdzież on teraz jest, wszak za chwilę macie ćwiczyć fechtunek? Nie wie Pan? – tu księżna zwróciła się do Ereja.

– Nie widziałem go dziś, Pani. Ale myślę, że jest tam, gdzie chętnie przesiaduje, czyli w kuchni.

– Coś bardzo polubił naszą pomocnicę kucharza.

– O tak, w samej rzeczy. Irtyna to bardzo miła niewiasta, choć mocno przy kości. Ale widocznie karmi ona setnika frykasami, że ten ma takie do niej przywiązanie – odpowiedział księżnej Erej, uśmiechając się przy tym od ucha do ucha.

Na tę pogawędkę dorosłych mały Atagr zareagował totalnym znudzeniem. Puścił rękę Ereja i odszedł te kilka kroków w bok. Księżna Teborna pewnie jeszcze chętnie porozmawiałaby z Erejem, ale przypomniała sobie w samą porę, że czeka na nią krawcowa. Księżna planowała ubrać nową suknię, gdy ruszy za kilka tygodni na ślub Elubedy. Od dłuższego czasu planowany był ten ślub, lecz dziwny los odkładał tę uroczystość z tygodnia na tydzień. Ale oto w końcu kłamka zapadła i data ślubu ostatecznie została określona na drugą sobotę miesiąca wilka. Widząc, że syn jej odszedł kilka kroków, szeptem jeszcze tylko rzekła. I to tak, by słyszeć to mógł tylko Erej.

– Nauczycielu, niech pan sprawi, by chłopak nie wracał myślami do losu swego kucyka. Może nakłoni go Pan, by przygotował się na nowego kucyka. Bowiem, jak znam swego męża, nie dopuści on, by nauka jazdy konnej została odwleczona. Atagr musi się w tym trenować. Nie ma rady – głośno zaś rzekła.

- Nauczycielu, proszę kontynuować zajęcia. Gdyby Pan coś chciał z mojej strony, to proszę się skontaktować z moją garderobianą.

Kapa drżał od chłodu tej letniej nocy. Wprawdzie miał ubraną suknię, lnianą, i wełnianą narzutę, ale było mu zimno. Lasek Kareto, oddalony nieco od Wendy. Przyjechał tu wierzchem. To tu umówił się z ludźmi Koboka, jak ich na własny użytek nazywał. Było przed północą. Wprawdzie w Wendzie latem gorące są dzionki, lecz tak jak one gorące, tak nocki są dotkliwie chłodne.

Nagle usłyszał trzask. Odwrócił tam głowę. Tak. To byli oni. Choć ubrani na czarno, i ciemno było wokół, to jednak poznał te sylwetki. Lecz, jak zwykle, to ten niższy się pierwszy odezwał:

– Jesteś, Kapa, to dobrze.

– Witam – powiedział Kapa.

– I co nam przynosisz? Jakie wieści? - mówił ten sam.

– Mam dobre nowiny. Król Amargadeusz gotów jest służyć Kobokowi, lecz ...

– Co lecz? Jakie stawia warunki? - człowiek w czerni zdenerwował się nieco, a ten wyższy aż podrapał się po czubku głowy.

– Król Amargadeusz będzie wiernym sługą boga Koboka, lecz ten niech mu pomoże w walce z wrogami Ulandii. Bowiem oto ciemne chmury gromadzą się nad naszym krajem. Są tacy, którzy chcą usunąć prawowitego władcę z tronu i pogrążyć Ulandię w chaosie. - Mówił Kapa.

– Aha. O to chodzi. Tak, wiemy, że Mag Uberyk zawiązał liczne koalicje i chce obalić Amargadeusza. Hm ... Tak... Hm... Chyba możesz przekazać swemu władcy, że coś da się tu zrobić. Niech Amargadeusz będzie dobrej myśli. Skoro bowiem chce służyć Kobokowi, to logiczne jest, iż bóg Kobok nie ma zamiaru szybko rezygnować z jego służby. Tak, to logiczne. A ewentualna wojna i koniec Amargdeusza nie jest Kobokowi na rękę.

– Czy mogę, Panie, zapewnić króla Amargdeusza, iż Kobok mu pomoże w tej wojnie z siłami Uberyka.

– Hm ... - człowiek w czerni się zastanowił. Potem jednak szybko odpalił. - Tak, możesz swego władcę o tym zapewnić. Lecz, dopowiedz, że tym samym bóg Kobok oczekuje z jego strony poddaństwa. Uprzedź króla, że nie będzie to bardzo bolesne, to poddaństwo, jednak król będzie musiał pewne rzeczy dla Koboka wykonać.

Mistrz Kapa uśmiechnął się. Będzie oto mógł swemu królowi przekazać dobrą nowinę. Wprawdzie nie wiedział jeszcze, jaką mocą dysponuje Kobok. Ten Kobok.

Czy to jest w ogóle czczony na świecie Kobok, czy ktoś, być może nawet potężny, który jednak jedynie się podszywa pod boga mórz i oceanów? Żeby się jednak upewnić Kapa spytał?

– Panie – zwrócił się do tego mniejszego – czy bóg Kobok rzeczywiście może powstrzymać armie liczące dziesiątki tysięcy wojowników?

– Tak. Możesz zapewnić swego króla, że bóg Kobok zetrze w pył te wrogie siły.

Czy pamiętasz jak kilkanaście lat temu wydarzyła się wielka katastrofa na północy, której skutki trwają jeszcze do dzisiaj?

– Upadek karocy Kerdolota? - spytał zdumiony Kapa.

– Wy to tak nazywacie. A w rzeczywistości była to potyczka między istotami równymi Kobokowi, między bogami. Ta katastrofa, to była w tej batalii użyta broń, która może obrócić wielki gród w garść popiołu. Oto masz moc Koboka i jemu równych.

– Nie może być?! - zdumienie Kapy wzrosło jeszcze bardziej.

– Wyobraź sobie, że Kobok może taką broń użyć wobec armii wrogiej twemu Panu. Kobok nie zna litości. Lecz dla swych sług potrafi być wspaniałomyślnym. My, ja i mój człowiek – mężczyzna pokazał ręką na tego wyższego – jesteśmy jedynie emisariuszami Koboka, jego wiernymi sługami, i tylko ludźmi. Lecz Kobok nie jest człowiekiem, choć sylwetką mocno przypomina człeka. Kobok żyje już wiele lat i żyć będzie jeszcze raz tyle. Dla człowieka jest to niepojęte. Życie człowieka to jak jeden dzień w życiu Koboka.

Mężczyźni otoczyli Mistrza Kapę, niby wzięli go w dwa fronty. W ich wzajemnych relacjach było widać, iż ten mniejszy był szefem, a ten, którego mniejszy zwał Trzy, ten większy, był chyba jedynie osłoną i obstawą dla tego pierwszego.

– Gdzie byłeś dwa tygodnie? - powiedział mniejszy.

– Odpoczywałem, ale teraz już jestem.

– No dobrze, dobrze. Możesz zapewnić swego króla, że bóg Kobok będzie go ochraniał. Teraz jest jeszcze jedna sprawa. Oto wiemy już, do czego posłużą Uberykowi czaszka dziada Amargadeusza i inne szczątki z rodziny króla.

– Do czego?

– I ty się nie domyślasz? Przecież to twój fach – mówił człowiek w czerni.

– Nie – powiedział prosto Kapa.

– Do magii! Uberyk będzie się starał wpłynąć na los Amargadeusza, poprzez działanie na szczątki jego przodków.

– Ach! Do diaska, rzeczywiście, że też o tym nie pomyślałem. Ale to czysta Czarna Magia. Uberyk musi być mocno zdeterminowany, by w ten sposób starać się zaszkodzić królowi.

– A jest. A jest. I to pomimo tego, iż gromadzi takie siły przeciwko Ulandii. Ale wynika to z jego niepewności, bowiem wszelkie wróżby mówią mu, że przegra tę batalię. A on się zawziął. Jakby przeciw całemu światu. Jest przekonany, że to jego los i bogowie wybrali na włodarza Ulandii.

Uberyk miał przed sobą czaszkę. Była to czaszka Abudusa III, dawnego króla Ulandii, dziadka Amargadeusza. Nieco w głębi komnaty na kamiennych kolumnach stał ołtarz ofiarny. Na nim to paliły się cztery świece; stał tam talerz oraz pentagram ze złota. Obok w specjalnej amforze tliło się kadzidło, w puzderku obok były wonne olejki. Uberyk był sam. Wcześniej poprosił swych ludzi, by mu nikt nie przeszkadzał. Uberyk wziął do ręki czaszkę. Abudus umarł w słusznym wieku, mówił o tym stan uzębienia szczęki. Kilka zębów tylko tam było. Podobno, tak mówią kroniki, umarł nagle, nie zbudził się rano ze snu. Uberyk począł się koncentrować, cały czas trzymał czaszkę w ręce. Ten rytuał, który teraz planował dokonać, powinien być powtarzany codziennie o tej samej porze przez okres dziesięciu dni. To w starej Księdze Magii Uberyk znalazł ów rytuał. Miał ją od wielu, wielu lat i często wykonywał zaklęcia tam zawarte.

Zaczął nucić zaklęcia. Monotonnie, starannie, bez chwili wahania. Zaklęcie za zaklęciem. W pewnym momencie wziął kadzidełko i zaczął okadzać czaszkę. Potem chwycił krótki kordzik i zaczął nad czaszką wykonywać ruchy, niby godził w czaszkę, niby chciał ją przeciąć i porozrywać.

Wziął czaszkę do prawej ręki, kordzik do lewej i ruszył kolejno do każdego rogu komnaty. Śpiewał przy tym mantry i zaklęcia. W końcu postawił czaszkę na stole ofiarnym i polał ją krwią z koguta, którego wcześniej na tym samym ołtarzu uśmiercił. Cały rytuał trwał około kwadrans. Zupełnie wyczerpany, na zakończenie, tym samym kordzikiem zamknął pierścień ochronny i opadł prawie bez sił na ławę.

Choć to nie była wyczerpująca praca, fizyczna praca, jednak Mag Uberyk był wypruty z sił. Kosztowało go to bowiem wiele energii witalnych. Tkwił tak na tej ławie i ciężko oddychał. Z trudem łapał powietrze do ust. Pełen bóleści wziął puchar z winem i upił spory łyk. To go trochę pobudziło. Poczuł, że energia napływa.

Popatrzył jeszcze raz na ołtarz, na czaszkę poplamioną krwią kuraka. I wtedy uśmiechnął się. Uśmiechnął się do siebie. Tak. O to mu chodziło. Teraz już wiedział, że jego cios trafi celu, że Amargadeusza dosięgną jego przeklęcia. Teraz już wiedział, że mu się udało. Każdy doświadczony mag wie dobrze, czy jego działania przyniosą korzystne efekty. Każdy mag wie.

W ogrodzie królewskiego pałacu w stolicy, w Wendzie król Amargadeusz postanowił dziś urządzać piknik i zabawy. Królowa Sylanda z niemowlęciem Orotogiem siedzieli tuż przed namiotem. Było ciepło i rześko. Upał rozpraszała lekka bryza chłodnego powietrza. Król siedział w centralnym miejscu namiotu. Za nim stali książę Kanclerz, Presurt oraz elektan. Był też Wódz Ludzi Małych, Elubed. Oprócz tego było gro dworzan i dam dworu z Zubertą na czele. Wierny sługa królewski, zausznik Amargadeusza, Obik, był w tym miejscu szczególnie narażony, w tym pozytywnym sensie, na adorację wszystkich tych, którzy mu się chcieli przypodobać. A byli to nawet wybitni notable Ulandii. A on stał pełen gotowości kilka łokci od królewskiego siedziska. W tym honorowym kręgu nie zabrakło dzisiaj i samego Mistrza Kapy.

Starął się on jednak jak najmniej wyróżniać z tego godnego tłumu. Na wyeksponowanym miejscu ogrodu stał długi drewniany stół, na którym było mnóstwo przepysznych rarytasów. Mięsiwa i ryby, odpowiednio przyrządzone owoce morza. Sosy i gęste i te bardzo pikantne. Arbuzy i

melony, winogrona dojrzałe i przejrzałe granaty, ananasy.

Sery i jaja różnych kuraków, w tym strusie. Słodkie ciasta i nawet słone podpłomyki. Goście raczyli się tymi wiktuałami i sławili szczodrość królewską. Sam król zaś posilał się bardzo skromnie. Król bowiem, choć nikt o tym jeszcze nie wiedział, od kilku dni miał boleści. Bolało go serce. Medyk stwierdził, iż to z pewnością rodzaj przesilenia, który sam po pewnym czasie powinien królowi ustąpić. Lecz minął już prawie tydzień, a ból nie mijał. Ba! Nawet w odczuciu Amargadeusza wzmógł on się radykalnie. Pewnie winą tego było to nadużywanie wszelakich specyfików na podniesienie jurności, które król brał dawniej, to jest po ślubie z Sylandą, a które odstawił dopiero po urodzeniu się Orotoga. Teraz król miał zapłacić cenę.

Przynajmniej takie było zdanie Amargadeusza. Gdyby on jednak wiedział, iż Mag Uberyk odprawia teraz całą serię misterium magicznego, którego głównym celem jest godzenie w Amargadeusza, pewnie zmieniłby zdanie.

Lecz dwór nadal nic nie wiedział o boleści królewskiej, bowiem jedynie Obik i medyk królewski Lopeod, a także Mistrz Kapa wiedzieli, że król choruje. Nawet królowa Sylanda nie wiedziała.

Pierwszy raz od dłuższego czasu pojawiła się publicznie królewna Logoberda . Siedziała blisko swej macochy i brata. Oblicze miała dość pogodne. Być może było to powodem tego, iż jej ojciec, król Amargadeusz, obiecał jej, że wyda ją jeszcze w tym roku za jakiegoś godnego jej pozycji męża. Król jak gdyby zrezygnował z tej opcji, by umieścić Logoberdę jako kapłankę w jakimś miejscu kultu. Choć nie była już młoda, mogła jednak jeszcze założyć rodzinę i urodzić dzieci.

Król siedział pośród swych najważniejszych sług. On siedział, a oni stali. Król wypytywał się ich o sprawy bieżące. Często podnoszonym tematem było to, iż wojska nieprzyjaciela zbierają się wokół Ulandii. Nie było jeszcze tragicznie, lecz już niespokojnie. Książę Kowdlar pomału mobilizował siły królestwa. Trzydzieści tysięcy najemników w służbie Amargadeusza stało już na granicy z Paterą. Jak obliczali stratedzy do batalii powinno dojść najwcześniej za dwa miesiące. Król jednak nie był

mocno zmartwiony, Mistrz Kapa bowiem zdążył go już zapewnić, iż bóg Kobok pomoże królestwu. Skoro Kobok wybrał go, tym samym wywyższył i otoczył ochroną. Większy niepokój u króla budziła owa nieprzyjemna słabość serca.

W żadnej jednak kronice nie było ni wzmianki, by któryś z jego dumnych przodków chorował na serce. A jak mu rzekł nadworny medyk, boleści często postępują za naszymi przodkami. Tymczasem piknik królewski postępował w doskonałej atmosferze wzajemnych rozmów nie tylko króla ze swymi doradcami, ale także notable między sobą dokonywali wymiany wrażeń, i wymieniali bieżące uwagi.

Jedynym, który w tej imprezie nie wymienił ni słowa z innymi jej uczestnikami, był chyba tylko maleńki Orotog, a to tylko i wyłącznie z tego powodu, iż nie umiał jeszcze mówić. Nawet samotnica Logoberda odbyła owocną dyskusję z Zubertą, przełożoną dam dworu królowej. Rozmawiała też z Obikiem, a także udało jej się wymienić zdanie z własnym ojcem.

W pewnym momencie król zwrócił się do księcia Kanclerza: -

– Słuchaj, Kowdlar, ty podobno masz na swej służbie najbliższego ucznia Cygana Dziada, prawdaż to?

– Tak, Miłościwy Panie – odpowiedział książę Kanclerz. - Zwie się Erej, jest nauczycielem mego syna.

– Nauczycielem? Widzę, że roztropnie postępujesz, książę. – powiedział Amargadeusz. - Lecz wiesz, podobno Cygan Dziad pozostawił po sobie księgę. I choć nie znosiłem ja ci go dosadnie, ale chętnie bym się zapoznał z jego dziedzictwem.

– Tak, Miłościwy Panie. Erej użyczył mi ją do skopiowania. Kopiują ją królewscy skrybowie .

– O! To dobrze. Niech ją skopiują i dla mnie.

– Według twego życzenia, Miłościwy Panie.

– Powiedz mi, czy on, ten Cygan Dziad, pisze tam coś o zdrowiu, o

boleściach?- spytał król.

– O ile mi wiadomo, bo przejrzałem ją naprędce, jest tam też o zdrowiu i chorobach, i to nawet sporo. Bo Cygan Dziad twierdził, iż szczęścia może tylko ten dostąpić, kto zdrowy na ciele i duchu. Cierpienie zaś to według niego symptom jakiejś choroby toczącej ciało lub ducha człowieka.

– Aha , to dobrze, potrzeba mi teraz takiej książki - król na chwilę zamilkł. Zastanawiał się nad czymś, potem rzekł. - Powiadają, że ten cały Cygan Dziad był najmądrzejszym człowiekiem na ziemi. Ale ja, jak go pamiętam, zawsze się spinałem w sobie, gdy ten coś mówił. Być może miał zawsze rację, gdy mi doradzał, ale mi osobiście to przeszkadzało. Czy ja się normalnie zachowywałem? Powie mi któryś z was? - król zwrócił się do swych włodarzy.

Pierwszy odezwał się Presurt Oland.

– Wasza Królewska Mość, tak reagowali wszyscy, no, prawie wszyscy. Ja go dobrze poznałem, bo służył mi poradą u schyłku swych dni. On, tak mi powiedział, pogodził się z tym. Każdy bowiem tylko siebie uważa za wyrocznie. Wybacz, Miłościwy Panie, że to powiem, ale prawie każdy reagował podobnie do Ciebie, Panie.

– No tak, no tak. Wiem jednak, że pomógł ci, Olandzie, pomnożyć snadnie twój majątek, czyż nie?

– Tak, Miłościwy Panie, ale chyba tylko dlatego, iż nie mieszałem się do jego działań – powiedział Oland.

Nagle zrobiło się jakoś tak pochmurnie, potężne chmury przesłoniły słońce. Zrobiło się chłodniej. Mały Orotog zapłakał w kołysce, co doszło do uszów samego króla.

Królowa Sylanda wzięła chłopca w ramiona i zaczęła go uspokajać. I rzeczywiście malec przestał płakać. Po chwili poprawiła się także pogoda. Wiatr przegnał kłębiaste chmury. Król i notable, którzy przez tę chwilę zatopili się w zadumie, mogli znów powrócić do rozmowy. Rozmowy, którą, jak łatwo zgadnąć, kierował Amargadeusz, wypytując swoich ludzi o te rzeczy, które go interesowały.

– Kowdlarze, powiedz mi, kiedy skrybowie przepiszą dzieło Cygana Dziada?

– Wasza Wysokość, potrzeba na to będzie jeszcze co najmniej trzech miesięcy, ale zapewniam Cię, Panie, pierwsza kopia trafi prosto do Ciebie. I będzie to starannie wykonana kopia. Ja mogę poczekać.

– Dobrze. Niech praca postępuje. Za trzy miesiące ostatecznie rozwiąże się sprawa między mną a Uberykiem. Jeśli ja go zwyciężę, nie ucieknie mi już i skrócę go o głowę. Jeśli my przegramy, no cóż, próżna będzie praca tych dobrych skrybów. Przynajmniej jej efekt nie nam przypadnie.

Na te słowa króla zabrzmiał pogłos protestu. To notable wyrażali swój sprzeciw, iżby Uberyk miał pokonać króla. Ten mocny pogłos rozbrzmiał prawie po całym pikniku, nawet damy dworu przyłączyły się doń. Król był mocno zbudowany tą reakcją swoich poddanych. Nawet nie krył tego, iż pojedyncza łezka wylała mu się po policzku.

– A co z tobą, Elubedo? - król zwrócił się wprost do Wodza Ludzi Małych

–To znaczy, Panie? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

– No, kiedy to w końcu się ustatkujesz? Słyszałem, że ślub już niebawem, czyż nie? - pytał król.

– Wasza Królewska Mość, w samej rzeczy. Oto już za tydzień biorę ślub z mą wybranką, szlachetną Gelderą.

– No widzisz, pokosztujesz ty jeszcze życia rodzinnego. Przypomnij mi, jak wiekowy jesteś, bo z wyglądu młodzianem by cię można jeszcze zwać, ha, ha, ha – zaśmiał się król, zaśmiali się pozostali.

– Wasza Wysokość, kończę już trzeci dekambr, czwarty na horyzoncie.

– Ach! Najwyższy czas na ciebie – stwierdził, już teraz poważnie, król.
– Ale bierz, Elubedo, przykład ze mnie. Ja się doczekałem potomka męskiego już będąc w słusznym wieku. Bierz przykład. Chronora, bogini czasu, tak to plecie, że nie wiadomo kiedy dobrze, a kiedy źle. - stwierdził

filozoficznie Amargadeusz.

Dziwny chłód zrobił się w ogrodzie. Nagle psy, co były w ogrodzie między ludźmi, a były to ulubione maskotki króla i królowej, zaczęły niecierpliwie szczekać. Potem szczenie zamieniło się w wycie. Służba królewska starała się przywołać zwierzęta do porządku. Król się zdenerwował. Czerwony rumieniec wyszedł mu na twarzy.

Królowa Sylanda rzuciła trwożne spojrzenie na swego męża, jakby spodziewała, bogowie wiedzą, czego. Obik aż cały się sprężył w sobie, wyglądało to, niby połknął żabę. Dworzanie zamilkli; mocno zdziwiony Presurt Oland chwycił za rękę elektana Adlara, tak jakby czekał od niego jakiejś rady. Lecz oto stała się rzecz niezwykła.

Choć oto nie było już chmur na niebie, lecz ze Słońcem zaczęły się dziwy wyprawiać. Tak jakby dziwna tarcza zaczęła nachodzić na Słońce. Równocześnie coraz ciemniej i chłodniej było. Ludzie w ogrodzie byli zdezorientowani. I to równo wszyscy, od pary królewskiej po damy dworu. Tarcza owa coraz bardziej zasłaniała Słońce. Ptaki zaczęły szaleć w popłochu.

O bogowie! - król jakby przypomniał sobie coś.

O bogowie!

- Król poczuł, że ogarnia go fala strachu. Nie. Nie o siebie. Lecz?

Lecz o syna. Bowiem król przypomniał sobie, co rzekł mu kiedyś Mistrz Kapa, tuż po odprawieniu nad synem królewskim rytuałów ochronnych. A to, iż syn jego, mały Orotog, będzie bezpieczny, chyba że zgaśnie Słońce.

I teraz to, gdy ciemności nastąpiły w południe, gdy Słońca już nie było, gdy było już całkowicie przesłonięte jakąś przeszkodą. Król pojął to, emocje jednak były tak wielkie, że chwycił się za serce i, osuwając się na swym siedzisku, ostatkiem sił wycharczał jeszcze :

– Ratujcie Orotoga, ratujcie moje dziecko.

Po czym stracił świadomość. Tak jakby wybuchło mu coś w środku

piersi.

W pierwszej chwili zapanował tam dziki chaos. Dworzanie biegali po ogrodzie, tak jakby wszyscy poszaleli. Lecz pierwszy opanował się Obik. Krzyknął: -

– Sprowadzić tu szybko medyka.

Podobnie Mistrz Kapa nie stracił zimnej krwi. Niby na rozkaz króla podbiegł do zdezorientowanej królowej: -

– Jak dziecko, Miłościwa Pani? - rzekł szybko

– No nie wiem, chyba dobrze – Sylanda odparła.

Spojrzeli razem do środka kołyski. Kapa odetchnął z ulgą, mały Orotog po prostu słodko sobie spał. Regularny oddech świadczył, że malec mało sobie robił z tego rozgardiaszu.

– Pani, pozwól, że odprawię teraz mały rytuał ochronny.

– Po co? - spytała królowa.

– Pani, zaufaj mi. Tu chodzi o bezpieczeństwo delfina.

– Dobrze, czyń, co doświadczenie ci każe.

Na tę zgodę królowej, Mistrz Kapa przystąpił szybko do odpowiedniej magicznej procedury. Zaczął coś nucić pod nosem. Machał przy tym rękoma nad małym Orotogiem. Na dziecku nie robiło to żadnego wrażenia, wszak malec pogrążony był w błogim śnie. Równocześnie jednak ten potwór, który połknął Słońce, tworząc ogólną ciemność, wypłuł z siebie gwiazdę. Znów była jasność. Ptaki się uspokoiły, napłynęło ciepłe powietrze. Ludzie z niedowierzaniem patrzyli na siebie.

Tymczasem szybko przy królu znalazł się medyk królewski, Lopeod. Z pomocą swego niewolnika rozpiął on szybko szaty królewskie i czym prędzej przyłożył rodzaj odwróconego lejku do piersi Amargadeusza.

– Król żyje – Loeped krzyknął w stronę notabli.

Nadal przysłuchiwał się pracy serca. Kiwał tylko głową i powiedział coś cicho do swego niewolnika. A tamten otworzył skórzaną torbę medyka i wyciągnął stamtąd rodzaj fiołki; podał fiołkę medykowi. Lopeod ostrożnie wlał w usta królewskie część zawartości fiołki. Nie minęły dwie minuty i oto król jakby jęknął, jakby zacharczał i w końcu po dalszych kilku minutach król wreszcie otworzył oczy.

– Co to? Co się stało? A Słońce! Mój Orotog! Ratujcie go.

– Wszystko w porządku, Miłościwy Panie – odezwał się książę Kowdlar. - Orotogowi nic się nie stało. Jest przy nim Mistrz Kapa.

– Nic? Jesteś pewien? - król się odwrócił w stronę dziecięcej kołyski. - O! Jest Słońce – zauważył – To dobrze, to dobrze. Słabo mi – zdążył jeszcze zauważyć, po czym znów stracił świadomość.

– Nie obawiajcie się, królowi nic się nie stało, będzie teraz spał kilka godzin – powiedział głośno medyk. - Niech służba zanieś lektyką króla do jego alkowy.

– Co to było, Regencie? - Olert chodził po komnacie i nerwowo wywijał ramionami.

– To było zjawisko astronomiczne. Słońce zostało przesłonięte przez Księżyc. Nic nadzwyczajnego. To nawet można obliczyć, kiedy się to stanie.

– I tyś, Panie, wiedział o tym? - cały czas Olert był zdenerwowany. A Uberyk wręcz przeciwnie, pił spokojnie gorący ziołowy napar.

– Wiedziałem. Nawet wiem, kiedy będzie następne.

– Kiedy, Regencie?

– A tego Ci nie powiem, bo może będę to mógł jeszcze kiedyś wykorzystać dla siebie. Jedno Ci tylko powiem, nie stanie się to szybko. Lata miną.

Na drewnianym stole na wprost Uberyka leżały dwie lub trzy mapy. To na nich teraz Mag kreślił, jakie, i gdzie, siły są zgromadzone przeciw Amargadeuszowi. Już za kilka tygodni, więc o wiele szybciej, niż dotąd zamierzali, ruszą z tą armią przeciw dziedzicowi rodu Arenów. Uberyk, po zwycięstwie, miał zamiar założyć własną dynastię.

– Jest dobrze, szpiedzy mi donoszą, iż Amargadeusz poważnie chory, to nam tylko ułatwi zadanie- mówił Uberyk.

– Na co chory, Panie?

– Serce ma chore. Jest to wynikiem dawnego zatrucia. Kiedyś niejaki Edipo, jego najbliższy sługa, podał mu na Wyspach Gnomów truciznę, którą sam przygotowałem. Od tamtej pory z jego sercem, rok za rokiem, jest gorzej. Tym bardziej, iż całe lata faszerował się środkami na wzrost potencji męskiej, a one także źle działają na serce.

– Czy on może skonać?

– Tak, to nie jest wykluczone – przyznał Mag Uberyk. - Ale mimo to będę nadal dążył do konfrontacji z nim na polu bitwy. Ewentualne z nim zwycięstwo tylko wzmocni moją i naszą pozycję. Gdy zwyciężę, będę silniejszy. Inni monarchowie, innych krajów mnie zaakceptują.

Przez otwarte okno do komnaty zaglądał Księzyc. Była pełnia, więc blask z niego bijący wzmacniał potencjał zapalonych świeczników w pokoju. W Oforyce był teraz schyłek lata, lecz nadal było bardzo ciepło. W tym roku aura była bardzo przyjazna dla tych wszystkich, którzy koczowali na powietrzu. W królestwie Mohawy było dużo szczepów koczowników, którzy ze swymi stadami kóz i owiec wędrowali z jednego do drugiego państewka. Przez pół roku byli w Mohawie, drugie pół roku wędrowali przez równiny i tereny prawie pustynne innych oforyckich krajów.

– Podobno Amargadeusz już wyznaczył Regenta dla Orotoga – powiedział Uberyk

– Najpewniej to będzie dumny Kowdlar, czyż nie tak, Panie? - spytał

Olert.

– Otóż to, książę Kanclerz. Daleko zaszedł ten rycerz w życiu. – przyznał Uberyk.

– Jako i my, Panie.

– W samej rzeczy, masz rację, generale. Lecz my jeszcze mamy cel przed sobą. On już jest skończony. Za miesiąc, dwa wyleję wino na jego kurhan. - powiedział Mag Uberyk. Rytuał wylania pucharu czerwonego, wytrawnego wina na grobie swego wroga był aktem zwycięstwa i boskiej zemsty.

Czerwone, wytrawne wino było synonimem krwi i ofiary, jaką wróg musiał przelać i oddać bogom, a zwycięzca akcentował tym samym swą wiktorię.

Uberyk uśmiechnął się złośliwie. Odwrócił głowę, tym samym generał Olert mógł zobaczyć, iż na ołtarzu, który stał w rogu komnaty leżała na marmurowym kamieniu jakaś czaszka. W fatalnym stanie, niby roztrzaskana lub rozłupana ostrym narzędziem. Była przy tym polana chyba krwią lub winem. Lecz Olertowi się zdało, iż była to najpewniej krew, zbyt wiele on się napatrzył na ludzką krew i ludzkie rany, by się mylić. Lecz to nie była ludzka krew, raczej zwierzęca. Tego też był pewien.

Obok leżała kość, Olert mógłby się założyć, że to była kość ramienia. Strzaskana, z przebitym otworem na wylot, również polana ofiarną krwią.

– Za tydzień odpłyniesz do Fluksji, zabierzesz ze sobą część najemników – mówił odwrócony Uberyk.

– Słucham Cię, Panie.

– Będziesz tam czekał na mnie – mówił dalej pewnym głosem Mag Uberyk. - Zrobimy, co do nas należy, i uwolnimy Ulandię od tyrana. To nie będzie długo trwało. Liczę, że jedna wygrana bitwa otworzy nam drogę do Wendy.

– Ile będziemy mieć ludzi? - spytał Olert. Uberyk się doń odwrócił.

– Wystarczy. Będzie nas około osiemdziesięciu tysięcy. Nie martw się, nie powtórzy się już to, co nas spotkało na Polu Czarnego Tura. Zgnieciemy siły tyrana i kończymy sprawę.

– Wnoszę stąd, Panie, iż będzie nas trzech na ich jednego.

– Ale teraz już bardziej doświadczeni, nie nabierzemy się na żaden fortel Luruka.

– Czy on będzie dowodził wojskiem Amargadeusza? - spytał generał.

– Najpewniej tak się stanie. Najpewniej. To dobry rycerz i wódz, szkoda, że nasz przeciwnik.

– Może go, Panie przekupić?

– Próbowałem. Ale on bardzo honorowy. Podobnie jak i Adlar i Kowdlar. Zbyt wiele oni mają do stracenia, by przejść na naszą stronę. Może się boją, że systematycznie likwidowałbym ich po zwycięstwie. A może i mają rację? He, he, he – zaśmiał się Uberyk. - Przecież zdrajcy się nie szanuje. – dodał refleksyjnie. - Nie szanuje się zdrajcy, jakiegokolwiek by on nie zdradził satrapę. - Uberyk zorientował się, iż Olert patrzy intensywnie na ołtarz w rogu komnaty. - Patrzysz tam, na tę nieszczęsną czaszkę – spytał. Olert zmieszał się, czerwona plama skaziła mu lico.

– Tak, Panie – przyznał jednak szczerze.

– Widzisz, próbowałem wpłynąć na los Amaragedusza Czarną Magią. I muszę Ci się przyznać, jest jakaś bariera, jakaś przeszkoda. Nie mogę się do końca dobrać do jego planu astralnego.

– Ale przecież, Panie, może ta choroba serca.

– Nie, chyba nie, to jest sprawa niezależna. Choć może? Nie umiem się do końca przebić przez jego bariery. Nawet szczątki jego krewnych nic nie pomagają. Nie wiem ... Nie wiem dlaczego.

– Panie – Olerta oświeciło. - A może to nie są jego krew ... ni?

– Co! Co? Bogowie! Ty masz chyba rację.- Jakby w Uberyka coś

uderzyło. - Czyżby to był pospolity bastard? Tak. Abudus III nie może być jego dziadkiem, tylko jedynie dlatego nie mogę tego bastarda rozpracować. O Olert, tyś mnie oświecił. Ty masz rację. - Uberyk aż powstał z ławy z emocji. - Tak. Ty masz rację. Nie może być inaczej. To jest zwykły bastard. Tym bardziej to ja muszę panować w Ulandii. Widocznie babcia Amargadeusza miała jakiegoś ukrytego kochanka. Tak. Tak bywa u wysoko urodzonych. Może Abudus nie mógł mieć dziecka, i obrotna niewiasta odświeżyła krew prastarej dynastii romanssem ze stajennym lub jakimś gołodupcem. To by też tłumaczyło wyjątkową żywotność Amargadeusza. To ta świeża krew. Bo ludzie prości są o wiele żywotniejsi i zdrowsi od arystokratów z krwi i kości. Tak! To wiele tłumaczy. Wyjątkową żywotność tego tyrana. - Uberyk cały rozemocjonowany chodził po komnacie i powtarzał te same słowa.

Atagr patrzył zafascynowany. Oto jego nauczyciel, Erej, pokazywał mu szkielet.

Chłopak pierwszy raz zetknął się z czymś takim. Miał ze zdumienia wręcz otwarte usta. Lecz nie przerażało go to, nie czuł żadnego lęku. Tylko ciekawość i zadziwienie.

– Oto tak, chłopcze, wyglądamy my od środka. W środku mamy kości, zebra i kręgosłup. - mówił Erej. - Gdy będziesz już wojownikiem, nie raz, nie dwa zetkniesz się z ranami wojennymi. Czasami te rany odsłaniają kości. I wtedy, pomny dzisiejszego twego doświadczenia, będziesz już wiedział, iż tak nas natura lub bogowie stworzyli.

– To ja też tak wyglądam od środka? - spytał niepewnie Atagr.

– Tak. I ty. I ja, i twoi rodzice, wszyscy ludzie. Nawet zwierzęta, elfy i gnomy, mają też szkielet. No, może nie taki, jak my ludzie. Lecz i oni mają kości i chrząstki kostne. To jest takie rusztowanie, na którym zbudowane jest ciało. Teraz jeszcze nie rozumiesz tego, bo jeszcze nie wiesz, jak buduje się domy, pałace i świątynie. Ale i do tego dojdziemy, przyjdzie na to czas. Teraz zapamiętaj, iż szkielet i kości są potrzebne koniecznie na to, by człowiek miał ciało, mógł chodzić i biegać, i przede wszystkim pracować.

Bez szkieletu wyglądalibyśmy jak ośmiornice lub inne mięczaki. Wiesz jak wygląda ośmiornica?

– Tak, Mistrzu. Nawet ją jadłem niejedną raz. Bardzo smaczna.

– No widzisz. Więc właśnie ośmiornica jest przykładem stworzenia, które nie ma szkieletu.

– Aha! - Malec zdziwił się jeszcze bardziej. - Ale, Mistrzu, przecież ośmiornice żyją tylko w wodzie.

– Brawo, mój mały. Otóż to, woda pozwala, by w niej mieszkały mięczaki. Lecz na powietrzu, na lądzie nie ma na to warunków. Największym mięczakiem na lądzie są ślimaki. Widzisz więc, że my, ludzie, bez szkieletu byłibyśmy tacy mali jak ślimaki.

–Aha, aha ... - Atagr intensywnie myślał. - A węże? Węże przecież żyją na lądzie.

–Węże, chłopcze, też mają szkielet.

–Aha ... - widać było, że dla chłopaka ta nowa wiedza była frapująca.

Erej starał się budzić ciekawość Atagra. I uczył chłopaka przez zabawę lub pokazywał ciekawostki tego świata. Lecz były w ich rozmowach też też sprawy poważne, trudne. Jak uczył go jednak sam Cygan Dziad, chłopcy w wieku Atagra chłoną wszystko, i nawet sprawy trudne, ciekawie przedstawione, umieją onizrozumieć i przyswoić sobie.

– Atagr, widzisz te wszystkie księgi, które ojciec twój zebrał w jednym miejscu, w tym Gabinecie Nauki?

Erej wskazał chłopcu na regały biblioteczeki.

–Tak, proszę Pana.

–Otóż, ojciec twój zebrał je w jednym celu. Nie, nie dla siebie. Nie dla ich ceny i wartości. Choć każda z tych ksiąg ma wielką wartość materialną. Prawie za każdą ojciec twój mógłby mieć dodatkowe sioło z kilkudziesięciu niewolnikami. Ale nie dla tego ojciec twój je cierpliwie zebrał.

–A dlaczego? - Atagr ubiegł pytaniem swego nauczyciela.

–Otóż dla ciebie, mój chłopcze. Ojciec te wszystkie księgi tu zebrał dla ciebie. Bo chce, byś się zapoznał z mądrością świata. Byś był mądrzejszy, niż on sam jest.

–Aha, rozumiem – przytaknął chłopak.

– Nie, Paniczu, nie rozumiesz. Bo chodzi o to, mój chłopcze, iż wszystko w życiu można stracić lub zyskać, ale mądrości, którą sobie przyswoisz, nikt ci nie weźmie, chyba że cię tym samym życia pozbawi. Ale nawet wówczas, gdy będziesz mądry, twoja ścieżka karmy już będzie inna, i narodzisz się ponownie już na wyższym etapie swej ewolucji. I o to twojemu ojcu głównie chodzi.

Mądrość to jedna z głównych cnót człowieczych. Takich jak odwaga, męstwo, przyjaźń, miłość, prawdomówność, dobroć. Jest ich znacznie więcej. Lecz mądrość można nazwać kardynalną, bo, będąc mądrym, człowiek może sam wyznaczyć i stosować z powodzeniem inne cnoty. Umie sam je wyłowić z nurtu życia, i zachowywać się zawsze adekwatnie do sytuacji życiowej. Tak uczył nas, swych uczniów, Cygan Dziad, najmądrzejszy człowiek na świecie.

Przy łożu boleści stało dwóch. Jeden, ten najwierniejszy, to był Obik. Drugim był królewski medyk, Lopeod. Król Amargadeusz spał, lecz oddychał ciężko. W alkowie królewskiej panował półmrok, wszystkie bowiem okna były zaciągnięte kotarami. W komnacie panowała cisza. Jedynie to medyk miał odwagę, by ją od czasu do czasu przerywać. Pytał wówczas Obika o pewne sprawy, związane z codziennym zachowaniem króla. I choć to on był medykiem nadwornym, to jednak Obik znał króla najlepiej. Z drugiej strony Obik nie był skory, by zdradzać komukolwiek, nawet medykowi króla, zwyczaje królewskie. Był on przecież strażnikiem prywatności monarchy. Najpewniej i sam Amargadeusz nie byłby przychylny temu, by Obik zdradzał, nawet samemu Lopeodowi, co robi król z rana w toalecie królewskiej.

–Mówisz, Pan, że król zwykł jadać na śniadanie jajka? - było to pytanie do Obika. Medyk mówił cicho, tak by zachować ciszę.

–Tak. Taki ma zwyczaj Jego Królewska Miłość. - Obik przytaknął. - Lubi też jeść na śniadanie owoce, czasami miód i ser biały.

–Aha – medyk zastanowił się – lecz z mięsów nic na śniadanie król nie zjada?

–Tak, Panie. Mięso pod różnymi postaciami król jada popołudniami. Raczej późnymi popołudniami.

–Aha – medyk znów się zamyślił. - Leczę już króla od kilku lat, lecz nigdy królowie skarżył się na serce. Może tobie coś mówił, Panie?

–Tak, Wasza Miłość. To był sekret królewski, lecz nasz Pan, król Amargadeusz, na serce skarżył się już od czasów powrotu z wyprawy na Wyspy Gnomów.

Powiem ci w tajemnicy, że wiedziały o tym tylko dwie osoby. Ja i Jego

Królewska Mość. I ty teraz się o tym dowiadujesz, lecz radzę ci zachowaj to

tylko dla siebie. Król, choć chory, nie życzy sobie, by o tym rozprawiano. No,

ale przecież tobie mogę o tym powiedzieć, jesteś przecież medykiem

królewskim, i wiesz, że choroby króla to tajemnica.

– W samej rzeczy, Panie. Mi etyka zakazuje rozpowiadać o chorobach moich pacjentów, tym bardziej o chorobie Jego Królewskiej Mości. Możesz mi więc, Panie, zaufać. A ja muszę to wiedzieć, by dobrać odpowiedni lek dla naszego monarchy.

– Co więc to będzie?

– Hm... Tak się zastanawiam. Chyba na początek zostawię ci dla króla, Panie, maź ze ślędziona smoczej. Ta maź regeneruje i wzmacnia serce.

Jestem pewien, że to będzie najlepsze dla króla. Gdy król się obudzi, podasz mu, Panie, łyżeczkę tej mazi, na kwartę wody. Niech król to wypije. Później będziesz, Panie, dbał, by król przyjmował ten lek w takiej postaci trzy razy do dnia, aż cała porcja się skończy. Zresztą ja będę czuwał nad tym. Lecz tobie mówię, bo ty wszystko wiesz o królu. Razem będziemy doglądać naszego godnego pacjenta. Powiem tylko jeszcze o tym królowej. Czy mam jej rzec, czy królowie Logoberdzie też?

– Nie, Panie. Ogranicz się tylko do naszej Pani, królowej. Księżniczka nie musi wiedzieć.

– A księżę Kanclerz?

– Też nie musi wiedzieć. No ... Chyba że to sam król zdecyduje, by mu powiedzieć. Ale będzie to już decyzja królewska, nie nasza. Rozumiesz, Pan, co mam na myśli? - Obik poprawił poduszkę Amargadeuszowi. - Powiedz mi, Panie, czy życiu króla coś zagraża? - Obik z pewnym lękiem z bladością na licu zadał to pytanie, tak ważne w tej sytuacji.

– Nie... Chyba nie. O ile ja się znam na tym, to król przetrzymał już kryzys – powiedział Lopeod. - Lecz król przez najbliższy okres nie może się denerwować.

– Ba! Panie, ale jak tego dokonać. Przecież ciemne chmury zbierają się nad nami.

– A tego nie wiem, medykiem jestem, nie politykiem. Ale przez najbliższy okres dziesięciu dni król raczej powinien być z dala od polityki, od problemów państwa.

– No nie wiem, nie wiem, jak to zrobić. Nic, trzeba będzie powiedzieć Kanclerzowi, by do minimum ograniczył swe relacje z sytuacji w kraju. Będzie to trudne. Bardzo trudne.

– Zważ, Panie, że na drugiej szali jest życie króla – stwierdził medyk.

– No jeśli tak, to nie ma wyjścia. Namówię króla, by rządy przez ten czas przejęła Rada Kanclerska.

– Ponadto król powinien przez ten czas być otoczony miłości. - mówił medyk.

– Aa ... A to musisz, Panie, rzec naszej Miłościwej Pani. Ale to jest, tak mi się zdaje, najmniejszy problem. Bowiem para królewska okazuje sobie wyrazy miłości i szacunku. Tak, to nie jest żaden problem. Król ma teraz w osobie naszej Pani prawdziwą rodzinę. I do tego jeszcze jego syn, Orotog. Tak, to się da zrobić. - przytaknął jeszcze raz Obik; znowu poprawił pościel królowi.

Jak okiem sięgnąć były tylko szare, zmokłe namioty. Tysiące namiotów naprędce postawionych. To Tukmaki. Ponad pięć tysięcy wojowników i kilka tysięcy ciurów, ich pomagierów. Król Alkaret pozwolił, kosztowało to Maga Uberyka sto tysięcy złotych talentów, lecz Fluksja przyjęła na swych ziemiach tych barbarzyńców, jak m zwykło się mówić o Tukmakach. Generał Kalderonte jechał na koniu, zwierzę brodziło po świeżym bagnie. Towarzysze Kalderonte też byli wierzchem. Jechali tak pomiędzy tymi namiotami, wąską, teraz bagnistą, ścieżyną. Poranek to był za ledwie.

Obłoki pary kłębiły się ponad tym obozowiskiem. I jedynie ciury krzątały się między namiotami. Podobne obozowisko pewnie było po drugiej stronie, między Paterą a Ulandią. Król Patery, Ufera, miał podobnie duże obozowisko Tukmaków na swej ziemi. I on zgarnął za to kilkaset tysięcy złotych talentów, prosto ze skarbu Molewera.

Kalderonte uważnie rozglądał się. Szukał wzrokiem namiotu gubertunera. Powinien to ci być większy i okazalszy namiot. W końcu, wydało im się, że znaleźli ów namiot. Jakiś ciura stał kilka łokci od niego. Kalderonte krzyknął z konia: -

– Gdzie obozuje gubertuner Zubo?

– Tam, Panie – chłopak pokazał przeciwny kierunek.

– Jak to? - spytał Kalderonte. - Stamtąd jedziemy.

– Tak, ale nieco za wschód od tej ścieżki, którą, Panie, jedziecie. Wielki

drewniany totem przed jego namiotem stoi. Rozpoznacie, Panie, bez trudu.

– Aha. A czyj to namiot? Taki okazały. - Kalderonte pokazał na namiot, który mylnie wziął za namiot gubertunera.

– To namiot szacownego szamana Hyla – odpowiedział mu chłopak, który był tu za ciurę, wydało się teraz, że szamana Hyla. Kalderonte i jego ludzie, chcąc, nie chcąc, musieli zawrócić konie. A że ścieżka była wąska, wykonanie tego nie było takie proste. Lecz oto udało im się to sprawnie i ruszyli nazad, jak to mówią często wojownicy do swych koni. Teraz jednak, gdy jeszcze raz mogli się przyjrzeć obozowisku, to mogli jednak zauważyć, iż przed namiotami stały elementy rynsztunku, jakieś tarcze, skórzane części zbroi, topory wielkie i miecze ostre i ciężkie. Tak, że tylko odpowiednio silni i wprawieni mogli nimi miotać. Pomocnicy i giermkowie, pospolite ciury, czyścili i przygotowywali ten cały oręż dla swych panów. Może wielu z nich niewolnikami było, choć znany to był fakt, iż Tukmaki raczej nie brali z boju niewolników, dobijali swoich wrogów i brali skalpy.

– Generale, tam jest – człowiek Kalderonte wskazał ręką przed siebie.

– Widzę, Wigo. Masz rację, ależ ten totem to prawdziwe monstrum.

Przed sobą w odległości pięciuset, może nieco mniej, łokci doskonale widzieli drewniany maszt, na którym wyrzeźbione były jakieś postacie, może zwierzęta.

Maszt ten stał przed dużym namiotem, chyba największym w tym obozowisku. Przed namiotem krzątało się kilku giermków.

– No ten Zubo to prawdziwy pierwszy samiec, jak u wilków i lwów – powiedział powoli Kalderonte.

– Panie, Tukmaki to naród plemienny, u nich co wódz, to pierwszy samiec. Nie umieją się porządnie zorganizować – mówił Wigo.

– Wiem, wiem. Dlatego co jakiś czas dostają mocno w kość od tych, co umieli się zorganizować i stworzyć państwa. Ale to dla nas korzystne, mniej musieliśmy za ich akces w naszą sprawę zapłacić. Ponadto wola jednego ich wodza, na przykład, by się z nami nie łączyć w tej wojnie, nie jest aż tak

ważna, bo są inni, którzy za nami poszli. Na przykład Zubo. Zubo, proszę ja was – Kalderonte mówił do swych ludzi – połakomił się na złote talenty. I oto, proszę, jesteśmy teraz przed jego namiotem – dojechali pod sam totem. – Hej ty – Kalderonte zwrócił się do jednego z giermków przed namiotem. – Ty, powiedz swemu panu, że przybył doń delegat Regenta Uberyka, generał Kalderonte.

Chopak, do którego mówił Kalderonte, pokłonił się nisko i szybko wszedł do pierwszej części namiotu. Nie minęło trzydzieści sekund i z wielkim hukiem z namiotu wręcz wyparzył sam gubertuner Zubo.

– Witam, dostojnych panów – rzekł Zubo, wychodząc przed namiot. – Witam, generale. W samą porę. Czekamy na was już od tygodnia. Kiedy to sam Regent zdoła przybyć?

– Przybędzie, przybędzie, bez obaw. Przybędzie z resztą wojska. Zetrzemy w pył tego satrapę Amargadeusza. Już nasze siły są liczniejsze. I to znacznie liczniejsze. A będzie nas więcej.

– Cieszy mnie to – rzekł gubertuner. – Moi ludzie są spragnieni walki.

– I łupów, powiedzmy to sobie otwarcie.

– Masz rację, generale, i łupów, i dziewczek ulandzkich.

– Wszystko to będzie, lecz musimy jeszcze poczekać przynajmniej dwa, trzy tygodnie – mówił Kalderonte. Był już na ziemi, jego ludzie też zeszli z siodła.

Kalderonte uściśnął prawicę gubertunowi. – Jeszcze mniej więcej tyle czasu będzie potrzebował Regent, by do nas dołączyć. Ale jesteśmy przecież my – tu Kalderonte wskazał na siebie i swoich ludzi. – I jest to. Wigo podaj worek. – Na tę uwagę, ten, który zwał się Wigo, podszedł do swego wierzchowca i wyciągnął stamtąd przytroczony worek. Dziwnie zabrzączało. I oto już po chwili okazało się. – To jest dziesięć tysięcy talentów, część tej sumy, która ci, Panie, przynależy. Reszta będzie po wygranej wojnie.

– O! – Gubertuner Zubo nawet nie krył zdziwienia, a potem jego mina przybrała kolor żółtej chciwości. Zubo zanurzył ręce po pachy w worku i

zaczął dziwnie mlaskać ustami. - O! Znakomicie – mówił przy tym. - Tak. Umowa, to umowa.

Bez dwóch zdań zaczekamy tu na Regenta.

– No, doskonale, wszystko według planu. - powiedział generał. Tymczasem jeden z ludzi gubertunera już zaciągał worek do namiotu swego wodza.

Gdzieś rozpalono ognisko, bo zapach pieczonego mięsa począł dochodzić aż tu pod namiot Zubo. Kalderonte i jego ludzie byli głodni i zmęczeni po podróży, ten zapach pewnie wzmógł tylko głód i łaknienie. Aż ślinka im z usta ciekła. Zauważył to Zubo i czym prędzej wypalił:

– Generale, zapraszam Ciebie i twoich ludzi na małą przekąskę. Czy jedliście kiedyś barani płód smażony w tymianku?

Dziwna to była nazwa, może trochę zbyt odstrasżająca, wiadomo barbarzyńcy mają inne upodobania, czasami wręcz dzikie. Kiedyś chciano go, jak pamiętał Kalderonte, w jednym z państw Oforyki częstować nawet zbukiem. Ale teraz byli tak głodni, że zjedliby nawet nie tylko płód, ale i zawartość owczego żołądka.

–Z wielką chęcią się się przyłączymy, ja i moi ludzie – powiedział Kalderonte.

Zubo znów zrobił chytrą minę, lecz starał się, jak mógł, ukryć to. Dlatego jego lico nagle ozdobił promienny uśmiech. Zubo starał się tym samym ukryć głęboko to, co mu po głowie chodziło. Najpewniej to jednak te talenty, które przed chwilą dostał, mąciły mu myśli.

– Mam też specjał i rarytas. To tukmacki ser z koziego mleka. Palce lizać – Zubo zachwalał.

– A gdzieś mi się w świecie obiło, że to znakomity przysmak. Kalizo go nazywacie, czyż nie? - powiedział Kalderonte.

– Tak, ten sam. Dlatego tak nie lubię wojny. Bo zawsze mi go brakuje. Ileż można wziąć ze sobą? - gubertuner się prawie że wzruszył.

Amargadeusz leżał w łożnicy. To nie było małżeńskie łóżce, lecz, można to tak nazwać, łóżce boleści; mieściło się ono w drugiej sypialni królewskiej. To w nim zwykł sam spać, gdy był chory lub gdy Sylanda miała słabość kobiecą. Teraz też leżał w tym samym łóżku, lecz był przytomny i świadomy. Ta zapaść, którą przeszedł, jak mówił medyk, już była za nim. Z każdą godziną czuł się silniejszym.

Od jakiegoś czasu poczuł nawet, że głód go bierze. Przecież nie jadł nic od ponad czterech dni.

Na ławie na wprost królewskiego łóżka Obik ułożył szaty królewskie, tak jakby się spodziewał, że król dziś się poczuje lepiej. Król sięgnął po mały dzwoneczek, który miał przy poduszce. Zadzwoił na Obika. Nie minęło kilkanaście sekund a głowa Obika pojawiła się w drzwiach komnaty.

– Obik, chodź tu, mój drogi – powiedział król.

– Jestem, Wasza Królewska Miłość.

– Musisz mnie ubrać i ogolić. Dzisiaj już dobrze się czuję, wrócę więc do swych obowiązków.

– Panie, medyk zaleca jednakże, byś, Wasza Królewska Mość, zaczekał z tym do końca tygodnia.

– A co dziś mamy? - król się zupełnie nie orientował, co to za dzień, ba!, nie wiedział nawet, która godzina.

– Czwartek, Panie.

– Czy wyście powariowali, mam leżeć jeszcze trzy dni. Wróg u granic stoi, a ja się mam byczyć. - król prawie że krzyknął.

– Wasza Królewska Mość, książę Kanclerz wszystko kontroluje – rzekł pośpiesznie Obik, jakby bał się gniewu króla. I w rzeczy samej, on chyba najlepiej w całym królestwie wiedział, co to znaczy, gdy król gniewny.

– Książę Kanclerz ... książę Kanclerz. On nic nie wie. A chyżo, przywołać tu do mnie Mistrza Kapę. Przyjmę go w łożnicy. No nic, skoro medyk tak twierdzi i zaleca. On się na tym zna, dla niego to gardłowa

sprawa. - Król miał na myśli to, że już kiedyś w królestwie Ulandii jeden medyk zapłacił batogami na gołe plecy za to, że, według króla Otelera, ojca Amargadeusza, źle leczył. Będąc dzieckiem, Amargadeusz zapamiętał to doskonale.

– Tak jest – Obik zawołał to, wybiegając prawie że z komnaty.

Król rozejrzał się po komnacie. Na ścianach wisiały wzorzyste kobierce. I trofea myśliwskie. Ponieważ jednak była to sypialnia, druga sypialnia, nie było tego dużo.

Było jedno cenne trofeum, upolowanego tygrysa szablo-zębnego. Przypomniało się nagle królowi, jak zasadzili się na to biedne zwierzę. Biedne, bo nie miało ci ono żadnych szans. Przy królu bowiem było wtedy kilku wyśmienitych łuczników. A tygrys, a tygrys miał tylko swoje pazury i zęby. Gdyby to była walka jeden na jedno.

No, to, kto wie, jaki byłby rezultat. Może wówczas to tygrys miałby w swej pieczarce cenne trofeum. Nie minęło dziesięć minut i król usłyszał, że ktoś puka do komnaty ktoś zapukał, po chwili w drzwiach ukazała się głowa Obika:

– Wasza Wysokość, prowadzę Mistrza Kape, czy może on wejść? - Obik zatrajkotał.

– Niech w...e jdzie – król zgodził się z wahaniem.- Ale ty, mój drogi, zostaw nas samych i pilnuj, by nikt nie zakłócał nam rozmowy, nawet, gdyby to był sam książę Kanclerz.

Do komnaty wszedł ostrożnie Kapa, cały był w pąsach. Biła od niego niepewność, może trwoga. Obik zamknął za sobą drzwi. Zostali sami, król i jego mag.

– I co tam, Kapa, z bogiem Kobokiem?

– Wasza Wysokość, na razie Kobok nie odzywał się. I to już od dobrych dwóch tygodni.

– Słuchaj, powiedz tym, którzy pośredniczą między tobą i Kobokiem, iż

ja, jako jego sługa, proszę o pomoc. Siły wroga stoją u granicy. Jeśli mi Kobok nie pomoże, to skończy się nasz układ, bowiem pozbawiony zostanę królestwa i , najpewniej, życia. Więc powtórz tym emisariuszom – król jeszcze raz powtórzył- iż proszę o pomoc. Wiem, że jedynie tylko Kobok może uratować królestwo. Czy ty możesz jakoś z własnej inicjatywy nawiązać ten kontakt?

– Jaki kontakt, Wasza Królewska Mość?

– No z Kobokiem.

– Mogę, Wasza Królewska Mość. Mogę.

– No to uczyn to dzisiaj. Zaprawdę mało nam zostało czasu.

Król jakby zachnął się, niby mu się kaszleć chciało, lecz opanował się, przetarł jedynie usta jedwabną chusteczką. Wziął do rąk kubek, co stał na zydłu obok łoża, i upił solidny łyk źródlanej wody.

– Więc jak, zrobisz to?

– Tak, Wasza Łaskawość. Za murami miasta jest jedno miejsce. Tam się udam. To tam mogę nawiązać kontakt.

– To zrób to jeszcze dziś. Każdy dzionek jest ważny. Każda godzina ma znaczenie – mówił król przecierając cały czas usta chustą. - Jeśli się dobrze sprawisz, a Kobok nam pomoże, nadam ci szlachectwo i dodam do tego pewne dobra materialne.

– Ja ... - Kapa się zawahał. - Ja, Wasza Wysokość, nie robię tego z chęci zysku.

– Wiem, wiem, ale twoje działania będą teraz dla mnie i królestwa naprawdę ważne i cenne.

– Wasza Wysokość, bez zbędnej zwłoki udam się tam jak najprędzej.

Cała kamaryla tu była najpewniej. I to nie tylko notable, najważniejsze osoby w kraju. Byli też pomniejsi, lecz jakże ważni. Presurt Oland świadczył, tak jak i książę Kowdlar, najlepszy przyjaciel nowożeńca.

Księżna Teborna świadczyła ze strony Geldery, zaślubionej teraz Elubedowi. Matce Geldery, szlachetnej Lubece aż łzy leciały, łzy szczęścia, gdy jej córka mówiła słowa małżeńskiej przysięgi. Erty aż promieniał cały. Oto spotkał ich zaszczyt, ich córka nobilitowana została. Żoną samego Wodza Ludzi Małych ogłoszoną ją dzisiaj. Były tańce, były śpiewy. Elubed po raz pierwszy od dłuższego czasu zaśpiewał tam swoją poezję. Ale nie była to już ta tęskna i smutna nuta, z której przede wszystkim był znany poeta Elubed. Nie. To była radosna poezja człowieka, który doszedł w swym życiu do ważnego i szczęśliwego etapu, do spełnienia się w miłości. I trzeba przyznać, jak sam to mógł naocznie sprawdzić Kowdlar, Elubed był zakochany. Nie musiał ci on, tak jak to drzewiej zrobił Kowdlar, szukać ożenku dla majątku, bo sam dysponował już odpowiednim. Nie musiał ci on także na gwałt ratować się z samotności, by znaleźć w tym celu swą drugą połówkę, bo miał Elubed przyjaciół i samotnym go nie można było nazywać. Nie o opiekę w chorobie i tu chodziło. To była miłości. Zwyczajna miłość. Ot , po prostu miłość. Czy Geldera odwzajemniała uczucie? Z pewnością tak zdało się samemu Elubedzie. Kowdlar miał jednak co do tego pewne wątpliwości.

Czasami, jak tak wodził oczyma po parze nowożeńców, to mu się zdało, że Geldera mocno udaje swój afekt i uczucia. Robiła to teatralnie, sztywno. A jej oczy zdradzały, tak się zdało Kanclerzowi, że bawi się setnie tym wszystkim i mocno ona wyrachowana jest. Bo cóż, córka majora fortu za Wodza wychodziła. A Amargadeusz w poufnej rozmowie z Kowdlarem już mu wyjawiał, iż w najbliższym czasie nada Elubedzie tytuł barona. Tym bardziej więc przyjaciel jego stał się łakomym kąskiem, chyba właśnie dla takich kobiet, do jakich należała Geldera.

Wesele jednak rozwijało się powoli. Po przysiedze małżeńskiej, po tańcach i śpiewie, wszyscy zasiedli za stołami uginającymi się od przysmaków wszelakich, z różnych krain pochodzących. Uczestnicy tej zabawy wymieniali głośno między sobą różne opowieści, dziwne i ciekawe fakty. To właśnie przy tego typu okazjach ludzie informowali się o wszelkich dziwach natury i przyrody, które przytrafiły im się. Była więc to doskonała chwila, by dowiedzieć się wielu nowych rzeczy. Kowdlar uważnie przysłuchiwał się tym opowieściom. I Presurt Oland był w to zasłuchany.

Oland młody jeszcze był, więc to nie dziwota, że ciekawiły go opowieści starszych.

Kowdlar robił to jednak, można rzec, z pewnego obowiązku, może nawyku. Bo dowiadywał się przy tym ważnych spraw państwowych. A jako persona stojąca na najwyższym stolcu w kraju, druga osoba po królu Amargadeuszu, musiał on pilnować, by w kraju dobrze się działo. Bajarze, co swe opowieści przy suto zastawionym stole snuli, czasami mówili całkiem, może tego jednak nieświadomi, konkretne sprawy, dotyczące życia Ulandczyków. I to łapał uważny Kanclerz.

I trzeba to też podkreślić, iż Elubed nie żałował dinarów ulandzkich na całą uroczystość. W pewnym momencie, oprócz muzyków i zawodowych tancerzy, był też popis cyrkowy, całkiem bogaty w atrakcje. Oto poskramiacz wodził za sobą olbrzymiego niedźwiedzia. Cztery razy prawie większego od tego cyrkowca, choć był to chłop na schwał. Jedynie dla bezpieczeństwa niedźwiedź ów miał skórzany kaganiec. Ale siła jego była z pewnością tak wielka, że zmiotłby on, gdyby go natura do tego przymusiła, wszystko i wszystkich w tych ogrodach, w których całą uroczystość odbywano. Później były tresowane pieski, takie białe, takie mądre, prawie tak jak dzieci. Pieski te skakały między sobą i treserem w myśl pewnej skończonej kompozycji. Na koniec akrobaci z trudem i znojem stworzyli ze swych ciał prawdziwą wielokondygnacyjną wieżę. Co uczestniczy wesela nagrodzili brawami. Bawiono się tak nawet do późnej nocy przy pochodniach i ogniskach.

Ilość wypitego przedniego wina była ogromna. Zaprawdę ten, który dostarczył ten napitek Elubedzie, wzbogacił się dzięki temu snadnie. I na koniec było to. To, bez czego być nie mogło. To była noc poślubna. A raczej rytuał tejże nocy. Potrzeba było, by świadkowie byli przy konsumpcji małżeństwa. Tak, by żadna ze stron nie mogła się później wyrzec swych ślubów. Co zostało skonsumowane, tego czas już nie mógł cofnąć. Ni zrosnąć się już nie może przecież błona dziewicza poślubionej. I w rzeczy samej do alkowy, specjalnie przygotowanej w pałacyku, użyczonych nowożeńcom, weszli w końcu na chwiejnych nogach i sam konsument małżeństwa, Elubed, a także jego przyjaciel, książę Kanclerz oraz równie napity jak ci dwaj Presurt Królewski.

Dam żadnych, oprócz oczywiście świeżo nadanej małżonki tam nie było. Mistrz

Kapa pokropił łożę lubczykiem. I dokonało się. Po krótkiej chwili, pewnej zwłoki związanej z formą dobrze wykonanego zadania, świadkowie mogli zakrzyknąć :

Wiwat Elubed, wiwat jego Pani, Geldera.

Gubertuner Zubo spał słusznym snem. Cała jego armia Tukmaków spała także. Za kilka dni połączą się oni z wojskiem Alkareta. Z całą tą siłą ruszą na ziemie Ulandii.

Jak przewidywał Zubo, za cztery tygodnie najpóźniej zmieni się władca w Ulandii.

Nagle coś przerwało odpoczynek gubertunera. To jeden z jego giermków, Ubeto, budził go pociągając o szaty.

– Panie, coś niepokojącego się dzieje – powiedział prawie szeptem Ubeto.

– Co? Co takiego? - zamruczał pod nosem gubertuner.

– Panie, bogowie nas obserwują.

– Gdzie? Jak? - Zubo się całkiem rozbudził. - Pokaż mi.

Gubertuner wstał z legowiska. Wyszli przed namiot. I co? Wówczas to Zubo mógł się przekonać, iż faktycznie to sami bogowie przypatrują się im dziś w nocy. Na horyzoncie bowiem wisiały rozświetlone niebieską poświatą, choć noc była blask od nich bił, dwa podobne do kabaczków, jak mówi lud, karoce bogów. Wtem z wnętrza ich nagle coś oderwało się. Jakby mniejsze karoce, podobne swym kształtem do czapek Alahitów. Błyszczały one srebrzystą poświatą, i było widać, iż nadlatują one tu, nad obozowisko.

– Co to? - zdążył wymamrotać jeszcze Zubo.

I oto prawdziwe piekło rozpętało się wówczas. Te mniejsze karoce podleciały nad obozowisko i zaczęły razić ze swego wnętrza prawdziwymi piorunami. W co? W sam środek zaspanych Tukmaków. Oto rozpętało się prawdziwe piekło. Ogień i huk. Huk i ogień. Jakieś wybuchy, blask piorunów, huk jakby ziemia się waliła. Serce Zubo zamarło w przestraszu. Uświadomił sobie, iż z jego armii praktycznie nic się już nie ostanie. A te karoce, które tak raziły, zrobiły kółko nad obozowiskiem i znów nadlatywały. By razić, by niszczyć.

– Bogowie! – wyszeptał Zubo zupełnie przerażony.

I znów zaczął się huk, i znów zaczęły razić one piorunami. Jeden z tych dziwnych pojazdów powietrznych nadleciał nad namiotem gubertunera. I oto maszt, totem obozu, przełamał się jak patyk i runął całą swą siłą prosto przed gubertunerem Zubo.

– Jesteśmy zgubieni- zdążył jeszcze pomyśleć ów Tukmak, lecz oto wybuch rzucił go o ziemię, tam gdzie totem leżał. A potem przywalił go orzeł totemowy, duma tukmackiego plemienia.

Gubertuner Zubo podzielił los swych wojowników. Po kilkutyśięcznej armii sprawnych żołnierzy, zahartowanych w wojennym rzemiośle, została dosłownie mokra plama. Wystarczyło raptem dwie minuty. Dwie minuty manifestacji dziwnej siły bogów. Manifestacji woli bogów. Zubo tuż przed śmiercią, gdy jeszcze miał nie zmacony umysł, uświadomił sobie, iż misja ich jest już praktycznie skończona. Plan Regenta Uberyka runął jak karciany zamek.

Erej przypatrywał się z okien biblioteki pałacowej posiadłości Poleda, jak młodzian Atagr, jego uczeń, machał drewnianym, nieco za dużym dla niego, mieczem, starając się tym samym razić w znacznie wyższego setnika Zaparę. Z drugiej strony na drewnianym zydłu Erej miał rozłożoną księgę, którą teraz pilnie, może nawet tak pilnie, jak pilnie uczył się wszystkiego panicz Atagr, studiował.

To była Księga ocalenia napisana przez Efereta z Kule. Uczony ten prowadził w tej księdze swoisty monolog sam z sobą, omawiając kwestie, które absorbują bardzo, ale tylko filozofów. Zastanawiał się ów Eferet, iż

jeśli mamy do czynienia z pojęciem Bóg, to mamy przecież być doskonały. Jeśli jednak ograniczymy Boga tylko do własnych rozważań, do czegoś co istnieje jedynie w naszych rozważaniach, w naszych głowach, to to już nie będzie przecież coś doskonałego, bowiem doskonalszy jest Bóg istniejący w rzeczywistości. W ten sposób, twierdzi Eferet, poprzez doprowadzenie do jawnej sprzeczności, uzyskujemy dowód, iż Bóg nie może być tylko naszym wymysłem, naszymi urojeniami. W ten sposób Eferet dowodził istnienia Boga, bytu doskonałego. Jednak, jak pamiętał Erej, Cygan Dziad stwierdził, że dowód ten pokazuje jedynie, iż Bóg nie może być tylko naszym wymysłem. W rzeczy samej taka teza przecież prowadzi do absurdu, zgodnie w owym dowodem.

Ponadto przecież istnienie Boga musimy dowieść, a nie uznawać go jako dowód sprzeczności naszego postulatu. Innym dowodem na istnienie Boga, zawartym w Księdze ocalenia, jest, co podawał jako silny dowód Eferet, zauważenie, że skoro wszystko na naszym świecie musi mieć przyczynę, swoją sprawczą przyczynę, to istnienie świata, jego stworzenie, też musi mieć swą przyczynę. Nazwijmy tę Przyczynę Bogiem i mamy oto dowód na istnienie Boga. Wprawdzie w takim rozumowaniu możemy pójść dalej i pytać, co jest przyczyną Boga. Lecz przecież, jak pisze Eferet, nas nie interesuje kto stworzył Boga, lecz tylko, kto stworzył świat. Bóg stworzył świat. Jest jego budowniczym. Dowód ten podważał znowu Cygan Dziad, jak pamiętał to dobrze z jego nauk Erej. Oto bowiem procedura szukania przyczyny świata, jego budowy, wykracza, według Cygana Dziada, poza porządek tego świata, poza ów związek przyczynowy, bowiem my nie wiemy nic o tym, co było przed stworzeniem świata, nie możemy więc tam szukać przyczyny, jakiegokolwiek przyczyny, w tym przyczyny stworzenia świata.

Chłopak dalej, tak zapamiętał, walił swym drewnianym mieczem o tarczę Zapary.

Było to słycać nawet z poziomu drugiego pietra pałacu. Erej patrzył na zmagania Atagra. Zapara miał już chyba wszystkiego dość. Najpewniej poszedłby już sobie na piwo do swojej kuchareczki. Tylko ten dziwny Temo, nowy pomocnik kucharza. I ten zaczął do niej smalić cholewki. Zapara miał więc rywala. Chcąc nie chcąc, bo Erej był już znużony czytaniem Księgi

ocalenia, wrócił jednak do swej lektury. Zawsze tak było, że filozofowie umieli nawet o sprawach łatwych z pozoru pisać wielkie, nudne elaboraty.

– Do księcia Kanclerza, przejście! – krzyczał goniec, biegnąc przez zamkowe komnaty.

Ludzie usuwali się mu z drogi. Lecz ten nadal pokrzykiwał:

– Z drogi. Do księcia Kanclerza Kowdlara, pilna nowina.

Wreszcie dobiegł, dysząc cały, pod drzwi kancelarii. Nie pukając nawet, wszedł do środka.

– No co tam? - rzekł mu na powitanie Kowdlar.

– Panie, wieści z za granic Ulandii, z Fluksji i Patery.

– Dawaj, dawaj – Kowdlar wziął od gońca skórzany worek. Po czym wyjął pismo.

Chwilę czytał. Lecz nagle jego lico spąsowiało całe. Dziwny uśmiech niedowierzania pojawił się na nich. Zszokowany chwycił się za głowę.

– O bogowie! - stęknął cicho. - Niebywałe – westchnął głośno, niby go para opuściła, po czym szybko i energicznie ruszył ze swego siedziska. – Jesteś wolny – krzyknął jeszcze do gońca. - Do króla, szybko do króla – rzucił do siebie.

Prawie biegnąc, przebył te kilka korytarzy, które dzieliły go od alkowy króla.

– Otwierać, a chyżo – wydał komendę straży przed drzwiami pokoju królewskiego. Wchodząc do króla, nie pomny na to, czy król śpi jeszcze lub odpoczywa, krzyknął. - Wasza Królewska Mość, cud. Jesteśmy uratowani !

Ulandia jest uratowana!

Wchodząc tak nagle, Kowdlar nie zorientował się w pierwszej chwili, że przy łożu królewskim medyk stał. Król na tę radość kanclerską zareagował dość nerwowo.

– Co ty mówisz, Kowldar? Co się stało?

– Wasza Królewska Mość, oto w tej chwili dostałem meldunek prosto z ziem Fluksji i Patery.

– No, no – król się zaciekawił.

– Oto, Panie, coś przedziwnego stało się z Tukmakami, którzy tam obozowali, i to zarówno we Fluksji jak i z tymi z Patery.

– Co? - Król aż przysiad z ciekawości.

– Jak mówią świadkowie, bogowie z niebios zstąpili na swych karocach i rozbili, zniszczyli te obozy wrogiej nam armii, zabijając przy tym wielu wojowników, w tym samego gubertuna Zubo. Tukmaki uciekają w popłochu, byle dalej, byle szybciej.

– Co takiego?! - król krzyknął. - A jednak! – powiedział raczej do siebie. – Mistrz Kapa mnie nie zwodził, rzeczywiście Kobok pomógł mi. To niebywałe. Niech biją w dzwony w całym królestwie. Niech ołtarze boga Koboka obmyje krew zwierząt ofiarnych.

– Jak to, Miłościwy Panie, co z tym wspólnego ma Kobok?

– A ... Ty przecież nic nie wiesz. Hm ... Może ci kiedyś powiem. Niech mi podadzą teraz puchar słodkiego wina, radować się chcę i cieszyć. A ty, Obik.

– Tak , Panie – to Obik zerkał z ukosa.

– Skocz szybko po Mistrza Kapę. Jemu się należy prawdziwa nagroda. Dzięki ci, O! Koboku! Uratowałeś mnie niechybnie. Nie dałbym im wszystkim sam rady. Medyku. Czuję się już znacznie lepiej – te słowa król skierował do Lopeoda, medyka królewskiego. - Szaty mi podajcie.

– Ale, Panie – medyk zaprotestował.

– Żadne ale, zdrowy jestem już. Życie mam przed sobą. Jeszcze doczekam się z Sylandą kolejnego potomka. Cha! Dawać to wino. Niech mi zaszumi i zakręci się w głowie. - król już chciał wyskoczyć z łożnicy, lecz nagle jakiś grymas bólu przebiegł mu po twarzy, skulił się, jęknął okrutnie i przygarbiony, po chwili zrezygnowany, opadł na poduszki.

– Wasza Królewska Mość, proszę się nie nadwyreżać. Panie! - na te słowa Lopeoda król uspokoił się, położył się i dał się przykryć kołdrą.

– A to nic, to tylko mała niedyspozycja. Ale wina się napiję. - powiedział król mocno rozczarowany.

– Jeden łyk, Panie – powiedział medyk. - Jeden tylko łyk, by uczcić zwycięstwo.

– Dobrze, niech ci będzie. Jeden łyk. Ale w królestwie niech świętują. Ja się później dołączę.

Uberyk był aż cały zsiniały. Olert wołał nie patrzeć teraz na niego, udawał, że jest wpatrzony obraz, co wisiał na ścianie. Uberyk nawet nie udawał, że nie jest załamany. Cały misterny plan legł w gruzach, wszystkie jego starania i dyplomatyczne manewry. Dlaczego? Dlaczego bogowie byli po stronie wroga?

Dlaczego? Uberyk starał się racjonalnie wytłumaczyć sobie te wszystkie wydarzenia, które stały się nad rzeką Lopy, na ziemiach Fluksji i na równinie Jed, na ziemiach Patery. Pogrom! Pogrom! W myślach powtarzał to sobie. Nic nie zostało z tak misternie utkanej koalicji. Tepik, władca Spoka, król Patery Ufer, oraz Alkaret wszyscy w pośpiechu wycofali się z układu. Tukmaki liczą poległych i liżą swe rany.

Mag Uberyk chwycił się nagle za głowę, potężny wstrząs przeszył jego ciało, od przyrodzenia aż po samą głowę. Uberykowi zdało się, że jeszcze moment i oszaleje. A wtedy to już będzie absolutne zniszczenie się pogromu, i będzie to efektowny finał całego przedsięwzięcia. Przynajmniej dla króla Amargadeusza.

– Generale, zostaw mnie samego, nim wyjdiesz, powiedz mi tylko, czy i ty mnie opuszczasz?

– Jestem twym wiernym sługą, Regencie – powiedział dość smutno Olert. – Na zawsze – dodał równie smutnym tonem.

– Dziękuję ci, a teraz zostaw mnie, bo czuję, że mnie nawet moja dusza zostawi. Jeśli nie przedsięwzięję jakiś środków, to będzie tak najpewniej, dlatego potrzebuję teraz spokoju i samotności.

Gdy tylko drzwi za generałem się zamknęły, Uberyk szybko, śpieszył się bowiem, otworzył komodę, co przy ołtarzu stała, i wyciągnął stamtąd jakąś skórę, jakieś kamienie, a także coś, co wyglądało jak róg jednorożca.

Założył skórę na plecy, do ręki wziął kolorowy kamień i zaczął intonować pieśni. Z początku boleść tylko była na jego twarzy. Boleść i rodzaj zwątpienia, rozczarowania, lecz w miarę jak śpiewał do swych bogów, patronów, boleść zaczęła ustępować. Na koniec rozpogodził się i widać było, że mu ulżyło. Wziął w końcu róg jednorożca; przytknął go sobie do czakramu serca, potem czakramu woli, odetchnął głęboko, raz, dwa i trzeci raz. Całe napięcie z niego uszło. Gdy wstawał z tego czarodziejskiego kręgu, był już innym człowiekiem. Zrozumiał, że może walczyć, walczyć o swoje. Może nie teraz jeszcze, gdy przychylność bogów była po stronie Amargadeusza. Ale intuicja mu podpowiadała, że musi jeszcze trochę poczekać. Bogowie przecież są kapryśni, może Amargadeusz złamie w jakiś sposób ten pakt, który najwidoczniej ma teraz z bogami. I wówczas? Tak wówczas będzie szansa zburzyć ten porządek, co nad ziemią ulandzką ciąży.

Uberyk wziął gęsie pióro do ręki. Zamoczył go w inkauscie, rozwinął świeży papirus, i zaczął pisać. Do Karona adresował swe pismo. Chciał wiedzieć, czy i on odstąpi od teraz już dawnej koalicji przeciw królowi Amargadeuszowi. Jeśli i on się przestraszy zemsty bogów, to przyjdzie Uberykowi znów szukać schronienia gdzieś indziej. Nie martwiło to jednak Maga tak mocno, bowiem ze skarbca Molewera została jeszcze fortuna. Na szczęście nie spłacił on jeszcze w całości i Tepika, Alkareta i innych aliantów. Umowa przecież była, że dopiero po zwycięskiej batalii dostaną oni w całości to, co im należne. Szczęście więc w tym nieszczęściu było

takie, że to oni sami odstąpili od koalicji. Tym samym Uberyk więc nie musi im płacić ni obola. A z takim skarbem Uberyk wiedział, że łatwo znajdzie schronienie. Jeśli nie w Oforyce, to może w ziemiach zachodnich lub rejonie Puche. Na szczęście Amargadeusz zdażył sobie zrobić wrogów wśród przywódców wielu krain. Jak się zdało Uberykowi, musi on teraz na gwałt ustalić, którzy to z bogów pomogli wstrętnemu satrapie, bastardowi Amargadeuszowi, jak go nazywał w myślach. Nie będzie to sprawa skomplikowana.

Użyje do tego run lub wahadełka, może kuli kryształowej. Najpewniej zrobi to jak najprędzej. Teraz najważniejsze jest pismo do Karona. Zatopił się więc w całości w jego pisaniu.

Humory im dzisiaj obu dopisywały. Kowdlar był wyraźnie rozluźniony. A Elubed?

No, ten to wręcz tryskał humorem. Gaworzyli tak sobie nad czarami wina, tak jak to robili jeszcze przed laty. Różnica widoczna już tylko była w tym, że nie byli ci oni teraz tacy młodzi, i że w czarze nie mieli podłego cienkusza, lecz wyborny trunek, który mógłby gościć z powodzeniem na królewskim stole.

Miejsce, gdzie się spotkali, to nie był podły i cuchnący szynk dla byle pijaczków, lecz piękna i przestronna willa, którą Elubed kupił dla siebie i swej nowo poślubionej żony w centralnym miejscu Wendy, w okolicach gdzie bytowali notable miasta i kraju. Komnata, w której teraz biesiadowali była specjalnym, wydzielonym miejscem willi, gdzie Wódz Ludzi Małych, baron Elubed, mógł z powodzeniem przyjmować każdego dostojnego gościa, nie wyłączając emisariuszy samego króla, i nawet księżę Kanclerz, przyjmując nawet, że nie byłby to najbliższy przyjaciel pana domu, mógłby być tu z powodzeniem ugoszczony. Ta komnata lśniła srebrzyście, była taka radosna w odbiorze. Nie było ci tu ciężkich i masywnych mebli, lecz delikatne, funkcjonalne ławy i siedziska. Stół był dostosowany swymi gabarytami do reszty umeblowania. Na ścianach kryształowe lustra wisiały, wysmukłe świeczniki stały w rogach pokoju, także i amfory z kamionki.

A ci dwaj rozmawiali swobodnie i popijali to doskonałym trunkiem.

– Powiem ci, mój drogi, że będąc na twym ślubie i weselu, myślałem, że to będzie ostatnia wesoła rzecz, jaka mnie spotka w życiu – powiedział Kowdlar.

– Dlaczegoż to? - Elubed chyba nie wyczuł intencji swego druha.

– Bo ciężko już z nami było. To znaczy z naszym krajem, a ściśle mówiąc z królem i nami, jego sługami. Zdało się, że obce wojska zaleją nasz kraj i nie będzie ratunku dla nas. Tam, na twym ślubie, myślałem, że pożyjemy jeszcze może miesiąc, może nieco dłużej, dlatego tak się cieszyłem twoim szczęściem.

– To tak było źle? Nie przypuszczałem. Przyznam Ci się, że od prawie trzech miesięcy żyłem tylko tym ślubem, przygotowaniem do niego i potem jego realizacją, tak że sprawy państwa umknęły mej dociekliwości.

– No tak, rozumiem to doskonale – przyznał Kowdlar. - Lecz orientujesz się chyba, że byliśmy na skraju wojny?

– Tak, tak. No znowuż aż tak mało uświadomiony nie byłem. Wiedziałem, że wrogie armie się przeciw nam zbierają. Gadano o tym na dworze, a także ludzie, pospólstwo ochoczo na ten temat rozprawiało. W karczmie nie raz słyszałem, że Uberyk chce siłą wziąć Ulandię.

– Ale wiesz jak to się skończyło? - Kowdlar był dociekliwy.

– A nie – odpowiedział Elebed.

– Jakiś cud się zdarzył. To są sprawy ściśle tajne, nie mów tego nikomu, nawet Gelderze. To sami bogowie wmieszali się, stanęli i to po stronie króla. Jak mam w meldunku z ziem Fluksji, tamtejsze wojska Tukmackie rozbite zostały w puch przez karoce bogów, które miotają z siebie blaski i błyskawice, tyle że nie na oślepa a we wrogą nam armię. Tepik, Alkaret i inni zlekli się podpaść pod gniew bogów i zerwali koalicję z renegatem Uberykiem. Nasze jest zwycięstwo. Myślę, że Uberyk długo się po tym nie pozbiera, jeśli w ogóle się pozbiera.

- Powiadasz, karoce bogów, powiadasz, blaski i błyskawice one ci miotały? - Elubed sprawiał wrażenie, że nie wiedział o całej sprawie.
- W samej rzeczy było, jak Ci prawie.
- Trudno to sobie wyobrazić – powiedział Elubed. - Wiem jak można razić na odległość kuszą, łukiem, dzidą, jak można miotać mieczem i toporem, ale błyskawicami? Szkoda że tego nie widziałem.
- Też bym to chętnie zobaczył – stwierdził Kowdlar. - Raz jeden widziałem takie karoce bogów. Jak płynęliśmy na Wyspy Gnomów, to one pokazały się onegdaj naszej flotyli. Do czapek Alahitów można je przyrównać.
- A, wtedy, faktycznie, też widziałem. Są takie srebrzyste – przyznał Elubed.
- Są też i znacznie większe, z których te mniejsze wyskakują. Podobne one do podłużnej dyni, tylko że bardzo duże. Tak duże jak dwa pałace, jak dwa zamki królewskie złączone razem.
- Nie, takich to ja na oczy nie widziałem.
- Mówię, jak mi to opisano w meldunku. Sam ich też nie widziałem ni w życiu. I wiszą one tak w powietrzu nie pomne na wiatr i obłoki. - mówił Kowdlar, po czym wychylił swój puchar z winem; dolał wino prosto z flaszki do pustego już naczynia.
- Niewiarygodne. Jak ptaki, jak albatrosy?
- Właśnie, przyjacielu. Z tym że ptak się przemieszcza, nawet jak szybuje. A te karoce wiszą w powietrzu nieruchomo. Spytałem się Ereja, jak to w ogóle możliwe jest? Jeśli nie on, to chyba nikt nie zna na to odpowiedzi.
- Zatrudniłeś go u siebie?
- Jako nauczyciela dla mego Atagra. No wiesz, uczniem on ci samego Cygana Dziada. Mam tę pewność, że mi chłopaka nie wypaczy, nie zwichruje. A Atagr bystry jest. Ja chyba za dziecka taki nie byłem.

– Może to więc zasługa Teborny? - Elubed uśmiechnął się do Kowdlara.

– Najpewniej. Atagr to moje oczko w głowie. Na nikim i niczym mi tak nie zależy, jak na nim – księżę Kowdlar wzruszył się co nieco, a na te dictum pociągnął ogromny łyk wina przedniego. I Elubed zatopił swe usta w trunku. - Zobaczysz ty jeszcze, druhu, co dla ojca znaczy mieć syna. Życzę ci tego z całego serca.

– Nasz Pan, król Amargadeusz, poznał, jak to smakuje – rzekł Elubed. - I mnie się coś takiego od życia marzy.

– A właśnie, Jego Królewska Mość? Medyk mi mówił, że król w coraz lepszej kondycji. Znaczny na to wpływ ma ta sromotna klęska Uberyka. Król poczuł, że mu los znowu sprzyja.

– Wierzę, i nie dziwię się. Ale popatrz, nawet na samym szczycie jest pełno zawiści, złości i nienawiści – powiedział Elebed.

– Mówisz o królu?

– No tak, ta ich nienawiść. Króla i Uberyka. Popatrz jak to szkodzi krajowi.

– Tu chodzi o władzę, mój drogi. Władzę i tylko władzę, i za wszelką cenę. Ja, choć zawiaduję praktycznie Ulandią, nie mam takiej pozycji, oczywiście z racji urodzenia, jak nasz Pan, król Amargadeusz. Choć i ja poczułem, i wiem, jak rządzić ludźmi, przyznaję. Więc ...

– Więc wiesz z czym to się wiąże – Elubed wszedł Kowdlarowi w słowo.

– Naturalnie. Lecz Uberykowi widzi się cały czas, iż może odsunąć od tronu króla i zająć jego miejsce. A jest to przecież nierealne. Tym bardziej teraz, gdy to sami bogowie stanęli za królem pomazańcem.

Nagle ich rozmowę przerwało pojawienie się lokaja. W niebieskim uniformie, z równo wystrzyżonymi włosami, wszedł on pewnie z miną jakby miał coś ważnego do przekazania. Elubed zareagował.

– Co się stało, Ab?

– Panie, przybył Presurt Królewski Oland, pragnie się z Panem spotkać. Czy ma wejść?

Elubed popatrzał bezradnie na Kowdlara, jakby się pytał, co tutaj zrobić. Książę Kanclerz zrobił jednak minę aprobaty, niby się zgodził, by Oland mógł teraz tu do nich zagościć.

– Ab, poproś tu Jego Miłość, Presurta Królewskiego, czekamy. – powiedział Elubed.

Ab wyszedł; po niedługiej chwili w wierzejach komnaty pojawiła się sylwetka Olanda. Trzeba przyznać, że ten jeszcze młody mężczyzna posunął się jednak od czasu, gdy jako młodzian, można rzec: gołowąs, wyruszał z wyprawą na podbój Wysp Gnomów. Od tamtego czasu minęło jednak dobre kilkanaście lat. A dostanie życie, stabilizacja w małżeństwie sprawiły, iż ten człowiek przytył dobrych kilkanaście jeśli nie kilkadziesiąt pundów. Jego dawniej kruczoczarne włosy siwiały już w niektórych miejscach. Ba, pojawiła się nawet u niego lekka łysina na środku głowy. To jednak chyba było spowodowane dość nerwowym życiem, które takie było z winy trosk napływających na niego z tytułu obowiązków jednego z głównych królewskich urzędników w Ulandii. Choć więc w sumie taki był zaniedbany fizycznie, jednakowoż ubiór jego był pełen elegancji i bogactwa, taki właśnie jakiego potrzebował ów mąż stanu, by godnie reprezentować króla.

– A! Witam dostojnego gościa! - zakrzyknął na powitanie Elubed.

Oland zorientował się, iż jest tu jeszcze książę Kanclerz, rzekł więc.

– Chylę czoła szlachetnym Panom.

– Witam cię, Olandzie – do powitań dołączył się Kowdlar.

– Z czym przybywasz, szlachetny Presurcie? – powiedział gospodarz.

– Czy mogę się wprzód do Panów dosiąść? – powiedział najpierw Oland.

– Proszę, proszę. Do nas, na tę ławę. - Elubed wskazał ławę, która stała

przy stole pomiędzy nim a Kowdlarem.

Oland rozsiadł się, odpiął sobie jeden z guzików, by brzuch go nie uwierał i rzekł:-

– Wprawdzie miałem sprawę do barona Elubedy, ale dobrze, książę, że i ciebie tu zastałem, bo i do ciebie mam pewną sprawę.

– Tak, słuchamy Cię – powiedział Elubed.

– Oto, jak wiecie Panowie, pomarło się, i to już dość dawno temu, Cyganowi Dziadowi. Służył on u mnie, pomnażając mój majątek. Ale przy tym i on się dorobił. Pozostawił mi swoje dobra w testamencie z pewną intencją. Nie zwracałem ludziom publicznym, takim jak wy, dotąd głowy, bo przecież czas wojny się zbliżał. Lecz teraz, gdy, jak mi powiedział jeden z moich niewolników, a gmin tak twierdzi, wskutek swej porażki Uberyka czarna żółć chyba zalała, mogę do tej sprawy nawiązać. Oto bowiem – cały czas mówił Oland, ci dwaj na niego zerkali z zainteresowaniem – Cygan Dziad w swym testamencie napisał, bym ja za jego fortunę stworzył w stolicy rodzaj szkolnicy.

– O! To ciekawe – wtrącił się Kowdlar. - A ile on po sobie pozostawił, bo powiadają, że całe życie w prawie łachmanach chodził?

– Książę, zdziwisz się, ale zostawił po sobie niemal pięćdziesiąt tysięcy złotych talentów.

– To niebywałe, Olandzie – przyznał Kowdlar.

– Więc widzicie, Panowie, że za tą kwotę można zbudować nie tylko szkolnicę, ale nawet duży pałac z ogrodem, z całym bogatym umeblowaniem– mówił Oland. - Lecz ja teraz stoję przed tym dylematem, gdzie ów obiekt zlokalizować? Z tym pytaniem do was się zwracam. Gdzie uważalibyście, by taka szkolnica dla bystrych i inteligentnych młodych z całego kraju stanęła? Oczywiście, chodzi tu o Wendę.

– Hm ... Ciekawe pytanie – stwierdził Elubed. - Może w lasku lafarskim? To jest raptem kilka staj od Wendy. Ludzie tam przecież lubią chodzić na grzyby i owoce leśne. Tak mi się zdaje, iżby to mogło być

dobrym miejscem – mówił Elubed.

– Nie, przyjacielu, chyba nie masz racji. W ogrodach Puly by było dobre miejsce – rzekł na to książę Kanclerz.

– Nie, mój drogi, tam same szumowiny się szlają.

– Dlatego czas by zmienić to i by to miejsce już nie było z takimi ludźmi kojarzone – zareagował Kowdlar.

– Panowie – odezwał się Presurt. - Obie lokalizacje wydają się ciekawe. Trzeba je z równą uwagą dobrze rozpatrzyć.

Elubed zaklaskał w dłonie, na co do komnaty wszedł służący.

– Ab, przynieś dla barona Olanda złoty puchar. A! I jeszcze jedną flaszkę tego samego wina. - Do Olanda zaś rzekła. - Tuszę, że, baronie, napijesz się z nami?

– Z największą rozkoszą, baronie – odparł mu Oland. Po czym rzekł jeszcze. - Pozwolicie, Panowie, że w tej kwestii popytam jeszcze innych ważnych dla naszej stolicy i kraju osób. Myślę tu o elektanie, Luruku i innych. Ale mam jeszcze jedną sprawę. Teraz już raczej do ciebie, Kanclerzu. - Tu Oland pokłonił się Kowdlarowi.

– No, słucham Cię, Presurcie.

Tymczasem do komnaty wszedł ponownie służący, niosąc w rękach tacę, na której stała nowa flaszką wina i wspomniany złoty puchar dla Presurta. Postawił on tacę na stole, skłonił się i równie cicho, jak wszedł, wyszedł.

– Proszę, baronie, częstuj się – odezwał się gospodarz; nalał do nowego pucharu wino i podał go Olandowi.

– Dziękuję, Panie – Oland uchylił łyk tego przedniego trunku. - Mam, Panie, do ciebie pewną sprawę – Presurt zwrócił się do Kanclerza.

– Słucham Cię, baronie – odrzekł mu Kowdlar.

- Oto pojaliśmy właśnie bandę Kurowyra, która grasowała bezczelnie w lasach otaczających naszą stolicę.
- I .. - rzekł Kowdlar.
- Za rabunek na drodze, według naszego prawa, jest tylko jednak kara. Pętla lubo ostrze miecza katowskiego.
- Aha, więc w czym rzecz?
- Oto, książę, chcemy egzekucję przeprowadzić na Targu Soli w centrum Wendy, lecz na to potrzeba zgoda Kanclerza.
- Dużo ten Kurowyr nagrzeszył?
- O tak, był tak bezczelny, iż ze swą bandą rabował każdego. I możnowładców i zwykłych kupców. Robił to i rano i nocami.
- Baronie, powiedz mi, czy ten Kurowyr to taki łysy grubas z ogromną rudą brodą?- Kowdlarowi przypomniało się, jak onegdaj i jemu najpewniej owa banda zagroziła drogę tuż przed samą Wendą. Już przeboleł te złote talenty, które wówczas stracił. Lecz przecież najbardziej ucierpiała jego cześć i duma.
- Ten sam. Książę. Czy już ktoś Ci o nim mówił? Może ktoś z mojego urzędu?
- Hm ... Jak by Ci to powiedzieć, baronie. Było tak, iż i ja się z nim lub jego podłą sławą zetknąłem. Ale masz mą, kanclerską zgodę. Należy mu się, i jemu ludziom, pętla, jak nic.
- Oland zastanowił się, umilkł, by po chwili się spytać.
- Czyżbym ja Cię, książę, źle zrozumiał? Czy i Ty, Panie, padłeś ofiarą jego niecnego fachu?
- Teraz to Kowdlar popadł w zadumę. Lecz doszedł chyba do słusznego wniosku, iż hańbą by było jednak przyznać się, iż onegdaj banda Kurowyra i jego złupiła.

– A... Nie. Nie, Presurcie, ale słyszałem o nim bez dwóch zdań. Rzeczywiście bardzo bezczelny. No, ale za to odpowie teraz na stryczku. Trzeba dopilnować przecież bezpieczeństwa na traktach wiodących do Wendy i w kierunku wszystkich naszych prowincji.

Księżna Teborna chodziła nerwowo po komnacie. Właśnie dostała list od swego męża, który pisał jej o sytuacji w kraju. O pogromie Tukmaków, co to u granic Ulandii się gromadzili, a których najał sam Mag Uberyk przeciwko panującemu królowi. Poleda była na niejakiem ustroniu lenna Średnich Lasów. Wiadomości tu dochodziły z dużym opóźnieniem, więc dotąd księżna żyła z dużym lękiem o los swej rodziny. Bowiem, gdyby Uberykowi powiodły się jego zamiary, najpewniej znaczyłoby to ztratę ich rodziny. Nie dawała odczuć to dotąd Atagrowi, małemu paniczowi, iż lęka się o ich wspólny los. Lecz i on przecież musiał jakoś odczuwać to, iż matka smutna i nie cieszy ją, co cieszyć zwykle powinno. Teborna również nic nie mówiła nauczycielowi Erejowi. Wiedział on tyle co Irtyna, pomocnica kucharza, i tyle co setnik Zapara. Już więcej pewnie wiedział nowy kucharz Temo, bo niedawno dopiero przybył tu do nich. Miał więc jeszcze tę przewagę nad nimi, iż znał, co gmin i pospólstwo Wendy wie na ten temat. Lecz teraz, po przeczytaniu listu, Teborna odetchnęła. Wielki ciężar spadł jej z serca. Poczowała przy tym, iż ma dziś ochotę uczcić zwycięstwo króla i swego małżonka, bo przecież do tego bieg spraw się sprowadzał, i powzięła decyzję, iżby kucharz dzisiaj zrobił jakiś przysmak na obiad.

Ten nowy Temo miał dziwny dar kucharski. Robił takie potrawy, takie pikantne, egzotyczne i smaczne. Dotąd troski nie pozwalały jej cieszyć się w pełni z jego talentu. Lecz dziś to jest dobry czas, by Temo mógł się wykazać. I ona to czuła, że to właśnie dzisiaj pofolguje sobie, przynajmniej w kwestii kulinarnej. Wypije przy tym mnóstwo dobrego wina. Tak to sobie dzisiaj księżna postanowiła. Gdy tak chodziła po komnacie, nagle usłyszała hałas. Poznała, iż musi być to pewnie jej syn, Atagr. Wbiegł on z nagłym impetem w ten rewir swej matki i krzyczał.

– Mamo! Mamo! Ten nowy kucyk jest precudny. - krzyczał z zapalem

– Tak? To chyba dobrze. Co, podoba ci się?

– On wszystko rozumie. Wszystko, co się do niego mówi – chłopak był cały rozpalony. - Już go dzisiaj dosiadałem. Idzie wszędzie tam, gdzie ja tego chcę. To cudne.

– No widzisz, a tak nie chciałeś żadnego po Mube. - powiedziała księżna.

– Jak nazwiemy tego nowego? Bo setnik Zapara powiedział, iż tata pozwolił, bym to ja go nazwał. Nazwał, tak jak chcę.

– No to ty musisz wybrać mu jakieś imię. Ja, mój drogi, ci nie pomogę.

– Może Below? Bo on ma białą plamę na czole, niczym gwiazdkę, a Mistrz Erej mi powiedział, że Below to w języku Elfów znaczy gwiazda. - chłopak aż drżał z emocji.

– Świetne imię, synu – przyznała Teborna. - W sam raz dla twego kuca. Atagr, słysząc tę pochwałę swej matki, wybiegł rozgorączkowany z matczynej komnaty. Zostawił Tebornę szczerze ubawioną tym, jak jej syn cieszy się z tak nieistotnej sprawy. Ale, oczywiście, księżna nie dała poznać tego po sobie Atagrowi.

138

Jednak świat dziecka, to zupełnie inny świat, niż świat dorosłych. Teborna zdała sobie teraz sprawę z tego, iż być może ludzie dorastając tracą bardzo wiele. Tracą tę naturalną cechę smakowania życia w sposób spontaniczny i prosty. Tak jak to dzieci zwykły robić. Tak jak to przed chwilą robił jej syn Atagr. Teborna jeszcze raz wzięła list od Kowdlara. Poznała, iż to on osobiście skreślił te kilka zdań. Najwidoczniej nie chciał tej poczty dyktować sekretarzowi. Może chciał tą drogą zawiązać jakiś intymny związek ze swą połowicą.

Może tęskni do mnie, a może do syna ?– pomyślała sobie. Już od ponad miesiąca jest poza Poledą. Przecież przygotowywali się do wielkiej bitwy i wojny. Krótkie dwa dni się widzieli tylko na weselu Elubedy, lecz potem szybko rozjechali się. On do swych obowiązków, ona do syna, który,

wiedziała to dobrze, tęskni zawsze, gdy rodziców nie ma.

Księżna klasnęła w dłonie. W drzwiach pojawiła się głowa służącej.

– Poproś tu do mnie Mistrza Ereja.

– Słucham, Jaśnie Panią – powiedziała niewolnica.

Księżna odłożyła list i wzięła z wazy z owocami kiść dojrzałych winogron. Nie była głodna, lecz poczuła dziwne pragnienie. A że wino pijała niechętnie, wolała więc raczyć się soczystymi owocami. Nie upłynęły dwie lub trzy minuty i usłyszała głos tej samej służki, która przysłała tymczasem z Erejem.

– Łaskawa Pani, Mistrz Erej przyszedł.

– Niech wejdzie – rzekła Pani.

Do komnaty wszedł nieśpiesznie Erej, pokłonił się z godnością księżnej.

– Pani, raczyłaś mnie wezwać.

– Mistrzu, czy wiesz, jakie są nowiny ze stolicy?

– Nie, Łaskawa Pani. Coś mi tam mówił kucharz Temo, ale ja nie zwykłem interesować się polityką, no chyba, że ona dotyczyć mnie osobiście będzie. - mówił Erej.

– Czy nie wiesz o tym, Mistrzu, że wielce nam zagrażała wojna, a to by przecież i ciebie dotyczyło?

– No tak, Pani, o ty wiedziałem. To mi nawet onegdaj prawil sam książę Kanclerz.

– I co ty na to?

– Pani, filozofów nie biorą na wojnę – powiedział poważnie Erej, ale to tylko śmiech wzbudziło u Teborny.

– Ha, ha, ha, a to dobre. Naprawdę dobre. Mistrzu, gdy wino wlewasz do czary, możesz stracić cenne krople. Mogła i twoja głowa spaść z tej

przyczyny. Ale, uspokoję Cię, nie będzie wojny. Wojska Maga Uberyka zostały rozpedzone.

– A jednak. Przyznam Ci się, Pani, obawiałem się jednak, iż porządek w naszym kraju zostanie przewrócony do góry nogami.

– Aha, dlatego przed chwilą udawałeś takiego obskuranta w tej kwestii.

– Pani, prawidłowo odgadłaś moje intencje. Przecież wiem i wiedziałem dobrze, iż twoja, Pani, rodzina była z przyczyny tej wojny najbardziej zagrożona – Erej podrapał się po głowie. - Dlatego nieco udawałem obojętność.

– Tym bardziej, iż myślałeś, że tobie jednak nic nie grozi – rozszyfrowała go Teborna.

– W samej rzeczy, Pani. Ale, jak mówi przysłowie, w kłamstwie i obłudzie nie da się długo żyć.

– Nie, nie mam do Ciebie pretensji. Ja na twym miejscu również bym, chyba,

podobnie postąpiła.

– Więc wybaczasz mi, Pani?

– Zapomnijmy o tym. Wiedz jedno, wojny nie będzie. Uberyk został upokorzony.

– On, Pani, należy do tych gruboskórnych. Szybko się z tego wylize.

– Tak, masz rację – Teborna uśmiechnęła się do swego adwersarza. – Ale upokorzeni zostali również jego alianci.

– A jak do tego doszło, Pani?

– Jak mi pisze mój małżonek, podobno po stronie króla Amargadeusza stanęły siły bogów.

– Co? Co takiego? Przecież bogowie nie mieszają się do naszych ziemskich spraw – Erej nie udawał wcale, ale mocno był tym zdziwiony.

– Mój mąż nie zwykł mnie okłamywać. Mówię, co mi napisał.

– Rozumiem, Pani, nic nie insynuuję, ale wydaje mi się to dziwne.
Mówią o

mnie, że wiele ksiąg przeczytałem, ale nigdzie w nich nie zetknąłem się z taką sytuacją. To znaczy z ingerencją bogów w nasze ludzkie sprawy.

– A czyż ludzie nie oddają ofiary ku czci bogów, czyż nie modlą się do nich o pomoc?

– No tak, Pani, ale sama sobie zdajesz sprawę, że jest to rodzaj tradycji, a nie rzeczywisty kontakt z bogami. - Erej ze zdumienia aż cały pokrył się pąsami po swym licu.

– Widzisz, Mistrzu, w tej sprawie, jednak modły króla spełniły się.

Ten czarny człowiek siedział tam, gdzie Kapa zwykł odprawiać swoje czary. Cały czas w myślach Kapa nazywał go Czarnym. Nie znał jego imienia. Wiedział tylko, że ten drugi nosi miano Trzy. Czarny siedział i dłubał łapskami w uchu. Robił przy tym dziwne miny, tak jakby rozwiązywał zagadki geometrii. Trzy stał dwa kroki za nim;

Mistrz Kapa z pokorą stał obok mumii faraona.

– No, Kapa – powiedział Czarny. - Bóg Kobok spełnił swe obietnice. Czyż nie? Zgodzisz się chyba z tym?

– Ależ tak, Łaskawy Panie. Król jest mu szczerze oddany.

– No, widzisz, i bardzo dobrze. Bo, wiesz, skoro król Amargadeusz to docenił, to jest mała kwestia.

– Jaka, Panie? - Kapa aż podskoczył.

– Hm ... Jak by Ci to powiedzieć. Mówiąc krótko i treściwie, to teraz król musi coś zrobić dla Koboka.

Czarny wyszczerzył swe białe zęby niczym rekin ludojad. I Trzy zaśmiał się przy tym.

– Słyszysz, Trzy, król się musi zrewanżować, he, he – śmiali się obaj.

– Ale w czym rzecz? Bóg Kobok może żądać wszystko, o ile oczywiście te

żądania król będzie mógł zrealizować. Mam na to słowo króla. - Mistrza Kapa aż się cały napiął.

– To dobrze. Nie martw się, Kobok nie żąda nic takiego, co by król nie mógł uczynić.

– Więc słucham, Panie.

– Król Amargadeusz ma dostarczyć, hm ..., może się źle wysłowiłem. No, za cztery tygodnie w porcie Awefe ma być do naszej dyspozycji cztery tysiące niewolników. Niewolników, mężczyzn najwyżej do trzydziestego roku życia. Hm... No i co? Czy król może to zrealizować, Kapa?

– A po co wam tylu ludzi? - Wyrwało się Mistrzowi Kapie.

– A, to już was nie powinno interesować. Bóg Kobok potrzebuje na gwałt tylu ludzi, ważne, by to byli niewolnicy. Bo już z góry muszę Cię uprzedzić, a ty uprzedź króla, nie wszyscy ci oni wrócą do swych domów. Większość z nich jednak w konsekwencji zawędruje na Pola Kerdolota.

– To znaczy zginą?

– Jestem z tobą szczerzy, choć nie musiałem. Docień to. Dlatego potrzebujemy niewolników, ale silnych mężczyzn. - podsumował to Czarny. Mistrz Kapa wziął ze swojej szkatuły, co na stole stała, kawałek pergaminu. Napisał coś tam na nim.

– Postaram się jeszcze dziś, jeśli mnie król przyjmie o tej porze, przekazać to naszemu władcy – powiedział Kapa, pilnie coś pisząc.

– Byłoby dobrze, gdyby tak się stało. Bowiem cztery tygodnie na

zorganizowanie takiej armii niewolników, przyznaję, nie będzie dla króla łatwe. - powiedział Czarny.

– A czy to nie mogą być żołnierze? - naiwnie spytał Kapa.

– Mówiłem ci, że tylko niewolnicy. Mówiłem ci nawet dlaczego – Czarny się zdenerwował.

– Rozumiem. No cóż, jeśli powiem Obikowi, że przychodzę z nowiną od Koboka, to pewnie mnie król, i to jeszcze dziś, przyjmie. Trzy nagle zaczął się wiercić. Kapa usłyszał jakiś dziwny dźwięk, niby brzęczących dzwoneczków. Ten odgłos wydobywał się jakby z kieszeni tego człowieka. Trzy zrobił zwrot i szybko wyszedł z groty. Czarny uśmiechnął się blado do Mistrza Kapy, niby chciał w ten sposób usprawiedliwić swego człowieka. Trzy nie było może z pięć minut. W tym czasie Czarny milczał, a i Kapa stał w kącie cicho. Czarny dłużył niedbale w lewym uchu, uśmiechał się przy tym, jakby był na pierwszej randce. No i wreszcie pojawił się Trzy. Od samego wejścia krzyknął:

– Szefie, Centrum nas wzywa.

– Po co? Jeszcze nie skończyłem z Kapą.

– Pilna sprawa. Poufna. Powiem, jak będziemy w karocy.

– Aha. No dobrze. To ty, Kapa, działaj. - Czarny powiedział w kierunku maga. - Skontaktujemy się z tobą za tydzień. - Wstał i na pożegnanie, wychodząc z groty, zrobił jeszcze znaczący gest ręką w kierunku Kapy, może chciał w ten sposób podkreślić, kto tu jest najważniejszy.

Mistrz Kapa ciężko westchnął do siebie. Chwycił się za głowę. Ci ludzie, ten Czarny i ten Trzeci, to byli źli ludzie. Jako mag Kapa doskonale to wyczuwał. Wyczuwał

także i to, że kontakty z nimi nie są dobre. I że on oraz król mocno jeszcze pożąają, iż weszli w układy z nimi. Już lepiej zatracić się, umrzeć lecz w szlachetnej, uczciwej walce, niż wchodzić w podejrzone układy z takimi ludźmi.

Lecz teraz już nie było odwrotu. Ten cały Kobok, Reptylianin, był zbyt potężny.

Pokazał to zresztą rozganiając Tukmaków we Fluksji i Paterze. Najpewniej konflikt z nim był o wiele bardziej niebezpieczny niż walka z Uberykiem. Choć i Uberyk starał się jak mógł, by zaszkodzić królowi.

Uberyk jednak, choć mag i używał do swych celów bez żadnych oporów Magi Czarnej, to jednak był tylko człowiekiem. I nawet jego Magię można było jednak zneutralizować. Kobok to było coś więcej. On miał takie moce, iż trudno to nawet ogarnąć.

Kowdlar stał obok kopisty. Oglądał efekt tej trzymiesięcznej pracy skryby. Księga, którą zostawił po sobie Cygan Dział nie należała do najgrubszych, jednak i tak kopista miał z nią wiele roboty.

Dzisiaj zawołano w końcu po Kanclerza. Kopista skończył swą pracę. Lecz już dobrze wiedział o tym, że ma powtórzyć przepisywanie. Ta kopia, którą teraz miał w ręku Kowdlar trafi w konsekwencji do króla. Kowdlar przewijał na mahoniowej rolce nawinięty tekst i czytał to tu, to tam

... człowiek jest sam na świecie, i Świat cały jest w nim. Pomny na swoje doświadczenie wie jednak, że i inni ludzie myślą, czują i żyją tak jak on. Od małego uczy się przede wszystkim tak żyć, by nie cierpieć. Choć w rzeczy samej zupełnego braku cierpienia nigdy się nie doczeka. Człowiek mądry, to taki, który sobie to uświadamia. Mądry także wie, że chwile szczęścia są przelotne i nieliczne, tak jak skwarki w gorącej kaszy. Mądry wie, że na szczęściu nie można budować przyszłości, lecz, co ważne, można a nawet należy podążać do szczęścia jako celu życia. Wtedy to bowiem nasze życie nabiera głębszego sensu i znaczenia. Unikaj jednak cierpienia i dąż ku szczęściu, jeśliś taki bystry, życie Ci się wtedy sprawiedliwie ułoży ...

książę przewinął nieco tekstu.

... Jakiś jest, czyś sprawny, czyś leniwy, pracowity lub wiecznie zmęczony, czy zręcznie operujesz mową, czy ranisz innych kąśliwymi docinkami, a może mruk jeno jesteś i unikasz innych? Wszystko to pokazuje innym twe ciało. Ludzie, którzy umieją czytać z ciała i sylwetki

ludzkiej, z jego ruchu, postawy i chodu, rozszyfrują Cię, choćbyś nawet usta na skobel zasunął i nic nie mówił.

Nieco dalej pisało

... cała Przyroda zachowuje się tak, iżby musiały w niej panować pewne prawa. Prawa zupełnie niezależne od woli bogów, lecz nam, ludziom, nieznane. Wiemy, iż kamyk, który rzucimy w górę, musi spaść na ziemię. Wiemy, iż nawet bogowie nie powstrzymają przyływów i odpływów morza. Wiemy, że Słońce każdego ranka wschodzi i wieczorem zachodzi. Wiemy wiele, to co możemy zaobserwować. Lecz nie wiemy jednego, dlaczego tak się dzieje? Będą jednak takie czasy, gdy znajdziemy my, ludzie, na te pytania odpowiedzi.

Zaprawdę będą to piękne czasy dla filozofów ...

– Wezmę tę księgę – Kowdlar powiedział do kopisty. Na co tamten tylko skinął głową. - Kiedy będzie skończona nowa kopia?

– Wasza Miłość, za trzy miesiące. Kopia bowiem wymaga szczególnej staranności. - powiedział skryba.

– Dobrze, dobrze, ale nie poprawiajcie autora, przepisuj, jak jest w oryginale, nawet z błędami. - Kowdlar wiedział, iż jest w zwyczaju wśród kopistów czasami poprawianie autorów. - Czy tak też jest ta księga?

– Tak, Panie. Nie poprawiałem w niczym.

– Cztery tysiące niewolników!? Cztery tysiące – Amargadeusz powtarzał do siebie. - W cztery tygodnie? To dziwne, po co im tyle ludzi? – Amargadeusz chodził po komnacie, a Mistrz Kapa stał blisko wykwintego stoliczka, rodzaju biurka. - Ale myślę, że chyba uda nam się to zrobić – mówił król. – W końcu życie mu zawdzięczam – powiedział cicho, już raczej tylko do siebie. - Obik!

– Tak, Wasza Wysokość – odpowiedział niezawodny Obik, który stał blisko swego pana.

– Ile my mamy niewolników, młodych mężczyzn w okolicach Wendy?

– Mówisz, Wasza Królewska Mość, jako ich właściciel, czy tak ogólnie?

– I tak i tak – powiedział król.

– Dokładnie nie wiem, ale myślę, Panie, że jako król, Wasza Królewska Mość ma w stolicy i swych posiadłościach peryferyjnych do stolicy gdzieś tak z tysiąc niewolników, mężczyzn i kobiet. Kryterium to, by byli do wyłącznie zdrowi, młodzi mężczyźni, ogranicza tę liczbę do około dwustu. A ogólnie w okolicach Wendy myślę, że jest z dwadzieścia tysięcy niewolników, z tym że kobiet, mężczyzn i dzieci.

– Aha. Myślę, że mam jednak pomysł. Z tych dwudziestu tysięcy na pewno zbiera się owe cztery tysiące młodych niewolników.

– Wasza Królewska Mość, a jaki to pomysł? – zupełnie nie pytany odezwał się Kapa. Król tylko na niego zerknął tak, iż tamtemu dusza uleciała w pięty, lecz odpowiedział swemu magowi.

– Wydam edykt królewski o konfiskacie wszystkich niewolników, mężczyzn do trzydziestego roku życia, którzy przebywają w regionie Wendy. Edykt z realizacją natychmiastową. Karą za niepodporządkowanie się temu zarządzeniu będzie obcięcie lewej ręki i obu uszów. Myślę, że to podziała na mych poddanych, tych bardziej majątnych. Jako że pora była już prawie wieczorna, trudno było teraz królowi wzywać księcia Kanclerza lub któregoś z jego kancelistów.

– Jutro z rana niech do mnie przyjdzie Kanclerz, słyszysz, Obik?

– Według twego rozkazu, Wasza Królewska Mość. - zawołał wręcz Obik.

– I ty masz się też o tej porze stawić – król powiedział do Mistrza Kapy. A tamten tylko pokłonił się monarsze. Nagle król chwycił się za pierś. Po czym zaczął ciężko oddychać. Musiał przy tym chwycić się biurka, tak by nie upaść. Widząc to, Obik szybko zareagował. Wyciągnął skądś kryształową fiolkę i drewnianą łyżkę; podbiegł do króla i krzyknął:

– Lekarstwo, Wasza Królewska Mość!

– Dobrze, dobrze, daj prędko – król, krzywiąc się, mu odpowiedział.

Obik nalał sporą dawkę tego specyfiku na łyżkę i czym prędzej podał królowi. Ba! Wręcz nawet sam nalał zawartość łyżki prosto w usta króla. Król przełknął ten syrop. I jakby się uspokoił. Po kilkunastu, kilkudziesięciu sekundach na licu króla pojawił się ognisty rumieniec; król się wyprostował; odetchnął pełną piersią; chyba więc doszedł do siebie. Boleść minęła.

– Mistrzu Kapa – król się odezwał – powiedziałaś mi onegdaj, że dożyję szóstego dekambru, znaczyłoby to, iż ma przed sobą jeszcze ładnych kilka lat życia, czyż nie tak?

– Tak, Wasza Królewska Mość, tak mi powiedziały karty, a także twój, Panie, horoskop.

– A ja się tu boję, iż przez boleść mego serca nie dożyję nawet jutra, i co ty na to? - król mówił to tonem wręcz surowym, tak jakby się zawiódł na magu.

– Panie, twoje serce dojdzie do swej zwykłej sprawności. Horoskop mówi, Panie, że nie umrzesz z powodu serca.

– Ach tak, no, no, to dobrze – król się nieco uspokoił. - To znaczy mam to rozumieć tak, iż serce me wyzdrowieje?

– Tak, Wasza Królewska Mość. Wyzdrowiejesz, Panie. Horoskop mówi to wyraźnie. - Kapa wytarł jedwabną chustką pot, którym mu się czoło zroszyło, nie wiedzieć czemu właśnie teraz. Być może to jedynie sam Kapa wiedział, czy łągał teraz, czy mówił prawdę. Wszakże król odetchnął pełną piersią, widać było, że już się dobrze czuje.

– Pamiętaj więc Kapa o dniu jutrzejszym. Musimy szybko działać, bo te cztery tygodnie to całkiem mało, by zorganizować taką armię niewolników – król już był rozpromieniony, jakże energiczny, taki, jakim go zawsze poddani pamiętali. - A ty, Obik, daj jeszcze tego syropu – król zwrócił się do swego najbliższego sługi. Obik podał znowuż napełnioną drewnianą łyżkę, całkiem sporą, taką jaką stosuje się zwykle do jadła. Król pochłoniął drugą dawkę. - Obik, pędź do królowej i powiedz jej, że mam ochotę zobaczyć me dziecko, mego Orotoga. Pędź, pędź, czuję napływ sił. Z samego

rana w części zamieszkiwanej przez parę królewską panowała istna gorączka. Król obudził się już o szóstej i od tego też momentu, po tym jak Obik pomógł mu się ogolić i odświeżyć, popędzał swą najbliższą służbę i królewskich gwardian. Nikt jednakowoż nie umiał zrozumieć powodu tego nagłego przypływu sił witalnych Amargadeusza, tej nagłej aktywności, tym bardziej przecież, iż jeszcze kilka dni wstecz król nie opuszczał swego łóżka. Nie rozumiał tego i sam Obik, a nawet i sama królowa Sylanda. Król latał od komnaty do komnaty, od kołyski swego syna Orotoga do swej biblioteki. I tak w kółko. W końcu Obik odważył się, jako jedyny z całego królewskiego otoczenia spytać króla, co też się takiego stało. Gdy król prawie że przebiegał obok niego Obik się odezwał:

– Wasza Królewska Wysokość! Czy coś się stało? - Było to pytanie naiwne, ale bynajmniej nie na miejscu. Król w biegu krzyknął mu:

– Obik, odżyłem. Mój drogi, odżyłem.

– Jak to ? - Odpowiedzią na to była zdziwiona mina sługi.

– Cha! No tak. Powiem Ci jedynemu – król zatrzymał się, usiadł na ławie. – Mój ojciec, król Otelar, powiedział mi kiedyś. Dawno, dawno temu. Gdy ja byłem mały, że jeśli przeżyję sto lat od urodzin mego dziada Abudusa III, równo sto lat, to dożyję bardzo sędziwego wieku. A to proroctwo oznajmił memu ojcu jego mag. To był w samej rzeczy bardzo dobry mag. Lepszy nawet chyba od Kapy, a nawet od samego Uberyka, tego zatracęcy. Pytasz więc o powód mej zwawości. Oto bowiem wczoraj o północy, lub jak chcesz dzisiaj o północy, jakby nie liczyć, minęło równo sto lat od urodzin mego przezacnego dziada. Już bałem się, że z przyczyny mego zbolałego serca nie uda mi się ta sztuka. Lecz? O Chronoro! Bogini czasu. O Kerdolocie! Udało mi się. Naprawdę ta sztuka mi się udała. Tylko sza! Nikomu nawet słówka. Pamiętaj! Jesteś mi najbliższy, oprócz mej żony i mego dziecka, ale złożę Cię w ofierze, gdy mnie zdradzisz. Nie zawaham się. Pamiętaj. - Tego rzeczywiście mógł być pewny Obik. Wiedział, że Amargadeusz jest do tego zdolny. Do tego, by nawet przyjaciela poświęcić. - Powiedz mi, mój drogi, czy książę Kanclerz już przybył?

– Wasza Królewska Mość, z tego co mi wiadomo, Kanclerza jeszcze nie ma.

– A którą to mamy godzinę?

– Przed ósmą jest dopiero, Panie.

– Aha. No dobrze – król jakby się zastanawiał. - Wypada nam, iż będziemy czekać, a sprawa jest pilna.

– Może, Wasza Królewska Mość, przyjmiesz, Panie, Kanclerza po śniadaniu?- powiedział nieśmiało Obik. Wiedział on to zupełnie dobrze, że jak coś się dzieje nie pomyśli króla, to ktoś to może odczuć na własnej skórze. Nie chciał on być tym wybrańcem. Wybrańcem złego humoru samego Amargadeusza.

– Tak, masz rację. Ale skocz prędko do mistrza etykiety, i popędź Kowdlara, by był już, jak będę kończył śniadaniować.

– Idę, Panie – Obik popędził czym prędzej. Aż huknął drzwiami komnaty, gdy wychodził. Król na to jedynie się uśmiechnął. Jedynie to właśnie Obik w całym królestwie mógł sobie pozwolić na małe uchybienia w stosunku do swego pana. Ktoś inny dostałby za to z pięć batogów na goły tyłek.

Król przystanął przed swym biurkiem. Wczoraj to sam kancelista Plort przyniósł mu

księgę, a właściwie jej kopię, którą pozostawił po sobie Cygan Dziad.

O bycie kilka słów.

Taki to był jej tytuł. Taki skromny, a tak wiele mówiący. I taki mało konkretny, lecz dużo obiecujący. Król rozwinął nieco papiirusu. Widać było staranną pracę kopisty. Ale wszak nie dziwne to, skoro to pisał królewski kopista. Księga nie była obszerna, ale zapisana była maczkiem

... gdzie dwóch ludzi się spotyka, tam trzy poglądy rodzą się od razu

... -

Król czytał na chybi trafił.

... Człowiek jest takim stworzeniem, iż mądrość innego bierze sobie lekko i raczej będzie uważał siebie za tego, co wie lepiej. Taka już jest natura ludzka i tak to stworzyli bogowie. Jest to jednak także przyczyną tego, iż z pokolenia na pokolenie człowiek, jako gatunek, doskonalili swą naturę i jest coraz mądrzejszy. Dzieci z reguły są bystrzejsze od swych rodziców...

Królowi ten ustęp wydał się wielce ciekawy. Czytał z zainteresowaniem, potakując z aprobatą głową. I cóż ten Cygan Dziad miał z tą swoją mądrością? Pytał sam siebie władca Ulandii. Nie lepiej to być dobrym rymarzem, kowalem lub nawet płatnerzem?

Można w ten sposób przeżyć w spokoju te niebezpieczne czasy. Można założyć rodzinę i uczyć, jak żyć, tylko swoje dzieci. Uczyć je nawet o zagadkach bytu. Byle to robić po cichu i w zaciszu własnego domostwa. Król właśnie przewijał wersy księgi, gdy do komnaty wszedł Obik.

– Wasza Królewska Mość!

– Tak, mów, co załatwiłeś? - król spojrzał na sługę.

– Panie, księżę Kanclerz będzie zaraz po śniadaniu, czeka już nawet. Podobnie Mistrz Kapa.

– No dobrze. Tak też i chciałem – przyznał król, i odłożył księgę na półkę. – No to chodźmy na śniadanie. Co też ten kuchmistrz na dziś przyrządził?

– Wasza Wysokość, podobno przepiórki smażone z sosie belere.

– Ponieważ dobrze się spisałeś, będziesz jadł dziś ze mną – rzadko król dopuszczał, by ktoś z nim jadał posiłki. Jeśli już, to król jadał ze swą młodziutką małżonką lub był to któryś z wysokich notabli, czasami to Kowdlar jadał śniadania z królem, najczęściej był to jednak Obik. Dlatego nawet wysocy urzędnicy mieli za honor przyjaźnić się z tym sługą królewskim, choć był on z nadania tylko, wydawać by się mogło, zwykłym szlachcicem. Jak jednak plotkarze w królestwie snuli opowieści, miał ona już nadane przez króla liczne dobra w całym królestwie. Tajemnicą powszechną było to, iż po śmierci króla zostanie on także wyniesiony do

godności co najmniej barona i lennika królewskiego. Taka ma być zapisana wola króla w testamencie. - Widzisz tę księgę? Mam ją od wczoraj.

– Tak, Wasza Królewska Mość, widzę.

– Ponoć człowiek, który ją napisał, był najmądrzejszym na świecie. Dam ci ją do przestudiowania. Lecz to później, najpierw sam ją przeczytam. Potem podyskutujemy, tak, wiesz, przy goleniu. - Na te słowa Amargadeusza, Obik tylko się uśmiechnął. - Teraz powiedz mi tylko jedno, czy za mądrego możemy uważać tego, który dobrze radzi sobie w życiu, który ma nabrzmiały woreczek dinarów, czy za tego, co, choć chodzi w łachmanach, ma czelność pouczać innych? No, jestem ciekaw, co ty na to?

– Hm ... Wasza Królewska Mość, ja nieee ...wiem – Obik aż się zająkał.

– A widzisz. Ja też nie wiem. Wiem jedno, że najczęściej bywa tak, iż ta mądrość życiowa, zwana powszechnie zaradnością, rzadko idzie w parze z tą mądrością przez duże „M”. Znałem tego człowieka. Może i ty go znałeś, zwał się Cygan Dziad.

– Tak, tak, znałem go, Panie.

– Nawet było, że służył u mnie. Lecz ... hm ... strasznie mnie denerwował i nużył. Nie wiem, może te jego porady były nawet dobre, może cenne. Ale wolałem się nie denerwować i męczyć z nim, i z tą jego mądrością, więc odprawiłem go z dworu. Lecz słyszałem, że dobrze przysłużył się Presurtowi Olandowi, i pomnożył snadnie jego majątek. Więc może źle zrobiłem, iż go odprawiłem? Nie uważasz?

– Wasza Wysokość, trudno mi powiedzieć. Myślę, że i tak miałby ona mały wpływ na twoje, Panie, działania. Czy to w kraju lub nawet zewnętrzne. – Król słysząc to od Obika, aż chwycił się za brodę. Nie przypuszczał bowiem, iż Obik udzieli tego typu odpowiedzi.

– Obik! Nie poznaję cię. No, no. Ale masz rację, zupełną rację. Ty, ty filucie, mądralo – król aż pogroził swemu słudze palcem. - Ty mądralo. Ale to dobrze, cały czas bywa, że mnie zaskakujesz. Jak przeczytasz tę księgę, to będziemy dyskutować. I masz dyskutować na tym samym poziomie, jak

teraz. Ty filucie! - Król aż się uśmiechnął do siebie. Plort chodził od jednego szeregu do następnego. Młodzi mężczyźni. Ich jedyną wadą było jednak to, że byli to niewolnicy. Niewolnicy, czyli ludzie spoza praw, jakie panowały w Ulandii i innych krajach. De facto nie mieli prawa nawet do życia, ba! Nawet do godnego życia. Właściciel niewolnika mógł z nim zrobić praktycznie wszystko, nawet go pod byle pozorem zabić. Prawo w Ulandii było pod tym względem bardzo łagodne. Właścicielowi niewolnika za zabicie tegoż groziła jedynie grzywna w wysokości wartości, czyli ceny, za którą zakupił on go. To małe prawo zostało ustanowione tylko i wyłącznie dla zachowania pewnego pozorów, oraz dlatego, by panowie nie zabijali pod błahymi powodami swych niewolników.

Właściciele bowiem niewolników to byli z reguły majątni ludzie. A jak wiadomo najwięcej sknerów wywodzi się z klasy bogaczy. Sknera raczej dwa razy obejrzy obola, nim go potem wyda. I to jedynie ratowało niewolników. Ratowało ich zbyt przywiązanie swych panów do pieniędzy. W Ulandii, a także w innych krajach ówczesnego świata niewolników eksploatowano bardzo mocno. Ludzie ci z reguły wywodzili się z narodów podbijanych. Szybko dowiadawali się na własnej skórze, w jak okrutnych czasach przyszło im żyć.

Teraz zaś Plort, delegat kancelarii Kanclerza sprawdzał, jakiej kondycji byli ci, którzy edyktem królewskim skonfiskowani byli swym właścicielom, oczywiście, dla dobra królestwa. Oczywiście, ich panowie nie wiedzieli dlaczego. Ale czyż król kiedykolwiek musiał się tłumaczyć ze swego postępowania? Było to pytanie raczej retoryczne.

Ponad cztery tysiące młodych byczków. Cztery tysiące silnych mężczyzn. Jak zażartował sobie Mistrz Kapa przed królem, byli oni chyba potrzebni bogu Kobokowi, by przesunęli siłą swych mięśni Oforykę bliżej północnego łądu. Plort był tu z ramienia samego księcia Kanclerza. Miał dokonać inspekcji. Jego rola do tego się sprowadzała. To ludzie Wodza Ludzi Małych, Elubedy, mieli dopilnować, by niewolnicy, którzy tu teraz stali w szeregach przed Plortem, dotarli do portu Awefe.

Co dalej miało się z nimi stać? A, to według Kapy miała być już sprawa Koboka, lub raczej tych ludzi, którzy mu bezpośrednio służyli.

To zresztą nie była jakaś wielka odległość. Port Awefe był bliżej stolicy, niż dawny

Ulende. To była też jego przewaga nad dziś zamulonym i zbyt płytkim portem Ulende. W jeden dzień marszu niewolnicy powinni z powodzeniem dotrzeć do portu.

Ludzie Elubedy byli już przygotowani. Każdy trzymał w ręku batog. Przy boku zaś miał krótki kordzik. Bat był potrzebny dla utrzymania dyscypliny. Kordzik, to była rzecz ostateczna. Miał on w konsekwencji kończyć życie tych niewolników, którzy byliby nad wyraz krnąbrni, lub gdyby byli zbyt zmęczeni, stanowiliby bowiem wtedy jedynie balast i obciążenie dla pozostałych. Krótki ruch kordzikiem w samo serce dokończy wtedy dzieła. Ciało zostawi się na pastwę drapieżników lub padlinożerców.

Dlatego też niewolników było więcej niż owe magiczne cztery tysiące. Trzeba bowiem się liczyć z tym, że nie wszyscy dotrą do celu, czyli do portu Awefe. Ci młodzi mężczyźni, z wyroku losu niewolnicy, ani wiedzieli, co ich czeka. Nie powiedziano im tego. Król zadbał o to, by nie wiedzieli, iż w konsekwencji wielu z nich podąży na Pola Kerdolota. Jedynym pocieszeniem dla nich mogło by być tylko to, że tam, na Polach Kerdolota, nie ma już niewolników. Teoretycznie wszyscy tam sobie są równi. Notable zrównani będą przecież z niewolnikami, szlachcice z wieśniakami. Przynajmniej taka panuje opinia, którą stale podtrzymują ci, co mają pieczę nad ludźmi, tu na ziemi. Kapłani i magowie.

Ciekawe jednak, dlaczego kapłani pilnują tego, by ci, co są po śmierci grzebani z ziemi, mieli przy sobie liczne dobra, by móc tam potem przekupywać swoimi dobrami dewy i bogów, co pilnują porządku na Polach Kerdolota? Ciekawe też, dlaczego kapłani utrzymują, że dusza każdego człeka musi inkarnować się wiele razy? Może to w tym powinno się doszukiwać owej sprawiedliwości losu? Jeśli teraz jesteś bowiem niewolnikiem, to w przyszłym życiu będziesz miał dóbr bez liku. Jeśli w tym życiu pan twój zamęcza cię robotą ponad siły, pewnie w przyszłym życiu kapłanem będziesz, lub magiem, bądź filozofem, co to ręce ma delikatne i wypielegnowane, bo pracą fizyczną się nigdy nie zhańbił.

Plort chodził między szeregami. W końcu machnął do jednego ze

strażników.

– Naprzód – krzyknął. -A ty, setniku Bufe – zwrócił się do najważniejszego ze strażników- zameldujesz o całej operacji baronowi Elubedzie. Pamiętaj, jesteś za wszystko odpowiedzialny. W Awefe przejmie od ciebie tych niewolników niejaki Trzy. W ciągu tygodnia masz się zameldować u barona z listem od tego człeka. Znak charakterystyczny jego to czarne szaty. Po tym go rozpoznasz.

Ten, który zwał się Bufe, podniósł swą rękę z batogiem. I kolumnady ruszyły.

– Aha, jeszcze jedno – Plort krzyknął jeszcze w próżnię, a niby do Bufe – O nic się nie pytać ... - lecz jego głos głużył już odgłos tysięcy kroków. Przepadł on

w tym tumultcie, w tym hałasie. Na to dictum Plort tylko podrapał się po swych okazałych wąsach i machnął zrezygnowany ręką. Kolumnady niewolników z wolna oddalały się.

Karon, król Mohawy, siedział na wysokim tronie. I choć Mohawa była malutkim królestwem w Oforyce, to jednak majestat królewski był równy tym, jakie są w wielkich królestwach. Król trzymał dumnie w swych rękach złoty łuk, symbol władzy. Uberyk stał niezdecydowanie przed tronem. Było tam jeszcze kilku dworzan oraz mistrz protokołu. Karon odezwał się do Uberyka:-

– Regencie, znane mi jest to, iż bogowie odwrócili się od Ciebie. I z tego powodu wolałbym, byś opuścił me królestwo.

Pewne było to, iż sam Uberyk w końcu spodziewał się tego. Lecz ton głosu Karona był dla niego przykry. Czuł w nim jawną pogardę.

– Wasza Królewska Wysokość, zrobię to najpewniej. Miałem jednak pewne plany związane z tym miejscem. Chciałem ci, Panie, przekazać pewne środki. Ale, skoro jestem tu już nieproszonym gościem, to trudno.

Na tę uwagę Uberyka, Karona jakby poraziła jakaś myśl. Dziwny uśmieszek pojawił się na jego licu.

– Regencie, mam przez to rozumieć, iż chciałeś zasilić skarb Mohawy jakimś datkiem?

– Właśnie tak, Wasza Królewska Mość.

Karon skinął ręką na jednego z dworzan. Tamten podszedł. Król szepnął mu coś do ucha. A tamten wyciągnął w tym momencie z kieszeni jakąś tabliczkę glinianą.

– A o jakiej sumie mówimy, Regencie? – Karon znowu zwrócił się do Uberyka; dworzanin zostawił glinianą tabliczkę w rękach Karona i wyszedł z komnaty pośpiesznie.

Na to Uberyk głęboko się zamyślił. Zamilkł. Po tej dość znaczącej chwili milczenia rzekł:

– Chciałem, Panie, przekazać twemu skarbnikowi sto tysięcy złotych talentów.

Karon uśmiechnął się na to do maga.

– Regencie. Twój wyjazd nie musi być tak nagły. Mógłbyś tu zostać jeszcze jakiś czas. Jednak musiałbym mieć tę pewność, iż moje ziemie nie będą już miejscem, gdzie ty, Panie, będziesz wiązał koalicje przeciw Amargadeuszowi z innymi władcami. Czy spełnisz, Regencie, ten warunek?

Uberyk wiedział doskonale, iż na warunki Mohawy sto tysięcy talentów to była znaczna kwota. Zorientował się teraz, że Karonowi są potrzebne te pieniądze. Rzekł:-

– Wasza Królewska Wysokość, możesz mieć tę pewność. Jak wspomniałeś, bogowie nie są przychylni moim planom związanym z Ulandią. Ja to też doskonale zrozumiałem. Więc, Panie, mogę ci przysiąc, iż na razie odłożyłem swe zamiary związane z odsunięciem Amargadeusza od władzy. Oczywiście, nadal go uważam, i będę uważał stale, za uzurpatora i bękartą, który nie ma żadnych praw do tronu, ale, no cóż, wola bogów.

Podporządkuję się jej.

– No, raczej, Regencie, nie masz innego wyjścia – na tę uwagę Karona, Uberyk splonął, lecz nic nie rzekł. - Widzę jednak, że godzisz się, choć może bez radości, z tym wyrokiem niebios.

Tymczasem do komnaty wrócił ten sam dworzanin, który przedtem podał Karonowi glinianą tabliczkę z pismem klinowym. Niósł on teraz jakąś księgę. Uroczyście z pewnym namaszczeniem podał ją Karonowi.

– Widzisz, Regencie, tę księgę? - powiedział Karon.

– Tak, Wasza Królewska Wyskość.

– Jest to księga skarbcza królewskiego.

– Więc? - spytał niepewnie Uberyk.

– Więc, jeśli zapiszę tam po prawej stronie wpływu sto tysięcy złotych talentów, będziesz mógł pozostać w mych władaniach. Dowolnie długo.

Uberyk uśmiechnął się do siebie, lecz tak, by Karon nie mógł dostrzec tej chytrkości, która mu właśnie zamaćła umysł. Nie chciał, by jego emocje dotarły do monarchy, w tym celu zrobił gest ręką, a w rzeczywistości zakrył na chwilę swe oblicze. Już opanowany rzekł:

– Mój generał, Kalderonte, wpłaci twemu, Panie, skarbnikowi wymaganą kwotę.

– No, dobrze. A tak, przy okazji. Czy wiesz, Regencie, iż już za miesiąc zaczynają się Igrzyska Atletów w sąsiedniej Hefarze? Pewnie wybiorę się tam, dostałem właśnie zaproszenie od króla Hefary, Jugly.

– Tak, Wasza Królewska Mość, też ma to zaproszenie. Nie wiem jednak, czy pojedę, gdyż boję się skrytobójców Armagadeusza. Przy igrzyskach bowiem panuje taki ścisk. Tłok jest ogromny. Trudno się w takich warunkach ustrzec niebezpieczeństw.

Jugo, stary kundel, leżał znudzony na włosienicy. Ciepło było, a Irtyna zapomniała mu nalać dość wody do jego miski. Jugo królował tu, w tej

gospodarskiej części pałacu. To tu dumne indory płoszyły dziatwę z pobliskich domków służby pałacowej.

To tu kury i dostojne pawie wydziobywały robaki spod kamyków. To tu był ogródek, skąd kuchareczka Irtyna wygrzebywała nowalijki na stół państwa. Była to też, trzeba przyznać, najbrzydsza i najbrudniejsza część rezydencji pałacowej Poleda. Lecz o to właśnie chodziło. To była przecież najbardziej żywa część pałacu. To tu najwięcej się działo. Więc Jugo tak leżał. Leżał i śledził, co też to się dzieje w jego królestwie. Jak na przedpołudniowe godziny to było dość spokojnie, dość nudno. Jugo już był za stary na to, by ganiać za kurakami. I płoszyć indory, co to swymi czerwonymi koralami raziły go w oczy. Tak. On już był za stary na te młodzieńcze wybryki. Lecz onegdaj bywało, że i on był psotnym i nieposłusznym szczeniakiem. Lecz to było dawno. Dawno jak na wiek psa. Odkąd książę Kowdlar znalazł go przy gliniance takiego słabego i zupełnie bez sił, a potem go przygarnął, zaczęło się drugie życie dla starego Jugo. Stary kundel, gdy nie czuł obecności swego pana w rezydencji, popadał w rodzaj apatii, tracił ochotę do życia. I teraz tak też było. Odkąd ponad dwa tygodnie temu książę Kanclerz wyjechał do stolicy, Jugo pomarkotniał i tylko się wylegiwał w słońcu. On czekał i tęsknił. Czekał na powrót swego pana. Bywało też, iż czasami pan brał go ze sobą do stolicy. Nie wiedzieć dlaczego, ale sama księżna Teborna ledwo tolerowała to stare psisko. Woląла swe rasowe psy, które w komnatach pałacowych żyły. Może była zazdrosną o tę odrobinę uwagi, jaką poświęcał Jugo jego pan, książę Kanclerz, gdy tylko wracał od dworu królewskiego? A może bała się, że pies sprowadzi jakąś chorobę na Atagra? W każdym razie Jugo wolał zawsze schodzić pani z oczu. Nie było to zbyt trudne, bowiem księżna rzadko gościła w tej części Poledy. Nie pasowało to przecież do niej, by tak dostojna dama bawiła tam, gdzie inwentarz się chował. A i jej ulubieńcy o rasowych rodowodach tu nie gościli.

Więc Jugo mógł tu, w swym królestwie, w spokoju sprawować rządy. Może tylko jedynym jego rywalem był czarno-biały kot, Ujeh. Był on z kolei ulubieńcem kuchareczki Irtygi oraz jej nowego przyjaciela Temo. Ujeh zawsze dostawał od Irtygi co smakowitsze kąski, które zostały z pańskiego stołu, a które już ludzie, czyli najczęściej kucharze, nie mogli zjeść. Były to wszelakie chrząstki i kostki po bażantach i przepiórkach. A które to kuraki

uwielbiał spożywać obficie książę. I Juge takowoż dostawał z pańskiego stołu, ale o tym zwykł zawsze pamiętać to sam jego pan, książę Kanclerz. Ci dwaj, czyli Jugo i Ujeh, nie toczyli ze sobą jakiejś otwartej wojny. Pies już był za stary, by gonić kota po podwórzu, ale było że szczeknął na niego lub zęby wyszczerzył na jego widok. Kot rewanzował mu się tym, iż sypał z oczu iskrami i napręzał koci grzbiet, a łapą dawał znak, że ostre tam ma pazurki i może po pysku nimi przejechać.

W pewnym momencie to błogie lenistwo starego kundla przerwał dziwny incydent.

Oto nagle z wyjścia pałacowego dla służby, w tym rejonie gdzie kuchnia się znajdowała, wybiegła głośna i roześmiana Irtyga. Swój kok paniński miała rozwiana, jakiś jaskrawy rumieniec tańczył na jej licu. Koszulę miała zmierzwioną.

Wyleciała tak niczym z procy i pobiegła prosto w ogródek. Na chwilę po tym zapanowała przez chwilę znacząca cisza. Lecz oto w tych samych drzwiach ukazała się głowa Temo. Mężczyzna jakby zastanawiał się, czy wyjść z domostwa. I on miał dziwną minę. Włos rozczochrany, spodnie nie dopięte. Mocował się tak ze swymi myślami. Lecz oto, jak gdyby podjął decyzję. Skoczył między bramkę ogrodową, tam, gdzie liście sałaty i kalarepy rosły. Najwyraźniej za kuchareczką poszedł on w tany. Bo oto już po chwili z tego siedliska warzywnego, lecz tam skąd nie można było dojrzeć niczego, począł się dobywać gwałtowny jęk rozkoszy. Początkowo taki skryty, taki nieśmiały, lecz z czasem głos ten był wyrazisty, kobiecy, zmysłowy. I tylko pewnie zwierzęta mogły być świadkami tego nieobyczajnego zjawiska. Oto jęk był coraz mocniejszy, dołączył do niego jakby głos mężczyzny. I on nie umiał powstrzymać swej rozkoszy. Czy aby tylko zwierzęta były tego świadome? Nie.

Gdyby Jugo miał choć krztę ludzkiej świadomości, dojrzałby i zrozumiał, że ktoś stoi, stoi i słucha tego wszystkiego. To setnik Zapara, z pochmurną miną, stał oparty o studnię kuchenną. Musiał on słyszeć jęki kochanków. Musiał on pewnie z tamtej strony widzieć, jak zapamiętale pieścza się i miłują. Ze strasznie wykrzywioną miną. Pełną okrutnego wyrazu, zgarbiony, splunął on ze złością w kierunku kochanków. I krzyknął

coś w ich stronę. Lecz tamci złączeni węzłem ekstazy, ani zdawali sobie sprawy, że ich tajemnicę poznał ktoś obcy. Ktoś, kto będzie dla nich chyba już tylko wrogiem. Wrogiem na całe życie. Zapara odszedł aż cały zgarbiony, tak jakby ktoś mu zabrał coś cennego. Może nadzieję, może sens życia, a może wiarę w siebie.

Książę Kanclerz siedział w swej kancelarii i przeglądał najnowsze raporty i meldunki z całej Ulandii. Była to raczej procedura typowa. Najczęściej w środy posłańcy i kurierzy dostarczali listy od wasali z całej Ulandii. Pisma te trafiały na biurko

Kanclerza. Oczywiście, wprzód były one segregowane pod kątem ważności przez kancelistów. Ale te najważniejsze czytał osobiście Kowdlar.

Kowdlar z zupełnym znużeniem otwierał pieczęci. Czytał niemal mechanicznie treść listów. I najczęściej odkładał je na kupkę, którą później przyjdzie jeszcze raz przeglądać czy to Plortowi lub Dertowi, lub jeszcze innemu człowiekowi kancelarii Kanclerza. I to oni zwykli na koniec finalizować treść tych raportów i meldunków.

Taki był uzus, taka była praktyka. Jeden bowiem człowiek nie był w stanie kontrolować tego, co się w kraju dzieje. Wyglądało więc na to, że najwięcej do powiedzenia w Ulandii nie ma król osobiście ani Kanclerz, lecz jakiś kancelista, prosty człek, który najpewniej chciał przynajmniej za takiego uchodzić, choć w rzeczywistości jest arcyambitnym i wyrachowanym. To Plort i Dert rządzą tym krajem. I w rzeczy samej przy kielichu wina, w towarzystwie swego druha Elubedy, i sam Kowdlar łapał się na tych myślach, iż jest to prawda absolutna. Lecz bez tej kancelarii anarchia by zapanowała w całym królestwie. Wasale najpewniej szybko zorientowaliby się, iż władza centralna jest słaba. Co mogłoby w konsekwencji doprowadzić do secesji w kraju. A może co poniektórzy chcieliby sami zapanować nad Ulandią. Nie byłoby więc wtedy tylko jednego Uberyka, lecz takich wrogów króla przybyłoby wówczas snadnie.

Kowdlar więc nieśpiesznie przeglądał dokumenta. Rzucał niedbale wzrokiem to tu, to tam. Lecz po prawdzie znużony był okrutnie. W

pewnym jednak momencie wzrok jego przykuł dziwny szczegół. Oto jedno z tych pism dziwne było. Takie nieurzędowe. Jakby było to pismo prywatne, brakowało na nim państwowych pieczęci. Lecz jakim cudem trafiło ono na stół samego Kanclerza? Kowdlar wziął list bliżej oczu. Od pewnego czasu, chyba od ślęczenia nad papierzyskami tylko przy lampce oliwnej, wzrok mu się nieco stepił.

... Ergerze, musimy działać szybko. Właśnie teraz, gdy Kanclerz i sam Jego Królewska Mość świętują jeszcze upadek Uberyka. Przyjadę drugiego dnia miesiąca sowy...

... Po upadku Kowdlara, ty zajmiesz jego miejsce. Król nie pozna, że jego śmierć przez nas ukartowana została ...

– O, do diaska ! - Kowdlar powiedział do siebie – Co to, przewrót pałacowy? - mówił do siebie.

Równocześnie Kowdlar poczuł, że przeszyla go strzała strachu.

– Wyhodowałem na własnej piersi gadzinę, co to pożreć jest gotowa własnego ojca – mówił, i zaczął gorączkowo szukać w myśli wśród kancelistów imienia Erger. -Ach! Tak przecież wołają zaprzyjaźnieni do Plorta – westchnął Kowdlar począł szukać w tej stercie dokumentów, raportów i meldunków podobnego do tego listu. Najpewniej to sam Plort przez nieuwagę pomieszał własną korespondencję z dokumentami dla Kanclerza. Kowdlar systematycznie i uważnie przeglądał każdy dokument. Zajęło mu to chyba z kwadrans, lecz nic już nie znalazł.

Było tylko to jedno pismo do Plorta, a właściwie do Ergera.

Kowdlar schował list pod wierzchnie ubranie. Był mocno roztrzęsiony, lecz starł się nad sobą panować. Chwycił dzwoneczek i nim potrząsnął. Na znany odgłos dzwonka do komnaty wszedł służący.

– Czy jest dziś w kancelarii Plort?

– Jeszcze go nie ma, ale ma się dziś stawić, Ekscelencjo? - powiedział

służący.

Kowdlar zamyślił się; rzekł: -

– Jak się zjawi, dopilnuj, by się u mnie osobiście zameldował.

– Tak, Ekscelencjo.

– Wracaj do swych obowiązków – na te słowa Kowdlara, służący uklonił się i wyszedł. - Albo! -Kowdlar krzyknął za wychodzącym-
zaczekaj! - Tamten to dosłyszał i cofnął się do komnaty. - Za kwadrans niech tu do mnie przyjdzie królewski goniec, mam przesyłkę dla niego. A teraz możesz już wyjść.

Kowdlar znowu został sam w swej komnacie. Gorączkowo począł się zastanawiać, co tu zrobić. Doszedł w końcu do wniosku, iż musi się koniecznie w tej sprawie spotkać z Elubedą. Tylko od niego bowiem mógł się spodziewać jakiejś sensownej rady.

- Chcą mnie zniszczyć! -

Brzęczało mu w głowie. - Tylko Eluebed, tylko on mi może pomóc – myślał w gorączce.

Wziął gęsie pióru i papirus. Czym prędzej zaczął pisać list do przyjaciela.

... Elubedzie, odkryłem spisek przeciw mnie. I to, wyobraź sobie, w mej własnej kanclerskiej kancelarii. Plort ze współnikami chcą się mnie pozbyć po to, by zająć moje miejsce. Przechwyciłem ich korespondencję. Muszę się z tobą koniecznie spotkać i to jeszcze dziś. To sprawa gardłowa. Najlepiej zaraz, jak dostaniesz to pismo, przyjdź do mnie na Zamek Królewski, prosto do mej kancelarii. Czekam na Cię pełen obaw ...

Gdy skończył pisać, akurat, gdy stawiał swój podpis, do komnaty zapukano.

– Wejść – krzyknął Kowdlar.

– Panie, oto goniec królewski – ten sam służący uchylił drzwi, goniec to

był młody jeszcze chłopczyzna.

– Hop, zostaw nas samych – powiedział Kowldar do służącego; Hop wyszedł, zostali sami, on i młody goniec. - Oto masz pismo – powiedział Kanclerz – masz go przekazać osobiście do rąk Wodza Ludzi Małych, Elubedy. Pamiętaj, bez żadnych pośredników. Wiesz, gdzie teraz przebywa baron Elubed?

– Nie, Ekscelencjo.

– Powiem ci więc. Zastaniesz go z pewnością w swej nowej willi, w dzielnicy notabli, w Fyre. Zapamiętałeś?

– Tak, Ekscelencjo.

– To dobrze. Nie chcę żadnego poświadczenia. Tylko po prostu przyjdź tu do mnie i zamelduj, co uczyniłeś. Zrozumiano? - Kanclerz podniósł nieco ton głosu, tak by młodzian zrozumiał, że to nie zabawa.

– Zamelduję się, Wasza Miłość, jak rzekłeś.

– Za godzinę masz być z powrotem – Kowldar krzyknął jeszcze za wychodzącym z komnaty. Potem złapał się za głowę, jakby nie umiał uwierzyć w to, co się tu dzieje.

– Kapa, jest dobrze. Bóg Kobok jest zadowolony z ciebie. - mówił Czarny.

Czarny siedział rozparty na miejscu Kapy. Trzy, jak zwykle, stał przy wyjściu z grotty.

Czarny bawił się kośćcami, które znalazł na ławie. Były to runy, wryte w smoczych kościach. Gdy tu przyszli, jak to mieli zwyczaju nagle i przez zaskoczenie, Mistrz Kapa właśnie wykonywał rytuał dywinacji. Dostał zlecenie od księcia Bute, dotyczące wróżby dla syna księcia, dla Mulrty. Multry dostał misję od Amargadeusza do królestwa Engory, tajną misję. Jego ojciec obawiał się o jej przebieg i los swego jedynaka.

– Czy bóg Kobok życzy sobie jeszcze coś? - spytał Kapa.

– No pewnie, he, he, he- zaśmiali się oboje, i Czarny, i Trzy. - Pewnie, pewnie. Nie martw się magu o to. Już tam Kobok upomni się o to, co jego.

– Król Amargadeusz uczyni wszystko, co będzie w jego mocy – mówił Kapa.

Równocześnie dorzucił nieco drew do kominka, bo zimno się zrobiło. Oto pełnia jesieni już była. A w grocie maga, był jedynie mały kominek.

Czarny podrzucił kilka run do góry. Upadły z charakterystycznym brzękiem, głosem, który wydają jedynie kości smoków.

– Za tydzień oczekuj nas znowu, wtedy będziemy mieć nowe zadanie dla twego króla, nie, Trzy, dobrze mówię, co?

– Tak, tak, Abel, ty zawsze mówisz prawdę – powiedział Trzy, i oto Kapa mógł się przekonać, iż ów zagadkowy Czarny nosił miano Abel.

– Kapa, przyszło mi to teraz do głowy. Czy ty mi możesz powróżyc przyszłość? Nie, Trzy? Warto by coś wiedzieć. Przecież my dwaj, ja i Trzy, też jesteśmy zwykłymi ludźmi.

– Hm ... No teoretycznie mógłbym Wam, Panie, postawić wróżbę.

– Z tych tu kości ?– Abel pokazał kości, którymi się bawił.

– No tak, w samej rzeczy – odpowiedział Kapa.

– No to dawaj – krzyknął Abel. - Powróż mnie i Trzy.

Mistrz Kapa podszedł do ławy i wziął w garść runy, którymi przed chwilą Abel się bawił.

– Pozwolisz, Panie – Kapa niby odsunął nieco mężczyznę od ławy.

– Dobrze, dobrze – powiedział Abel, który wstał i podszedł do Trzy. Razem tak stali i patrzeli, co też mag wymyśli.

A Kapa wziął wszystkie runy i wsadził do lnianego woreczka. Następnie usiadł na ławie. Ujął woreczek tak, iż zwisał on nad jego głową. Mistrz Kapa począł odprawiać jakieś modły. Przynajmniej tak musiało się zdawać tym

dwóm, co stali z rozdziawionymi ustami i obserwowali.

Po tej chwili namysłu i modlitwy, Kapa włożył do woreczka lewą rękę i wyciągnął kilka run, wyrzucił je na blat drewnianego stołu. Tam gdzie stała kryształowa kula i preparaty ziołowe, a także tajna księga zaklęć, z której Kapa często korzystał.

Rozległ się cichy brzęk, odgłos spadających na drewno kostek.

I co zobaczył Kapa? Mistrz Kapa poczuł lekki skurcz w żołądku. Oto runy wyraźnie mówiły mu, iż Ten, któremu mag sprawiał wróżbę, czyli Abel, wkrótce najpewniej zginie śmiercią bolesną i tragiczną. I nie ma na to żadnego ratunku. Kapa rzekł : -

– Panie, widzę, że wkrótce zapadniesz na łagodną chorobę, nie obawiaj się jednak, poznasz inną stronę duchowego życia. Wszystko, co nas spotyka, na dobre w konsekwencji musi się przemienić.

– Aha, aha. Mówisz, magu, że wszystko ze mną będzie dobrze ?– Abel, co rzadko u niego widział Kapa, uśmiechnął się.

– Nowy świat przed tobą, Panie. Widzę przy tobie tony światła i kontemplacji. - mówił Kapa. Nie chciał przy tym patrzeć człowiekowi w oczy, ale miną udawał pewnego swego.

– A teraz mi, magu, postaw wróżbę. - powiedział Trzy do Kapy.

Kapa zebrał runy i znów wsadził do woreczka. Następnie przeprowadził ponownie całą procedurę wróżenia. Lecz teraz, gdy trzymał runy nad głową, poczuł, iż jakieś fluidy przepłynęły przez jego kręgosłup. Wyrzucił runy na stół.

I znów poczuł skurcz żołądka. Oto widać było, iż karmany tych dwóch są splecione jakiś dziwnym układem. Najwyraźniej runy mówiły, iż Trzy zamorduje wkrótce tego, którego nazywał swym szefem, czyli Abła. Cały mord dokona się najpóźniej do końca tego miesiąca. Za wszystkim tym kryje

się żądza władzy. Co ciekawe, Kapa wyraźnie widział, iż Abel zupełnie nie spodziewa się zagrożenia z tej strony. Widział także, iż Trzy z premedytacją sprawia wrażenie nieco ciężej myślącego, tak by uspić zupełnie czujność Abła.

– No ty, Panie, najpewniej udasz się wkrótce na wakację – powiedział powoli Mistrz Kapa.

– A to ciekawe, bo nie wybieram się nań. - Trzy był nieco zaskoczony.

– Panie, tak mówią mi runy, lecz masz rację o tyle, iż nie wszystko, co runy pokazują, można właściwie odczytać. I nawet ja, a także inni magowie, nie widzimy wszystkiego w runach.

– Trzy, ty wierzysz w takie rzeczy? - Abel spytał się swego człowieka.

– Szefie, kto wie? Wyobrażasz sobie jednak, szefie, co by powiedział ten mag – mówili tak jakby tu w ogóle poza nimi nikogo nie było, nie było Kapy – gdyby zobaczył jakie my mamy możliwości. To dla niego byłaby prawdziwa magia.

– Ty, magu. Czy ty umiesz czytać w myślach?- spytał Abel.

– Nie, Panie, lecz mogę w przybliżeniu określić kto co pragnie.

– Za pomocą tych kostek? - Abel był szczerze zdziwiony.

– No tak, ale nie tylko, mam też inne możliwości.

– A my możemy wiedzieć...

– Pst... - Abel jakby chciał powstrzymać Trzy.

– Dobrze, szefie, dobrze, on się i tak nie zorientuję o czym mówię.

– No, kochany, za dwa tygodnie dostaniesz ty i twój król następne instrukcje – mówił Abel.

Mistrz Kapa dziwnie się uśmiechnął, lecz skinął głową na znak, iż rozumie. Pomyślał jednak sobie - No tak, bracie, my to się już chyba nie zobaczymy, no chyba że na Polach Kerdolota.

Elubed chodził po komnacie, nerwowo jednak kiwał głową. Kowdlar siedział na swym siedzisku i patrzył, co mu druh doradzi.

– Trzeba działać szybko – powiedział Elubed.

– To znaczy?

– Mam pewną myśl.

– No mów- ponaglił go Kowdlar.

– Możemy to tak zaaranżować, iż moi ludzie zlikwidują tego całego Plorta. Szybko i po cichu.

– Tak. Hm ... Czy to nie nazbyt ryzykowne? Jak się wyda to będzie kłopot. Plort to człowiek wolny, podobno zubożała szlachta. Jak nic skończy się sprawą u Presurta – mówił wolno Kowdlar.

– Coś ty, moi ludzie zrobią to tak, iż będzie to wyglądało na wypadek. Znajdą jego trupa w Letudze, albo coś w tym stylu – Elubed aż cały zapalił się do tego pomysłu.

– A co z jego współnikami? Oni też są przecież dla nas niebezpieczni.

– Nim Plorta wykończymy, poddamy go delikatnemu przesłuchaniu. Z podkreśleniem: delikatnemu.

– Nie rozumiem – stwierdził Kowdlar.

– No, druhu, takiemu, co to nie zostawia śladu na ciele.

– Aha. Ale jak to widzisz?

– Można go z lekka podtopić. To by było nawet zgodne z tym, że go znajdą potem gdzieś na zakolu Letugi. Będzie wyglądało, że utopił się będąc na rauszu. Wpadł ze skarpy i się utopił. Wprzód jednak, nie bój się, wyśpiewa wszystko. Przecież to nie wojownik, długo nie wytrzyma tortur.

– No tak, masz rację – zgodził się Kowdlar.

Elube stanął na środku komnaty.

– Mam takiego człowieka. To setnik Bufe, zrobi to szybko i dokładnie. Nikt się nie zorientuje.

– To pewny człek?

– Tak. Dużo mi zawdzięcza. Mówi, że mu uratowałem życie na Polu Czarnego Tura. Ja sam już nie pamiętam, jak to było, bo w amoku wówczas byłem. Ale pono, jak mi mówił, pięciu Trautońskich wojowników go otoczyło, i niby jam go wtedy uratował. Choć nic, po prawdzie, nie pamiętam z tego.

– To normalne. Walka wzmaga krew i inne humory. I ja tak często miałem – powiedział Kowdlar.

Nalał sobie wody z karafki do czary.

– Napijesz się wody, może wina? - powiedział do Elubedy.

– Nie, dziękuję. Teraz wolę jak mnie podnieca moja żonka niżli napitek.

– Cha! To ci dobre. Z czasem Ci to przejdzie, albo przynajmniej popadniesz w rutynę.

– Nigdy, bracie, nigdy. Ale wracając do sprawy. Jeszcze dziś omówię wszystko z Bufe. Najpóźniej bowiem do jutra sprawę trzeba zakończyć. Nie można im dać nawet dzień, bo to może przeciw nam się obrócić. Oni też mają, mogę Cię zapewnić, te same możliwości, co my, więc mogą, jeśli się zorientują, żeś wykrył spisek, przeciw tobie godzić. Też mogą wynająć skrytobójcę,

– No tak. Masz absolutną rację. Więc działaj, Elubedo. Koszta pokryję ja osobiście.

– Nie martw się kosztami, to nie będzie duży wydatek. Jak Ci mówiłem, Bufo mi życie zawdzięcza. Ale z tysiąc dinarów najmniej trzeba będzie wysupłać. Bo to

jednak sprawa gardłowa. Bufe będzie ryzykował swoim honorem...

– I swoim życiem – Kowdlar wszedł w słowo swemu druhowi.

Presurt Oland od jakiegoś czasu nie czuł się dobrze. Choć w Pustyni Róży czekała nań zawsze z tą samą miłością Juta, choć był personą wielce poważaną w całej Ulandii, czegoś mu jednak brakowało. Może tej wyjątkowości, jaką go los onegdaj obdarzył jako Strażnika Miłości. Swą misję wykonał w pełni, i wtedy coś się skończyło. Od tamtego czasu, od czasu ślubu z Jutą tak jakby staczał się stale po równi. Pomału, z oporami, ale jednak staczał się. Często przesiadywać zaczął nocami, i zamieniło się to w rytuał, ze szklanicą pełnego trunku. Alkohol pozwalał zapomnieć. I choć nikt, kto nie znał go dobrze, nie mógł się zorientować, iż ma słabość do trunków. I król nie wiedział, nie wiedział też nikt z Rady Kanclerskiej, to jednak najbliżsi wiedzieli. Wyczuwali to intuicyjnie. Jego Matka, Utena, się tym zamartwiała. Najgorzej jednak miała Juta. Obwiniła się tym, iż nie urodziła swemu Olandowi ni syna, ni córki. Przynajmniej tak myślała. Nie wiedziała jednak o tym, iż prawdziwa przyczyna jest znacznie głębsza. Oto Presurt Oland stracił radość życia.

Gdy miał misję, życie miało głębszy sens. Teraz jednak rutyna dnia szarego przygasiła ten blask, który Oland nosił dawniej w sercu. Nie mógł się skarżyć losowi, fortunie, iż ta ominęła go, miał przecież prawie wszystko, co mógł mieć człowiek. I pozycję, i majątek, i udany związek. Nie było wielu w kraju, co to mogli się w tym względzie z nim równać. Jednak widać to więc doskonale po nim, że człowiekowi może być ciężko nawet wtedy, gdy pozornie nie może być na to żadnego powodu. Oto człowiek, zagadka natury. Nie dojdiesz, dlaczego on cierpi.

A może wiele prawdy w tym zdaniu, iż bohaterowie umierają młodo, bowiem, jeśli nie, życie się z nimi brutalnie potem rozprawia. Łysieją, dorabiają się brzuchów, tępieją im zmysły, ich życie staje się takie miałkie i normalne, a nie o to oni przecież walczyli. I tak też było w rzeczy samej z Olandem. Był już w trzecim dekambrnie; jako człowiek i mężczyzna nie był już tak uroczy i atrakcyjny jak kruczo-czarnowłosa młodzian. Zauważył u siebie pewne defekty, o których nawet kiedyś nie myślał. To były prozaiczne rzeczy. Już nie chodził za potrzebą co dzień, regularnie.

Czasami po przespanej nocy miał trudności z załatwianiem. Chociaż

jako mężczyzna sprawdzał się dobrze. Jego Juta nie mogła mu nic w tym względzie zarzucić, ale widział to on sam po sobie, że to już nie to, co bywało dawniej. Po niektórych potrawach dostawał dziwnej zgagi. Juta mu w końcu poradziła, by poszedł z tym do królewskiego medyka, do Lopeoda. A tamten mu rzekł, iż ma się inaczej odżywiać, że ma częściej chodzić pieszo, niżli być noszonym lektyką, żeby się w końcu też wybrał z innymi na łowy, ma dzikiego zwierza, a nie tylko przesiadywał przy kominku. Taka to też rada była. Nie trzeba przecież być medykiem, by to wiedzieć. I on sam o tym wiedział. Pobolewać go też zaczęła prawa strona ciała, szczególnie ucisk czuł w prawym boku pod żebrami. Rano ten ból był nawet dotkliwy. Juta kładła mu wówczas swe ręce na tych bolących miejscach. I o dziwo, często mu natenczas ta boleść mijała. Oland żartował, iż jak królowi się pogorszy, to on weźmie ją do komnat królewskich, by ta nakładaniem rąk pomogła. Gdzie się podziała ta jego potężna aura, która kiedyś wyprzedzała go o kilka staj, która sprawiała, że ludzie przy nim dochodzili do zdrowia i dobrze się czuli. Teraz siły tej aury brakowało już choćby tylko na to, by on sam był bez boleści. To przecież ta aura sprawiła, iż Uberyk, więziony do kata, uzdrowił się tam w tym więziennym powozie. To ta aura chroniła króla i sprawiała, iż wszelkie złe elementale i myślökszały tegoż samego Uberyka nie dochodziły monarchy. Lecz to już była przeszłość. Gdy wypełniła się karma Strażnika Miłości, Oland stał się zwykłym śmiertelnikiem. I choć los wyniósł go wysoko na urządzie, stał się tylko jednym z tysięcy zwykłych Ulandczyków. I to teraz on raczej wymagał opieki i starania. Lecz czasy, w których żył były bezlitosne, jesteś słaby, więc giń. A może zawsze tak było i będzie po wieki? Jesteś słaby, więc giń. Takie to jedyne jest prawo natury.

Teraz nastał czas niejakiej posuchy na urządzie. Oland jeszcze miał w uszach jak wył na szafocie bandyta Kurowyr, które to stracenie było jeszcze tak niedawno na ustach Ulandczyków. Banda Kurowyra narobiła swego czasu wiele zamieszania. Ludzie obawiali się samopas wypuszczać się poza Wendę. Każdy mógł zostać złupiony, ba, część nawet straciła rzecz najcenniejszą, własne życie. Ludzie więc powinni nie żałować tej bandy. Lecz, rzecz niebywała, stracenie odbywało się w zupełnej ciszy, jedynie krzyki i jęki traconych ją burzyły. Kurowyr, gdy miecz katowski miał go godzić, przeklął króla i jego dziedziców. W tej to chwili z nieba poczęła się

łać wielka ulewa, jak gdyby bogowie zegnali swego pupila. Ludzie zebrani na Solnym Targu zlekli się. Niektórzy, choć były to tylko pojedyncze głosy, żądali, by zaniechać egzekucji. Lecz na nic się to zdało. Już po chwili głowa Kurowyra odbijała się po kamiennym bruku, ruda broda jego broczyła we krwi. A jego ciało osunęło się życia pozbawione. Oland tam był, to on pilnował, by wszystko się odbyło zgodnie z procedurą. Lecz teraz już ta gwałtowna i okrutna śmierć bandy złoczyńców nie zrobiła na nim ni żadnego odruchu żalu lub współczucia. A to był przecież ten sam człowiek, który zemdlął onegdaj w Fluksji, gdy to przed nim zarzynano człowieka. Lecz może to już był jednak nie ten sam człowiek. Bo teraz jęki Kurowyra nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. A było nawet tak, iż jedną kobietę tam tracono. To była kochanka Kurowyra. Kobieta, która uczestniczyła często w łupieży i nieprawościach. I śmierć tej białogłowy nie zrobiła na Presurcie ni odruchu litości.

Więc oto miał trochę swobody w działaniu. I nawet król nie wzywał go do siebie. Z tego powodu zaplanował, że jutro skoro świt ruszy do Pustyni Róży, do swego lenna.

Już tam pewno Juta za nim wypatruje oczy. Tęskni i rozmyśla o swym wybrańcu.

Zostanie tu na miejscu jedynie Elusterek. Już sprawdził się w tej roli kuratora dóbr, co w stolicy miał Oland. Do rodzinnej Kulanki Presurt miał zamiar zawitać wiosną przyszłego roku. Razem ze swą małżonką. Lecz teraz ojciec pono słabuje. Tak mu donosi matka, Utena. Coś Dyso usiadło, jak zły urok, na piersiach. Z trudnością łapie oddech, a nocami nie śpi. Do tego doszła ostatnio gorączka. Przyjdzie więc chyba zmienić swe plany Olandowi. Matka w swym liście pisze między wierszami, że to już chyba przyszła pora na Dyso. Taki to los, że teraz, gdy taki autorytet zyskali rodzice w całych Kulankach, boleść ciała przyszła na nich. Bo ta boleść ojca uderza pośrednio i w matkę. Więc matka teraz jedynie prosi wyższe siły, dewy, opiekunów ich rodu, modli się do nich, by ci pomogli i odwrócili tę niedolę.

Plort miał dzisiaj dobry humor. Zostawił za sobą przyjaciół. Oni jeszcze

zabawiali się w karczmie. Plort jednak uznał, że to dość na dzisiaj. Wypił przecież chyba prawie baryłkę rumu. Do tego kwartę wina i coś jeszcze. Coś, co dziwnie pachniało pigwą, ale było bardzo dobre i słodkie. Szedł teraz na ugiętych nogach; kołysał się z boku na bok. Czasami mu się wydało, że wyrżnie czołem o bruk stołecznego traktu. Szedł więc tak nieśpiesznie. Nie śpieszyło mu się, bowiem był samotnym starym kawalerem. Wszyscy się wokoło dziwili, że się jeszcze nie ożenił, choć przeżywał już końcówkę trzeciego dekambra. Gdyby oni wiedzieli? Ale co? On po prostu wolał chłopców. Kobiety i wszystko co niewieście przyprawiało go o lekki niesmak i mdłości. Cieszył się w duchu, że nie musiał często przebywać w damskim towarzystwie. Nie było kobiet ni w kanclerskiej kancelarii, ni w jego kręgu znajomych. Gdy towarzysze wybierali się do sprzedajnych dziewczek, on kierował swe kroki do swej samotni, do swego domu. Cieszyło go to nawet, że ma wielu przyjaciół. I choć z nimi nie obcował fizycznie, radował się ich towarzystwem. Jak na razie nikt się chyba nie zorientował, iż Plort w tym względzie jest inny.

Szedł więc tak powłócząc nogami. Przechodził właśnie przez malutką bramę, gdy oto ujrzał, że kilku mężczyzn idzie z przeciwnego kierunku. Pomyślał, że to chyba muszą być wojskowi, bo mieli taki równy krok, a sylwetki wielkich i silnych wojowników.

Zakryci oni byli jednak szatami po czubki nosów. I oto, gdy mijać już ich miał, jeden z tych mężczyzn wyskoczył nagle i wyciągnął spod szaty krótki mieczyk. Plort był na tyle na rauszu, iż nie skojarzył, co się dzieje. I w rzeczy samej, już mu to nie było dane. Mężczyzna ten, ów który tak niespodziewanie dobył miecza, ugodził Plorta prosto w trzewia. Przeciągnął potem miecz aż do jego twarzy.

Trysnęła fontanna krwi. Plort usunął się powoli na ziemię. Nie dosłyszał już jak mężczyźni ci poczęli się kłócić między sobą.

– Miałeś go, idioto, pojmać tylko, on miał nam wyśpiewać swoich współników?

– Jak to? - spytał się ten co raził Plorta mieczem.

– No i jak to teraz będzie wyglądało? Miało wyglądać na utopienie się

pijaka w Letudze. - mówił ten pierwszy.

– Więc co teraz, Bufe?

– No nic, zakopimy go gdzieś w lasku. A może to nawet lepiej, nikt go nie

No nic, zakopimy go gdzieś w lasku. A może to nawet lepiej, nikt go nie znajdzie. Pomyśla, że zdradził króla i uciekł za granicę – mówił ten, którego nazwano Bufe. - Tylko jak ja to wytłumaczę baronowi? No nic, wy dwaj, bierzcie go do worka. Trzeba jedynie zmyć tę kałużę krwi, ale tym to ja osobiście się już zajmę. Wy zakopcie go na skraju lasku. Nawet mi nie mówcie gdzie. Nie chcę wiedzieć. Im mniej się wie, tym się jest bezpieczniejszym. Co, nie, chłopaki?

– Tak, Bufe. Masz najzupełniej rację – odezwał się trzeci mężczyzna.

– No to do roboty – krzyknął Bufe. A potem dodał już ciszej, już chyba tylko do siebie – O bogowie, jak ja się wytłumaczę przed baronem, że nie wiemy nic o współnikach Plorta z kancelarii?

Król Amargadeusz niedbale dziobał łyżeczką w sam środek słodkiego placka. Książę Kanclerz starał się zainteresować króla, tym co mu prawił. Lecz król jakby był gdzieś indziej duchem. Niby jadła, niby słuchał swego Kanclerza, ale był nieobecny tu duchem. To Obik był bardziej zainteresowany wywodami Kanclerza.

– Wasza Królewska Mość, oto człowiek z mej kancelarii, Plort, zdradził, Panie, Ciebie, mnie i naszą ojczyznę.

– Tak, no to go pod sąd podajcie, Presurtowi Olandowi na przesłuchanie – powoli wydukał Amargadeusz.

– Ale Plort gdzieś znikł. Nie przychodzi do kancelarii już od trzech dni. Prawdopodobnie zbiegł za granicę. Podejrzewam, że szpiegował Trautonom. Ale jest pewne ale...

– No, no, mów, Kowdlar, mów – król jakby się ożywił.

– On mógł mieć więcej współników. - rzekł Kowdlar.

– Więc, w czym problem?

– Potrzebuję, Wasza Królewska Mość, twej, Panie, zgody.

– Na co? - Król jeszcze raz dziobnął srebrną łyżką w jagodowy placek.

– Panie, na śledz...two. - Kowdlar z pewnym zająknięciem powiedział te słowa.

– Masz mą zgodę, Kanclerzu. Wprawdzie powinien się tym zająć Oland, ale tobie to oddaję. Trzeba szybko ustalić i odkryć wszelkich szpiegów obcych krajów. Szczególnie, iż to dotyczy kancelarii Kanclerskiej.

– Ale będę musiał użyć siły. Tak, by wyciągnąć całą prawdę od opornych.- Kowdlar jakby dostał dodatkowej energii.

– Jeśli trzeba, no to mus. Musimy zlikwidować wrogów naszego państwa – król z pewnym wahaniem nałożył sobie kawałek placeka na łyżkę i ostrożnie przełknął ten rarytas. Zdziwił się, chyba było to zdziwienie pozytywne. Tak jakby kilka sekund delectował się żując go. Nawet zamknął na chwilę oczy.

– Ale mogą być, Panie, jakieś skargi. Bo część z tych podejrzanych, wszak mamy już kilku wytypowanych, są szlachcicami z urodzenia, prawda że zubożałymi, ale jednak szlachcicami.

– Zrób to, Kowdlar, sprawnie i szybko. Musi u nas panować ład. Szpiedzy to są szpiedzy, ich miejsce to pętla na maszcie. Nie ma litości dla zdrajców. Nawet, gdybyś i ty zdradził, czekałaby Cię pętla. Więc nie miej skrupułów, zniszcz ich wszystkich. Masz moją zgodę, nawet, gdyby to dotyczyło szlachciców. – Tu król odwrócił się do Obika i rzekł mu – Obik, niech podadzą mi jeszcze jeden taki placek. Wyśmienity jest – król powiedział jeszcze. A Obik w te pędy ruszył do kuchni królewskiej. A że była ona piętro poniżej, chwilę go nie było w komnacie. Pewnie to król wysłał go tam, by zostać samemu ze swym Kanclerzem. Król jadł placek; po chwili ciszy rzekł. - Czy szpiedzy mogą być i też w moim otoczeniu?

– Wasza Królewska Mość, nie jest to wykluczone, ale jak na razie nie mogę tego stwierdzić z pewnością.

– A Obik? Czy Obik jest czysty? - król powiedział to z wielkim bólem, tak jakby bał się odpowiedzi.

– Tak, Panie, Obik jest na pewno lojalny. Na pewno.

– O! To dobrze. Kamień z serca. - król Amargadeusz się rozpogodził.

Kancelista Dert szybko pakował do lnianego wora najpotrzebniejsze rzeczy. Rajtuzy wełniane, swetry i koszule lniane. Wszystko to pakował w pośpiechu. Nie miał wiele czasu, a dobrze wiedział, że może się spodziewać najgorszego. Plorta nie było w kancelarii cztery dni. To nie mógł być dobry sygnał. Więcej, to był wyraźny sygnał dla Derta, iż trzeba wiać z tego kraju. Na szczęście zebrał już takie dobra i w Ulandii a także w innych krajach, iż mógł się w tym względzie czuć bezpiecznie. Śmierć głodowa mu na pewno nie groziła. Gołe portki nie zostaną mu na starość już pewnie.

Dert czuł, iż to sprawka Kanclerza. Najpewniej ktoś zdradził, i wyjawiał mu, iż chcą się z nim rozprawić. Pewnie już po Plorcie. Na Polach Kerdolota to on już zaiste jest.

Gdy pakował wełniane skarpety, usłyszał gwałtowny stukot do drzwi wejściowych.

Raz. Potem drugi. Dert miał w swym lokum tajne wyjście. Więc nie namyślając się dwa razy, chwycił lniany wór do rąk. Był on zaprawdę ciężki. I w te pędy ruszył tym wyjściem. Wąski korytarz prowadził na tyły domostwa. Dert już prawie gratulował sobie podstępu, lecz, gdy wychodził, wyrosły przed nim dwie postacie męskie.

Zagrodzili mu drogę.

– Czy, Pan, jesteś Dert? - usłyszał

– Ja? A nie – powiedział zuchwale . Lecz od razu usłyszał od drugiego.

– To on, To na pewno on. Poznaje - Ci dwaj chwycili go za ramię. -
Pójdiesz z nami – ten drugi powiedział do Derta.

– Dlaczego? - Wydukał jeszcze Dert. Lecz już był w żelaznym uścisku.

– Z rozkazu króla – usłyszał.

Kotary w kancelarii Kowdlara były do połowy zaciągnięte. Siedzieli więc niemal w półmroku, choć pora była jeszcze dość wczesna. Rozmawiali z przejęciem, choć dobrze to było widać, iż sam Kowdlar był pewny siebie, może aż nadto. Elubed tylko mu potakiwał, z rzadka podnosił coś od siebie.

– Mówię ci, oni zgromadzili ogromne fortuny. Nie wiem jakim cudem. Byli tak bezczelni, iż handlowali koncesjami w sposób niemal dowolny. Choć formalnie to ja, lub nawet król, mogliśmy tylko tymi licencjami dysponować. - mówił Kowdlar.

– No więc, co z tego? - powiedział naiwnie Elubed.

– Nie rozumiesz? Te majątki teraz skonfiskujemy. Taka jest normalna procedura przy zdradzie suwerena.

– Czy król wie już o tym? - tym razem Elubed już zadał pytanie sensowne.

– Jeszcze nie. Nie do końca. Wie tylko, iż ich straciliśmy ze względu na zdradę, ale o ich bajecznych majątkach powiem mu dopiero przy najbliższej okazji.

–To znaczy jeszcze dziś?

– No tak, w samej rzeczy. Z tym że jest pewna kwestia.

– .Jaka? - Elubed przechylił się do Kowdlara.

– Część z tych majątków możemy to my przejąć. - Dla zwiększenia efektu Kowdlar zawiesił głos.

– Jak to?

– Połowę z ich ogromnej fortuny podzielimy między sobą i do tego włączymy w to Olanda, Adlara i Luruka. My przejmujemy większość z połowy, połowa całości pójdzie do skarbcza królewskiego, a resztę podzielimy sprawiedliwie między wspomnianych.

–Kowdlarze, czy chcesz tak ryzykować? Chyba Cię zaślepiło. A jak król się dowie?

–Dlatego włączyłem w to Presurta, elektana, i Wodza Ludzi Wielkich. - powiedział Kowdlar. - Jak oni coś dostaną, to my dwaj będziemy zupełnie bezpieczni. Choć przecież weźmiemy znacznie więcej. Ponadto Plort ze swymi kompanami tak umieścili swe majątki, iż są one praktycznie przezroczyście z punktu oglądu rządzących, to znaczy króla i Rady Kanclerskiej. Dlatego w ogóle możemy w ten sposób postąpić. Nic nam nie grozi. W ostateczności możemy stwierdzić, iż te majątki przejęliśmy legalnie.

– Nie wiem, Kowdlarze, czy będziesz tego tak pewny, gdy kat zacznie Ci przypalać podeszwy rozpalonym żelazem?

– Coś ty, do tego nigdy nie dojdzie. Przecież i my sami, gdybyśmy nie zlikwidowali Plorta i Derta, nigdy byśmy tego nie odkryli. To Dert wszystko na torturach wyśpiewał. Nieprawdaż, druhu?

Nastąpiła chwila ciszy. Elubed począł się mocno zastanawiać. Widać było, że wszystko waży na swojej szali sumienia. W końcu rzekł to, na co czekał Kowdlar.

– No dobrze. Może tak być, ale dla większego bezpieczeństwa musimy Olandowi i Adlarowi oraz Lurukowi dać nieco więcej, niż ty to sugerujesz.

–Tak ... to jest rozsądne. - przytaknął Kowdlar. - Możemy im dać w sumie jedną trzecią tego, co my sami weźmiemy. Zgadzasz się na to?

– Tak, to ich zwiąże z nami. Nasze ryzyko, będzie ich ryzykiem. – powiedział powoli i z namysłem Elubed.

Kowdlar wstał, ruszył do kufra, co pod oknem się znajdował. Otworzył kłódkę, na którą ów był zamknięty, i wyciągnął coś.

– Oto, patrz, Elubedo, widziałeś coś takiego?

Kowdlar pokazał to swemu druhowi. Czy to był obraz namalowany, czy wyryty tego Elubed nie mógł określić. To było zbyt idealnie zrobione. Postacie na tym niby obrazie były tak odtworzone, jakby stały tu przed nim na oczach jego. Jedynie format

były taki mały, niby połowa urzędowego pisma, meldunku.

– A cóż to jest takie? Czy jest w naszym kraju taki artysta, który by umiał dokonać czegoś takiego?

– No właśnie, przyjacielu, ja i sam też nie wiem. - powiedział Kowdlar.
– Mój człowiek znalazł to w domu Mistrza Kapy.

– Twój szpieg?

– No tak by go można nazwać. Ale w słusznej sprawie, bo służy dla mnie. Jak dla mnie, to i dla naszego kraju.

– Daj mi to do ręki – Elubed również powstał, i wziął ten przedziwny obraz z rąk Kowdlara. - Ale to nie jest malowane farbami – stwierdził. - To tak, jakby to w środku tego pergaminu było.

–Widzisz, pytałem już nadwornego malarza króla, Yusta. I choć on już starszy wiekiem, powiedział mi, że czegoś takiego jeszcze na oczy nie widział, choć o malarstwie wie on wszystko.

– To co to może być? - Elubed w końcu postawił to pytanie, na które najpewniej czekał sam Kowdlar.

– Powiem Ci, mój drogi, powiem Ci, jakie ja mam podejrzenia – Kowdlar znowu usiadł na swym siedzisku. Zawiesił na chwilę głos, po czym rzekł. - Oto wiesz, iż to sam bóg Kobok rozprawił się z Tukmakami, co to na

naszej granicy obozowali i czekali tylko na sygnał, by wszcząć wojnę.

– No wiem, z tego powodu i ja, i ty jeszcze żyjemy.

– Otóż, to , ten obrazek, jest chyba dziełem boga Koboka – Kowdlar zrobił przy tym znaczącą minę.

– Nie mów? - Elubeda wręcz zatkało.

– Żaden człowiek czegoś takiego nie mógł wykonać – mówił Kowdlar z tą samą miną na licu. -Stąd wniosek, iż to jedynie bogowie byliby w stanie. Czy ta dziwna pomoc Koboka i zagłada Tukmaków nad rzeką Lopy i na równinie Jed nie jest zagadką? Czy owe cztery tysiące niewolników, co to rozplynęli się w porcie Awefe nie jest zagadką? Sam przyznaj.

– Chcesz mi przez to powiedzieć, iż nasz władca, król Amargadeusz ma jakieś tajne kontakty z bogami? - Elubed aż cały pokraśniał z wrażenia. - O których ani ty nie wiesz, ani ja, ani nawet Rada Kanclerska.

– Tak, ale jest jeden człowiek, który wie.

– Kto to? - krzyknął Elubed.

– To Mistrz Kapa. W samej rzeczy, on chyba wie wszystko.

Usłyszał lekkie skrobanie o drzwi groty. Czekał na nich. Już mieli być dzisiaj po szóstej, teraz była dziewiąta, ciemno na dworze było, a Kapa cały czas siedział w swej grocie i czekał. I chyba się w końcu doczekał. Ktoś wszedł do groty, to były dwie osoby, ale jakieś dziwne dreszcze Kapa odczuł. O nie, nie było to tak jak zwykle, coś mu tu nie grało.

–Czekałeś, Kapa, to dobrze – usłyszał głos, ale tym razem był to głos Trzy, a nie znajomy głos Abela.

Kapa odwrócił się do nich, bo było ich dwóch. Z tym że nie był to jak zwykle Abel i

Trzy, lecz teraz Trzy towarzyszył inny człowiek. Również tradycyjnie ubrany na czarno; był niski, krępy, z wyraźną łysiną.

–A gdzie ten, którego ty, Panie, zwałeś Ablem? - odezwał się Kapa.

– Zachorował. Teraz będę przychodził z kimś innym – powiedział hardo Trzy. – I od dziś to przeze mnie będziesz się Kapa ty, i twój władca, kontaktować z bogiem Kobokiem.

– Dobrze, dobrze, Panie, mi to żadna różnica. Niech tak będzie. - W duchu jednak Mistrz Kapa pomyślał sobie, że wtedy, gdy byli tu ostatnim razem, to jeszcze Abel z Trzy, runy jednak nie kłamały. Kapa był pewny, prawie pewny, że Abła już nie ma pośród żywych. Ale co go to w końcu obchodziło. Przecież Abel był bardzo arogancki w stosunku do niego. Mała więc była strata.

– Jest pewien kłopot z tymi nieszczęsnymi niewolnikami – powiedział Trzy.

– Z tymi czterema tysiącami?

– Właśnie. - przytaknął tamten.

– Więc? - Mistrz Kapa zawiesił głos.

– Więc, no więc, zginęli wszyscy.

– Jak to? Całe cztery tysiące ?!– mag był szczerze zdziwiony, ba! Niemile zaskoczony.

– Niech królowi Amargadeuszowi wystarczy ta informacja na razie, iż wypełnili oni ważną misję, pierwej nim zginęli. - mówił Trzy, tępo patrząc w podłogę groty.

Lecz Trzy szybko się opanował. Wskazał temu drugiemu, by tamten pilnował wyjścia, a sam przybliżył się do Kapy.

– No, magu. Boisz się? Co nie? - zadał zaskakujące pytanie.

– Ja...a – Kapa się zająknął.

– Nie bój się, jesteś dla nas ważny. Nam nie zależy na tym, by wielu wiedziało o naszym układzie. Więcej, nam właściwie zależy, by jak najmniej

ludzi wiedziało o nim. Rozumiesz? Dlatego jesteś dla nas cenny. Nie bój się.

Ponadto, ja nie jestem takim pyszałkiem jak Abel, ze mną się lepiej negocjuje, przekonasz się o tym i to wkrótce. Powiem Ci, że Abel to był w ogólności cham i butny człek. Nawet wobec mnie był zawsze opryskliwy. Nie wiem, co Ci tam te twoje runy pokazały, ale Abel nie pojawi się tu już, to jest pewne.

– Zachorował na poważną chorobę? - to było raczej stwierdzenie, niżli pytanie.

– Tak, magu, na chorobę, i to raczej z tych śmiertelnych chorób – powiedział Trzy. - Nie dziw się. My, ludzie Koboka, jesteśmy też tylko ludźmi. Z wszystkimi tego faktu konsekwencjami.

Trzy uśmiechnął się przy tym sarkastycznie. Widać było, że ubawiło go to, co sam powiedział. Zrobił gest ręki do tego drugiego, jakby przywoływał go do siebie. I rzeczywiście tamten podszedł do niego. Coś tam między sobą zaczęli szeptać. W końcu Trzy rzekł:

– Kobok wyraża życzenie, by król Amargadeusz wycofał ludzi z kopalni soli w Puku, na północy Ulandii, i przekazał całą tę kopalnię nam do dyspozycji.

– Hm ... Dobrze, Panie, powiem to królowi, ale jak mam to umotywować?

Kopalnia soli w Puku należy do najlepszych i najcenniejszych naszych kopalni.

– Po prostu powiedz, iż to jest życzenie boga Koboka – powtórzył Trzy.

– Ale to jest bardzo stara i bogata kopalnia. Jest głęboka i ma jeszcze nie wyczerpane złoża. Powiedz mi, Panie, jakie są motywy, jak mam to przekazać królowi?

– Trzeci raz nie będę powtarzał. Masz przekazać królowi żądania boga.
- Trzy się zdenerwował. Widać było, że z emocji aż cały poczerwieniał na

licu.

– Dobrze, Panie, dobrze. Jestem tylko łącznikiem między wami. Powiem tylko, że będzie to króla dużo kosztowało. Ale co mi tam ... - Kapa podrapał się po brodzie.

Wypili dziś już morze cierpkiego piwa. Zdążyli już poruszyć tysiące tematów.

Tematów związanych głównie z życiem tu, w Poledzie, ale także niemal z całym światem, bo oboje oni zwiedzili niemal cały świat. Temo jako pirat miał wiele w tej kwestii do powiedzenia, a i setnik Zapara nie odstawał zbytnio w tej dziedzinie od swego dzisiejszego towarzysza popijawy. Szczególnie jednak Temo umiał barwnie opisywać te wszystkie przygody, w których jako pirat, jako pomagier pirackiego kapitana, Molewera, uczestniczył. A dzisiaj oboje skończyli, można tak obcesowo powiedzieć, jako zwykli wieśniacy, bo czymże inny, jak nie wieśniakami, byli tu w posiadłości księcia Kanclerza na peryferiach ziem królestwa. Tak więc skończyli.

Lecz była to raczej korzystna okoliczność. Oj napatrzyli się oni w swych żywotach na krew, pot i rany, i to nie tylko te fizyczne. Ilu oni sami posłali na Pola Kerdolota?

Pewnie było tego trochę. Ale takie to czasy. Czasy walk, wojen, podbojów. Czasy, w których mało ważyło ludzkie życie. A ból i cierpienie było chlebem powszednim prostych ludzi. Bo choć obaj byli tak obcy ze światem, byli to po prawdzie, i Temo i Zapara, prostacy, którzy nie umieli czytać i pisać, i których majątek zmieściłby się w jednym tobołku.

– No i co, Temo, jak ci się tu podoba w Poledzie? - Zapara w pewnym momencie odezwał się do swego kompana.

– A tobie? Bo mnie się tu podoba.

– Masz zamiar ustatkować się na stare lata? - Zapara był tajemniczy.

– A nie wiem, może. - Temo uśmiechnął się beztrosko do Zapary.

– A może żenić się będziesz ?- Co ten Zapara chciał dziś od Temo. – Masz kogoś? Powiedz mi, Temo.

– Może? - Było widać, iż Temo, choć pijany, jeszcze umiał się kontrolować.

Najwidoczniej nie chciał się zdradzić, co planuje na przyszłość. - A ty masz kogoś? Dłużej tu jesteś ode mnie.

– Miałem – powiedział smutno Zapara. - Nic to wypijmy jeszcze – nalał z antałku piwa do kufła Temo. A tamten zupełnie ufny począł spijać ów nektar.

Zapara coś dziwnie patrzył na swego kompana. I tylko obyte oko mogło to dostrzec, iż miarkuje on to, co sam pije, jakby się oszczędzał w tym względzie i symulował.

– Wiesz, Zapara, ja chyba kogoś mam – powiedział tajemniczo Temo.

– Z Poledy to czy z wioski? - spytał setnik.

– Nie chce jeszcze o tym prawić głośno, ale z wioski to ona ci nie jest.

– Aha – Zapara smutno pokiwał głową. - setnik dolał po tym Temo w jego kufel piwa. Lecz jakby chmura ponurych myśli zalała mu lico. Nawet się z tym zbytnio nie krył. Pewnie uważał, iż Temo jest już na tyle pijany, iż nie dojrzy tego i nie skojarzy. Lecz w pewnym momencie Temo się dziwnie odezwał.

– Co ty, Zapara, tak udajesz, że pijesz? Mnie nie zwiedzisz. Chcesz mnie poprzepytać? Chcesz się czegoś dowiedzieć, co ja wiem, a ty nie? Jestem za stary pirat, by nie wiedzieć, gdy ktoś się z piciem miarkuje.- Zapara na tę gadkę Temo aż cały spąsował. Opanował się jednak szybko i odparował.

– A nie. Ja piję jak i ty. Chyba źle widzisz. Tylko, że ja mogę chyba więcej wypić niżli ty, stąd myślisz, że jestem mało pijany, a to tylko pozory.

– Tak? A może masz rację. Jedna taka, bo pytałeś o ożenek, siedzi mi stale w głowie. Płacze mi się więc wszystko. Dzisiaj też do niej pójde. O rozkoszy ...

Zapara aż kaszlnął, słysząc tę przechwałkę Temo. Coś tam pod stołem zaczął manipulować, ale po chwili znów wrócił do picia.

– Ja też miałem taką jedną, ale wybrała innego – powiedział gorzko Zapara.

– Z wioski, czy z Poledy? - Temo chciał wiedzieć.

– Hm... Zostawmy to, to już sprawa skończona.

– No właśnie, kamracie, chyba mogę do Ciebie tak mówić? - Temo się nieco zmieszał.

– Mów, mów.

– Ano, skoro wybrała innego, to niech ona żałuje. Znam Cię już od kilku miesięcy, i powiem Ci, że nie jesteś złym człkiem.

– Ha, ha, ha, zdziwiłbyś się, ale dobrze że tak myślisz. To mi ułatwi sprawę ...

– Jaką sprawę – Temo się zmieszał.

– A nic, nic. Pijmy piwo póki jeszcze nie ma mroku. Jutro znowu będę z paniczem ćwiczył fechtunek. Biedny chłopak, nie ma praktycznie dzieciństwa.

Ale , pst ... Nic nie mówiłem, żeby się tylko nie dowiedzieli nasi mocodawcy.

– Myślisz o Kanclerzu i jego małżonce ?

– Tak, Temo, mam nadzieję, że umiesz zachować tajemnicę.

– Nie martw się, też tak uważam. Widzę przecież, że chłopaka męczą ponad miarę. Jak będzie miał żyć, to będzie żyć, choćby był nawet w chmurze strzał i bełtów. A jak będzie mu pisana śmierć, to go nawet gwardianie nie ochronią.

– Masz rację, w samej rzeczy dobrze prawisz. Co Chronora, bogini czasu, zdecyduje, tak też i się stanie.

– Ale księżę Kanclerz inaczej uważa.

– Jego sprawa, a ja mam przez to łatwiejsze, spokojniejsze życie i godziwy zarobek – powiedział Zapara.

– Pijmy więc spokojnie swoje piwo. Choć podłe ono i gorzkie, swoją moc jednak ma.

– Lepszego piwa w tej okolicy nie uświadczysz – Zapara znów dolał z antałka piwa do kufli. - Mówisz, drogi Temo, że cię czeka dziś rozkosz w ramionach niewieścich...? - W tym to momencie Zapara wstał nagle, wyrzucił w górę blat stołu, tak iż kufle, co na nim stały, runęły prosto na podłogę.

Temo był zaskoczony, ale chyba tylko pierwszą reakcją Zapary. A stary setnik z legionu Tygrysy wyciągnął skądś krótki mieczyk i z krzykiem chciał razić, wydawać by się mogło bezbronno Tamo.

– Masz ty, śmierzdielu, będziesz się dzisiaj kochał ze śmiercią, ty parszywcze. I już miał razić Temo, lecz oto dziw się stał. Bowiem i Temo miał przygotowany miecz pod tuniką. Tak jakby spodziewał się ataku. Odparował cios i ryknął:

– Wiedziałem, gnojku, Irtyna mi mówiła, że paliłeś do niej cholewki. Tylko do kobiet trzeba mieć odpowiednie podejście. Wiedziałem, jak na mnie patrzysz, niby wilk na owieczkę. Lecz nie ze mną taka gra. Spodziewałem się tego, a jak widziałem, że markujesz picie, to miałem pewność, że coś dzisiaj szykujesz. Lecz ja mogę dużo, naprawdę dużo wypić. U Molewera sławny byłem z tego.

Zaczęli walczyć na miecze. Zaczęli miotać się po tym małym pokoiku

Zapary, obijać się o ściany. Lecz walka była najważniejsza. Zapara chciał przeszyć byłego pirata prosto w serce, lecz i tamten znalazł się na fechtunku, i on był na niejednej wojence. Na każdy cios, Temo odpowiadał kontrą, za każdą gardą kryła się odpowiedź. Trafił więc równy na równego. Co po pewnej chwili musiał przyznać w duchu i sam Zapara. Gdy w końcu po kilkunastu minutach walka się jeszcze nie rozstrzygnęła, Zapara pierwszy się zaczął męczyć. Wyraźnie zwolnił swoje ruchy mieczem, może to wiek sprawił, bo Temo był od niego wyraźnie młodszym. Choć setnik robił wolniejsze cięcia, ale były one teraz precyzyjniejsze. Temo z trudem uchodził z linii ciosów, a sam nie umiał dosięgnąć mieczem wroga. Zaczęli się więc męczyć. Lecz Zapara był mocniej skonany. Wypity trunek też zaczął dawać o sobie znać. Pomimo tego, że Zapara markował picie, jednak i tak swoje wypił. Temo bardziej pijany, zaczął się

Zapara markował picie, jednak i tak swoje wypił. Temo bardziej pijany, zaczął się wyraźnie chwiać na nogach. W pewnym momencie Zapara jakby zrezygnował, rzekł :

– Masz szczęście, podły kmiotku, nie mam już sił na ciebie.

I już prawie odstąpił od walki. Temo, widząc to, przystanął. I wtedy zrobił błąd.

Wielki błąd. Odwrócił wzrok w stronę drzwi, lekceważąc mimowolnie tym samym swego przeciwnika. Wówczas to Zapara ostatkiem swych sił pchnął gwałtownie miecz, rażąc tym samym pirata prosto w prawy bok. Rana była okrutna. Temo miecz, rażąc tym samym pirata prosto w prawy bok. Rana była okrutna. Temo jeszcze, konając na podłodze, zdołał wyszeptać:

– Irtyna i tak nigdy nie będzie twoja – zgasły jego oczy, dusza opuściła ciało, i poszła tam, gdzie przodkowie już byli, na wielkie Pola Kerdolota.

– Kopalnia soli w Puku? Hm ... Po co im to? Przecież nie dla soli. Choć jest to towar cenny i chodliwy, to jednak podejrzewam, iż nie dla soli oni tę

kopalnię potrzebują -król Amargadeusz, frasobliwy, powiedział to do Kapy.

– Wydaje mi się, iż wiem dlaczego? - Mistrz Kapa zrobił się ożywiony.

Rozmawiali w gabinecie królewskim. Tam, gdzie król dopuszczał tylko ludzi sprawdzonych, gdzie omawiać zwykły ważne, acz poufne, sprawy państwowe.

– No mów, mów – król ponaglił maga.

– Wydaje się, Miłościwy Panie, że oni chyba chcą tam coś ukryć. Tylko pojęcia nie mam co i dlaczego.

– Ciekawe – przyznał monarcha. - Ciekawe. Może pociągnij za język tych ludzi, co do ciebie przychodzą od Koboka.

– Panie, obawiam się, że to będzie daremne. W naszych rozmowach, to znaczący moich z nimi, to oni dyktują zwykle warunki, ja nie mam nic do powiedzenia.

– Ukryć? - król powiedział do siebie. - Bardzo możliwe. Jest to przecież stara, eksploatowana od lat, głęboka kopalnia. Może chodzi o ten aspekt, iż jest głęboka, co, magu?

– Właśnie, Wasza Królewska Mość, i mnie się zdaje, iż to jest jej najważniejszy atut tej kopalni, przynajmniej dla tych od Koboka. Spróbuję jakoś się dowiedzieć, może oni zdradzą się przede mną. Może coś powiedzą. Ja znam się na ludziach, umiem czytać w emocjach, między wierszami. Spróbuję, Wasza Królewska Mość.

– No, liczę na ciebie, magu. Jeśli się sprawdzisz, zostaniesz sownie nagrodzony.

Na te ostatnie słowa króla, Mistrz Kapa aż poczerwieniał na karku. W samej lecz rzeczy, sam był także ciekaw, po co Kobokowi ta kopalnia soli. Też i dla siebie poszukiwał odpowiedzi na to pytanie.

– Powracając do Koboka, czy ty, Mistrzu, mówiłeś komuś o tym moim sojuszu z bogiem Kobokiem? - król zmienił temat rozmowy.

– Nie, Miłościwy Panie, nie śmiałem.

– I bardzo dobrze. Ja cię już chyba ostrzegałem, że masz nic nie mówić. Nawet Kanclerzowi, nawet członkom Rady Kanclerskiej.

– Rozumiem, Miłościwy Panie – Kapa aż pokłonił się królowi.

– Nie mogę sobie na to pozwolić, by ktoś pomyślał, iż ja, jako monarcha, jestem związany jakimiś szemranymi i tajemniczymi sojuszami. Sojuszami, które ograniczają mnie jako suwerena. Bo, przyznasz, ten sojusz z Kobokiem jest co najmniej dziwny.

Król wstał z fotela, i już chciał iść w stronę drewnianego pudła, co w rogu komnaty stał, lecz oto jakby się zawahał, może osłab. Chwycił się tylko za pierś, z trudnością zachował równowagę. Kapa, widząc to, wręcz podbiegł do króla, by służyć ramieniem.

– Wasza Królewska Mość, może pomóc? - Kapa wydukał.

– A, to nic – król zdołał już dojść do równowagi. - Wiesz, jeszcze mi się od czasu do czasu kręci w głowie. Siądź na swym miejscu – król niemal rozkazał magowi.

Sam zaś w końcu podszedł do pudła. Otworzył wieko. W środku miał jakieś dokumenty.

– Widzisz to ?– król pokazał magowi jakiś dokument.

– Tak, Wasza Królewska Mość.

– Oto jest jeszcze pusta karta. Jest to nominacja na rektora Szkolnicy, ufundowanej przez Presurta Olanda i nieżyjącego już Cygana Dziada. Kapitulę tej szkolnicy ja przewodniczę, i to ja wybiorę rektora. Jeśli się sprawdzisz jako negocjator z ludźmi Koboka, to oddam tę funkcję tobie, na razie jestem z ciebie głęboko kontent. A muszę ci powiedzieć, iż nie jest to tylko tytuł grzecznościowy, bowiem Presurt przydzielił ze swoich finansów dość dużą kwotę na funkcjonowanie tej szkolnicy, a i ze skarbca królewskiego i ja będęłożył odpowiednie środki. Na razie dokument jest jeszcze niezapełniony. Więc staraj się.

– Miłościwy Panie, pozwól że zapytam, czy ta szkolnica już istnieje? Bo nie słyszałem o takowej.

– Hm... Masz rację, jeszcze nie istnieje. Budowa jej zacznie się na dniach. Dlatego też jeszcze nie ma ona rektora, ale ma już Kapitułę. Jeszcze też nie ma ona pełnej nazwy. Ale wszystko się wkrótce wyjaśni.

– Miłościwy Panie, to piękna idea krzewić naukę. Będę więc zaszczycony, gdy będę ewentualnie jej rekerem.

– Muszę ci powiedzieć, Mistrzu Kapa, że będzie w niej wykładana także alchemia i astrologia, również geometria i nauki medyków. - król niemal się takie miejsce w moim królestwie, gdzie będzie krzewiona wiedza. I co ważne, będą się mogły na niej kształcić nawet ci, co pochodzą z nizin. Jedynie dla niewolników będzie tam droga zamknięta.

No, ale cóż, niewolnikom nie jest to zgoła potrzebne. - Tu Amargadeusz się głęboko zamyślił. - Choć pamiętam, że mój ojciec, król Otelar, miał na służbie jednego mądrego niewolnika, co to mu pisał przemowy, ale wyjątek ten potwierdza jednak ogólne prawo.

Księżna Teborna patrzyła nieco zdziwiona na rozplakaną Irtynę. A tamta, szlochając, wręcz klęczała u jej boku. Dzisiaj to już był bez mała tydzień, odkąd zniknął bez pożegnania, nawet bez usprawiedliwienia się przed swymi mocodawcami- w tym przypadku przed księżną Teborną, bo Kowdlar był w stolicy- Temo, który pełnił w Poledzie funkcję drugiego kucharza. Nie było go w Poledzie, jego skromny pokoik był w takim stanie, jakby Temo wyszedł na chwilę i miał zaraz wrócić. Lecz nie było go już tydzień. Wszyscy się dziwili. Setnik Zapara twierdzi, że ostatni raz widział Temo w zeszłą sobotę, gdy to razem wypili kilka kufli piwa. Gazo, służący, twierdził, iż Temo mówił mu niedawno, iż nudzi się tu okrutnie w Poledzie, bo jako dawny pirat i najemnik przywykły był do bardziej napiętego żywota. A tu, w Poledzie, może jedynie łowić ryby i gotować egzotyczne potrawy, których nauczył się przygotowywać na służbie u Molewera. Dlatego Gazo nie był zbytnio zdziwiony zniknięciem tego pirata na odpoczynku. Najbardziej jednak zniknięcie Temo przeżywała Irtyna, pomocnica przy

kuchni, która twierdzi, iż to jest niemożliwe, by

Temo zostawił Poledę, a przede wszystkim by zostawił ją, czyli Irtynę, samą. Mieli się bowiem zamiar pobrać, i to jej już Temo przyrzekł. Myśleli oni razem dalej służyć w Poledzie Kanclerzowi, lecz już jako mąż i żona. Irtyna pokazała nawet księżnej piękny zielony kamień, który dostała od Temo, jako przymierze ich wzajemnej miłości. Księżna ze zdumieniem stwierdziła, iż jest to bardzo duży okaz czystego szmaragdu, kamienia o dużej wartości. Wprawdzie Kowdlar mówił jej, iż Temo ma pewne dobra, lecz takiego bogactwa księżna nie spodziewała się u zwykłego kucharza. Irtyna utrzymywała, że podobnych kamieni Temo pokazywał jej kilka, i mówił, że ma takich jeszcze trochę. I to krwiście czerwone, a także podobne zielone, a i niebieskich nie ma. Księżna nawet sobie pomyślała, iż dla takich kosztowności niejedyn był mógł zabić lub je mu zrabować.

Ale, najpewniej było tak, jak twierdził Gazo, po prostu Temo znudziło się takie szare życie, może przestraszył się tego, iż Irtyna już planuje ich wspólny los, być może jemu chodziło tylko o to, by ją zdobyć, tak jak zdobywał dziesiątki innych kobiet po całym świecie. A potem dał nogę. Nie ma czego żałować. Księżna nawet chciała pocieszyć Irtynę, iż niech się tylko cieszy, iż Temo zostawił jej na pamiątkę kamień, za który może ona sobie kupić dom, inwentarz i sad, a nie niechcianego dzieciaka, którego by musiała niańczyć przez łzy i cierpienie całe młode życie. A ile wzgardy by wówczas doznała od ludzi. Tylko jak to powiedzieć zakochanej kobiecie? Dlatego, milcząc, księżna podtrzymywała tylko klęczącą Irtynę. Głaskała ją po głowie, i sama tłumila rodzący się w jej piersi szloch. Ale to w końcu nie ją porzucił kochanek.

Księżna więc pocieszała kuchareczkę. Bywa więc tak czasami, że to sami arystokraci służą swym ludziom pociechą i dobrym słowem. Bowiem, gdy ludzie żyją lata między sobą, rodzą się między nimi braterskie uczucia, pomimo tego nawet, że jedni są panami a drudzy jedynie ich służbą.

– Łaskawa Pani, i co teraz będzie? - płakała Irtyna. - Może trzeba by

zorganizować jakieś poszukiwania? Oj ja czuję – łała rzewne łzy. - Ja czuję, że on gdzieś zginął. Ktoś go musiał zamordować. On tak chciał być ze mną. - Dalej łkała. - Chciał mieć w końcu rodzinę, prawdziwą rodzinę.

Dalej łkała. - Chciał mieć w końcu rodzinę, prawdziwą rodzinę.

– Nie zamartwiaj się tak. Może gdzieś pojechał, i jeszcze wróci. Poczekajmy jeszcze ze dwa dni – mówiła księżna. - Gdy do wtorku nie da znaku życia, to wtedy spróbujemy go szukać.

– Tak, Pani, tak. Trzeba go szukać, trzeba – Irtyna mówiła to przez łzy. – Może go ktoś więzi? Ileż to w ludziach złości, ile zawiści. Ktoś mu źle życzył. Ktoś postanowił zabić naszą miłość. I, Pani, w rzeczy samej to mu się udało. – Irtyna zanosła się w szloch, niemal upadła na podłogę.

Księżna Teborna była bezradna na ten lament służki. To już była trzecia lniana chusta, która mokra była od łez Irtyny.

– Uspokój się, idź do siebie. Połóż się i już nie rozmyślaj na ten temat. To ci pomoże. - księżna powiedziała do swej służki.

– Ja chyba, Pani, zwariuję, jak będę sama. - Irtyna powstała z klęczek. - Pani, pójdę do swej zwykłej pracy. Może robota odpędzi złe myśli.

pójdę do swej zwykłej pracy. Może robota odpędzi złe myśli.

– Dobrze, lecz pierwszej zjedz w końcu coś lekkiego. Może jajka przepiórcze? Od kilku dni przecież nie przełknęłaś ni kęsa chleba.

– Pani, ja nie mogę nic jeść. Zaraz wymiotuję.

–A może ty faktycznie... - księżna się zawahała. - Czy... czy miałaś w terminie miesiączkę? - Księżna jakby pojęła coś. Zrobiła aż kwaśny grymas twarzy.

– Ja ? - Irtyna się zawahała.

– No ty, ty. Miałaś, czy nie? - księżna się zdenerwowała.

– No chyba miałam, tak – Irtyna rzekła pewnie. - Tak, Łaskawa Pani,

miałam na pewno.

– No. To dobrze. Tego by jeszcze brakowało. Idź teraz do siebie, ochłoń trochę, potem, jeśli ci to ma przynieść ulgę, idź do swych zwykłych zajęć. Lecz jeśli uważasz, że nie podołasz, to połóż się i spróbuj się przespać. Bo pewno i nie spałaś dobrze przez ostatnie kilka dni. I nie rozczulaj się tak nad sobą. Nie jest ci przecież tu u nas tak źle. Niejeden by zamienił swój los z twoim. Pamiętaj o tym. - Księżna zrobiła gest, niby odprawiała Irtynę od siebie. A tamta ze spuszczoną głową powoli ruszyła w końcu do siebie. Na pożegnanie skłoniła się jeszcze swej chlebodawczyni, i zniknęła za drzwiami. Teborna tylko pokiwała ze zrozumieniem głową, ale zrobiła to tak delikatnie i taktownie, iżby nie mogła tego zauważyć jej służka.

– Kopalnie diamentów, fermy nerek, tartaki, browary, winnice, sioła i wsie, sady i pola, łąki i lasy, no i zamki i kasztele, czegoż tu jeszcze nie ma? – powiedział Elubed, przeglądając spis dóbr, jakie Kanclerz skonfiskował zdrajcom Ulandii.

–I wszystko to teraz nasze, druhu, nasze. - odrzekł mu na to Kowdlar.

– Nie może to być, iż zgromadziło to tylko kilku kancelistów? - Elubed był mocno poruszony.

– Plort i Dert mieli wiele okazji by się wzbogacać. Ja sam nawet nie przypuszczałem, iż jest to możliwe. I to wyobraź sobie, zgromadzili to przez okres ostatnich pięciu, sześciu lat, bo na początku nie byli tacy zuchwali i bezczelni. To wszystko przez to, iż król ma młodą żonę, a ja miałem co innego na głowie. Głównie wojny zabierały mi tyle czasu, a ci dwaj rządzili krajem.

–Czy nie obawiasz, że teraz to my jesteśmy jednak zbyt zachłanni? Oby nas to nie zgubiło, tak jak tamtych. - stwierdził Elubed.

– Więc co, co proponujesz?

– Opuśćmy sobie część z tych dóbr. Najlepiej oddajmy część z tego, no tak połowę, jeszcze do skarbcza królewskiego. I tak nam sporo zostanie.

– Hm ... W samej rzeczy masz sporo racji. Już i tak dużo daliśmy notablom. Ale ty chyba masz rację. Nie bądźmy tacy zaślepieni. Wszakże, gdyby król się dowiedział, iż więcej nam przypadło niż jemu, to byłoby niedobrze. – przyznał Kowdlar. - Więc, zgoda, niech będzie tak jak mówisz. Król będzie miał najwięcej z tego koszyka, ale to będzie nas w konsekwencji chronić.

Przynajmniej sny będziemy mieli spokojniejsze. - Kowdlar wziął listę z rąk Elubedy, i począł coś tam na niej pisać rysikiem. - No tak, korona królewska wzbogaciła się tym sposobem o liczne dobra.

Kowdlar powstał, podszedł do okna. Tak jakby sprawdzał w słońcu, co sam napisał.

Widocznie stwierdził, że wszystko jest dobrze, bo uśmiech rozpromienił jego oblicze.

– Jest już dobrze, Elubedo, już dobrze. I król będzie zadowolony, i my także, a i Oland i Adlar, i jeszcze kilku notabli będzie szczerze dosyconych. Nasze nowe dobra rozsiane są po całym królestwie, więc praktycznie zysk będziemy czerpać jedynie z dziesięcin, z pracy niewolników, i z handlu towarami z tych dóbr. Chyba raczej nie będzie nam dane zrobić inspekcji tych wszystkich naszych nowych użytków.

– No tak. A ile będą warte te dziesięciny? - spytał Elubed.

– Ładnych kilkadziesiąt tysięcy złotych talentów w każdym roku. Więc, jak widzisz, niemało.

– O tak, tak. Czy dla nas wspólnie, czy już po rozliczeniu na każdego?

– No, Elubedo, na każdego z nas.

– Toć przecie to fortuna – Elubed był zszokowany.

– Król zyska znacznie więcej, znacznie.

– W bogatym państwie, bogaci jego obywatele – zgrabnie powiedział baron Elubed.

– Blisko Pustyni Róży, lenna Presurta Olanda, jest jedna bogata kopalnia diamentów z tego spisu, więc pomyślałem, że zapiszemy ją Olandowi. Zgadzasz się z tym, druhu? - Kowdlar usiadł na ławie i nalał sobie w puchar wina.

– Tak, to jest raczej logiczne – przyznał baron Elubed. - Mnie bardziej interesuje ta bogata kopalnia soli w Puku. Chciałbym ją dla siebie.

– Dobrze, pozwól tylko, że to odnotuję – Kowdlar znów coś zapisał rysikiem na papierusie.

– W przyszłym miesiącu, w miesiącu skorpiona, wyruszam w tamte strony. Będę miał więc okazję osobiście zobaczyć kopalnię, zrobię inspekcję – mówił Elubed.

– A cóż takiego Cię tam goni, przecież to całkiem daleko od Wendy?

– A wiesz, Geldera dostała w posagu jakieś ziemie tam leżące, dwie czy trzy wioski, trochę niewolników i jakiś inwentarz, a także dużą willę z ogromnym sadem. Ubłagała mnie, byśmy tam spędzili zimę. Ponoć tam zimy są wyjątkowo łagodne.

Kowdlar jeszcze raz powstał z ławy, lecz teraz z komody wyciągnął rzecz, którą pokazał Elubedzie.

– Pamiętasz ten obrazek, który Ci już pokazywałem?

– No, tak – potwierdził Elubed.

– Powiem Ci jedno, nikt z tych, których ja przepytywałem, nie wie, jak mógł on w ogóle powstać. Mistrz malarstwa, Yust, długo mu się przypatrywał, i stwierdził mi, jak już Ci to chyba mówiłem, że nie mógł on powstać w sposób naturalny – Kowdlar podał obraz Elubedzie, a sam spoczął na swym miejscu – to on mi zasugerował, iż jedynie bogowie mogli go stworzyć. Sam nigdy nie przybliżył się w swym fachu do takiego mistrzostwa. W ogóle nie można na nim wyczuć struktury nałożonych farb,

to wygląda tak jakby obraz odbity w kryształowym lustrze został na zawsze uwięziony. Prosił mnie nawet, bym mu jeszcze kiedyś użyczył ten obrazek, by mógł go bardziej dokładnie zanalizować.

– Hm ... Ja ci radzę, dla twojego dobra, zostaw tę sprawę. Nie wypytuj już nikogo. Nawet w tajemnicy. Nawet pod przysięgą milczenia. Jeśli król bowiem własnemu Kanclerzowi nie wyjawiał wszystkiego, to tym bardziej nie chce z pewnością, by inni o tym wiedzieli. - Elubed oddał obrazek.

– Ale wiesz, ja powinienem wiedzieć o takich sprawach.

– Ale nie wiesz.

– Radzisz mi więc, zostawić tę sprawę jej własnemu biegowi?

– W samej rzeczy tak Ci radzę. A może Ci król w końcu wyjawia wszystko? - Elubed napił się wina.

Elubed napił się wina.

Erej z wysokości okien biblioteki obserwował, jak Atagr z animuszem atakuje swym drewnianym mieczem setnika Zaparę. To miał być jeszcze jeden nudny dzień na służbie u księcia Kanclerza. I wszystko na to wskazywało. Po obiedzie Erej miał jak zwykle znów otoczyć opieką powolnego kształcenia młody umysł Atagra, teraz zaś czytał woluminy zgromadzone przez pryncypała, ku pożytkowi jego pierworodnego.

Jednakoż Erej doskonale wiedział, iż dzieła te będzie mógł przyswoić sobie Atagr, ale dopiero jak będzie bardziej dojrzały, jak wyrośnie, jak jego umysł będzie na tyle przygotowany, by zrozumieć idee myślicieli zawarte w tych księgach. Teraz to on, nauczyciel Atagra, smakował się w tej trudnej lekturze. Właśnie czytał dzieło Efereta z Kule, w którym ów mędrzec przekonywał, iż jedynie przez post, umartwianie i modły do bogów można doznać łaski poznania dobra, prawdy i piękna.

Lecz oto dziwny ruch za oknem odwrócił uwagę Ereja. Jakiś wieśniak, albo niewolnik biegł szybko po ścieżce do pałacu. Biegł i krzyczał okrutnie,

tak iż dotarło to nawet do Ereja. Mały książę przestać miotać swym mieczykiem, Zapara również przystanął i patrzył uważnie na nadbiegającego posłańca : - ... do księżnej Teborny.

Wiadomość dla księżnej Teborny ... -Człek ten w końcu wpadł z pałacowe wrota. I oto teraz Erej mógł usłyszeć już z wnętrza budynku, iż biegnie ktoś po schodach, wołając cały czas : - ... do księżnej Teborny, pilne! ...- Nagle nastąpiła cisza. Zła cisza; złowróżbna cisza.

Po kilku minutach znów zapanował ruch na schodach. Ktoś szedł poń pośpiesznie, i Erej zgadywał, że ten ktoś idzie wprost do biblioteki. Z hukiem otworzyły się drzwi biblioteki, oto weszła z impetem weń księżna Teborna, mówić już od progu:

– Nauczycielu, jest problem. Poważny problem, a mąż w stolicy. Nie wiem, co począć?

– Co się stało, Łaskawa Pani? - spytał usłużnie.

Co się stało, Łaskawa Pani? - spytał usłużnie.

– Znaleziono w końcu Temo.

– Tak? Jak się on miewa? - Erej zapytał naiwnie.

– Szkopuł w tym, że on już się nie miewa. Znaleziono jego ciało.

– Gdzie, Łaskawa Pani?

– Na bagnach. Leśniczy Kutes znalazł tam zwłoki Temo rano.

– Jesteś, Pani, pewna, że to chodzi o Temo? Może to kto inny?

– Nie, Kutes go rozpoznał. Bo poznał on już Temo, znali się i czasami biesiadowali.

– Hm ... Tuszę, Pani, iż spodziewasz się ode mnie jakiejś rady w tym względzie? Lecz co ja mogę tu poradzić? Chyba trzeba by ustalić, w jaki sposób Temo rozstał się z naszym światem?

– Ma śmiertelną ranę i nieco drobnych skaleczeń. Ranę od miecza –

Teborna podała Erejowi list, który trzymała w dłoni. - Oto meldunek od leśniczego. Przeczytaj go, Mistrzu.

Erej rzucił okiem na pismo, w rzeczy sam leśniczy Kutes informował księżną, iż zidentyfikowano ciało Temo. Dziwne, że zostawiły je w spokoju krokodyle bagienne. A ponieważ czas zrobił swoje, złożono go już w grobie.

Dwóch świadków potwierdziło tożsamość tego człowieka, więc mogą oni złożyć świadectwo albo przed księciem Kowdlarem, bądź przed ludźmi Presurta Olanda.

– Księżno, wydaje mi się, że powinniśmy teraz poczekać na powrót księcia. - powiedział cicho Erej. -Wszystko, co należało zrobić, już zrobiono.

– Tak, masz, Mistrzu, rację. Zrobimy tak najpewniej. Teraz przede mną będzie chyba najważniejsza misja.

– Jak, Łaskawa Pani?

– Muszę to jakoś powiedzieć Irtynie – rzekła księżna, równocześnie zrobiła gest rękoma, jakby przerastało ją to wszystko.

– Dlaczegoż to, Pani, będzie to takie trudne?

– Mistrzu, i ty nie wiesz?

– O czym, Pani? - przerzucali się tak pytaniami, jeden do drugiego.

– Oni mieli wziąć ślub. Czy nie dotarło to do Ciebie, Mistrzu?

– Aha ... No tak, czyli chodzi tu o miłość – Erej jakby się zasmucił, zmilczał na chwilę. - Rzeczywiście, przykry przed Panią, Księżno, obowiązek. Ale może to nawet, paradoksalnie, lepiej. Irtyna pozbędzie się teraz wszelkich wątpliwości. Popłacze, popłacze. Ale już nie będzie żyła złudzeniami.

– Ja nie wiem, czy ja bym tak chciała. Wolałabym się nie dowiedzieć o śmierci małżonka. Miałabym go wtedy zawsze w sercu.

– Księżno, różni ludzie różnie reagują na te same sprawy. Ale z tego co

ja znam Irtynę, to to jest typ człowieka bardzo emocjonalnego i uczuciowego. Dla takich ludzi jest najlepiej, gdy staną oko w oko z problemem, i gdy długo nie trzymają w sobie emocji, bo inaczej zrujniają własny organizm. Będzie się jej wydawało, że zawalił się jej świat, lecz już jutro obudzi się tak naprawdę wyzwolona.

– Czyli, Mistrzu, radzisz, bym nie odwlekała rozmowy z Irtyną? - Było widać, że księżna już podjęła decyzję.

– Tak, Łaskawa Pani. Proszę nie zwlekać.

Książę Kanclerz przeglądał dokumenty. Głównie pochodzące z jego kancelarii, ale było też trochę prosto od króla. Te były najważniejsze, lecz Kowdlar nie naglił się dziś zbyt. Trzy dni temu żegnał Elubeda z Gelderą, jechali oni pośpiesznie do swych dóbr na północy Ulandii. Tak sobie razem popili, iż nawet jeszcze dziś Kowdlar czuł się podle. Już wypił garniec zupy cebulowej, lecz nic to nie dało.

Pomyślał sobie, że się chyba starzeje.

Co najdziwniejsze zdarzało się, że niektóre dokumenty podpisane były jeszcze nawet przez Plorta, a nawet przez Derta. To prawda byli oni przeszkodą dla Kowdlara, ale braku sumienności pracy im nie można było zarzucić. Lecz, no cóż, oni byli już historią. Ponieważ kancelaria odchudziła się i to dość znacznie, bo oprócz Derta i Plorta stracono za zdradę króla jeszcze też dwie, trzy mniejsze płotki, Kowdlar zastanawiał się teraz, jak uzupełnić o fachowe siły swą kancelarię, tak żeby prace w niej szły swym dawnym sprawnym rytmem. Będzie z tym niemały kłopot. Kowdlar pamiętał, że swego czasu o prace w kancelarii ubiegał się Erej, ale Erej pracował teraz, ucząc i wychowując Atagra, i Kowdlar widział go nadal tylko w takiej roli.

Tym bardziej, że zły to obyczaj, by jedną pracę zaczęta przerywać, i

zaczynać zupełnie nową. Tym bardziej, że obecna praca Ereja przewidziana była na lata, na długie lata wychowywania Atagra. Na pewno by mu kompetencji nie brakowało do pracy w biurze, ale to już była kwestia zamknięta. Kowldar nawet pomyślał sobie, iż ogłosi konkurs na pracę kancelisty, ale do tego potrzebna była zgoda króla. A może zatrudni innych uczniów Cygana Dziada? Nie było to wykluczone.

Kowldar był już zaprawdę znudzony, ale przyrzekł sobie, że dziś przejrzy większość z tych dokumentów. W pewnym momencie zaczął czytać nudny meldunek, lecz wtem coś jakby go kopnęło w głowę. Otóż w tym meldunku pisało, iż na polecenie

Jego Królewskiej Mości, Amargadeusza, kopalnia soli w Puku ma być w trybie natychmiastowym zamknięta, robotnicy i niewolnicy tam pracujący mają być skierowani do innych robót. Włos się Kowldarowi zjeżył aż na głowie, uświadomił bowiem sobie, że jednym z celów podróży Elubedy na ziemie północne jest wizyta w kopalni soli w Puku, i przejęcie jej własności. Kowldar czytał dalej:

... Skarb Królewski konfiskuje kopalnię soli w Puku. Kopalnia ma być przekazane człowiekowi, który zgłosi się razem z glejtem królewskim. Wszelka niesubordynacja w tym względzie ukarana będzie bardzo surowo.
...

Kowldar stwierdził ze zgrozą, że pismo to było opieczetowane prywatną pieczęcią królewską, był też na nim podpis króla Amargadeusza. Pismo datowane było na tydzień wstecz, a miało wejść w życie z dniem nadania, to znaczy tydzień temu. Trzeba powiadomić Elubedę – przeleciało mu przez głowę. - Szybko, zanim będzie za późno.

Kowldar chwycił pośpiesznie dzwoneczek, którym zwykł przywoływać służbę. Zadzwoił energicznie. Do komnaty wszedł służący :

– Ekscelencjo, czy przywoływałeś mnie, Panie?

– Tak, niech tu do mnie przyjdzie wolny goniec królewski. A chyżo. To jest pilne. Zrozumiano?

– Tak, Szlachetny Panie – służący obrócił się na pięcie i pośpiesznie wyszedł.

Kowdlar naprędce skreślił kilka słów na papirusie. Opieczętował pismo, i gdy już kończył wszedł do komnaty goniec królewski.

– Panie, wzywałeś. - powiedział.

– Mam dla Ciebie zadanie. Będziesz musiał się wykazać, lecz, gdy dobrze się wywiążesz ze swej misji, hojnie Cię wynagrodzę.

– Słucham więc, Ekscelencjo, co mam zrobić?

– Pojedziesz z tym pismem na północ Ulandii, ale pojedziesz w ślad za baronem Elubedą i jego małżonką, którzy pojechali tam, w okolice Puku. Musisz tam dotrzeć tuż przed nimi, ewentualnie dogoń ich, nim oni tam dotrą. Dlatego ta misja nie jest łatwą, ale nagroda za nią będzie godna. Oto masz pismo – Kowdlar podał gońcowi zalakowany list. - I pędź, pędź co sił. Bo oni mają przewagę dwóch, trzech dni przed tobą. Daj to pismo do rąk własnych baronowi Elubedzie.

Goniec wziął pismo; skłonił się Kanclerzowi; i prawie wybiegł z komnaty.

Kowdlar poczuł się nieswojo, jakby smutek jego duszę nawiedził. Wziął do ręki dzwonek, i zadzwonił energicznie. W drzwiach pokazał się służący.

– Wina, wina mi tu przynieś natychmiast – Kowdlar wyrzucił z siebie te słowa gwałtownie. Ani się nie przejmował, że słowa jak brzytwa mogą razić sługę.

Bo on teraz potrzebował wina, by smutek przepędzić.

Zapara przyglądał się tym świecącym kamykom, różnokolorowym. Były i mniejsze, to były te prawie przeźroczyste, prawie, bo dziwnym blaskiem były. Były też większe, te czerwone, czerwienią krwi, były też niebieskie jak

oczy dziewczyny i zielone jak świeża trawa wiosną. Gdy przenosił ciało Temo na bagna z tym planem, by to krokodyle bagienne zatarły wszelkie ślady zbrodni, zauważył w pewnym momencie, że pod szatami Temo jakaś wypukłość była. To był mieszek skórzany, a w nim to właśnie te kamyczki były. Całkiem sporo ich tam było. Setnik Zapara ani wiedział, co to są za kamyki, czy warte one są czegoś? Spodobały mu się niezmiernie, i zawsze od tamtej okrutnej soboty, wieczorem, gdy już cały pałac spał, wysypywał je sobie z tego mieszka w blasku kaganku na swe posłanie. Był zachwycony, jak pięknie światło potęguję magię tych małych okruchów. Byłoby to jednak czymś dziwnym, gdyby kamienie, należące przecież do zwykłego kucharza, miały jakąś większą wartość. Zapara jednak przyrzekł sobie, że nikomu nie pokaże tych kamieni. Zostaną na zawsze jego tajemnicą. Od tej feralnej nocy, właściwie feralnej tylko dla Temo, Zapara w rzeczy samej nabrał wigoru. Nie chodził już taki przygarbiony, złamany losem, poczuł, że znów los się doń uśmiechnął. Bo oto w myślach tego starego wiarusa, ten, który śmiał zakpić z niego i jego miłości, doznał odpowiedniej kary.

Nawet jeśli wiedział o tym tylko sam Zapara. I tylko on wiedział.

Wczoraj nawet tak było, że Irtyna uśmiechnęła się do niego, gdy przechodził koło kuchni. Mocno ona przeżyła śmierć Temo, ale teraz jakby pogodziła się już z tym.

Przez to cierpienie niby wypiękniała. Była nadal tą samą, niewysoką i korpulentną blondynką. Ale buzię miała doprawdy ładną. Co do sylwetki, to szaty skrywały to dokładnie, ale można było bez trudu zgadnąć, iż nie miała ona ładnej i zbyt ciekawej sylwetki. Jednakowoż miała także takie magnetyczne oczy, umiała ci ona wzbudzić zaciekawienie u przedstawicieli brzydszej płci. Często uśmiechała się czując na sobie wzrok czy to kucharza, ogrodnika lub nawet Zapary. A i księciu Kanclerzowi, gdy z rzadka bywał w Poledzie, zdarzało się wodzić za nią wzrokiem. Taka to już była jej uroda kusicielki.

Setnik Zapara jednego był pewnym, nikt nie będzie jego to właśnie kojarzył ze śmiercią Temo. Był bardzo uważny tej sobotniej nocy, gdy włożył ciało Temo na bagna. Nikt go nie widział, tego był pewnym, bo miał

taki wyuczony odruch wojenny, po prostu wyczuwał to, gdy ktoś go obserwował. Więc , był pewny, że nikt go wtedy nie widział. Ponadto leśniczy Kutes zmienił nieco swe zeznania. Choć początkowo twierdził, iż śmiertelną ranę Temo zadano mieczem, lecz już następnego dnia odwołał to przynajmniej częściowo. Stwierdził bowiem później, że tę ranę można też było zadać dłuższym nożem, lub nawet sierpem. Ponadto stan zwłok niepozwalał na bliższe ustalenia. Co dziwne, było to to, i podkreślał to nawet Kutes, iż krokodyle bagienne zaniechały tego ciała, a przecież było to niezwykle i niespotykane, by te drapieżniki poniechały jakiejś padliny w innych okolicznościach.

Dzięki temu w ogóle można było ustalić, co się z Temo stało. Zabójca liczył, że ślad po tym byłym piracie na zawsze zatarty będzie. Księżna Teborna stwierdziła więc, że musi się za tym kryć jakaś nienaturalna interwencja sił duchowych. I stwierdziła to ona zupełnie serio w obecności całej swej służby, całej obsady Poledy, sugerując, iż najpewniej sprawca tej zbrodni prędko zostanie odkryty i przykładowie ukarany. Setnik Zapara śmiał się skrycie z tej naiwności swej chlebodawczyni. On czuł, że to właśnie było sprawiedliwe, to, czego dokonał; nie obawiał się więc żadnej zemsty i kary. Był pewnym swej bezkarności.

Kamienie rozłożone na pościeli łoża prezentowały się bardzo łakomie. Łakomie dla tych, co to lubią wszelkie świecidełka. Zapara do takich raczej nie należał, ale i tak fascynowało go to. Była jakaś taka siła w tych martwych przecież okruchach, które teraz przed nim leżały i lśniły w blasku kaganku. Jak głosi legenda, kolorowe kamyki to są zestalone łzy, które wylewał z siebie bóg Mulachor po tym, gdy stwierdził, że świat, którego był współtwórcą , jest zły i nie ma litości dla słabych i chorych.

Setnik Zapara jeszcze raz wziął do ręki kilka kamyków. Poczuł ich chód w dłoniach; niby począł się bawić, przesypując je z miejsca na miejsce. Gdzieś tam w oddali zawył wilk. Na co ujadać zaczęły psy z pobliskiego siola. Zapara nagle złapał się na tym, że myśli o biedaku Temo. Zachnął się, lecz te myśli były tak natrętne. On jeszcze nie wiedział, lecz Chronora, bogini czasu, wiedziała, że odtąd Zapara nie zazna już spokoju duszy. To

będzie jego tajemnica, lecz myśl jego już na zawsze będzie zmacona. Temo dla niego będzie jak wyrzut sumienia. Każdy oddech, każda myśl będzie dla Zapary niczym zatrute wino. Odtąd nie zazna on już ukojenia.

Zaprawdę nie zazna.

Szli powoli, uważnie. Elube wziął ze sobą przewodnika ze wsi. Do kopalni zostało im raptem może pięćset, może sześćset łokci. Przewodnik to był stary wieśniak, mocno zniszczony przez ciężką pracę, jaką wykonywał na roli. A może nie był aż tak stary, jedynie wygląd miał taki. Dziwnie też mówił, niby nie wymawiał poprawnie głoski r. Podobne to było do seplenienia. Ale Elubed doskonale się z nim dogadywał.

Fug, bo tak miał na imię, powiedział mu przed wyjściem, że jakieś to dziwy się z kopalnią od kilku dni dzieją. Najpierw wszyscy niewolnicy zostali z kopalni usunięci.

Przez dwa, trzy dni tam jedynie nietoperze latały. A potem? A potem zaczęły się dziać jeszcze większe dziwy. Nad wsią i kopalnią zaczęły latać jakieś okrągłe obiekty. Nie były to ptaki ani smoki, a zwisały tuż nad sztolnią. Ludzie ciekawi, ze wsi, podchodzili pod kopalnię i obserwowali. I tenże Fug też tak robił. Z tych pojazdów wychodzili zwykli ludzie, tym się tylko różnili, iż niespotykane szaty mieli. Znosili coś do sztolni. Nie wiadomo co i nie wiadomo po co.

Potem ci ludzie się zorientowali, że tubylcy ich obserwują, i wtedy rozpylili w powietrzu jakiś piekący obłok, niby gaz, ale to taki, iż ludzie ze wsi płakać zaczęli tak obficie, iż musieli stamtąd w popłochu uciekać. Od kilku dni już nikt ze wsi się nie odważa tam chodzić. Fug nawet zapowiedział Elubedzie, iż pod samą sztolnię będzie on musiał już iść sam. Lecz łatwo tam dotrze, bo jest ona widoczna z daleka, na pewnym wzgórku ci ona jest. Ponadto stale nad nią dziwny obiekt wisi. Nic go nie łączy z ziemią, a nie spada, nie wydaje też żadnego dźwięku. To z jego wnętrza wychodzą teraz ci obcy ludzie. Stale tak znoszą te rzeczy w głąb kopalni.

Trwa to już dobrych kilka dni. Może pięć, może sześć. To są takie małe antałki, ale nie z drewna tylko niby ze stali. Tak to przynajmniej określił Fug. Lecz co tam było w środku?

Nikt nie wiedział. Najpewniej nie była to sól. Bo sól się zwykle stamtąd wnosić, a nie wnosić, jak to filozoficznie powiedział Fug do barona Elubedy.

W rzeczy samej, gdy przeszli może jeszcze dwieście łokci, Fug nagle skłonił się baronowi, i powiedział, że dalej to on już się nie waży podchodzić. Elubed skinął mu ręką, że może wracać do wsi. I sam poszedł dalej. W końcu po dalszych dwustu łokciach zobaczył to. Zobaczył to na własne oczy. Nad górką, nad drewnianymi zabudowaniami sztolni w rzeczy samej wielki, srebrzysty bolid wisiał. U dołu tego pojazdu otwór był, i niby taka wielka drabina ze stopniami. Elubed przystanął i począł bacznie przypatrywać temu, co tam się działo. Po chwili okazało się, iż schodzą tą drabiną ludzie ubrani w jednolite uniformy i niosą oni coś na swych barkach. Niby, faktycznie, małe antałki ze stali lub ołowiu. Następnie znikają oni we wnętrzu kopalni. Elubed był cały zadziwiony. Ciekaw był, co to za ludzie? I co oni robią? Najwidoczniej coś oni składowali we wnętrzu kopalni. A może to był jakiś skarb? Tak przemknęło mu przez głowę. No bo co to innego mogło być? Albo coś, co im niepotrzebne lub co im zawadą jest. Elubed starał się tak schować w krzakach, by być niewidocznym z pozycji tych ludzi, co wychodzili z bolidu. Obserwował więc tak, a sam był praktycznie niezauważonym. Wkrótce zorientował się, iż ci ludzie nie chodzą z tymi antałkami cały czas, lecz odbywało się to jakimś specyficznym rytmem. Elubed był cały czas ostrożny. Po około kwadransie, bolid zasklepił się tak, iż te niby schody schowały się wewnątrz. Następnie część górna bolidu zaczęła się obracać w osi poziomej, część dolna już po chwili obracała się w przeciwnym kierunku. Jak to jest możliwe? Elubed pytał się sam siebie. Nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego. Lecz fakt pozostawał faktem. Elubed jednak nie był z tych, co to nie dowierzają własnym zmysłom. Patrzył więc tak zafascynowany. Po następnych pięciu minutach bolid pomału przesunął się w całkowitej ciszy w górę, a następnie odleciał bezgłośnie i zniknął w chmurach. Co się stało z tymi ludźmi? Elubed chciał

to jeszcze sprawdzić. Skradając się, podszedł niemal pod samą sztolnię. Nagle usłyszał rozmowę, cichy szept. Niby to był lament, niby zawodzenie. Elubed miał dobry słuch, podszedł prawie pod same belki konstrukcji.

– No to już koniec z nami. Tamci cierpieli niemal tydzień, nim skonali.
– mówił jakiś głos falsetem.

– To ucieknijmy – powiedział ktoś drugi.

– To nic nie da, choroba jest w tych beczkach. Już i tak jest po nas. Dlatego potrzebowali nas tak wielu.- mówił ten pierwszy płaczliwym głosem.

– Cztery tysiące luda. Sami chłopcy na schwał.

– Ci ... Może ktoś usłyszy – znów ten z płaczliwym głosem.

– No i co z tego. My już umieramy. Z tych czterech tysięcy zostało nas może ze stu, może stu pięćdziesięciu. Ja daję nogę, nim ci znowu tu przylecą z nową partią tego świństwa. - mówił ten drugi. - Przynajmniej umrę jako wolny człek.

– To ja z tobą – ten płaczliwy jakby się przekonał do pomysłu. - Tylko te dziwaczne uniformy zrzucimy, żeby się nie odróżniać od zwykłych wieśniaków.

– Dobry pomysł. To dawaj.

Zapadła cisza. Elubed roztropnie oddalił się od sztolni, lecz cały czas dawał baczenie, co się będzie działo. Po jakichś dwóch minutach zobaczył, że jakichś dwóch mężczyzn, rozglądając się uważnie wkoło, wyszło ostrożnie ze sztolni. Jedyne przepaski na biodra ci oni mieli; nadzy byli, a dorodni to byli mężczyźni. Gdy byli jakieś dwadzieścia, może więcej, łokci od sztolni rzucili się gwałtownie z zarośla.

Już po chwili nie było po nich śladu. Elubed wtedy właśnie pomyślał, że już i tak się napatrzył. Coś dziwnego i niebezpiecznego się tu działo. Tak podsumował to całe doświadczenie. Chyłkiem, tak by nie być widocznym,

zaczął się oddalać od tego przekłętego miejsca. Cały czas brzmiały mu w uszach te słowa : ... ta choroba jest w beczkach.

Jakiś dziwny skurcz chwycił go za piersi. Strwożył się, cały niespokojny szedł już do miejsca, gdzie zatrzymali się z żoną. Zostało mu jeszcze z piętnaście minut drogi.

Król Amargadeusz przyglądał się projektom Szkolnicy Wytrwałych, które miał na kilku kartach papiirusu przed sobą. Samą nazwę, Szkolnica Wytrwałych, wybrał Presurt Oland, na co król wyraził łaskawie zgodę. Wszystko to były projekty ambitne; wyraźne zwałiste budowle oparte na wapieniach. Wstępny koszt tej budowli szacowano na trzydzieści tysięcy złotych talentów, ale były to znaczne budowle.

Duże i obszerne. Jedno było pewnym, pieniędzy nie zbraknie. Ale co potem? Trzeba będzie to wszystko zorganizować. Trzeba będzie zatrudnić nauczycieli. Dobrych nauczycieli. Czy w Ulandii był ich dostatek? Królem miały wątpliwości. Na pewno było dość mądrych ludzi. Lecz czy znajdują się wśród nich tacy, którzy by chcieli osiąść w Wendzie i uczyć w Szkolnicy? To wiązać się będzie z całym ich życiem, nowym życiem. Oland sugerował królowi, by zatrudnić w Szkolnicy uczniów Cygana Dziada. Byłoby to bardzo logiczne. Najpewniej jednak nie wszyscy będą mogli. Król doskonale wiedział, iż najbliższy uczeń Cygana Dziada, Erej, nie będzie mógł, bowiem dogląda on aktualnie, i jest to praca na długie, długie lata, wychowanie potomka księcia Kanclerza, małego Atagra, i obecnie przebywa on w rezydencji księcia, w Poledzie, na ziemiach lenna Średnie Lasy. Gdyby tego król zażądał zdecydowanie, gdyby tupnął nogą, pewnie by Erej musiał zrezygnować, lecz król Amargadeusz nie był do tego skory, bowiem rozumiał on motywacje, jakimi kierował się Kowdlar, gdy zatrudniał u siebie Ereja. Najpewniej zrobi i on podobny krok wychowawczy, gdy księżę delfin Orotog podrośnie nieco. Król także już sobie postanowił, iż za wychowanie Orotoga weźmie się ktoś do tego godny, jak tylko Orotog ukończy piąty rok życia. Król postąpi więc analogicznie, jak uczynił to Kowdlar. Dlatego Erej raczej nie będzie brany pod uwagę jako kandydat do dumnej nazwy Nauczyciela w Szkolnicy Wytrwałych. No,

chyba że stanie się coś niezwykłego, coś nieplanowego, coś, co zburzy i wywróci do góry nogami wszystkie obecne spekulacje. I tak przecie może się zdarzyć w życiu.

Król wpatrywał się w jeden projekt, który szczególnie mu się podobał. Duży obiekt, wysoki na kilkadziesiąt łokci, wykonany w całości z piaskowca. Wewnątrz komnaty i sale, tak by uczący mogli słuchać wywodów swych nauczycieli. Była też część przeznaczona na doświadczenia alchemiczne i medyczne. I przede wszystkim przed domem mały gaik oliwny, gdzie nauczyciele będą mogli uczyć spacerując ze swymi uczniami.

Rekter Szkolnicy Wytrwałych, Mistrz Kapa, miał dzisiaj przybyć dziś do króla. I to jemu w konsekwencji król zakomunikuje swoją decyzję w sprawie Szkolnicy. Ale Kapa miał przybyć do króla nie tylko w tej sprawie. Bo oto wczoraj pono, jak to przesłał w meldunku już dziś rano Kapa, spotkał on się ponownie z ludźmi od boga Koboka. Król teraz czekał na bezpośrednią relację od Mistrza Kapy, jak przebiegła ta rozmowa. Co znowu dziwnego wymyśli Kobok? Lub, jak wołał raczej myśleć Amargadeusz, to jego ludzie wymyślają. Król był sam w swej komnacie, nawet

Obika w pobliżu nie było. Przyczyna była prozaiczna, Obik poważnie zachorzał, miał od dwóch dni rozpalone czoło; gorączka go trawiła od wewnątrz. Król dziwnie się czuł, przyzwyczajony był do tego, że Obik był na każde zawołanie. Choć królowi przecież nie mogło brakować służby, cały pałac był pełen ludzi, jednak to właśnie Obik był najbardziej niezawodny. Król zresztą do niego miał najwięcej zaufania, od ładnych kilku lat obawiał się zamachu. Bał się, że mogą być przy nim ludzie Uberyka, którzy tylko czekają na okazję. Dlatego to też powodu, król zapuścił brodę.

Bał się po prostu dopuścić kogoś do siebie z brzytwą. A sam, jak się onegdaj próbował golić, pozacinał się wtedy okrutnie. Jak patrzył teraz w lustro kryształowe, to widział w nim swego ojca, króla Otelera, który zawsze zwykł nosić trzydniowy zarost. Mógł teraz to stwierdzić z głębokim

zadowoleniem, iż był bardzo podobny do swego umiłowanego ojca. Król zresztą był już kilka razy tam, w tym skromnym pokoiku Obika. Aż sam się przyłapał na tym, iż dziwne to było dla niego, że najważniejszy sługa królewski, i to dosłownie to pojmując, żył i mieszkał w takiej mysiej norze. Czy nie było w całym pałacu królewskim godniejszego pomieszczenia dla jego wiernego sługi? Król przyrzekł sobie, iż, gdy tylko Obik wróci do zdrowia, zorganizuje mu inne lokum, przestronniejsze i godniejsze. Choć trzeba to było też przyznać otwarcie, że ta nędzna nora Obika była najbliżej apartamentów królewskich. Być może to był podstawowy powód, iż Obik w niej mieszkał. Toć przynajmniej mogła ona być wyposażona i dostatniej. A teraz stało tam tylko nędzne żołnierskie łóżko pryczowe, w którym leżał półprzytomny Obik, jakiś stary i zniszczony zydeł i nędzna odrapana przez korniki komoda, nawet stołu tam nie było, pewnie nie zmieściłby się już, taka to była nora. Przynajmniej to mógł król zmienić. I zmieni to najpewniej, jak tylko nieco będzie miał czasu na to. Czy tak jednak będzie po prawdzie? Jak mówi mądrość ludowa : prowizorki bywają najtrwalsze.

Król patrzył to na ten, to na drugi projekt. Cały czas w myślach jeszcze rozważał, który poprze. Lecz oto nagle usłyszał stuk do drzwi.

– Wejść – król krzyknął w tamtą stronę. Do środka wszedł po chwili lokaj królewski.

– Wasza Królewska Mość, przybył Mistrz Kapa. - powiedział.

– Niech wejdzie.- Na te słowa króla, do komnaty wszedł różnym krokiem mag.

– Wasza Królewska Wysokość – przywitał się, wchodząc.

– Cóż tam masz dla mnie?

– Panie, przychodzę w sprawie Koboka – powiedział mag.

– No, no – król go zachęcał. - Co on chce jeszcze?

– Wasza Królewska Mość, wygląda na to, iż bóg Kobok jest na razie usatysfakcjonowany naszą współpracą.

- Czyżby? Czyli nie chce nic? A to ci nowina. Nie chce księżniczki za żonę i połowy królestwa? - zażartował ponuro Amargadeusz.
- Nie rozumiem, Panie – Kapa był zmieszany.
- A tam, nic, nic. Żartowałem. Ale ty masz człowieka ciężkie poczucie humoru.
- Aha, Panie – Kapa jakby zajarzył. Uśmiechnął się nawet. Ale do śmiechu nie było tym razem królowi. Widać nie wszystkie żarty rozśmieszają króla, choćby nawet to były jego własne żarty.
- Czy ty, Mistrzu Kapa, widziałeś już te projekty? – król wskazał kartki papirusu, co przed nim leżały.
- Tak, Wasza Królewska Mość, widziałem.
- Ja się jakoś nie mogę zdecydować, przynajmniej dwa, trzy z nich są równie dobre. A które ty byś wybrał? - król uśmiechnął się przy tym do Kapy, tak jakby na zachętę, by go ośmielić.
- Nie śmiałym, Panie.
- No, no, dawaj, dawaj – król się zniecierpliwiał. - Wybierz któryś z tych dwóch – król podał Kapie dwa projekty. Jeden, był to gmach zwalisty, wręcz surowy, w kształcie kostki, u wejścia był mały ganek. Drugi projekt był nieco lżejszy, ale też większy. Kolumnada portyki rozmieszczona była równomiernie wzdłuż fasady budynku.
- Panie, jeśli ja miałbym wybór, to wolałbym tę lżejszą wersję.
- A dlaczego? Powiedz mi, czym byś to umotywował? - król chciał rzeczywiście dokonać najlepszego wyboru.
- Wasza Królewska Mość, dobrze jest po intensywnej nauce oprzeć oczy na czymś raczej delikatniejszym, niż na masywnym, zwalistym gmachu. A gdy uczniowie będą z Nauczycielami spacerować po gaju, ich wzrok będzie przecież wodził po tej budowli.
- No tak, tak – król niby się zgodził, lecz dodał także. - Ale przecież

prostota jest synonimem dobra, piękna. Prosty w swej formie budynek, byłby więc lepszy, nie uważasz?

– Trudno się, Panie, z tobą nie zgodzić, ale lekkość jednak najlepiej działa na przeciążone zmysły.

– Aha – król się zaczął zastanawiać. - No, przemyślę to jeszcze. Później podejmę decyzję. Ale twoje uwagi, w rzeczy samej, są bardzo cenne. Wezmę je pod uwagę. Powiedz mi teraz, kiedy znowu spotkasz się z tymi od Koboka?

– Wasza Królewska Mość, wygląda na to, że dopiero za około miesiąc, dwadzieścia osiem dni Księżyca. - Kapa skłonił się. - Panie, Kobok jest kontent z tego, co już uzyskał. A ja myślę, że najpewniej on i jego ludzie opuszczą na jakiś czas Ziemię.

– Co? Co ty mówisz? Więc gdzie będą?

– Z tego, co ja wiem, gdym uczył się w zakonie elfów, oprócz Ziemi i innych planet jest też jeszcze wiele innych gwiazd w Kosmosie.

– Czyli sugerujesz, że gdzieś tam się oni udadzą? - król nie krył zdziwienia, zainteresowało go to jednak i chciał wiedzieć więcej.

– Wasza Królewska Mość, mądrzy ludzie nie opowiadają o tym pospółstwu, więc nie jest to wiedza powszechna, ale filozofowie ustalili, że takich światów jak nasze tu, na Ziemi, jest więcej w Kosmosie. Trzymają to oni jednak w sekrecie, tak jak się magię trzyma.

– Coś takiego? Inne światy? Są więc też inne królestwa, czyż nie? - król nadal był w lekkim szoku.

– Otóż to, Panie. Inne światy, inne królestwa. Zgadza się najpewniej. – Kapa myślał teraz, jakim ignorantem był król Amargdeusz. Nie dał tego jednak poznać po sobie. Bo czego jak czego, król nie zniósł by pogardy okazanej wobec siebie. Mistrz Kapa jednak w skrytości ducha gardził profanami, laikami i ignorantami. On to przecież kształcił się długie lata, nim został magiem. I teraz jedynie z przezorności powstrzymywał się. Już on to w życiu widział, jak mało uważni leczyli się liśćmi łopianu z ran jakie batog

królewski pozostawia na plecach. Nie chciał ci i on zakosztować tej wątpliwej rozkoszy.

Geldera z trwogą obserwowała jak jej małżonek się męczy. Czy to ta okolica, a może ta willa, w której się zatrzymali? Nie wiedziała. Miała jednak złe przeczucia. Elubed cały wczorajszy dzień trząsł się, zwymiotował i śniadanie i lekki obiad. Lekki, bo Geldera pomna porannych sensacji męża dołożyła wszelkich starań, by posiłek był lekki dla żołądka. Lecz i to było na nic. W końcu Elubed, chcąc, nie chcąc, musiał się położyć. I leży już tak od wczoraj. Geldera, jak gdyby natchniona zakomenderowała, by sprowadzić do willi tutejszą czarownicę, co to mieszka w grocie i ziołami się zajmuje. I przysłała ci ona rzeczywiście. Dziś rano była. Miejscowi na nią Bura wołają. Bura, jak tylko weszła, pociągnęła swym długim i krzywym nosem, i rzekła, że trzeba dom kadzidłem odymić. Złe demony bowiem mogą tu gościć. Potem spojrzała na Elubedę i splunęła za lewe ramię. Rzekła, że na wielmożnego najpewniej Ujerfer, dew okolicznych gór, musiał wpłynąć, i rzucił nań urok. Ona i owszem może podać zioła na to, ale najlepiej jakby państwo wielmożne wróciło szybko do swego właściwego domu w Wendzie. Jak tak zrobią, wielmożny powróci do zdrowia. I w rzeczy samej Geldera musiała zgodzić się z tą całą Burą. Po krótkiej naradzie z małżonkiem, który tylko bezwiednie potakiwał głową, pewnie zgodziłby się on nawet w swej sytuacji, by mu matkę do haremu Tukmaków wzięli, uzgodnili niby wspólnie, że jutro skoro świt wracają do Wendy. Tylko jak przetrwać ten dzisiejszy dzień i długą noc, jaka jeszcze przed nimi? Przecież Elubed słabł z każdą minutą. I wtedy to Geldera wpadła na pewien pomysł. Miała przy sobie piękne dwie czarne perły jako kolczyki przy uszach, nie wahając się długo, ściągnęła je i zaniósła kucharce na dół, polecając jej, by ta starła je na proszek i podała Panu całą zawartość w dwóch turach, teraz i wieczorem, razem z ciepłym kozim mlekiem.

Kucharka, już leciwa kobiecina, nie zdziwiła się tym kaprysem Pani, widziała ci bowiem ona już niejedno w życiu; przytaknęła więc tylko i rzekła, że zrobi tak, wedle woli Pani.

Gdy to Elubed pił, lub można rzec: starał się pić, odgrzane, ciepłe mleko kozie, Geldera uważnie przypatrywała się, co też się stanie. Ale nic takiego się nie stało. Po wypiciu, Elubed odwrócił się do ściany i słabym głosem rzekł, by go w izbie zostawić samym. Geldera widziała też, że najlepszy w tej sytuacji dla małżonka będzie sen. Wyszła więc i zamknęła za sobą stare, drewniane drzwi.

Już w kuchni Geldera podeszła do lnianego pakunku, który zostawiła po sobie Bura.

Nie była to wielka paczka, ale trzeba to przyznać już z daleka pachniała sianem i ziołami pobliskich łąk. Obok, na papirusie, Bura zostawiła wskazówki, jak z tego korzystać. Jak zaparzać te zioła, i co najważniejsze, jak i kiedy je pić. Nie była to jakaś szczególna filozofia, ale trzeba się było stosować do kilku cennych rad. Ważne, nich należało parzyć oddzielnie. Ważne też było, by konsekwentnie je stosować. Bura nie chciała wyjawic wszystkich składników, z jakich się składała ta jej mieszanka ziołowa. Rzekła jedynie, iż to właśnie pospolite zielsko, pokrzywa, jest głównym składnikiem mikstury.

Kucharce Geldera musiała powiedzieć, co i jak parzyć, niepiśmienna bowiem ci to była wieśniaczka. Prosta kobieta; ale pojętna była, i pamięć też miała bez zarzutów.

Nie było więc mowy, by pomieszała składniki. Jak to bywa w takich przypadkach, niepiśmienni mają bardzo dobrą pamięć, bo muszą wiele rzeczy robić tylko z pamięci. Tak to jakoś bogowie wymyślili. Jak bajają mądrzy seniorzy po wsiach i siołach, pismo wynalazł bóg Orteusz, wynalazł i dał ludziom po to tylko, by osłabić zmysły człowiekowi, by stał się on pyszny, i bogom chciał dorównać. Przynajmniej tak twierdzili ci, co sami pisma nie znali. Zresztą normą było, że wieśniacy, niewolnicy i prości rzemieślnicy nie znali się na piśmie, chyba że byli do tego przeznaczeni, by księgi kopiować. Było więc trochę niewolników, co jako kopiści służyli. Umiejętność czytania i pisania była z reguły przynależna wyższym stanom.

Po prawdzie trzeba też podkreślić, iż w tamtych czasach nie było miejsc, gdzie tej przydatnej umiejętności można się było skutecznie nauczyć. Najczęściej to ojciec i matka dbali, by ich dzieci się zapoznały z alfabetem. Ci najbogatsi z Ulandczyków zatrudniali u siebie nauczycieli, do momentu, gdy dzieci nauczyły się pisania. Wielu więc wtedy było wędrownych nauczycieli. Podobnież i tak było w życiu wielu mądrych ludzi. Cygan Dziad sporo zimowych dni przeżył w ciepłe, w domach tych, dla których służył jako nauczyciel pisania dla dzieci. Lecz, gdy dzieci opanowały jakoś tę funkcję mózgu, rodzice bez zbędnych ceregieli pozbywali się podobnych Cyganowi, a ci szukali nowych uczniów gdzie indziej. Nie było w sumie tak źle, bowiem, jak chce to natura, z każdym dniem rodzili się przecież nowi ewentualni uczniowie. Problemy dla takich nauczycieli pojawiały się wtedy, gdy starość nachodziła. Życie wagabundy wędrownego to i może przyjemność, ale tylko dla młodych ludzi. Wielu więc z nich z tej przyczyny nie dożywało słusznego wieku.

Choć i mądrzy oni byli, ale życie dla takich bezlitosne bywało. Przykład życia

Cygana Dziada raczej chlubnym wyjątkiem był, niżli ogólną regułą. I to, że dokonał on żywota we własnym łóżu i w słusznym wieku było dziełem raczej tylko przypadku. Takiego przypadku, iż poznał on kiedyś na swej ścieżce życia nieopierzonego, młodziutkiego, czarnowłosego Olanda. Olanda, który miał swoją misję życia. Olanda, który miał otwartą i przyjazną duszę. Ciekawostką i zagadką bogów jest to, czy i dziś tym samym to człowiekiem jest jeszcze Oland? Czy, gdyby dziś stary Cygan Dziad spotkał na swej trudnej drodze Olanda, jego los starego nauczyciela byłby podobny? W samej rzeczy nie kapie się za każdym razem człek w tej samej rzece, choć ta rzeka niby tym samym korytem płynie.

Geldera więc poprawiła swe włosy, lnianą szmatką obtarła lico. Jej policzki zaczerwieniły się tedy na różowo. Popatrzyła na swego małżonka, lecz ten zwrócony był twarzą do ściany. Mimo to cicho rzekła:

– Wiesz, był goniec królewski, prosto od Kowdlara. Mówił że to pilne.

Elubed był jednak świadom, bo stęknął cicho, potem z trudem, ale jednak odwrócił się do żony.

– I co? Miał jak...kieś pism...o?

– Tak, odebrałam.

– To otwórz, ja nie mam sił; przeczytaj na głos – Elubed był zrezygnowany, odczuwał teraz taką dziwną słabość od kości.

– Już to zrobiłam.

– Co? Otwarłaś pismo? Od posłańca królewskiego? Do mnie? Nie wiesz, że za to grozi ucięcie ręki? No, ale dobrze, może nie wiedziałaś? I co tam mi Kowldar pisze?

Geldera była z lekka zszokowana tym, co jej przed chwilą Elubed rzekł.

– Naprawdę nie wiedziałam – zaczęła się usprawiedliwiać.

– No, mów, co mi tam Kowldar napisał? - Elubed z trudem kaszlnął. - Jestem tak słaby, że miałaś prawo. Mów więc.

– Kowldar pisze, żebyś pod żadnym pozorem nie szedł do kopalni soli. Podobno król ją skonfiskował i zakazał tam ludziom, swym poddanym, przebywać.

– Co? - Elubed aż jęknął. - Kieeee...dy to pismo do nas dotarło?

– Goniec był wczoraj wieczór. Spałeś, nie chciałam budzić.

– Aha. No tak, to i tak by już nic nie dało. Gdyby goniec przyszedł trzy dni wcześniej? gd...by? - Elubed znów stęknął.

– A czy to coś ważnego? - Geldera jakby nie kojarzyła faktów.

– Nic, moja droga, ważnego. Choć, gdybyśmy zostali tydzień dłużej w Wendzie i byli, jak ty to chciałaś, na urodzinach twego brata, to nic by się nie stało. A tak!

No cóż, wola bogów. Faktycznie w tej kopalni soli dziwy się jakieś

dzieją. Tylko nie mów nikomu. Dobrzee? Moja droga, dobrze?

– Co tam widziałeś? - Geldera się zaciekawiła.

– Coś tam chowają w tej kopalni. Jakieś beczki. Dużo tego...o bardzo du...użo - Elubed znów zaczął się męczyć. - To są chyba bogowie.

– Co ty mówisz? Bogowie? Bogowie są tylko w mitach i legendach – Geldera się zachnęła.

– Jak byś widziała, co ja wiii...działem, to byś tak nie mówiła. Mnie się wydaje, że moja choroba z tego jest, iż byłem zbyt blisko.

– Czego zbyt blisko? - Geldera podeszła do łóżka i poprawiła mężowi poduszkę.

– Zbyt blisko tych beczek, tak coś czuję, moja dusza poety mówi mi to. Moja intuicja.

– To jak to jest możliwe? Coś przeszło do ciebie z tych beczek? - Geldera była taka nieporadna w swych pytaniach.

– Mówiłem ci, to jest sprawa bogów. To są niepojęte sprawy, przy tym magia jest niczym, i choć nie znam jej dostatecznie, to jednak widziałem tam przy stoczni takie dziwy.

– No to mów. - Geldera poczęła nalegać na Elubedę, widocznie jej ciekawość była rozbudzona bez miary.

– Tam było coś, taki pojazd, karoca, która zwisała nad ziemią, jak zwisają latawce. Lecz nic ją nie trzymało przy ziemi. A potem odleciała, jak odlatują ptaki. Niepojęte, dlatego mówię ci, że to byli bogowie. Tyl...lko tak mogą to sobie wytłumaczyć.

– Więc myślisz mój drogi, że to dlatego chorujesz? A może to nic złego, może to tylko lekkie przesilenie? Za dwa, trzy dni staniesz na nogach.

– Mówisz? - Elubed się uśmiechnął. Lecz zaraz po tym znów smutek na jego licu się pojawił – Myślisz tak, naprawdę tak uważasz? Obyś miała rację. Obyś miała.

Erej dostał dziś list od swego dawnego druha, Ujyewo. Znali się stąd, iż byli uczniami Cygana Dziada. Razem wychowywali się i dorastali. Oto Ujyewo pisał w nim, iż król poszukuje nauczycieli do nowej szkolnicy w Wendzie. Według Ujyewo mile widziani byłiby dawni uczniowie Cygana Dziada. I zarobek byłby odpowiedni, prestiż ogromny. Nauczyciele będą mieli dużą swobodę w swej posłudze. Uczniami zaś w tej szkolnicy będą najzdolniejsi synowie ziemi Ulandzkiej.

Erej długo się zastanawiał nad treścią listu i stwierdził w końcu, iż wielce by mu odpowiadała taka posługa. Żyłby wówczas w samej stolicy państwa, miałby spory zarobek. Miałby kontakt z wszystkimi nowinkami, i to nie tylko edytorskimi, wszak to właśnie w Wendzie była największa w kraju biblioteka stale uzupełniana w nowe księgi. W Wendzie przecież wszystko, co nowe, miało zawsze i rutynowo swoją premierę. A tu, w Poledzie, nie dość, iż nic się ważnego nie działo, to jeszcze nie było tak naprawdę żadnych atrakcji intelektualnych dla wciąż jeszcze młodego i uczącego się życia Ereja. Była wszak tylko ta biblioteka, Gabinet Nauki, którą dla syna zgromadził Kanclerz, ale to było nic w porównaniu z atrakcjami stołecznymi. Nudą wiało w posiadłości księcia Kanclerza, jak mógł stwierdzić z goryczą nauczyciel panicza Atagra. Tylko jak by tu się wyłgać bezboleśnie ze swej funkcji, którą mu na długie lata nałożył sam Kanclerz. Erej przecież nie może, i w rzeczy samej nie chciałby, urazić księcia, było, nie było, jednej z najważniejszych osób w kraju. To byłoby przecież niebezpieczne. Może po prostu spytać przy najbliższej okazji, to znaczy, gdy książe Kanclerz będzie w Poledzie, czy zgodziłby się on na to. Na to, by

Erej mógł zakończyć pracę w Poledzie. Oczywiście Erej miał zamiar poinformować Kanclerza, z jakiej to przyczyny chce on zakończyć współpracę. Prędzej czy później książe wszak dowiedziałby się, czym się kierował Erej. Choć mały Atagr był wdzięcznym uczniem, bardzo bystrym i w lot wszystko łapał, jednak Erej na myśl taką, iż mógłby być samodzielnym nauczycielem w Wendzie, doznawał wręcz dreszczy emocji. Byłoby to dla niego wielką nobilitacją; mógłby on sprawniej kontynuować misję samego Cygana Dziada. Ponadto odnowiłby stare przyjaźnie i nawiązał nowe. Erej

miał zawsze więcej przyjaciół niżli wrogów. Powierzchność miał bowiem szlachetną i ludzie się do niego garnęli. To nawet Cygan Dziad uczył ich jak mają z ludźmi postępować, że mają nie epatować swą wiedzą i mądrością, czego nauczył się i sam Cygan Dziad, lecz szkoda, że to już dopiero u schyłku swego żywota. W Poledzie Erej też nawiązał kilka znajomości. Bywało, że biesiadowali tu wspólnie. Z tej strony poznał Temo, a także setnika Zaparę. Zaparze bardzo imponowała ta przyjaźń z nauczycielem panicza. Jak przyznał się Erejowi, żałował, iż tak mało jest obeznany z pismem. Coś tam umiał od biedy sklecić. Ale Erej był niemal jak pół-heros dla niego. A to, że Erej był umiłowanym uczniem najmądrzejszego człowieka za świecie, potęgowało tylko ten zachwyty Zapary kierowany ku Erejowi. Jednak Erej ostatnio zaczął dziwnie niepokoić się o Zaparę.

Stary wiarus, który niejedno już przeżył, oto zaczął się od pewnego czasu dziwnie zachowywać. Chodził niemal stale pijany, coś tam mamrotał do siebie. A i dbać o siebie jakby już mu nie było tak skoro. W poplamionej tunice chodził. Księżna Teborna upominała w tej kwestii już Zaparę. Aby mniej pił, bo wszak jej syna uczy, a w ten sposób źle na niego wpływa. Lecz na nic to się zdało. I choć Zapara wywiązywał się ze swej roli nauczyciela fechtunku bez zarzutu, to najpewniej, gdy wreszcie księżę Kowdlar wróci ze stolicy, dostanie mu się nielicho. Dziwne to było, bo owo zachowanie wiarusa tak charakterystyczne stało się niedługo po tragicznej śmierci Temo. Do dziś nie znalazł się morderca. Morderca i rabuś w jednej osobie.

Bo jak mówił to stary kucharz, Aberaze, bezpośredni przełożony Temo, Temo miał różne szlachetne i półszlachetne kamienie, którymi się przed Aberaze często chełpił i mu je pokazywał. A takowych w pokoiku Temo nie znaleziono później. Choć przeszukano rzeczy po Temo bardzo dokładnie. Z rozkazu księżnej Teborny.

Konkluzja więc tego była taka, że Temo zamordowano z powodu jego kamieni i dokonano rabunku tychże. Taki to też ostatecznie, wydaje się, księżę Kowdlar przekaże meldunek Presurtowi Olandowi, do którego to kompetencji podlegały wszelkie sprawy gardłowe w Ulandii. Czy to była

kwestia działania bandy zbirów lub jeden człek tego dokonał, tego nie ustalono do tej pory. Cała Poleda, księżna i jej mały synek, a nawet służba, no i sam Erej, wszyscy czekali z niecierpliwością na przyjazd księcia Kanclerza. Było to już dobrych kilka tygodni, jak obowiązki zatrzymały skutecznie Kowdlara w stolicy. Ale chyba Erej najbardziej ze wszystkich nie umiał się doczekać rozmowy z księciem. Już od dłuższego czasu układał sobie w pamięci, jak zagai, jak będzie rozmawiał z mocodawcą. Nie chciał wszak go obrazić, najlepiej byłoby, gdyby porozumieli się w cztery oczy. Wszak jedno Erej wiedział na pewno, że nie może ci on polecić nikogo na swoje miejsce. Tych, których znał, a którzy mogliby to zrobić, los przecież też kusił posadą w nowej szkolnicy. Erej doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nie mógł więc nikogo polecać. Jednak Erej miał cały czas nadzieję, że książę Kanclerz ma tak szerokie znajomości, iż sam bez trudu kogoś znajdzie. Może mu to zajmie jakiś czas, może rok, albo nieco dłużej.

Przez ten czas Erej mógłby jeszcze tu zostać dla Atagra, w końcu szkolnicę jeszcze nie wybudowano. Choć, mimo tego, Erej chciał najchętniej ten czas, czas do momentu ukończenia budowy szkolnicy, poświęcić studiom w bibliotece królewskiej w Wendzie. Już mu się po prawdzie okrutnie nudziło tu na tak dalekiej prowincji.

Geldera chodziła nerwowo po komnacie. Za ścianą w swym łożu leżał chory Elubed. Wczoraj był medyk królewski, Lopeod. Odkąd przyjechali do Wendy Elubed stracił

wszystkie włosy. Miał też dziwne wybroczyny na skórze. Były to bąble wypełnione wodą, które później pękały. Medyk długo badał Elubedę. Oglądał język, badał puls.

Potem rzekł, iż podobne objawy mieli ludzie, którzy byli najdalej na północy, wtedy gdy na ziemię runęła karoca Kerdolota. Ale to było ładnych kilkanaście lat wstecz. I dopiero teraz, po tylu latach, Lopeod twierdzi, baron Elubed ma podobne objawy.

Baronowa Geldera spytała się na osobności medyka, czy mąż wróci do zdrowia?

Niestety Lopeod jakby nie chciał lub nie mógł wprost odpowiedzieć jej na to ważne pytanie. Powiedział tylko, iż wszystko jest w rękach bogów; że trzeba być dobrej myśli. Po czym zostawił jakąś tubkę maści i woreczek sproszkowanych ziół dla barona. Jak jednak intuicja kobieca mówiła baronowej, los małżonka był już przesądzony. To było ważne, bardzo ważne dla Geldery. Właśnie teraz. Dlaczego?

Bowiem Geldera była już prawie pewna, że jest brzemienna. Oto w najbliższej przyszłości Elubed miał się stać ojcem. Tylko czy bogowie dopuszczą, by mógł on nacieszyć oczy swym potomkiem? Jak już bowiem baronowa przepytowała się swych rodziców, jak to było z tą karocą Kerdolota, bo małą dziewczynką wówczas była, gdy się to działo, oni rzekli jej, że wielu ludzi wówczas przeniosło się na Pola Kerdolota.

Zwłaszcza zaś tych, którzy byli na północnych ziemiach. Matka jej, Lubeta, szepnęła do jej ucha, jak były same, iż ci ludzie właśnie mieli takie objawy, jak Elubed ma.

Matka wtedy jeszcze nie wiedziała, że córka najpewniej spodziewa się dziecka.

Pewnie by wtedy miarkowała się. Geldera więc już teraz była przygotowana na najgorsze. Jej troską pozostało tylko to, by Elubed nie dowiedział się o swym losie.

Niech on żyje jeszcze nadzieją. Niech myśli, że organizm zwalczy słabość. Dziś rano był u nich sam książę Kanclerz, Kowdlar. Kowdlarowi udało się to, czego nawet jej się nie udawało od pewnego czasu, iż na licu Elubedy pojawił się pogodny uśmiech.

Krótko, bo krótko, ale jednak. Pewnie sobie tam po cichu prawili sprośne kawały.

Potem Elubed był spokojny. Długie godziny przedpołudniowe przespał.

To dobrze, bo ostatnimi czasy miał z tym problemy. Lecz gdy w końcu zbudził się po pierwszej, nie chciał nic jeść. I tak to cały czas trwa. Nie przełknął ni kęsa, nie upił nawet ze szklanki koziego mleka.

Geldera w końcu uspokoiła się. Poprawiła włosy, wyrównała szaty. I po pewnych staraniach wyszła ze swej komnaty i poszła do sypialni Elubedy. Od progu mogła stwierdzić, że Elubed leży z otwartymi oczyma.

– Zjesz coś, kochany? - powiedziała do niego.

Lecz Elubed nie odpowiadał. Odwróciła się do niego. I wtedy odkryła, że Elubed jest zastygły, niby bryła, niby kawałek drewna.

- O bogowie! - pomyślała. - On odszedł,

odszedł już tam gdzie przodkowie, na Pola Kerdolota.

W rzeczy samej, w tym ciele Elubedy nie było już życia. Geldera zaczęła cicho szlochać. Było to niczym skarga do losu. Zostawił ją ten, z kim miała przeżyć swe życie. Podeszła do tego ciała i zamknęła mu oczy. Był już zimny i sztywny. Musiał umrzeć niedługo po tym, jak był tu Kowdlar. A ona nawet nie wiedziała, myślała że małżonek śpi. Lecz to już był ten sen na wieczność.

Jeden, dwa, trzy. To były pierwsze kroki małego delfina. Matka, królowa Sylanda, również i ojciec, król Amargadeusz, patrzeli zafascynowani. Oto dziedzic rodu królewskiego uczył się samodzielnie chodzić. A mały Orotog był tak pochłonięty tą nauką, że nie słyszał pewnie ani krzyków swej matki, ni krzyków bony, która zwykła się opiekować małym księciem. Bona to była arystokratka z rodu tak starego, jak pewnie była sama Ulandia. Sylua, bona, była chyba mocniej emocjonalnie związana teraz z małym delfinem, niż jego matka, królowa. To ona przewijała malucha, to ona karmiła go kozim mlekiem, to ona pilnowała, by dziecko miało spokojny sen. Malec rósł pewnie i zgodnie z naturą. A dzisiaj to właśnie był ten dzień, gdy mały królewicz stawiał samodzielnie pierwsze kroki. Orotog więc zapamiętał stawiał kolejne kroki.

Lecz oto stracił równowagę i, z głośnym jękiem zgromadzonych, wyrznął nosem w miękki dywan. Nic to jednak było dla walecznego. Oto malec, przy ogólnym zdumieniu wszystkich zgromadzonych, zaczął głośno się śmiać, leżąc tak na brzuchu.

I od razu starał się znów stanąć na swych niepewnych nogach. - Naprzód, naprzód – zdało się, że to sam król Amargadeusz zaczął go dopingować. - No jazda, dasz radę, mały, dasz radę. - Król raczej szeptał do siebie, niżli kierował to do syna. Orotog jednak jakby słyszał tę zachętę ze strony ojca, podniósł się i znowuż niby opętany starał się iść na tych nogach, iść tak, jak widział to, iż robił ojciec, robiła to matka, wszyscy wokoło. I on podświadomie chciał tak jak to inni. I szedł, szedł krok za krokiem. Coraz pewniej i pewniej. Jeden krok, drugi i trzeci. Dzieciak robił przy tym miny niby był zachwycony. Szczery śmiech teraz rozpromieniał mu lico. Szedł w kierunku króla, swego ojca, i śmiał się z każdym łokciem bliżej ojca. A tamtego rozpierała duma. Wszyscy widzieli zwycięstwo delfina. W końcu dzieciak doszedł do króla i rzucił mu się prosto w ramiona, nie dbając przy tym na królewski majestat. Po prawdzie było to tylko i wyłącznie skutkiem tego, że mały Orotog ani nie znał jeszcze królewskiej etykiety, ani też wiedział, kim był jego dostojny ojciec. Widział tylko przed sobą rozradowanego i przyjaznego człowieka, który coś do niego mówił.

A król, w rzeczy samej, dumny był i promieniał. Oto jego syn był zdrowy, dobrze się chował i wykazywał te wszystkie pożądane cechy, które po nim oczekiwano. Nieraz tak i bywało w przeszłości, iż król Amargadeusz obawiał się o swe dziecko, pomny tego, iż w późnym wieku go już spłodził, co, jak mówił medyk Lopeod, mogło się źle odbić na malcu. Lecz już teraz było wiadomym wszystkim na dworze królewskim, a przez nich wszystkim w Ulandii, iż księżę Orotog jest okazem zdrowia, i że jest niczym żywe srebro, przynajmniej tak jak jego ojciec, król Amargadeusz, był w podobnym wieku. Pewnie było to skutkiem tego, iż matka Orotoga, królowa Sylanda, była tak młoda. Ta młodość królowej zrekompensowała w konsekwencji nadmierną dojrzałość Amargadeusza. Dziecko było zdrowe i bystre, i to było najważniejsze.

Król trzymał w objęciach swe dziecko i podnosił go, po czym kładł na wzorzystym dywanie. A malcowi strasznie się to podobało, śmiał się i wręcz

płakał ze szczęścia.

Ta cała radość stała się zaraźliwa dla wszystkich, co to w komnacie byli. Królowa Sylanda już też pewnie chciała, by Orotog to teraz do niej szedł na swych niepewnych nóżkach, by to właśnie ona mogła go w ramionach tulić. Ale wszak to dopiero przed chwilą Orotog odbył pierwszą lekcję chodzenia. Król też nie chciał wypuścić ze swych rąk syna. Wszyscy się śmiali i radowali. Tak w tym śmiechu, nagle. Zupełnie nagle. Król Amargadeusz chwycił się za pierś. Osunąłby się pewnie na podłogę, gdyby go w porę Obik nie pochwycił. Mały Orotog cały czas radośnie się śmiał. Lecz mina króla zmieniła się radykalnie. Było widać, że królowi się coś dzieje.

– Weźcie chłopaka – król z trudem wyszeptał.

Na te słowa do dziecka podbiegła bona Sylua, i wzięła wciąż śmiejącego się delfina w ramiona.

– Przywołać medyka – naprędce rzekła Sylanda do służby. - Szybko, bez zwłoki – dodała pośpiesznie.

Obik tymczasem podtrzymywał głowę monarchy. Król miał lico skrzywione w grymasie bólu. Z trudem łapał powietrze. Obik starał się, jak mógł, pomóc swemu panu. Król cały czas ciężko oddychał. Trzymał też się kurczowo za pierś. Minęło może trzy lub cztery minuty. Wtedy to drzwi do komnaty rozwarły się głośno i do komnaty wszedł medyk.

– A to ty, Lopeod? - król stęknął na widok medyka.

– Wasza Królewska Mość, spokojnie, spokojnie, to nic groźnego. – powiedział Lopeod.

– Też coś, co Waść bredzisz? – zdenerwował się jak nigdy Obik..

– Cicho, Obik – król się odezwał – nie denerwuj się. Już mi mija.

– Tak, Wasza Królewska Mość, proszę, zażyj to, Panie – medyk podał jakieś proszki królowi. Były w małej płóciennej torebce. Król z miejsca dał to Obikowi.- Panie, trzeba wymieszać to z wodą.

– Podajcie kubek z wodą – Obik krzyknął w stronę służby.

Po chwili Obik mieszał zawartość woreczka ze źródlaną wodą, jaką mu podano.

– Proszę, oto lekarstwo, Panie – Obik zwrócił się do króla

Amargadeusz, ciężko dysząc, wypił przygotowaną miksturę. Nastąpiła znacząca cisza.

Nikt nie śmiał pierwszy się odezwać. Mały Orotog pogrążony był cały w objęciach bony, Syluy. Cicho był, tak jakby rozumiał, że nie pora teraz na zabawę. Królowa Sylanda patrzyła ze zdumieniem na swego małżonka, lecz także nic nie rzekła. A tamten, w rzeczy samej, jakby zaczął przychodzić do siebie.

Było pochmurno, w powietrzu unosiła się wilgoć podwendadzkich pól. Nie było tuwiele osób. Można rzec, że tylko najbliżsi oraz, oczywiście, przedstawiciel króla, elektan Adlar.

Jakieś trzy, cztery płaczki stały na uboczu. Było ich tak mało, ale to sam zmarły przed śmiercią prosił, by nie robić widowiska. Geldera była w żałobnym stroju, podobnie i Lubeta, jej matka, oraz Erty, ojciec wdowy. Ceremonię prowadził młody mag, asystent Mistrza Kapy. Był też on. On w samej swej osobie. Książę Kanclerz

Kowdlar. Żegnał się na zawsze ze swym druhem Elubedą. Prochy przyjaciela spopielone w urnie czekały teraz na ostatnie pożegnanie. Urna, wykonana z brązu, była bogato zdobiona. Była raczej symbolicznym miejscem spoczynku Elubedy.

Wszak po nim samym został już tylko proch zebrany ze stosu. Kowdlar miał frasobliwą minę. Nie chciał się zachowywać tak, by potem rozpowiadano o tym po całym królestwie. Hamował się więc i pilnował, by nie dać powodu do złych plotek.

Wszak jednak wszyscy wiedzieli, kim dla niego był Wódz Ludzi Małych, baron Elubed. Zawsze ze sobą przestawali, czy to na wojence, czy w zwykłym szynku.

Razem pili, razem ucztowali, razem prowadzili interesy. Ba! Jeden popierał drugiego.

Z tej to przyczyny, to właśnie dlatego Elubed zrobił tak wielką karierę, iż był propagowany przez swego druha, Kowdlara. I oto teraz Kowdlar zegnał swego przyjaciela, tego, który sam o sobie mówił, że był z zawodu poetą.

Król, choć osobiście nie mógł przybyć, posłał delegata. Amargadeusz, wiedząc, jak wielka to jest strata dla Kowdlara, zasugerował mu, by po pogrzebie udał się do swego lenna na jakiś czas. Wyglądało na to, że w państwie wszystko idzie swą rutynową koleją. Żadnego też nie było zewnętrznego zagrożenia. Król wolał, by Kowdlar mógł się napłakać gdzieś na ustroniu, najlepiej w swym własnym domostwie. Zebrani byli na pewnej górcie, małym wzniesieniu. Pod drzewem było przygotowane miejsce na kurhan dla szczątków Elubedy. Najbardziej na zewnątrz stało kilku żołnierzy z insygniami Legionów Ludzi Małych. Najbliżej urny i kurhanu stali Geldera oraz księżę Kanclerz. Mag Bjur prowadził całą pogrzebowy ceremoniał.

To był młody chłopak jeszcze; ledwie wąż mu się dopiero sypał pod nosem. Ale robił to z tak wielkim zaangażowaniem, że nie można było formalnie się do niczego przyczepić. Głośno intonował i śpiewał różne pieśni pożegnalne, które są częścią ceremoniału. Jego śpiew dopełniały płaczki oraz niektórzy uczestnicy pogrzebu.

Szczególnie ładnie włączała się do śpiewu Lubeta, tak jakby ona miała w tym wprawę, jakby często uczestniczyła w tego typu uroczystościach. A może po prostu przygotowała się dobrze. Wszak było kilka dni od momentu śmierci zięcia do jego formalnego pogrzebu. Geldera ukradkiem wycierała załzawione oczy. Czy to miłość ich łączyła, czy tylko wyrachowanie?

Trudno to było jednoznacznie orzec. Prawdę znała tylko sama Geldera. Faktem bezspornym było, iż wdowa teraz cierpiała. Faktem jednakowoż też było i to, iż odziedziczyła ona po Elubedzie ogromny majątek. Co charakterystyczne, a i co wiedział także książę Kowdlar, wiedziała też i Geldera, Elubed wzbogacił się ostatnio o liczne dobra, głównie o część z tych, które skonfiskowano po zdrajcach Plorcie i Dercie. Majątek po zmarłym Elubedzie wart był setki tysięcy złotych talentów.

Stali tak w tej wilgocie, a mag intonował pieśni. Trwało to już dobrze pół godziny. W końcu Bjur skończył. I rzekł:

– Proszę teraz Ciebie, Ekscelencjo, księciu Kanclerzu Kowdlarze, byś, Panie, rzekł kilka słów o zmarłym.

Na tę zachętę, było to po prawdzie ustalone jeszcze przed ceremonią, Kowdlar wysunął się krok do przodu i wyciągnął spod szat jakieś pismo.

– Kochani, ty droga Geldero, i wy, wszyscy zebrani, żegnamy teraz tu oto człowieka niezwykłego. Mojego przyjaciela. Umówiliśmy się kiedyś tam, lata temu, że albo ja go odprowadzę na wieczny odpoczynek, albo on mnie. I tak też się stało, o gorzko bogini losu. Tak też się stało. Jak wiecie, Elubed był przede wszystkim poetą. Poetą i tylko poetą. Choć, to prawda, ostatnie lata nie mógł się realizować na tej drodze, bo służył przede wszystkim państwu, Ulandii i naszemu władcy, królowi Amargadeuszowi. To jednak kiedyś dał mi pewien jego wiersz, którym dziś to ja chcę go pożegnać. Chcę pożegnać przyjaciela. Oto on, słuchajcie- Kowdlar zaczął czytać to, co miał przed sobą napisane.

Więc żegnaj, mój przyjacielu

Czarna noc w me życie wkroczyła

Chmura burzliwa niebo spopieliała

Od dzisiaj już muszę iść sam przez życie

Twa dłoń była mi pomocna

Trudne życia chwile kroiliśmy mieczem

Trudne losu rozterki zwalczyliśmy przymierzem

Dziś płaczę nad twoją urną

Ni kłamstwa od Ciebie nie doznałem

Falsz był nam obcy, nieczysty

Sojusz nasz był wieczysty

Dziś stoję przed twym kurhanem

Czekaj więc teraz tam na mnie

Na Polach Kerdolota przygotuj mi siedzibę

Tak Ty mnie, jak ja Ciebie na dobre zmieniłem

Już niedługo tam pić będziemy razem ambrozię

Żegnaj, mój przyjacielu

Dziś będę płakał sam, bez twego wsparcia

Należę wina w dwa nasze puchary

Ale ten Twój, to już będą mary

Żegnaj

Erej szedł korytarzem pałacowym. Było już dość późno, ale służba jeszcze pracowała. Pracowała też kuchnia. I z tej przyczyny to Erej wyszedł przed chwilą z biblioteki. Postanowił, że pójdzie do kuchni po kubek bulionu. Zgłodniał trochę po lekturze książki napisanej przez Efereta z Kule. Było to jego ulubiony myśliciel, a księciu Kanclerzowi udało się zebrać pięć ksiąg tego filozofa. Zresztą Erej lubił wracać do już wcześniej przeczytanych prac tego filozofa. Porównując Efereta z Cyganem Dziadem, Erej dochodził do wniosków, iż Cygan Dziad był bardziej jednak praktyczny, w swych rozważaniach koncentrował się na człowieku i jego problemach. Eferet zaś

lubił analizować zjawiska bardziej ogólnie. Los człowieka nie był tym, o czym pisał Eferet. Raczej byt, raczej idee, no i geometria. W tych zagadnieniach Eferet lubił się smakować. Lubił je analizować. Po prawdzie, choć Erej chełpił się tym, iż był ulubionym uczniem najmądrzejszego człowieka na świecie, to jednak i on sam miał inklinację do tych samych spraw, które poruszał w swych pismach Eferet z Kule. Nad problemami geometrii bywało, że Erej spędzał całe wieczory. Równie chętnie zastanawiał się nad zagadką stworzenia świata. A człowiek? Tak, to prawda, człowieka najtrudniej zrozumieć. Dlatego to chyba właśnie wyrocznia orzekła, że Cygan Dział był najmądrzejszym z ludzi. Bo on poznał człowieka. Całą kondycję człowieka. Dobro i zło człowieka.

Szedł więc nieco zamyślony tym, co przeczytał u Efereta, korytarzem prosto do kuchni. Dobrze wiedział, że w kuchni jest kucharka Irtyna. Ona mu pewnie da ten kubek bulionu. Na to Erej liczył. Zawsze w jednym piecu kuchennym był podtrzymywany żar. A na nim stały garnki z zupą i zbożową kawą. Po drodze mijał komnaty księżnej i księcia. Potem zszedł schodami niżej. Tam to już były pokoje służby. Wreszcie po kilkudziesięciu sekundach do szedł do drzwi kuchni. Staął, zapukał. Usłyszał zachęcający krzyk Irtyny.

– Irtyno, czy podasz mi kubek bulionu? – powiedział, wchodząc do środka.

– Oczywiście, Panie. Zaraz naleję. Wypije, Pan, tu na miejscu, czy weźmie go ze sobą.

– Z tak miłym twoim towarzystwem napiję się tu, jeśli pozwolisz. – powiedział Erej i usiadł na kuchennym zydłu.- I jak się czujesz, Irtyno? Pytam, bo wiem, jak przeżyłaś śmierć. - Nie było to zbyt delikatne ze strony Ereja, lecz dziewczyna odpowiedziała mu pogodnie.

– No, wie, Pan, co miało się stać, to się stało. Widocznie nie był on mi pisany. Mam tyle pracy, że nie myślę już o tym – powiedziała.

– To dobrze, cieszę się. Na pewno ułożysz sobie jeszcze życie. I doczekasz się gromadki pociech. A propos, nie wiesz, co się stało z setnikiem Zaparą? Nie było go dziś na treningu fechtunku. Panicz był mocno

rozgoryczony. Lubi ci on te walki na niby.

– Nie było. Faktycznie, nie był też dzisiaj na obiedzie. To dziwne, bo uwielbia moją kuchnię.

Erej powoli sączył ciepły bulion. Siedział tak na zydlu i patrzył, co Irtyna robi.

– Zajrzę tam do niego. On strasznie się ostatnio zapuścił. Wiecznie jest na rauszu.

– Właśnie, Panie. I mnie to zdumiewa. Taki wiarus, taki wojownik, i nie umie opanować siebie – Irtyna przyznała Erejowi. - Przecież żeby zostać setnikiem, to trzeba coś sobą reprezentować, a żeby zostać ulubieńcem księcia Kanclerza tym bardziej.

– No, jest to zaprawdę dziwne. Coś mu musi w duszy grać. Choroby duszy są o wiele gorsze, od najgorszej choroby ciała – powiedział Erej, dopijając resztkę bulionu. Wstał i położył terakotowy kubek na stole. - Dziękuję ci, Irtyno, za poczęstunek. Pójdę już, dobrej nocy.

– Dobranoc – usłyszał jeszcze od Irtyny, gdy wychodził z kuchni.

Erej szedł znów korytarzem. Lecz, gdy miał już skrócić w stronę schodów, zmienił zdanie i poszedł w kierunku pokoiku setnika Zapary. Doszedł. Drzwi były zamknięte.

Erej zapukał. Raz. Dwa. Trzeci raz już mocniej.

– Setniku Zapara, jesteś tam? - krzyknął.

Lecz nikt nie odpowiadał. Erej już chciał odejść. Lecz coś go tknęło. Popchnął lekko drzwi. Były otwarte. Otworzyły się bez problemu. Erej odważnie wszedł do środka.

– Setniku Zapara, jesteś tam?

Powoli przyzwyczajają się do półmroku w izbie. Wodził oczyma. I wtem! Poczł jak ciarki biegną mu przez kręgosłup. Oto zobaczył to, czego na pewno nie chciał zobaczyć. Coś wisiało przyczepione do sufitu. Erej otworzył szerzej drzwi, tak by więcej światła wpadło do pokoju. I wtedy przekonał się, że to nie były zwidy. Oto na skórzanym postronku wisiało ciało setnika Zapary. Widać, że powiesił się on dzisiaj.

– Coś ciągnie się teraz to fatalne fatum – powiedział Kowdlar.

– Te śmierci? – Teborna smakował właśnie słodkie, złociście czerwone jabłka z przypałacowego sadu.

– No właśnie. Czuję, że będzie jeszcze jedna śmierć. Czuję to w kościach. Takie prawo czarnej serii. – Kowdlar podszedł do stołu i nalał sobie wina do pucharu.

Książę Kanclerz był już w Poledzie od tygodnia. Ale miał przykazane od samego króla, by dłużej zabawił w swym lennie, bliżej swej rodziny, żony i syna.

– I co masz zamiar zrobić z tymi szlachetnymi kamieniami, które Zapara zrabował Temo?

– Jak to co, przejdą na naszą własność. Temo nie miał żadnego krewnego. Więc zgodnie z prawem, które nie ja przecież wymyśliłem – dodał z naciskiem – przechodzą one w moje, przepraszam, nasze, ręce.

– Ale wiesz, Irtyna miała się wydać za Temo, kochali się – księżna jadła jabłko.

– To jest prosta dziewczyna. Czy chcesz z niej zrobić księżniczkę? Te kamienie są wiele warte, bardzo wiele. W głowie by się jej przewróciło. Ale ...

– No ale miałyby godne wiano, na pewno by znalazła męża we wsi. – Teborna weszła w zdanie mężowi.

– Dlatego, myślę, że damy jej kilka kamieni. Może z dwa lub trzy

rubiny.

Czerwone rubiny. Czerwone jak miłość jest czerwona. To jej starczy na godne wiano. Na pewno znajdzie sobie męża. - powiedział Kowdlar.

– Aha, to dobrze. Ja z niej jestem zadowolona. Wolałabym by została w naszej kuchni. Jako kucharka. Bardzo pracowita dziewczyna.

– No widzisz. Gdyby miała dostać wszystkie te kamienie, najpewniej by się stoczyła. Humorów by się nabawiła, lenistwu oddała. Tak jak ci mówiłem, zgodnie z prawem to my przejmujemy dobytek ofiary. To znaczy tego Temo.

Jedno mnie tylko zastanawia, jaki był prawdziwy powód tego, iż Zapara zamordował Temo. Nie chce mi się jakoś wierzyć w ten rabunek. Choć znaleźliśmy kamienie, i jest to bez wątpienia dowód, w pokoju Zapary. No cóż potem się obwiesił. Sumienie, moja droga sumienie. I zbrodnia została tym samym pomszczona.

– Nigdy się, kochany, nie dowiemy. Obaj zabrali swoją tajemnicę na Pola Kerdolota. - Księżna sięgnęła z koszyczka po kolejne jabłko.

– A ciekawe byłoby to, zaprawdę ciekawe – Kowdlar dodał szeptem. – Zapara nie zostawił po sobie żadnego listu, no bo on chyba był analfabeta, a nikomu się nie zwierzył. Duszę zatracił, a się nikomu nie zwierzył. I to taki wojownik. Taki wojownik. Nie bez powodu to jego wybrałem do nauki fechtunku Atagra. Iluż on przecież posłał w na tamten świat w licznych wojenkach, w których brał udział razem ze mną.

– No widzisz, dusza ludzka to największa zagadka – stwierdziła Teborna.

– Zostawmy już umarłych. Czy Erej mówił ci coś?

– Co?

– Otóż, wczoraj z nim rozmawiałem. I pragnie on, bym go zwolnił ze służby – mówił powoli Kowdlar.

– Dlaczegoż to? Źle mu tu u nas? Dostaje godziwą zapłatę. - Teborna

wyraźnie się ożywiła.

– Nowa szkolnica w stolicy powstaje. Wprawdzie będzie gotowa najwcześniej za rok, ale Erej liczy, że dostanie tam stanowisko nauczyciela. Będzie to bardzo ekskluzywne stanowisko, równie dobrze płatne jak te tu u nas. No, ale tam Erej byłby w przeciwieństwie w samej Wendzie. Miałby tam o wiele większe możliwości dla swego rozwoju, jak mi sam wczoraj powiedział.

– W sumie ma chłopak rację. Nie uważasz?

– Więc ja myślę, moja droga, że go zwolnię. Wprawdzie zostanie z nami jeszcze ten rok, ale już teraz trzeba nam będzie się rozglądać za nowym nauczycielem dla naszego syna. Bo to nie jest taka prosta sprawa. Wiesz o tym?

– Tak, wiem – powiedziała Teborna. - Ktoś nieodpowiedni mógłby wypaczyć nam dziecko.

– Otóż to. - przytaknął jej Kowdlar. - Będę musiał dokonać starannego wyboru. Choć najpewniej chętnych na miejsce Ereja będzie pod dostatkiem.

Po obiedzie Kowdlar postanowił, iż weźmie swego psa, Jugo, na spacer po okolicznych łąkach i pagórkach. Atagr został w pałacu razem z Erejem. Księżna Teborna uznała, że położy się; miała migrenę i nic na obiedzie prawie nie jadła. Stary kundel radośnie obiegał wkoło swego pana, machając przy tym ogonem. Szli tak powoli. Kowdlar od czasu do czasu brał jakiś patyk i rzucał nim przed siebie, a Jugo z ogromnym zapalem ganiał za nim i przynosił go w pysku swemu panu. Kowdlar spacerując, cały czas rozmyślał. I o tym, co w państwie się działo, ale także i o tym, co się stało tu na miejscu. Cały czas nie umiał sobie tego wytłumaczyć, dlaczego Zapara zamordował tego pirata, Temo? Spacerowali więc tak dostojnie. On, książę Kanclerz, i jego pies, zwykły kundel. Lecz oto nagle coś wstrząsnęło Kowdlarem.

Byli akurat na małym wzniesieniu. Dojrzał bowiem kątem oka, że drogą

do Poledy dąży jakiś konny orszak. Wstrząsnęło nim, bowiem barwy on miał królewskie, a także Presurta Olanda. Ale przede wszystkim wstrząsnęło nim, bowiem na chorągwiach przewiązane były czarne, żałobne szarfy. - Co to się mogło stać? - pomyślał.

Kowdlar postanowił, że szybko wróci do pałacu. Jugo chyba nie był tym zachwycony. Lecz cóż, podążył za swym panem.

Gdy Kowdlar dochodził do Poledy, musiał z żalem stwierdzić, iż orszak, który widział ze wzniesienia już tam był. Przed głównymi wrotami do Poledy stał samotny Presurt Oland. Oland, widząc dochodzącego Kowdlara, ukłonił się z szacunkiem, i ukląkł na żwirowej ścieżce.

– Witam cię, Ekscelencji, w tym czasie żałoby. Nasz król Amargadeusz skonał cztery dni temu na rękach swego wiernego sługi Obika. Jego ostatnią wolą jest, byś ty, Panie, został Regentem dla delfina Orotoga. Regencie, oddaję ci w imieniu króla i królowej władzę w Ulandii. Czyń swoją powinność. – To mówiąc, cały czas na klęczkach, Oland podał zdumionemu Kowdlarowi opieczętowany królewskimi pieczęciami list.

Kowdlar wziął list od Olanda. Odwrócił się w stronę lasów, które gdzieś tam hen ciągnęły się na horyzoncie. Nabrał głęboki oddech w płuca. Oto bogowie obarczyli go nowym honorem, lecz i obowiązkami nowymi. W oknach swego pałacu zobaczył, iż jego syn, Atagr, patrzy z piętra na swego ojca. Kowdlar spojrział ponownie na Presurta Olanda i rzekł:

– Jako to z woli bogów, podejmuję się tego dzieła.

Koniec.

Karol Kolmo